

**Sven Hassel**

# **Legion Potępieńców**

*(Legion of Damned)*

*Przekład: Julius Wilczur-Garztecki*

*Książkę tę dedykuję bezimiennym żołnierzom, którzy polegli za obcą im sprawę, moim najlepszym towarzyszom z 27 pułku pancernego oraz wszystkim dzielnym kobietom, które w tych ponurych i przerażających czasach okazały nam pomoc.*

*Oberstowi Manfredowi Hince, Oberleutnantowi Erichowi von Barringowi, Oberfeldweblowi Willemu Beierowi, Unteroffizierowi Hugonowi Stege, Stabsgefreiterowi Gustawowi Eickenowi, Obergefreiterowi Antonowi Steyerowi, Gefreiterowi Hansowi Breierowi, Unteroffizierowi Bernhardowi Fleischmannowi, Gefreiterowi Asmusowi Braunowi, oraz Ewie Schadows, studentce prawa Urszuli Schade, lekarzowi medycyny Barbarze von Harburg, pielęgniarce Hrabinie Mirze Testanowej-Golynskiej Eryce Welter, aktorce.*

*Autor oświadcza, że dziewięćdziesiąt procent zawartości tego dzieła ma charakter czysto autobiograficzny. Reszta stanowi fabułę wprowadzoną dla zwiększenia przejrzystości i uwypuklenia plastyczności narracji, lecz nie jest przy tym jedynie fantazyjnym dodatkiem do dokumentu.*

*– Pięć minut minęło. Zapłacisz za to, co zrobiłaś!*

*Nacisnął przycisk dzwonka. Weszło dwóch potężnych esesmanów w czarnych mundurach. Krótki rozkaz – i Ewa znalazła się na obciążonym czarną skórą blacie.*

## **I Parszywy dezenter**

Wczoraj przed sądem wojennym stanął olbrzymi saper. Dostał osiem lat ciężkich robót. Dziś kolej na mnie. Doprowadzono mnie przed oblicze sądu w eskorcie dwóch „klawiszy”. Znalazłem się w dużym pomieszczeniu, w którym na jednej ścianie wisiała gigantyczna podobizna Adolfa Hitlera, naprzeciwko zaś portret Fryderyka Wielkiego. W głębi, za fotelem przewodniczącego składu sędziowskiego, znajdowały się cztery sztandary: Luftwaffe, Krigsmarine, wojsk lądowych i SS. Wzdłuż ściany rozmieszczono proporce różnych rodzajów wojsk: piechoty – białe z czarnym krzyżem, artylerii – czerwony, kawalerii – żółty, broni pancernej – różowy, wojsk inżynieryjnych – czarny ze srebrnymi ornamentami, strzelców – zielony z rogami myśliwskim i wiele innych. Stół sędziowski przykrywał czarno-biało-czerwony proporzec Wehrmachtu.

W skład trybunału wchodził: przewodniczący – asesor w stopniu majora, i dwóch ławników – Hauptmann oraz Feldwebel. Oblicze wymiaru sprawiedliwości dopełniał prokurator – SS-Sturmbannführer.

Jak widać parszywy dezenter nie zasługiwał na obrońcę.

Odczytano akt oskarżenia. Zostałem przesłuchany na początku. Potem sędzia polecił wprowadzać po kolei świadków. Pierwszy zeznawał gestapowiec, który aresztował Ewę i mnie, gdy kąpaliśmy się w ujściu Wezery, i nagle wspomnienie letniego popołudnia, odgłos leniwego plusku fal przesłoniły mi obraz procesu.

Rozgrzany, lśniąco biały piasek wydm... Ewa wygrzewająca w słońcu swe krągłe uda... jej czepek kąpielowy... moje rozgrzane słońcem plecy... i upał, upał.

– Tak, wskoczyłem na biurko, a stamtąd wskoczyłem przez okno.

W sumie przesłuchiwało mnie pięciu policjantów. Teraz składali przed sądem zeznania.

– Tak, podałem fałszywe nazwisko. Nie, wyjaśnienia, które złożyłem, były nieprawdziwe.

To dziwne uczucie przyglądać się radcy kryminalnemu, który kazał wychłostać Ewę. Pozostali oprawcy byli sadystami, ale on po prostu wykonywał swoją pracę, w jego rozumieniu postępował właściwie. Co robić z ludźmi, którzy jedynie rzetelnie wykonują swoje obowiązki? Jest ich na świecie zbyt wielu. Wyobraziłem sobie, że wszyscy co do jednego zdezenterowaliśmy. Zostali tylko sami oficerowie. I co oni mogli zrobić? Przecież my, żołnierze, wszyscy uciekliśmy. Drogi zaroły się od żołnierzy powracających do domów. Na froncie i na zapleczu pozostali samotni oficerowie, ze swoimi mapami, planami, w eleganckich czapkach

i wyglansowanych butach. Powracający nie zapomnieli o mnie. Zaraz otworzą się drzwi i wkroczą tu bez słowa, a przewodniczący sądu i obaj ławnicy poderwą się z miejsca pobledli...

– Wprowadzić świadka Ewę Schadows!

Ewa! Tutaj?

Czy to mogła być ona?

Tak! To była Ewa, tak jak ja wciąż byłem Svenem. Poznaliśmy się po spojrzeniach. Wszystko inne, wszystko, co znaliśmy: drobne krągłości, intymne sekrety, wszystko, co znaliśmy, co spijaliśmy oczami, ustami i poszukującymi dłońmi... – to wszystko nagle przestało istnieć. Pozostały tylko nasze spojrzenia, oczy pełne lęku, a jednocześnie wierzące, że nadal jesteśmy sobą.

Czyżby można było w ciągu kilku dni tak wiele unicestwić?

– Ewo Schadows, znasz tego człowieka, prawda?

„Sługus” to określenie, którego nienawidzę. Zawsze wydawało mi się ordynarne, wulgarne i przesadne, ale w tamtej chwili żadne inne nie pasowało do prokuratora bardziej – był zwykłym sługusem.

– Tak – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem Ewa. Szelest papieru obudził zebranych.

– Gdzie go poznałaś?

– Spotkaliśmy się w Kolonii... podczas alarmu lotniczego. Takie rzeczy się zdarzały.

– Czy wyznał, że jest dezterem?

– Nie.

Ewa widać nie mogła znieść złowroziej ciszy, jaka zapanowała, i dodała drżącym głosem:

– Zdaje się, że nie.

– Proszę się wyrażać precyzyjnie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż składanie przed sądem fałszywych zeznań stanowi poważne przestępstwo.

Ewa stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nie spojrzała na mnie ani przez chwilę. Jej twarz była szara jak twarz chorego tuż po operacji. Jej dłonie drżały lękliwie.

– A więc jak to było? Powiedział ci, że jest dezterem?

– Zdaje się, że wspomniał o tym.

– Musisz odpowiedzieć „tak” albo „nie”, sąd oczekuje od ciebie precyzyjnej odpowiedzi.

– Tak.

– Co jeszcze ci powiedział? Przecież ostatecznie zabrałaś go ze sobą do Bremy, dałaś mu ubranie, pieniądze i całą resztę. Zgadza się?

– Tak.

– Musisz to opowiedzieć sądowi. Nie będziemy wyciągać z ciebie każdego zdania. Co on ci powiedział?

– Powiedział, że uciekł z pułku i że powinnam mu pomóc, i żebył zdobyła dla niego

dokumenty... Zrobiłam to. Załatwiłam mu papiery przez człowieka o imieniu Paul.

– Gdy spotkałaś go w Kolonii po raz pierwszy, miał na sobie mundur?

– Tak.

– Jaki?

Czarny mundur czołgisty z dystynkcjami Gefreitra.

– Można więc powiedzieć, że nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości, iż masz do czynienia z żołnierzem?

– Nie miałam.

– Czy to on namówił cię na wspólny wyjazd do Bremy?

– Nie, to była moja propozycja. Uznałam, że tak będzie dla niego lepiej. Wahał się, poważnie myślał o oddaniu się w ręce władz, ale przekonałam go, żeby tego nie czynił.

Ewo, Ewo, co ty na Boga wygadujesz? O czym ty opowiadasz?

– Innymi słowy, powstrzymałaś go od wypełnienia powinności i dobrowolnego oddania się w ręce władz?

– Tak, uniemożliwiłam mu to.

Nie mogłem tego dłużej słuchać. Wstałem i zacząłem z całych sił krzyczeć do przewodniczącego, że to wszystko jest bzdurą; że Ewa kłamie, aby mnie ratować; że wymyśla dla mnie okoliczności łagodzące; że nie mogła mieć pojęcia, iż jestem żołnierzem, zrzuciłem bowiem mundur jeszcze w pociągu między Paderborn a Kolonią, więc gdy się poznaliśmy, byłem już po cywilnemu. Wypuście ją, ona aż do aresztowania nie miała o niczym pojęcia. Przysięgam!

Może przewodniczący sądu wojennego okaże się człowiekiem? Nie wiedziałem tego, ale mogłem mieć nadzieję. Lecz jego oblicze, zimne jak bryła lodu, pozbawiło mnie wszelkich złudzeń.

– Spokój na sali! – wrzasnął sędzia. – Oskarżony może tylko odpowiadać na pytania sądu. Jeśli usłyszę jeszcze choć jedno słowo, to każę cię usunąć z sali.

Skończył i zwrócił swoje lodowate spojrzenie z powrotem na Ewę.

– Ewo Schadows, czy potwierdzasz pod przysięgą prawdziwość swoich zeznań?

– Potwierdzam. Było dokładnie tak, jak powiedziałam. Gdybyśmy się nie spotkali, z pewnością zgłosiłby się na policję.

– Pomogłaś mu również wtedy, gdy zbiegł z Gestapo?

– Tak.

– Dziękuję. To wszystko. Aha... czy już zostałaś skazana za swój czyn?

– Tak. Odbywam karę pięcioletniego pobytu w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück.

Gdy ją wyprowadzano, obdarzyła mnie długim spojrzeniem i złożyła usta jak do pocałunku. Były sine, a jej oczy wyrażały jednocześnie wielki smutek i niezwykłą radość. Zrobiła wszystko,

co było w jej mocy, aby mi pomóc. Wierzyła, że pomoże ocalić mi życie. Oddała pięć lat życia w zamian za nikłą nadzieję na ocalenie mnie. Pięć lat w Ravensbrück! Czułem się załamany.

Następnym świadkiem była Trudi, ale zemdląca zaraz po karkołomnej próbie potwierdzenia zeznań Ewy.

To dziwne uczucie przyglądać się, jak świadek mdleje na sali sądowej i jak go wynoszą. Trudi wyniesiono przez małe drzwi, a gdy te się za nią zamknęły, miałem wrażenie, jakby zatrząskiwali się wierzeje mojej sprawy.

Powzięcie decyzji nie zabrało sądowi dużo czasu. Podczas ogłaszania wyroku wszyscy wstali, a obecni na sali oficerowie i urzędnicy podnieśli ramiona w nazistowskim pozdrowieniu.

W imieniu Führera, Sven Hassel, Gefreiter 11 pułku huzarów, zostaje niniejszym postanowieniem sądu skazany za dezercję na piętnaście lat ciężkich robót. Jego nazwisko zostaje również wymazane ze stanu osobowego tego pułku, pozbawia się go też wszystkich praw cywilnych i wojskowych na czas nieokreślony. Heil Hitler!

Nie mdlejecie? Nie pociemniało wam przed oczami, jak wtedy, gdy przestawali bić? Jak to mówią? Hańba jest gorsza od śmierci? Chyba tak. To frazes. Myśleliście, że nigdy nie sięgniecie po frazes? Przecież one są po to, by z nich korzystać. Teraz możecie powiedzieć ludziom, co taki frazes naprawdę znaczy.

Nie, nigdy tego nie zrobicie.

Stałem tam jak ogłuszony, nie rozumiejąc, co mówi sędzia w uzasadnieniu wyroku, chociaż wszystko słyszałem. Powiedział, że sąd okazał mi łaskę i pozwolił zachować życie. Nie zostałem więc skazany na śmierć. Uwzględniono, że jestem *Auslandedeutsche*\*[\*– tak określano Niemca nie pochodzącego z terenów Rzeszy] zmobilizowanym w Danii i że na drogę dezercji wstąpiłem namówiony przez nieodpowiedzialne kobiety, niegodne miana Niemek.

*Skuto nas łańcuchami po dwóch, zakładając nam kajdanki na ręce i nogi, a całą grupę spętano jeszcze na koniec łańcuchem. Zostaliśmy zawiezieni na dworzec pod strażą uzbrojonych po zęby żandarmów polowych.*

*W pociągu spędziliśmy trzy dni i trzy noce...*

## **II Umierali dniem i nocą...**

Zanim powitam was w naszym uroczym, malutkim uzdrowisku, lepiej dowiedźcie się, kim, a raczej czym jesteście. Otóż jesteście stadem brudnych wszarzy i łajdaków, świńskimi śmieciami i mętami ludzkimi. Tym byliście zawsze i tym pozostaniecie aż do chwili waszej śmierci. Abyście jednak mogli się jeszcze nacieszyć swoją odrażającą osobowością, zapewniam was, że postaram się, aby była to śmierć powolna, bardzo powolna, abyście mieli czas wszystko dokładnie przemyśleć. Daję wam moje osobiste słowo, że nikt nie zostanie pod tym względem w jakikolwiek sposób pominięty. Wasza kuracja będzie prowadzona należycie. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby któregokolwiek z was ominęła choć cząstka tej terapii. Tak więc witajcie w Karnym Obozie Koncentracyjnym SS i Wehrmachtu – Lengries. Panie i panowie, witajcie w obozie śmierci Lengries.

Lekko postukał szpicrutą w swoje błyszczące oficerki i pozwolił, by monokl wypadł mu z oczodołu. Czemu osobniki takiej proveniencji zawsze noszą monokl? Musi być jakieś psychologiczne uzasadnienie.

Hauptscharführer SS odczytał nam regulamin, sprowadzający się do tego, że zakazuje się właściwe wszystkiego, a karą za wszelkie przewinienia jest głodzenie, bicie i śmierć.

Więzienie było pięciopiętrową budowlą złożoną z klatek, gdyż poszczególnych boksów nie dzieliły ściany, a jedynie kraty.

Zostaliśmy przeszukani, wykapani, po czym ogolono nam jedną połowę głowy. Wszystkie owłosione miejsca na naszych ciałach zostały wysmarowane smrodliwym, żrącym płynem, piekącym bardziej niż ogień. Następnie wsadzono nas do celi, gdzie zupełnie nadzy staliśmy przez prawie cztery godziny, kilku esesmanów zaś szczegółowo nas w tym czasie rewidowało. Wsadzali nam strzykawki do uszu, a palce do ust. Nie przeoczyli ani nozdrzy, ani pach. W końcu dano nam po wielkiej lewatywie, która pognęła nas do klozetów, ciągnących się wzdłuż jednej ściany budynku. Najgorzej miały dwie młode kobiety, które musiały dodatkowo znosić nieprzyzwoite żarty wachmanów i doświadczyć „specjalnego” przeszukania.

Ubrania, które nam wydano – pasiaste kurtki i spodnie – były uszyte ze straszliwie szorstkiego materiału, przypominającego jutę na worki; chodząc w nich miało się wrażenie, jakby cały czas łąziło po ciele jakieś robactwo.

Pewien Oberscharführer kazał nam wyjść na korytarz, gdzie ustawił nas w szeregu przed

Untersturmführerem. Wskazał na mężczyznę stojącego na prawym skrzydle.

– Chodź tutaj!

Stojący z tyłu esesman pchnął wskazanego, a ten chwiejnym krokiem stanął na baczność przed obliczem niskiego, zarozumiałego oficera.

– Jak się nazywasz? Ile masz lat? Co zrobiłeś? Odpowiadaj szybciej!

– Johann Schreiber. Lat dwadzieścia pięć. Skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót za zradę główną.

– Powiedz mi, czy nie byłeś żołnierzem?

– Tak jest! Byłem Feldweblem w 123 pułku piechoty.

– A więc fakt, że po prostu nie zadałeś sobie trudu, aby porządnie się zameldować, to zwykła niesubordynacja. W dodatku byłeś na tyle bezczelny, aby zwrócić się do mnie w sposób nieregulaminowy. Stój na baczność, śmierdzielu. Teraz spróbujemy oduczyć cię złych nawyków. Jeśli ta terapia nie pomoże od razu, wystarczy, jak tylko nam o tym zameldujesz, a wtedy już znajdziemy na ciebie coś skuteczniejszego.

Untersturmführer, patrząc w skupieniu w przestrzeń, rzucił chrapliwym głosem:

– Bastinado.

Kilka sekund później wywołany człowiek leżał na plecach, z gołym tyłkiem i stopami włożonymi w dyby.

– Ile, Herr Untersturmführer?

– Daj mu dwadzieścia.

Gdy skończyli, bity człowiek stracił już przytomność. Ale umieli sobie i z tym poradzić – już po chwili delikwent stał na swoim miejscu w szeregu.

Następny wezwany, korzystając z lekcji poprzednika, zameldował się już zgodnie z regulaminem.

– Herr Untersturmführer, były Unteroffizier Victor Giese z 7 pułku pionierów melduje posłusznie, że ma dwadzieścia dwa lata i został skazany na dziesięć lat ciężkich robót za kradzież.

– Kradłeś! Plugawy występek! Czy nie wiesz, że żołnierzowi nie wolno kraść?

– Herr Untersturmführer, melduję posłusznie, że wiem, iż żołnierzowi nie wolno kraść.

– Ale pomimo to kradłeś?

– Tak jest, Herr Untersturmführer.

– Więc masz trudności z oduczeniem się?

– Tak jest, Herr Untersturmführer. Melduję posłusznie, że mam trudności z oduczeniem się kradzenia.

– A więc będziemy hojni i zapewnimy ci specjalne przeszkolenie. Mamy tu niezwykle dobrego nauczyciela.



Untersturmführer popatrzył nieruchomym spojrzeniem w dal i chrapliwie zasyczał:

– Kot z dziewięcioma ogonami.

Palce u nóg tego delikwenta ledwie sięgały do podłogi, gdy zawisł podciągnięty za nadgarstki.

Nikogo z nas nie oszczędzono, nawet kobiet. Szybko udowodniono nam, że w Lengries nie jesteśmy już mężczyznami i kobietami, tylko świniami, gnojami i dziwkami.

Niemal wszystko, co wiąże się z Lengries, jest odrażające, ponure i prawie niemożliwe do oddania piórem. Wyobraźnia sadysty bywa ograniczona, pomimo jego całej upiornej wynalazczości, ciebie natomiast, choć masz przewagę intelektualną, w konfrontacji z nim ogarnia zupełne ośpienie. Jest nawet coś monotonnego w obrazie ludzi cierpiących i umierających w sposób, który dawniej uznaloby się za niewyobrażalny. Naszym oprawcom dano wolną rękę w zaspokajaniu swojej żądzy władzy i okrucieństwa, a oni korzystali z tej możliwości pełnymi garściami. Świetnie się bawili. Ich dusze cuchnęły bardziej niż chore, torturowane ciała więźniów.

Nie mam zamiaru czegokolwiek zarzucać naszym dozorcóm. Byli ofiarami okoliczności stworzonych przez innych i do pewnego stopnia wychodzili na tym gorzej niż my. Dorobili się „cuchnących dusz”.

Był taki czas, gdy myślałem, że wystarczy, jak tylko opowiem o Lengries, a ludzi ogarnie wstręt i obrzydzenie – które sam potem odczuwałem – i wezmą się za ulepszanie świata, zaczną budować życie, w którym nie będzie już miejsca na tortury. Ale przecież nie możesz spowodować, by ludzie zrozumieli, o czym mówisz, jeśli sami nie doświadczyli tego, czego ty doświadczyłeś. Z kolei tym, którzy tego doświadczyli, nie musisz niczego opowiadać. Inni, którzy nigdy nie utracili wolności, patrzą na mnie, jakby chcieli powiedzieć, że przesadzam. A przecież wiedzą, że tak nie jest, znają sprawozdania z Procesu Norymberskiego. Wzbraniają się jednak przed spojrzeniem prawdzie prosto w oczy, wolą kłaść kolejną warstwę podłogi na zgniłych fundamentach, zapalić więcej kadzideł, rozpylić wokół więcej wonności. Wciąż łudzę się, że istnieje jedna odważna dusza, która ośmieli się wysłuchać tego bez obaw. Potrzebuję takiej osoby, bo bez niej samotność bywa niezwykle ciężka. Muszę opowiedzieć komuś moją historię, aby zmniejszyć choć trochę ten ciężar – być może tylko z tego powodu wzięłem się za pisanie; być może to mam na myśli, gdy mówię, że chcę jedynie ostrzec przed powtórzeniem się mojej historii. A może oszukuję sam siebie, gdy pragnę – krzyżąc z dachów domów – opowiadać, czego doświadczyłem. Może chcę tylko zwrócić na siebie uwagę tłumów i wzbudzić podziw połączony z niedowierzaniem, stać się medialnym bohaterem, który przeżył rzeczy, jakich nie każdemu dane było doświadczyć.

Nie, nie każdy przeżył to, co było nam wtedy dane, lecz było ich wystarczająco wielu, abym

miał dosyć rozsądku, by nie uważać się za jakikolwiek fenomen. Z tego powodu, opisując Lengries, nie mogę zdecydowanie stwierdzić, dlaczego to robię. Każdy ma prawo przypisać mi taki motyw, jaki sam uzna za odpowiedni.

Wiem także, iż znajdują się tacy, którzy myślą, że potrafią posługiwać się wyobraźnią, a nie będą w stanie uwierzyć w to, co opowiadam; to ci, na których w przyszłości spadnie główny ciężar winy (jak zresztą na każdego z nas, jeżeli nie pozbedziemy się wszystkich Lengries, gdziekolwiek jeszcze by nie istniały).

Nie ma potrzeby, by wskazywać tu miejsca, kraje, by wymieniać nazwiska. To tylko rozproszy uwagę, doprowadzi do kłótni i wzajemnych oskarżeń pomiędzy przeciwnikami – narodami, ideologiami, blokami – z których każdy jest aż nadto zajęty kultywowaniem swojego świętego oburzenia na działania rywali, aby być w stanie cokolwiek zmienić na własnym podwórku.

*Młodziutki Feldwebel, skazany na trzydzieści lat ciężkich robót za szkalowanie Rzeszy, został pewnego dnia przyłapany, jak próbował dać sąsiadującej z nim więźniarce odrobinę mydła. Wachman przywołał oddziałowego, Obersturmführera Steina, człowieka z diabelską wyobraźnią.*

*– Cóż, u diabła, znaczy to, co o was usłyszałem, gołąbki? Czyżbyście się zaręczyli? No, no, trzeba to uczcić.*

*Wszystkim więźniom z piętra urządzono apel na podwórzu. Dwojgu młodym kazano się rozebrać. Była to Wigilia Bożego Narodzenia i nad nami wirowały płatki śniegu.*

*– Teraz chcielibyśmy zobaczyć małą kopulację! – oświadczył Stein.*

### **III To było Lengries**

Marynowane śledzie serwowano nam z rzadka. Nie nadawały się do spożycia, ale zjadaliśmy je – z głowami, ościami, łuskami i całą resztą. Ponieważ w celach przebywaliśmy skuci z rękami na plecach, leżeliśmy więc na brzuchach i wylizywaliśmy to nasze danie, jak świnie koryto. Mieliśmy na jedzenie trzy minuty, a często było ono niemal wrzące.

Dostawaliśmy je też, gdy jacyś więźniowie mieli zostać straceni.

Takie dni rozpoczynały się przeraźliwym piskiem gwizdka, podczas gdy wielki dzwon uderzeniami wskazywał, które piętra mają zejść na dół. Gdy gwizdek zabrzmiał po raz pierwszy, trzeba było stanąć na baczność, twarzą do drzwi celi. Po drugim gwizdku maszerowało się w miejscu: tup, tup, tup. Wtedy mechanizm, którym operował esesman, otwierał jednocześnie wszystkie drzwi cel. Musieliśmy jednak nadal maszerować w miejscu, dopóki nie rozbrzmiał nowy, przenikliwy dźwięk gwizdka.

Pewnego dnia miano powiesić osiemnastu ludzi. W dole, na dziedzińcu, ustawiono nas półkolem wokół szafotu – podestu wysokiego na ponad trzy metry, z osiemnastoma hakami. Zwisало z nich, kołysząc się na wietrze, osiemnaście sznurów zakończonych pętlami. Widok kołyszącego się sznura z pętlą na końcu stał się nieodłączną częścią mego życia, tak jak dźwięk dzwonów bożonarodzeniowych. Przed szafotem leżało osiemnaście trumien, a właściwie skrzyń z nieheblowanych desek.

Skazani mężczyźni mieli na sobie pasiaste spodnie, a kobiety – pasiaste spódnice, i nic więcej. Adiutant odczytał wyroki śmierci, po czym całej osiemnastce kazano wejść schodkami na szafot i ustawić się w szeregu, każdy przy jednym sznurze. Dwóch esesmanów z rękawami bluz podwiniętymi ponad łokcie pełniło funkcje katów.

Skazańców wieszano kolejno. Gdy zawisa już cała osiemnastka nieszczęśników utyłanych moczem i ekskrementami spływającymi po nogach, przyszedł lekarz z SS, obrzucił powieszonych obojętnym spojrzeniem i dał oprawcom znak, że wszystko jest w porządku.

Wtedy zdjęto ciała z powrozów i wrzucono do przygotowanych trumien.

W tym miejscu powinienem poświęcić kilka słów problemowi życia i śmierci, ale nie bardzo wiem, jakich słów użyć. O wieszaniu mogę powiedzieć tylko tyle, że jest zupełnie nieromantyczne.

Jeśli jednak ktokolwiek chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o zadawaniu śmierci, to był jeszcze Sturmbannführer Schendrich: młody, przystojny, elegancki, zawsze przyjacielski, uprzejmy i łagodny – ale bali się go nawet esesmani.

– No, to przekonajmy się – powiedział podczas pewnego sobotniego apelu – czy zrozumieliście to, co do was powiedziałem. Teraz wydam niektórym z was prosty, krótki rozkaz, a reszta przekona się, czy zostanie należycie wykonany.

Wywołał z szeregów pięciu ludzi. Rozkazano im, by stanęli twarzą do muru otaczającego teren więzienia. Więźniom nie wolno było podchodzić do tego muru bliżej niż na pięć metrów.

– Naprzód... marsz!

Patrząc prosto przed siebie, cała piątka pomaszerowała na mur, a karabiny wachmanów z wież strażniczych zgładziły ich wszystkich. Schendrich zwrócił się do nas:

– To było budujące. Tak właśnie należy wykonywać rozkazy. Teraz uklękniecie i będziecie powtarzać za mną. Na... kolana!

Padliśmy na kolana.

– A teraz powtarzać za mną, tylko głośno i wyraźnie: – Jesteśmy świniami i zdrajcami.

– Jesteśmy świniami i zdrajcami!

– Które będą unicestwione.

– Które będą unicestwione!

– I zasługujemy na to.

– I zasługujemy na to!

– W niedzielę nie dostaniemy posiłku.

– W niedzielę nie dostaniemy posiłku!

– Bo gdy nie pracujemy...

– Bo gdy nie pracujemy!

– Nie zasługujemy najedzenie.

– Nie zasługujemy najedzenie!

Te szalone wrzaski rozbrzmiewały na dziedzińcu każdego sobotniego popołudnia i, zgodnie z nimi, w niedzielę nie wydawano nam posiłków.

W celi sąsiadującej z moją znajdowała się kobieta, Kati Ragner. Wyglądała okropnie. Włosy miała kredowobiałe. Z braku witamin wypadły jej prawie wszystkie zęby. Jej nogi i ramiona wyglądały jak długie, cienkie piszczele. Na ciele miała wielkie owrzodzenia, z których sączyła

się ropa.

– Co mi się tak przyglądasz? – zapytała pewnego wieczoru. – Jak sądzisz, ile mam lat? – I nie czekając na odpowiedź, zanosła się pustym, smutnym śmiechem.

Nie miałem odwagi zgadywać.

– Spodziewam się, że powiesz: „dobrą pięćdziesiątkę”. Za miesiąc skończę dwadzieścia cztery. Dwadzieścia miesięcy temu pewien mężczyzna sądził, że mam osiemnaście.

Kati była sekretarką wysokiego oficera sztabowego w Berlinie. Poznała tam młodego, pracującego w tym samym biurze kapitana, z którym się zaręczyła. Ustalili już datę ślubu, ale uroczystość się nie odbyła. Jej narzeczony został aresztowany, a po czterech dniach przyszli także po nią. Gestapo „obrabiało” ją przez trzy miesiące, oskarżając o kopiowanie tajnych dokumentów. Niewiele z tego rozumiała. Ona i jeszcze inna młoda dziewczyna zostały skazane na dziesięć lat. Jej narzeczonego i dwóch innych oficerów skazano na śmierć. Czwarty dostał dożywotnie ciężkie roboty. Zmuszono ją do asystowania przy egzekucji narzeczonego, po czym przewieziono do Lengries.

Pewnego ranka Kati i jeszcze trzem innym kobietom kazano pełznąć w dół po stromych, długich schodach łączących wszystkie piętra. Była to forma ćwiczenia, które strażnicy uwielbiali nam aplikować. Na ręce i nogi zakładano nam kajdany i musieliśmy tak pełznąć z głową skierowaną w dół schodów, przy czym nie wolno było się zatrzymywać.

Nie wiem, czy Kati spadła nieumyślnie, czy też zdecydowała się skończyć ze sobą. Psychicznie była już całkowitym wrakiem, więc równie dobrze mogło chodzić o jedno, jak i o drugie. Usłyszałem tylko krzyk, po nim trzask i na koniec kilka sekund śmiertelnej ciszy, którą przerwało wołanie z dołu:

– Dziwka skręciła kark!

*Kilka dni po śmierci Kati wraz z paroma kolegami zostałem przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Fagen koło Bremy. Powiedziano nam, że zostaliśmy wyznaczeni do „szczególnie ważnych zadań specjalnych”.*

*Nie interesowało nas, o jaką pracę chodzi. Nikt z nas nie wierzył, że będzie lżejsza od tej, do której już przywykliśmy. Wykorzystywano nas przede wszystkim jako zwierzęta pociągowe, zaprzęgane do pługów, bron, lor, platform – trzeba było ciągnąć, dopóki się nie padło. Przywykliśmy też do pracy w kamieniołomach, gdzie równie często padało się martwym z wyczerpania. Pracowaliśmy także w tkalni juty, gdzie umierało się na krwotok z płuc.*

*Każda praca miała wspólny mianownik: kończyła się śmiercią z wyczerpania.*

#### **IV Fagen**

Fagen funkcjonowało, rzecz można, w dwóch wymiarach: był to przede wszystkim obóz medycyny eksperymentalnej, ale były też i bomby.

Przez kilka pierwszych dni przydzielano mnie do ciężkich robót. Pracowaliśmy jak galernicy, przerzucając piasek od piątej rano do szóstej wieczorem, żywieni cienką zupką serwowaną trzy razy dziennie. A potem nadarzyła się okazja, którą pochwyciłem natychmiast: szansa na ułaskawienie!

Komendant obozu poinformował nas, że ci, którzy zgłoszą się ochotniczo, dostaną szansę zapracowania na ułaskawienie. Za każdy rok odsiadki trzeba będzie wykonać piętnaście bomb. Oznaczało to, że muszę zrobić ich dwieście dwadzieścia pięć.

Pora na wyjaśnienie. Należało rozbroić piętnaście bomb-niewybuchów za każdy rok, który pozostał do odsiedzenia. Kiedy ktoś, tak jak ja, dostał piętnaście lat, oznaczało to, że musi po prostu rozbroić dwieście dwadzieścia pięć niewybuchów. A wtedy, ewentualnie, może liczyć na ułaskawienie.

Nie chodziło o zwykłe niewybuchy, lecz o takie, których obrona cywilna i saperzy bali się dotknąć. Niektórym udawało się rozbroić pięćdziesiąt bomb, zanim ginęli rozerwani pięćdziesiątą pierwszą, ale ja przekonywałem sam siebie, że prędzej czy później ktoś musi dotrzeć do finału, i nie namyślając się długo, zgłosiłem się na ochotnika.

Być może w decyzji pomogło mi też to, że każdego ranka przed wyjściem do „pracy” dostawaliśmy dodatkową rację żywnościową: ćwiartkę żytniego chleba, mały kawałek kielbasy i trzy papierosy.

Po krótkim przeszkoleniu saperskim esesmani zawozili nas w różne miejsca, gdzie znajdowano niewybuchy bomb lotniczych. Nasi strażnicy z szacunkiem trzymali się w pewnym oddaleniu od miejsca, gdzie odkryto zagrzebaną śmierć, co mogło równie dobrze oznaczać, że

bomba zaryła się w ziemi nawet na sześć metrów. Wtedy należało ją najpierw odkopać, umieścić wokół niej drut, zaś podnośnik opuszczał nas wtedy do wykopu, gdzie musieliśmy milimetr po milimetrze unosić niewybuch do góry, aż do momentu, gdy stanął pionowo. Gdy jedna z takich bestii zawisała na dźwigu, wszyscy szybko rozglądali się w poszukiwaniu ukrycia. Tylko jeden człowiek dotrzymywał wtedy bombie towarzystwa – był nim więzień, którego zadaniem było odkręcenie zapalnika i unieszkodliwienie bomby. Jeśli tylko spartolił tę robotę, to...

W hali fabrycznej, na dużej platformie, kilka drewnianych pudeł oczekiwało na tych, którzy spartolili robotę. Na co dzień jednak nie były potrzebne – co wcale nie znaczy, że brakowało partaczy; po prostu rzadko udawało się nam pozbierać ich szczątki na tyle, żeby można było włożyć coś do pudła.

Przy odkręcaniu zapalnika trzeba siedzieć na bombie, bo tak najłatwiej utrzymywać ją w stabilnej pozycji. Ja odkryłem jednak, że najlepiej jest położyć się na dnie dziury pod bombą. Gdy bowiem trzeba ostrożnie wyciągnąć zapalnik, bezpieczniej jest pozwolić, aby korpus bomby wpadł raczej w dłonie w azbestowych rękawicach, niż uderzył o podłoże.

Mój sześćdziesiąty ósmy niewybuch był torpedą lotniczą, a jego wydobywanie z ziemi zajęło piętnaście godzin. Podczas takiej roboty nie jest się zbyt rozmownym. Trzeba przez cały czas być skupionym. Kopać należy z wyczuciem, zastanawiając się za każdym razem, zanim mocniej ruszy się szpadlem, ręką czy nogą. Oddech musi być równy i spokojny, należy przemyśleć i zaplanować każdy ruch, bo wykonać go będzie można tylko raz. Najlepiej kopać rękami, szczególnie gdy trzeba uważać, aby ziemia się nie obsunęła. Jeśli torpeda poruszy się choć o centymetr, może to oznaczać koniec. W obecnym położeniu milczy, ale nikt nie wie, co jej przyjdzie do głowy przy zmianie pozycji, a tę pozycję trzeba przecież zmienić: torpedę musi unieść dźwig – tylko w ten sposób można usunąć z niej zapalnik. Zanim jednak to nastąpi, ciągle stanowi zagrożenie. Do tego momentu strach wziąć głębszy oddech – niech to się już skończy! Nie, nie tak szybko, do celu dochodzi się powoli, każdy ruch musi być przemyślany.

Taka torpeda lotnicza jest zimnokrwistym przeciwnikiem. Niczym się nie zdradzi, absolutnie niczym, jak rasowy pokerzysta. Kiedyśmy ją już odkopali, powiedziano nam, że zapalnika nie należy usuwać, dopóki nie wywiezie się jej poza miasto. To być może oznaczało, że mamy do czynienia z nowym typem pocisku, którego nikt jeszcze nie zna, albo też, że leży w takiej pozycji, iż wybuchnie choćby po chuchnięciu na cholerny zapalnik. A jeśli taka bestia eksploduje, to cała dzielnica zostanie zmieciona z powierzchni ziemi.

Ciężarówka marki Krupp-Diesel, wyposażona w dźwig, przybyła na miejsce i oczekiwała na śmiertcionośny ładunek. Cztery godziny zajęło podniesienie bomby dźwigiem, opuszczenie jej na platformę ciężarówki i zabezpieczenie przed wstrząsami. Gdy już wszystko zostało wykonane, popatrzyliśmy na nią i odczuliśmy olbrzymią ulgę. Jednak o czymś zapomnieliśmy.

– Który potrafi prowadzić?

Cisza. Gdy wąż owija ci się wokół nogi, musisz się zmienić w kamienny słup, martwy przedmiot, który nie zainteresuje węża. Zmieniliśmy się w słupy, cofając się do cienia, aby stać się mniej widoczni, podczas gdy spojrzenie esesmana wędrowało od jednego do drugiego. Nikt z nas nie spojrzał na niego, ale mieliśmy tak silną świadomość jego obecności, że serca nam waliły, a życie prawie z nas uchodziło.

– Ty tam! Potrafisz prowadzić?

Nie ośmieliłem się powiedzieć, że nie.

– Wsiadaj!

Droga była wyłożona kamiennymi płytami. Dobrze, że jej nawierzchnia była już naprawiona i że zamknięto ją dla ruchu. Dookoła nie widziałem żywej duszy. Inne pojazdy pełzły daleko z tyłu. Nikt nie okazywał szczególnej chęci zbliżenia się do mnie. W jednym miejscu płonął dom. Bijący z niego dym szczypał mnie w oczy tak, że przez chwilę nic nie widziałem. Ale nie odważyłem się przyspieszyć. Minęło równe pięć minut tej męki, zanim mogłem ponownie wciągnąć do płuc czyste powietrze.

Nie pamiętam, o czym rozmyślałem podczas całej jazdy. Wiedziałem tylko, że mam mnóstwo czasu na myślenie, i byłem spokojny, może odrobinę podniecony, i trochę szczęśliwy, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Gdy następna sekunda może być twoją ostatnią, masz mnóstwo czasu na rozmyślanie. Pamiętam też, że po raz pierwszy od dawna byłem świadom tego, że znowu jestem sobą. W mojej świadomości zatarł się dawny obraz samego siebie, przestałem nawet mieć o sobie jakąś opinię, moja osobowość została jakby wymazana. A jednak przetrwała codzienne upodlenie! Oto jesteś! – powiedziałem do siebie. Oto jesteś! Witaj! Robisz coś, na co inni się nie odważyli. Więc jesteś w końcu osobą, która może coś zrobić, kimś, dla kogo istnieje jakiś cel. Uważaj na te cholerne koleiny!

Wydostałem się z miasta, poza ostatnie ogródki i blaszane szałas, gdzie mieszkali włóczędzy, nędzarze i ludzie odrzuceni. Być może uczciwi ludzie także tu teraz mieszkali, bo trwała wojna, a miasto każdej nocy stawało się coraz bardziej usiane lejami. Samotny mężczyzna kopał w ziemi. Oparł się na szpadlu i spojrzał na mnie.

– Czemu się nie schowasz? – zawołałem do niego.

Coś do mnie powiedział, ale co? Nie zdołałem usłyszeć z powodu hałasu silnika. Być może życzył mi „szerokiej drogi”. Nietypowa była taka powolna jazda po całkowicie pustej drodze.

W mieście będą teraz z powrotem wpelzać do swych mieszkań i sklepów. Najpierw ci odważniejsi. Po nich następni, a wszyscy odetchną z ulgą. Popatrzcie, powiedzą, wszystko nadal stoi na miejscu.

Zapewne mogłem spróbować ucieczki; wiele było ku temu sposobności na pustych ulicach miasta. Mogłem wyskoczyć z szoferki, dać susa w jakiś zaułek, podczas gdy bomba jeszcze przez minutę kontynuowałaby podróż bez kierowcy, aż do wielkiego bum. Czemu się nie



zdecydowałem? Sam nie wiem. Faktem jest, że nie uciekłem. Doprawdy nieźle się bawiłem. Byliśmy tylko we dwoje, moja torpeda lotnicza i ja, i nikt nie mógł nam nic zrobić.

Dalej już chorągiewki wytyczały mi drogę, z tym że na wrzosowisku odstęp między nimi były coraz większe. Teraz mój instynkt samozachowawczy budził się ze swoistego dziwnego upojenia: czy już jesteśmy na miejscu? Do diabła, byłoby bardzo źle, gdyby po tylu kilometrach, po tylu godzinach...

Po dwunastu kilometrach jazdy przez wrzosowisko mogłem się zatrzymać. Ponieważ zdjęcie torpedy uznano za zbyt ryzykowne, została zdetonowana na żurawiu.

Za tę akcję dostałem trzy papierosy wraz ze zwyczajowym komentarzem, że, co prawda, nie zasługuję na nagrodę, ale Führer nie jest pozbawiony ludzkich uczuć.

Uznałem te trzy papierosy za ekwiwalentną zapłatę. Spodziewałem się otrzymać zaledwie jeden.

W końcu przytrafiła mi się najgorsza rzecz, jaka może spotkać więźnia: zachorowałem. Być może to ocaliło mi życie. Trzymałem się przez pięć dni, jeśli bowiem zgłosiło się chorobę, natychmiast dostawało się skierowanie do obozowego szpitala, gdzie lekarze eksperymentowali na więźniu dopóty, dopóki był już nie do użycia, czyli martwy. Z tego powodu nie należało meldować choroby, lecz gdy podczas apelu zemdląłem, przytomność odzyskałem już w obozowym szpitalu.

Nigdy nie dowiedziałem się, co mi dolegało – „pacjentów” nie informowano o takich rzeczach. Wzięli się za mnie w dniu, w którym poczułem się na tyle dobrze, że mogłem już wstać o własnych siłach. Zaczęli robić mi różne zastrzyki. Potem wsadzono mnie do pokoju rozgrzanego jak piec. Stamtąd zabrano mnie do lodówki, a przez cały czas pobierano próbki krwi. Jednego dnia otrzymywałem tyle jedzenia, ile tylko zdołałem pochłonąć; drugiego zaś byłem głodzony i nie podawano mi żadnych płynów, dopóki nie znalazłem się na skraju omdlenia. Wpychano mi do żołądka gumową rurkę i wypompowano wszystko, co wcześniej pozwolono zjeść. Po jednej udreće następowała kolejna, wreszcie pobrano boleśnie duży fragment mojego rdzenia pacierzowego, po czym przykuli mnie do taczki pełnej piachu i kazano bez zatrzymywania toczyć ją wokół wielkiej zagrody. Co kwadrans pobierano mi krew. Przez cały ten dzień popychałem taczki, a w głowie nieustannie mi się kręciło. Jeszcze długo po tej „kuracji” nie mijały mi trudne do zniesienia bóle głowy.

Miałem jednak więcej szczęścia niż pozostali. Pewnego dnia zdecydowano, że mam już dość, a może przestałem być już przydatny jako obiekt badań. Odesłano mnie do obozu. Tam uśmiechnięty esesman powiedział mi, że zostałem odsunięty od rozbrajania bomb, a te, które dotąd rozbroiłem, nie wchodzą do ogólnej „punktacji”.

Najpierw skierowano mnie do pracy w kamieniołomie, po czym niespodziewanie ponownie

włączono do ekipy „saperów”. Gdy już dopracowałem się całkiem przyzwoitej statystyki rozbrojeń, odesłano mnie znowu do Lengries i cały wysiłek poszedł na marne.

Siedem miesięcy w żwirowni w Lengries. Monotonia. Letarg. Szaleństwo.

Pewnego dnia przyszedł po mnie esesman. Zaprowadził do lekarza, który zbadał mnie dokładnie. Całe ciało miałem pokryte ropiejącą wysypką; wszystkie te miejsca umyło i posmarowano maścią. Lekarz zapytał, czy dobrze się czuję. „Tak, panie doktorze, czuję się dobrze i jestem w dobrej formie”. W takim miejscu jak to nie uskarża się na zdrowie. Stan zdrowia był zawsze dobry, dopóki jeszcze się oddychało.

Zaprowadzono mnie do SS-Sturmbannführera Schendricha. W oknach jego gabinetu wisiały zasłony. Było tam nawet czysto. No, pomyśleć tylko: zasłony. Jasnozielone z żółtym wzorem. Jasnozielone zasłony z żółtym wzorem. Jasno...

– Na co, u diabła, tak się gapisz?

Wzdrygnąłem się.

– Na nic, Herr Sturmbannführer. Proszę mi wybaczyć. Melduję posłusznie, że na nic się nie gapię. – Nagłe olśnienie kazało mi do dać cichym głosem: – Melduję posłusznie, że tak po prostu się gapię.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, po czym wyciągnął kartkę papieru.

– Teraz podpiszesz oświadczenie że otrzymywałeś normalne wyżywienie wojskowe, nie byłeś głodzony ani dyskryminowany w jakikolwiek inny sposób oraz że nie masz jakichkolwiek podstaw, by się uskarżać na warunki, jakie miałeś tutaj przez cały pobyt.

Podpisałem. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Czyżby przenoszono mnie do innego obozu? Czy też może przyszła moja kolej na stryczek?

Podsunięto mi przed nos drugi groźnie wyglądający dokument.

– Tutaj podpiszesz, że byłeś traktowany surowo, ale sprawiedliwie, i że postępowano z tobą zgodnie z prawem.

Podpisałem. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Jeśli kiedykolwiek wypowiesz choć jedną sylabę o tym, co widziałeś albo słyszałeś, znajdziesz się tu z powrotem, a ja przy gotuję ci już specjalne powitanie, zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Herr Sturmbannführer.

A więc przenoszono mnie.

Wylądowałem w celi, w której znalazłem szarozielony mundur wojsk lądowych bez jakichkolwiek odznak. Powiedziano mi, że mam go założyć. „I oczyść paznokcie, ty świniol!” Następnie esesman zaprowadził mnie do biura komendanta, gdzie wyplacono mi markę i dwadzieścia trzy fenigi za siedem miesięcy pracy od szóstej rano do ósmej wieczorem. Jakiś Stabscharführer ryknął na mnie:

– Więzień 552318 A... do zwolnienia. Odmaszerować!

Więc torturowano mnie również w taki sposób. Byłem dumny, że nie pozwoliłem sobie, aby ogarnęła mnie przedwczesna nadzieja. Zrobiłem energiczny w tył zwrot, oczekując, że zaraz usłyszę wybuchy śmiechu. Okazali się jednak subtelniejsi. Zachowali powagę.

– Siadaj na zewnątrz w korytarzu i czekaj!

Tam również nikt się nie śmiał. W końcu zaczęło mnie to denerwować. Musiałem tam czekać ponad godzinę. Zaczęły przychodzić mi do głowy głupie myśli o tym, jak źli i małostkowi potrafią być ludzie. Teraz możesz się sam przekonać, że tak jest, tłumaczyłem sobie. Myślałem, że dawno już porzuciłem ten naiwny sposób patrzenia na rzeczywistość.

Nawet dziś jeszcze potrafię odtworzyć ten ogrom bezmiernego zdumienia, z jakim szedłem za Feldweblem do małego, szarego samochodu marki Opel, po tym, jak zakomunikowano mi, że zostałem ulaskawiony i otrzymałem przydział do karnej jednostki wojskowej.

Wielkie i ciężkie wrota zatrasnęły się za mną. Szare, betonowe budynki z kratami w oknach znikły i cały czas oddalałem się od pozostawionych tam niewypowiedzianych okropności i strachu.

Niewiele rozumiałem z tego, co się dookoła mnie działo. Byłem oszołomiony... nie, skonsternowany... i nie pozbyłem się tego wrażenia, gdy jechaliśmy przez plac koszar wojskowych w Hanowerze.

Teraz, po wielu latach, nie pamiętam już niewypowiedzianego przerażenia i wielu innych form lęku; stanowią one dla mnie jedynie cząstkę przeszłości – przeszłości, która kiedyś istniała i odeszła.

Ale skąd wzięła się ta moja konsternacja, i to w chwili, gdy piekło pozostawiłem już za plecami? Nigdy nie zdołałem sobie tego do końca wyjaśnić.

*Po dwadzieścia razy dziennie mówiono nam, z dodatkiem wielu przekleństw i obelg, że znaleźliśmy się w karnym batalionie, a to oznacza, że zostaniemy najlepszymi żołnierzami świata.*

*Przez pierwsze sześć tygodni musztra trwała nieprzerwanie od szóstej rano do pół do dziewiątej wieczorem. Nic tylko musztra.*

## **V Sto trzydzieści pięć trupów**

Ćwiczyliśmy, aż stopy spływały nam krwią – nie była to figura retoryczna, lecz ponura rzeczywistość. Albo maszerowaliśmy krokiem defiladowym w pełnym oporządzeniu: stalowe hełmy, ładownice wypełnione piaskiem, ubrani w ciężkie płaszcze – podczas gdy inni paradowali w letnich mundurach, uskarżając się przy tym na upał. Albo waliliśmy się w błoto sięgające do kolan; staliśmy po szyję w wodzie i ćwiczyliśmy musztrę z bronią, bez prawa do drgnięcia choćby jednym mięśniem na twarzy.

Nasi podoficerowie byli stadem wyjących diabłów, które bezustannie wydierały się na nas aż do granic obłędu. Nigdy nie rezygnowali z tego osobliwego sposobu komunikowania się z nami.

Nie obowiązywała tu kara ograniczenia wolności z tej prostej przyczyny, że nawet przez chwilę nie byliśmy ludźmi wolnymi. Naszą wolnością była tylko służba, służba i służba. Prawda, mieliśmy od niej godzinną przerwę na kolację i w teorii byliśmy wolni od wpół do ósmej do dziewiątej wieczorem. Ale jeśli nie poświęcaliśmy każdej minuty na czyszczenie zabłoconych mundurów, broni, oporządzenia i butów, to przypominano nam o tym najokropniejszymi szykanami. O dziewiątej wieczorem wszyscy musieliśmy leżeć na pryczach. Ale wcale nie oznaczało to prawa do snu. Każdej nocy przeprowadzano alarmy ćwiczebne, podczas których musieliśmy błyskawicznie ubierać się i przebierać.

Gdy tylko rozległ się sygnał alarmu, zrywaliśmy się z prycz i stawaliśmy na zbiórce w kompletnym umundurowaniu i ekwipunku polowym. Następnie odsyłano nas, abyśmy przebrali się w mundury wyjściowe, potem zaś w ćwiczebne drelichy, po czym ponownie w mundury polowe. I nigdy nie udało się nam dostatecznie zadowolić naszych przełożonych. Co noc przez kilka godzin gnano nas po schodach do góry i w dół, jak stado przerażonych zwierząt. Stopniowo osiągnęliśmy stan, w którym wystarczył cień podoficera, aby każdy z nas drżał w panicznym lęku.

Po sześciu tygodniach rozpoczęliśmy ćwiczenia strzeleckie i taktyczne. To dopiero pokazało nam, co znaczy zmęczenie.

Nauczaliśmy się czołgać przez całe kilometry poligonu, przez ostry żużel i kamienie rozszarpujące nasze dłonie na krwawe strzępy albo przez głęboki smrodliwy muł, w którym

omal się nie topiliśmy. Najbardziej jednak baliśmy się marszu na orientację. Pewnej nocy po raz kolejny zostaliśmy wyrwani ze snu. Nasi podoficerowie wpadli z wyciem do sal, gdzie właśnie wykończeni ze zmęczenia zasnęliśmy.

– Alarm! Alarm!

Ocieżali ze znoju zwaliliśmy się z prycz, otworzyliśmy swoje szafki i w gorączkowym pośpiechu, klnąc, wskoczyliśmy w mundury. Trudny do zapięcia rzemyk, oporna sprzączka – stracone pół sekundy – to była katastrofa. Nie upłynęły dwie minuty, gdy na korytarzach rozległy się przeraźliwe gwizdki. Drzwi do naszej izby otwarto kopniakiem.

– 3 kompania... zbiór... ka! Co u diabła, wy śmierdzący sutenerzy, jeszcze nie jesteście na dole? Prycze nie posłane?! Czy wam się zdaje, że tu jest dom starców? Leniwe wielbłądy! – Zbiegliśmy ze schodów, podciągając po drodze ostatnie paski, i po paru sekundach staliśmy na placu apelowym w dwóch wyrównanych szeregach. Wtedy rozległo się wycie:

- 3 kompania... do izb... biegiem!

Ciekawe, że nic im nie potrzaskało w głowach, gdy tak wyli! A może coś zrobili z miejscem, w którym normalni ludzie trzymają rozum? Nie potrafili normalnie mówić. Słowa w zdaniach zlewały się, aż przechodziły w ujadanie, a ostatnie brzmiało zawsze jak trzask pejcza. Nigdy nie słyszałem, by kończyli zdanie sylabą nieakcentowaną. Każde zdanie siekali na osobne wojskowe kawałki, co je czyniło niezrozumiałymi. To ujadanie, to wieczne ujadanie. Ci ludzie musieli być jednak nienormalni.

Jak zmiatająca wszystko powódź, my – stu trzydziestu pięciu rekrutów – rzuciliśmy się na schody, by wrócić do naszych sal i przebrać się w ćwiczebne drelichy, zanim ktoś ponownie wrzaśnie: Zbiór...KA!

Po przegonieniu nas tuzin razy po schodach, w akompaniamencie zwariowanych przekleństw i obelg, znów znaleźliśmy się w kolumnie marszowej na placu, spoceni, z dzikim spojrzeniem, gotowi do rozpoczęcia nocnych ćwiczeń. Nasz dowódca kompanii, jednoręki kapitan Lopei, stał, przyglądając się nam z lekkim uśmiechem na ustach. Od kompanii wymagał żelaznej, nieludzkiej dyscypliny, pomimo to uważaliśmy, że on jedyny spośród naszych dręczycieli ma w sobie coś ludzkiego. Był przynajmniej na tyle przyzwoity, że sam również wykonywał wszystko, co nam kazał, i nigdy nie wymagał od nas niczego, czego sam nie zdołałby zrobić. Gdy wracaliśmy z ćwiczeń, był tak samo ubłocony jak my. Poza wszystkim był również osobiście uczciwy – cecha, od której dawno już odwykliśmy. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że człowiek mający władzę wybiera sobie kozła ofiarnego – pechowca, którego zawsze prześladowa i któremu nigdy nie daje spokoju, dopóki ten nie zostanie wykończony, złamany, okaleczony, zadreńczony lub zmuszony do samobójstwa. Kapitan Lopei nie wybierał sobie ani kozłów ofiarnych, ani szczególnych ulubieńców; należał do tego rzadkiego gatunku oficerów, za którymi żołnierze pójdą do piekła, ponieważ są pewni, że tam również poprowadzi ich osobiście.

Gdyby odwaga i uczciwość tego człowieka nie zostały zaprzęzione do rydwanu Hitlera, gdyby był oficerem jakiegokolwiek innej armii, polubiłbym go. W istniejącej sytuacji mogłem go tylko szanować.

Dowódca pobieżnie skontrolował umundurowanie kompanii. Następnie wyszedł spomiędzy szeregów i jego ostry, rozkazujący głos rozległ się po całym placu:

– 3 kompania... bacz...ność! Na wprost patrz! Na ramię... broń!

Trzy rytmiczne klaśnięcia zakłóciły ciszę nocy, gdy sto trzydzieści pięć karabinów uniesiono do ramion. Kilka sekund absolutnej ciszy – każdy oficer, podoficer i szeregowiec stał wyprostowany jak struna, patrząc sztywno przed siebie spod stalowego hełmu. Biada nieszczęśliwemu, który poruszyłby wtedy choć koniuszkiem języka!

Głos kapitana powtórnie zabrzmiał pośród wysokich topól i szarych budynków koszarowych:

– Od prawego... naprzód! W prawo... zwrot...! Biegiem... MARSZ!

Rozległ się trzask gromu, gdy nasze podkute gwoździemi buty tłukły o beton, krzesząc iskry. Wymaszerowaliśmy z placu apelowego i podążyliśmy po mokrej od deszczu drodze obsadzonej wysokimi topolami. W karnym batalionie jakiegokolwiek śpiewy i rozmowy są naturalnie zabronione: ludzie czwartej kategorii nie mogą korzystać z przywilejów należnych tylko niemieckiemu żołnierzowi. Nie mieliśmy też prawa nosić orła wojskowego ani jakichkolwiek odznak; wszystko, do czego mieliśmy prawo, to wąska biała opaska (obowiązkowo biała) u dołu prawego rękawa kurtki mundurowej, na której czarnymi literami widniał napis SONDERABTEILUNG.\*[\* Batalion specjalny]

Ponieważ mieliśmy stać się najlepszymi na świecie żołnierzami, wszystkie nasze marsze były marszami forsownymi, nie upłynął więc nawet kwadrans, gdy zaczęła z nas buchać para. Nasze stopy stawały się coraz gorętsze, zaczęliśmy oddychać ustami, gdyż nozdrza nie były zdolne dostarczać potrzebnej ilości tlenu. Pasy naszych karabinów i rzemienie tornistrów wpijające się w ramiona stały się dla krążenia krwi ciężkimi tamami, a palce zbielewały, opuchły i nieco zdrętwiały. Ale to były zaledwie drobiazgi, na które już dawno przestaliśmy zwracać uwagę. Potrafiliśmy odbyć dwudziestoczwierokilometrowy forsowny marsz, nie odczuwając przy tym szczególnego zmęczenia.

Następnie rozpoczęły się ćwiczenia z taktyki: zdobywanie w szyku luźnym, krótkimi skokami i pojedynczo. Pracując płucami jak miechami, pokonywaliśmy teren: biegnąc, pełzając przez podmokłe, zamrożone pola, okopując się w ziemi jak przerażone zwierzęta naszymi krótkimi saperkami.

Ale oczywiście w opinii zwierzchników nigdy nie robiliśmy tego dostatecznie szybko. Za każdym razem gwizdki odwoływały nas i staliśmy, dysząc ciężko przez kilka krótkich sekund,

w czasie których tamci nas przeklinali. I znów do roboty. Naprzód... naprzód... naprzód... Byliśmy oblepieni mokrą, zaoraną ziemią; chwytaly nas kurcze, a po tym przychodził pot spływający strumykami po naszych ciałach, paląc i żądłąc naszą skórę tam, gdzie otarły ją rzemienie, a ciężar wyposażenia spowodował powstawanie licznych bąbli. Ubrania mieliśmy lepkie od potu, a u wielu pojawiały się na mundurach wilgotne smugi. Ledwie widzieliśmy cokolwiek, ponieważ pot zalewał nam również oczy, czoła swędziały i szczypały od ocierania brudnymi dłońmi i szorstkimi rękawami mundurów. Jeśli staliśmy nieruchomo, nasze wilgotne mundury stawały się lodowato chłodne. Wewnętrzna strona moich ud i krocze były obtarte do krwi. Pot lał się z nas także ze strachu.

Z wyczerpania nie byliśmy nawet świadomi, że już świta. Nadszedł więc czas, aby przystąpić do ćwiczenia biernej obrony przeciwlotniczej.

Ruszyliśmy ciężkim truchtem po nierównej drodze. Każdy kamień, każda kałuża, nie mówiąc już o przekłetych, głębokich koleinach, oznaczały, że musimy skupiać się na tym, by nasze nogi pracowały rytmicznie, abyśmy się nie potykali i nie przewracali. Sama czynność polegająca na pilnowaniu właściwego tempa pracy nóg, by biegly lub szły, stawała się bolesnym fizycznym i umysłowym wysiłkiem. Nasze nogi były ciężkie jak z ołowiu. Ale uparcie truchtaliśmy, zataczaliśmy się i potykaliśmy, także przy równym kroku i równym truchcie. Nasze zazwyczaj blade twarze z zapadniętymi oczami były teraz czerwone jak skorupy raków, nasze nieruchome i wpatrzone przed siebie oczy i żyły na twarzach – nabrzmiały. Z trudem łapaliśmy powietrze, usta mieliśmy suche lub ociekające śluzem i przy każdym sapnięciu wyrzucały z siebie strzępki białej piany.

Ostry dźwięk gwizdka. Rzuciliśmy się natychmiast na dwie strony drogi, na ślepo skoczyliśmy do rowów, bez względu na to, czy były tam pokrzywy czy woda, albo czy ktoś już zdążył tam upaść. Gorączkowy wyścig, aby na czas ustawić na stanowiskach moździerze i karabiny maszynowe. Wszystko to trzeba było wykonać w ciągu sekund, więc lepiej było rozerwać palce na strzępy lub dostać w plecy kopniaka, niż przekroczyć nakazany limit.

Maszerowaliśmy wciąż naprzód, kilometr za kilometrem. Myślę, że dziś wiem chyba wszystko co można wiedzieć o drogach: miękkich i twardych, szerokich i wąskich, kamienistych i błotnistych, betonowych, bagnistych, zaśnieżonych, wijących się, żwirowanych, śliskich, sypkich. Moje nogi nauczyły się wszystkiego, czego tylko można praktycznie dowiedzieć się o drogach – bezlitosnych nieprzyjaciołach i prześladowcach moich stóp.

Przestało padać. Później wzeszło słońce. Oznaczało to pojawienie się pragnienia, ołów w głowie, łomotanie w skroniach, ciemne plamy przed oczami. Nasze stopy i kostki opuchły w „rozpalonych do czerwoności” butach. Podążaliśmy naprzód w jakimś dziwnym transie.

W południe padł rozkaz „stój!”. Nasze mięśnie były tak storturowane, że samo zmuszenie

ich do zatrzymania skutkowało bólem; niektórzy po prostu nie mieli sił, aby się zatrzymać, i wlekli się dalej po wydaniu rozkazu, póki nie wpadli na idącego przed nimi człowieka, i pozostawali tak na chwiejących się nogach ze opuszczonymi głowami, póki inni nie wepchnęli ich na właściwe miejsce w szyku.

Doszliśmy do zabudowań niewielkiej wioski. Paru małych chłopców przybiegło, by na nas popatrzeć. Zarządzono półgodzinny odpoczynek. Nawet nie chciało się nam liczyć, ile kilometrów dzieli nas od koszar, padliśmy po prostu „plackiem” tam, gdzieśmy staliśmy. Nikt nie miał nawet siły poluzować pasków oporządzenia, po prostu zasypialiśmy jeszcze przed zwaleniem się na ziemię.

Wydawało się, że prawie w tej samej sekundzie, rozległ się ostry dźwięk gwizdka. Ale okazało się, że minęło już trzydzieści minut – cały nasz bezcenny wypoczynek. Następny kwadrans był dla wszystkich piekielną męczarnią: sztywne mięśnie i stopy protestowały, nie chciały ponownie ruszyć w drogę. Każdy krok był serią bólów, jak klucie nożem sięgające prosto do mózgu. Stopy rozpoznawały każdy ćwiek w butach, było to jak spacer po odłamkach szkła.

Znikąd nie mogliśmy oczekiwać zmiłowania czy ulgi. Nie było ich nawet dla tych spośród nas, którzy nie mieli już sił i pozostali w rowie. Tym biedakom zaaplikowano specjalną kurację pod kierunkiem porucznika i trzech najbardziej brutalnych podoficerów. Dostali taki wycisk doprawiany groźbami, że albo tracili głowę i wpadali w amok, albo tracili zmysły, albo zamieniali się w bezduszne roboty, zdolne do wykonania każdego rozkazu. Gdyby kazano im nawet wyskoczyć z okna na czwartym piętrze, po prostu wyskoczyliby. Słyszeliśmy jak podoficerowie wrzeszczą i miotają obelgi, grożąc, że wykończą ich na miejscu za odmowę wykonania rozkazu.

Późnym wieczorem powróciliśmy do koszar, gotowi paść na miejscu. Gdy maszerowaliśmy przez plac apelowy padła jeszcze komenda:

– *Achtung! Paradenschritt!* \*[\* Chodzi o słynny, niezwykle widowiskowy niemiecki krok defiladowy, znany m.in. z wielu archiwalnych kronik filmowych]

Ostatnim wysiłkiem musieliśmy wziąć się w garść. Nasze nogi fruwały do poziomu, a nasze stopy mocno wybijały rytm na kamiennych płytach. Iskry latały nam przed oczami, wyraźnie czuliśmy, jak pękają nabrzmiałe bąble na naszych obtartych stopach. Ale nie było alternatywy. Rozkaz musiał być wykonany. Zmusiliśmy nasze okaleczone nogi, aby miażdżyły bruk, wyzwalając dodatkowy ból. Dobyliśmy ostatnich rezerw z naszych niemiłosiernie wyczerpanych organizmów.

Komendant garnizonu, Oberstleutnant von der Lenz, czekał na nas w miejscu, gdzie trzeba skrócić z placu do koszar. Kapitan Lopei wydał komendę:

– 3 kompania... Na lewo... PATRZ!



Nasze głowy rzeczywiście zwróciły się w lewo i wszyscy zobaczyliśmy drobną postać podpułkownika. Ale sztywna postawa maszerujących, która powinny być zachowana podczas takiej formy oddawania salutu, wcale nie była sztywna. Mało tego, niektórzy z nas nawet pomylili nogę! Kapitan Lopei wzdygnął się, szybko opanował, stanął z boku i bacznie obserwował kompanię. Wtedy usłyszeliśmy ostro rzucone:

-3 kompania... Stój!

Ten głos należał już do komendanta. Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy, aż rozległo się jego kolejne warknięcie:

– Kapitanie Lopei, czy pan nadal śmie nazywać „to” kompanią? Jeśli chce pan wyruszyć na front z najbliższym batalionem, wystarczy jedno pańskie słowo. W tutejszym garnizonie znajdzie się z pewnością mnóstwo oficerów, gotowych natychmiast przejąć pańskie obowiązki.

Głos podpułkownika kipiał wściekłością.

– Co to, u diabła, za zbiorowisko zafajdanych łajdaków które pan tu prowadzi? Co to za niedyscyplinowana cywilbanda? Nikt nie domyśliłby się, że to mogą być pruscy żołnierze. Zobaczyłby tylko bandę parszywych łajdaków. Ale to się da wyplenić!

Aroganckim spojrzeniem obrzucił całą naszą wyczerpaną kompanię. Staliśmy w osłupieniu. Gdyby tylko szybko skończył, moglibyśmy znaleźć się wreszcie na kwaterach, zdjąć oporządzenie i zasnąć.

– To się da wyplenić! – powtórzył groźnym głosem. – Łajdakom potrzeba zajęcia, trochę ćwiczeń. Nieprawdaż, kapitanie Lopei?

– Tak jest, Herr Oberstleutnant, odrobiny ćwiczeń. Ogarnęła nas głucha nienawiść zmieszana z litością dla naszego losu. Zapowiedź komendanta będzie kosztowała nas przynajmniej dodatkową godzinę najbardziej niszczycielskiej i wyczerpującej musztry, jaką zna niemiecka armia. Mogło to oznaczać tylko jedno – doskonalenie kroku defiladowego.

Czy kiedykolwiek mieliście gruczoły w pachwinach tak nabrzmiące i twarde, że reagowały bólem przy każdym ruchu mięśnie ud zamienione w twarde węzły, w które trzeba walić pięścią z całej siły, aby zmusić je do pracy; mięśnie łydek w ciągłych kurczach i buty ważące cetnar, zaś nogi tonę? Nie? No, to może spróbujecie wtedy wyrzucać nogi aż do poziomu, ze sztywnymi palcami stóp, i wykonywać to zręcznie, dziarsko i rytmicznie jak tancerka w zespole rewiowym?

Czy próbowaliście kiedyś maszerować, gdy kostki u nóg są tak osłabione, że dawno zrezygnowały z uczestnictwa w tej zabawie, palce stóp zamieniły się w krwawą bryłę, a pięty płoną żywym ogniem w wielkich bąblach pełnych wody lub już pękniętych, które jednocześnie kłują jak odłamki szkła? Czy próbowaliście sterować zręcznie ciałem, stojąc na jednej nodze w chwili, gdy druga opada na kamienne płyty i wali w nie z trzaskiem? A wszystko to trzeba robić rytmicznie, precyzyjnie, jakby stu trzydziestu pięciu ludzi było jednością; musi to wywoływać taki huk, by ludzie zatrzymywali się, słuchali i mówili: „To ci dopiero marsz! To

wspaniałe! Jakąż mamy armię!” Krok defiladowy zawsze robi wrażenie na niedorozwiniętych.

Na nas nie robił żadnego wrażenia. Był najbardziej przeklinaną, najbardziej znienawidzoną w całej armii formą musztry. Naderwał więcej ścięgien, uszkodził więcej gruczołów limfatycznych niż jakikolwiek inny rodzaj ćwiczeń. Wystarczy zapytać lekarzy!

Ale nie doceniliśmy naszego Oberstleutnanta. Nie czekała nas godzina kroku defiladowego. Podpułkownik zawrócił, kapitan energicznie mu zasalutował, lecz nim dowódca odszedł, powiedział:

– Na Boga, to da się wyplenić. Kapitanie Lopei!

– Na rozkaz panie pułkowniku!

– Zaprowadzi pan tych nicponi na plac ćwiczeń i nauczy być żołnierzami, a nie bandą zaszranych łajdaków. Nie wróci pan przed dziewiątą dnia jutrzejszego. A jeśli do tej pory pańska kompania nie zdoła pokazać kroku defiladowego, od którego pękają kamienne płyty, wróci pan tam znowu. Zrozumiano?

– Jawohl, Herr Oberstleutnant!

Przez całą noc ćwiczyliśmy natarcie w otwartym terenie na zmianę z krokiem defiladowym.

Nazajutrz rankiem rytmicznie i dziarsko przedefilowaliśmy przed Oberstleutnantem. Kazał kompanii defilować tak przed sobą siedem razy i jestem pewien, że gdyby choć jeden z nas na chwilę wypadł z rytmu choć o dziesiątą część sekundy, wszystko zaczęłoby się od nowa.

Była dziesiąta rano, gdy rozeszliśmy się i jak ślepcy podążyliśmy na chwiejnych nogach do naszych kwater, aby natychmiast zasnąć.

Dokonałiśmy nadludzkiego wyczynu – ale przecież nie byliśmy już też normalnymi istotami ludzkimi. Byliśmy bandą zafajdanych łajdaków. Wygłodzoną bandą.

Obraz naszego szkolenia wymaga jeszcze uzupełnienia, finalnego retuszu, aby wszystko ujrzeć we właściwym świetle i we właściwej perspektywie – nie wolno mianowicie zapominać o głodzie.

Nigdy nie najadaliśmy się do syta. Prawdę powiedziawszy, wszyscy dostaliśmy obsesji na punkcie jedzenia. Pod koniec wojny cała ludność Niemiec żyła z głodowych racji żywnościowych, ale w latach 1940-41 otrzymywaliśmy mniej niż cywile w roku 1945. Nie mogliśmy kupić samodzielnie jakiegokolwiek żywności, gdyż nie otrzymywaliśmy kartek żywnościowych. Kolacja była każdego dnia identyczna: litr wodnistej zupy z buraków z wkładką w formie garści kiszzonej kapusty. Na dodatek kapuściana wkładka była tylko co drugi dzień. Nie rozpieszczano nas jedzeniem, ale nie pozwalano grymasić. Mięso pozostawało niedostępnym luksusem. Wieczorem wydawano nam również suchy prowiant na następny dzień: kawałek żytniego chleba, który przy odrobinie praktyki potrafiliśmy pokroić na pięć kromek, trzy na wieczór, dwie na śniadanie. Dostawaliśmy też dwadzieścia gramów na ogół zjełczałej margaryny

oraz kawałek sera, sera z największą na świecie zawartością wody – musiało być jej tam co najmniej pięćdziesiąt procent. W soboty dostawaliśmy dodatkowo pięćdziesiąt gramów marmolady z rzepy. Do śniadania podawano cienki ersatz kawowy w kolorze herbaty, którego zarówno smak, jak i zapach były odrażające, pomimo to z reguły wypijaliśmy go jednym haustem.

Niekiedy, podczas zajęć w terenie, udawało się znaleźć kartofel albo rzepę. Szczęściarz oczyszczał „cenne znalezisko” z ziemi i natychmiast spożywał na surowo. Wszystko to odbywało się tak szybko, że obserwator uznałby, że demonstrowana jest iluzjonistyczna sztuczka. Również zdobycie wiedzy, że kora brzozy oraz pewien rodzaj trawy rosnącej dookoła okopów są całkiem smakowite, a może nawet pożywne, nie zajęło nam zbyt wiele czasu. W każdym razie były to „potrawy” wypełniające nieco nasze puste żołądki i uśmierzające ciągle głodowe skurcze. Oto recepta: weź trochę kory brzozy lub trawy, zmiel je między dwoma stalowymi hełmami, dodaj odpowiednią ilość ersatzu kawowego i zjadaj jak kaszkę.

Jeśli jakimś cudem któryś z nas otrzymał kartkę na chleb, na sali szczęśliwca odbywała się uczta. Cały bochenek!

*Zawsze baliśmy się poniedziałkowej inspekcji. Na apelu porannym mieliśmy występować w stalowych hełmach, paradnych kurtkach mundurowych, białych jak kreda spodniach z kantami ostrymi jak noże, z tornistrem, pasem, ładownicami, saperką, bagnetem, chlebakiem i karabinem. Płaszcz zimowy miał być regulaminowo zwinięty i przewieszony ukosem przez pierś.*

*Każdy żołnierz musiał mieć w kieszeni czystą, zieloną chusteczkę, regulaminowo złożoną.*

## **VI Pluj i poleruj**

Czystość nikomu nie szkodzi. Porządek również. A w armii muszą naturalnie występować jednocześnie i czystość, i porządek. Do obydwu dochodziło się jedyną właściwą i szczegółowo określoną drogą. Każdy sumienny żołnierz spędza niewiarygodną ilość czasu na dochodzeniu do czystości i porządku, ale żołnierz karnego batalionu poświęca im cały swój czas – to znaczy cały czas nie wypełniony innymi czynnościami służbowymi. Każdej niedzieli nie robiliśmy niczego oprócz prania, czyszczenia i układania wszystkiego w sposób określony przez regulamin. Skórzane elementy naszego wyposażenia musiały zawsze tak błyszczeć, jakby były dopiero co polakierowane, na mundurach i wyposażeniu nie mogło być ani jednej plamki. Mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że żołnierze niemieckiego batalionu karnego, stając do niedzielnego apelu, byli absolutnie sterylni do palców stóp do czubków głów.

Ale myślę jednocześnie, że z wojskowym pojęciem porządku i czystości musi być jednak coś nie w porządku, skoro harując całą niedzielę dla ich uzyskania, nie czuło się żadnej satysfakcji ani spokoju sumienia, jakie zwykle towarzyszą człowiekowi po dobrze wykonanej pracy.

Ta parada nie była świętem oczyszczenia. Była koszmarem strachu. Niepokalanie czysty, porządny żołnierz nie czuł się czysty – po prostu czuł się jak zaszczute zwierzę.

Wiem, że ciągle używam tych samych zwrotów: „zaszczute zwierzę”, „paniczny lęk”, „oszalały ze strachu”. Wiem, że należy unikać powtórzeń, że dobry styl literacki wymaga barwności określeń. Ale obawiam się, że nadal będę przeciw niemu grzeszył, bo w jakież sposób można znaleźć liczne odpowiedniki na określenie munduru? Niektórzy może potrafią, ale ja nie jestem pewien, czy zdołam. Jestem zbyt zmęczony, zbyt zamroczony, zbyt zdesperowany, a czasami też zbyt poirytowany, by być zdolnym do poświęcenia czasu i energii na doszukiwanie się odcieni znaczeń i subtelności rozróżnień. To, co mam do powiedzenia, jest zanadto tragiczne i nawet teraz, po tylu latach, czuję się tym tak przygnębiony, że uważam, iż mam prawo prosić was, abyście czytając, sami poprawili te miejsca, w których nie zdołałem wznieść się do poziomu waszej literackiej wrażliwości. Dopóki rozumiecie, co mówię, nie przerazi mnie, jeśli od czasu do czasu pokręcicie głową, stwierdzając: to można było lepiej napisać.

Choć regulaminowo nieskalani, czuliśmy się jak zaszczute zwierzęta. Wiedzieliśmy, że

cokolwiek by się nie zdarzyło, to i tak dostaniemy „po kulach”. W całym tym przedstawieniu największy paradoks stanowiło to, że jeśli Hauptfeldwebel nie znajdzie u nas niczego, do czego mógłby się przyczepić, to ten i ów „nieskalany” żołnierz oberwie bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Biada temu, który dostaje „po kulach” za nic – obrywa bowiem po dziesięciokroć. W takiej sytuacji trudno jest dokonać właściwego wyboru.

– Pierwszy szereg krok naprzód... drugi szereg krok w tył... MARSZ! Raz!... Dwa!

Przez bardzo długie dwie minuty od rozdzielenia szeregów Hauptfeldwebel stoi i patrzy. Ten, który choćby odrobinę się zachwieje, oberwie za niewykonania rozkazu. Ale nauczyliśmy się już zamieniać w kawałki drewna i stać nieruchomo pół godziny bez przerwy. Jest to rodzaj transu czy katalepsji, których zdolność osiągnięcia warta jest dla żołnierza każdej ceny. Żołnierz najlepiej zna wartość umiejętności nieruchomego stania niczym drewniany kołek, Hauptfeldwebel wrzeszczy:

– Czy wszystko gotowe do przeglądu? Kompania odpowiada chórem:

– Tak jest, Herr Hauptfeldwebel!

Hauptfeldwebel patrzy na nas krwiożerczym wzrokiem. Znaczy, że już nas ma.

– No, nie żartujcie – stwierdza ironicznie. – Jeśli to prawda, zdarzyłoby się to pierwszy raz w historii tego batalionu. Ale musimy jeszcze to sprawdzić.

Powoli podchodzi do pierwszego „kawałka drewna”, obchodzi go, milcząc, dookoła raz czy dwa razy, co jest bardzo skuteczną formą prowadzenia wojny nerwów. Twój kark staje się czerwony a dłonie wilgotne, zaś w głowie zaczynają ci histerycznie wirować myśli, podążając we wszystkich kierunkach z wyjątkiem naturalnych. Stoisz nieruchomo jak kołek, osiągasz stan stresującego bezdechu i nagle czujesz, że myślisz zarówno w przenośni, jak i na jawie.

– Tak, tak... będziemy musieli to jeszcze sprawdzić – powtarza Hauptfeldwebel z za trzeciego żołnierza w pierwszym szeregu.

Gdy kontynuuje przegląd czwartego i piątego z kolei, wciąż panuje martwa cisza. Wreszcie rozlega się jego ryk:

– 3 kompania czność! – a po nim zwykły potok wulgarnych słów.

Mówiliśmy o Hauptfeldwebelu, że nie potrafi „puścić wiazanki” nie wypowiedziawszy przedtem „wiazanki” – dowcip być może marny, ale przynajmniej dobrze charakteryzował tego, brutalnego do szpiku kości, drobnego burżuja, któremu dano zakosztować słodczy posiadania władzy.

– Co to, u diabła, jest, wy zasrana kompanio. Wczoraj nie robiliście nic innego jak nurzanie się nawzajem w gównie. Tarzanie się w kupie gnoju jest odpowiednie...

To nie była mowa ludzka, lecz spust gnoju. Jednym z ulubionych wyrażenia tego bydlaka było określenie „francuska choroba”. On sam miał „pruską chorobę” w zaawansowanym stadium – godny pożałowania popęd do poniżania innych ludzi. Jest to jednostka chorobowa i nie

ogranicza się ona tylko do karnych batalionów, przesiąkła nią cała armia niemiecka, w której szerzy się ona jak dżuma dymienicza z wrzodami. A w każdym wrzodzie z całą pewnością znajdzie się podoficera, człowieka, który na pewno jest „czymś”, natomiast „kimś” raczej już nie bardzo.

Natychmiast otrzymaliśmy regulaminową karę – musztrę, która trwała trzy godziny. Finał nastąpił w długim, głębokim na ponad metr rowie, wypełnionym do połowy „kwitnącym” błotem z żółtawą, tłustą pianą na powierzchni. Musieliśmy ją zdrapywać z powiek za każdym razem, gdy po komendzie „padnij” łądownaliśmy na dnie rowu. Potem przyszedł czas na obiad. Pomaszerowaliśmy do koszar, gdzie przełknęliśmy wszystko, tak jak staliśmy. Następnie trzeba było wziąć się znowu do roboty, aby być znów jak te lalki, bo za godzinę mieliśmy wystąpić na zbiórce do popołudniowej musztry.

Czyściliśmy mundury i nas samych prostym sposobem: stojąc w pełnym ubiorze pod natryskiem. Najpierw trzeba było opłukać karabiny i oporządzenie, potem osuszyć je starannie ścierką, a w końcu naoliwić. Lufę należało czyścić bardzo pieczołowicie. Zwykły żołnierz postępuje tak ze swoim wyposażeniem raz, może dwa razy na tydzień, jeśli oczywiście ćwiczenia wypadły akurat w trudnych warunkach terenowych i pogodowych. My musieliśmy robić to kilka razy dziennie.

Gdy staliśmy później na zbiórce, z naszych mundurów naturalnie ściekała woda. Ale nie miało to większego znaczenia, jeśli były przy tym czyste.

Była tylko jedna rzecz, której baliśmy się tak samo jak tego paskudnego niedzielnego przeglądu – przegląd naszych kwater, przeprowadzany codziennie o dwudziestej drugiej. Nie do wiary, co wyobraźnia podoficera służbowego potrafi wymyślić dla śmiertelnie zmęczonych po wyczerpującym dniu ludzi.

Nim podoficer służbowy wszedł, każdy żołnierz musiał leżeć na swej pryczy, oczywiście w pozycji regulaminowej: na plecach, z ramionami wyciągniętymi na kocu wzdłuż ciała, ze stopami wystawionymi do przeglądu. Dyżurny sali był odpowiedzialny za to, żeby nigdzie nie dało się znaleźć ani pyłka kurzu, żeby stopy wszystkich żołnierzy świeciły czystością jak u noworodka i żeby wszystkie rzeczy osobiste żołnierzy, znajdujące się w szafkach, były ułożone w sposób regulaminowy. Na początku inspekcji dyżurny musiał złożyć meldunek:

– Herr Unteroffizier, dyżurny sali numer 26 szeregowy Brand melduje, że w sali panuje porządek. Stan dwunastu, jedenastu na pryczach. Sala została wysprzątana i przewietrzona.

Podoficer służbowy oczywiście nie przywiązywał najmniejszej wagi do treści meldunku, za to bacznie się rozglądał. Biada nieszczęsnemu dyżurnemu, jeśli znalazł choćby najmniejszą smugę albo niedomkniętą szafkę lub żołnierską parę stóp choćby ze smugą cienia.

Podoficer Geerner – uważam, że był naprawdę obłąkany – miał zwyczaj wyć jak pies. Brzmiało to tak, jakby za moment miał dostać spazmów – i rzeczywiście, nierzadko się zdarzało,

że wylewał prawdziwe łzy wściekłości. Gdy miał służbę, gorączkowo wszystko wokół skrobaliśmy, myliśmy i porządkowaliśmy. Pamiętam jeden pechowy wieczór, gdy dyżurnym sali był Schnitzius, salowy kozioł ofiarny. Schnitzius przez cały dzień zachowywał pogodny nastrój, ale był przy tym tak beznadziejnie pozbawiony wszelkiej intuicji, że sam skazywał się na bycie chłopcem do bicia dla wszystkich przełożonych, od Stabsfeldwebela w dół.

Schnitzius był tak spięty jak pozostała jedenastka, która, leżąc na pryczach i czekając na Geenera, zastanawiała się, co też mogliśmy przeoczyć. Słyszeliśmy już Geenera w jednej z sąsiednich sal. Docierały do nas odgłosy, jakby wszystkie prycze i szafki łątały niczym zapalki, a w przerwach dochodził do nas jego na przemian skrzeczący, wyjący i łkający głos – zaszranie świnię, łajdaki itd. Choć już byliśmy bladzi, to słysząc to, zbledliśmy jeszcze bardziej. Geerner wydawał się być w szczytowej formie. Gdy dotrze do sali numer 26, będzie już wystarczająco rozgrzany. Zeskoczyliśmy z prycz i jeszcze raz przeszukaliśmy całą izbę w poszukiwaniu mankamentów, ale niczego nie mogliśmy znaleźć.

Drzwi otwarły się z hukiem.

O, gdybyż dyżurnym sali był ktoś choć odrobinę bystrzejszy od Schnitziusa!

Ten jednak stał sztywny i śmiertelnie blady, jakby uszła z niego cała energia. Potrafił tylko wlepić w Geenera spojrzenie przerażonych oczu. Podoficer jednym skokiem znalazł się przy nim i z odległości dłoni ryknął:

– Co u diabła, człowieku? Czy mam tu całą noc czekać na meldunek?

Schnitzius trzęsącym się głosem wykrzyczał raport.

– „Panuje porządek!” – parsknął Geerner. – Składasz nieprawdziwy meldunek!

– Ależ nie, Herr Unteroffizier – odparł Schnitzius wciąż drżącym głosem, powoli obracając się na pięcie, by ciągle być zwróconym twarzą do Geenera, podczas gdy ten szwendał się po izbie, zaglądając to tu, to tam.

Przez kilka minut zalegała grobowa cisza. Wszyscy leżeliśmy na pryczach, śledząc spojrzeniami Geenera, który ciągle krążył po sali w poszukiwaniu kurzu. Podniósł stół i potarł podłogę pod każdą ze stołowych nóg. Nie znalazł tam brudu. Zbadał podeszwy naszych butów. Były czyste, podobnie jak okna i kable lamp. Nic do zarzucenia. Omiótł dzikim wzrokiem na nasze stopy, jakby miał zaraz paść trupem, jeśli nie zdoła znaleźć czegoś nagannego i nieregulaminowego.

W końcu przystanął i rozglądnął się po sali ponurym, badającym wzrokiem. Doprawdy wyglądało to tak, jakby już stracił nadzieję na przyłapanie nas na jakimkolwiek niedociągnięciu. Robił wrażenie człowieka, którego dziewczyna nie przyszła na umówioną randkę i – chcąc, nie chcąc – musi wrócić do domu i położyć się spać tylko w towarzystwie własnym i zawiedzionej nadziei.

Już zamykał za sobą drzwi, gdy nagle zawrócił.

– Wszystko w porządku, mówisz? Jednak wątpię.

Jednym wielkim susem znalazł się przy naszym dzbanku. Był to wielki aluminiowy dzban o pojemności około dziesięciu litrów. Co wieczór musiał być wypolerowany „na błysk” i napełniony czystą wodą, i o tym właśnie Geerner przypomniał sobie w ostatniej chwili. Zrozumieliśmy – i nasze serca opuściły w tym momencie jedno uderzenie – że Geerner wymyślił coś nowego.

Stał, lustrując pod kątem powierzchnię wody w dzbanie. Nie było możliwości, aby kilka drobin kurzu nie osiadło na niej już po paru minutach.

Geerner zawył wprost fantastycznie.

– Nazywasz to czystą wodą! Kim, u diabła, jest ta brudna świnia, która napełniła ten dzbanek szczynami? Choć no tutaj, ty zasrany błotniku samochodowy!

Geerner wszedł na krzesło, a Schnitzius podał mu dzban.

– ...czność! Głowa w tył! Otwórz pysk!

Zawartość dzbana powoli znikła w ustach Schnitziusa, który niemal się udusił. Gdy dzbanek był już pusty, obłąkany podoficer cisnął nim o ścianę i wypadł z sali. Usłyszeliśmy, jak hałasuje w łazience, odkręcając kran. Po chwili chlusnął nam do sali wiadro wody. Gdy już powtórzył tę czynność sześciokrotnie, rozkazał nam wszystko osuszyć. Ponieważ mieliśmy tylko dwie podarte ścierki do podłogi, minęło dużo czasu, zanim sala była znowu sucha.

Szykanę tę Geerner powtórzył jeszcze cztery razy, zanim mu się ostatecznie znudziła. Wtedy Herr Unteroffizier, podniesiony na duchu, udał się na spoczynek, pozostawiając nas na resztę nocy w spokoju.

*Furor germanicus* – tak starożytni Rzymianie nazywali ten szczególny rodzaj szaleństwa bitewnego, z którym spotykali się, tocząc wojny z plemionami zamieszkującymi na północ od Alp. Niech dla Rzymian i innych ciężko doświadczonych wrogów Germanów będzie pewną skromną pociechą wiadomość, że Germanie, tak jak wobec sąsiadów, równie obłąkani potrafią być w relacjach między sobą.

*Furor germanicus* – niemiecka albo pruska jednostka chorobowa.

Geerner był nędznym podoficerem, zżerany chorobą nikczemnikiem, którego satysfakcjonowało spotkanie z kurzem.

Niech spoczywa w spokoju.



*Następnie komendant przekazał kompanię kapelanowi. – 3 kompania... do modlitwy... KLEKNAĆ! – ryknął z całych sił kapelan.*

## **VII Pewien gatunek żołnierza**

Nasze szkolenie zakończyło się zajęciami, które trwały nieprzerwanie przez siedem dni i nocy. Ćwiczyliśmy na ogromnym poligonie, zwanym Sennelager. Zbudowano tam w skali 1:1 całe wsie, mosty, linie kolejowe, wszystko kompletne z jednym wyjątkiem: były nie zamieszkałe. Mieliśmy tam wywalczyć sobie przejście przez splątane poszycie leśne, bagna i rzeki, przez chwiejące się mosty, które luźno przerzucono nad głębokimi parowami.

Być może brzmi to cokolwiek romantycznie, niczym zabawa w Indian w wielkiej skali, ale podczas jednej z takich zabaw straciliśmy kolegę. Spadł z rozchwianego mostu i skrzył kark.

Jedna z zabaw polegała na wykopaniu w ziemi dołka strzeleckiego, na tyle głębokiego, aby żołnierz mógł się w nim całkowicie ukryć. Wtedy nadjeżdżały ciężkie czołgi i przetaczały się nad takim pojedynczym stanowiskiem, my zaś, skuleni, drżeliśmy pod nimi ze strachu.

Po pierwszym „dreszczyku” natychmiast następował drugi. Musieliśmy wykonać „padnij”, a czołgi przejeżdżały nad nami. Czuliśmy, jak stalowe dno czołgu trze o nasze plecy, a ciężkie gaśienice klekocą z obu stron, tuż obok uszu.

To miało nas uodpornić i ustrzec przed paniką w obronie przeciwpancernej.

Wielkie przerażenie, dla żołnierza była to rzecz normalna. Żołnierza niemieckiego szkoli się przy pomocy strachu, przyucza do wykonywania czynności automatycznie, na zasadzie odruchu. Walczy on zawsze odważnie, bo nie opuszcza go ludzkie przerażenie i czysty strach przed przełożonymi, nabyte podczas wyczerpującego szkolenia. Oczywiście żołnierz niemiecki jest też gotów do poświęceń w imię ideałów, jeśli zajdzie taka potrzeba. Być może nazwiecie to etyczną miałością, wizytówką pruskiej mentalności i chroniczną chorobą toczącą naród niemiecki.

Nazajutrz po zakończeniu ćwiczeń złożyliśmy przysięgę żołnierską. W tym celu kompania stanęła w szyku wzdłuż trzech stron placu apelowego, na który wjechał czołg, a po obu jego stronach ustawiono karabiny maszynowe. Gdy ta sympatyczna scenografia była już gotowa, zjawił się komendant w towarzystwie adiutanta i kapelana, który z tej okazji wystąpił w pełnej gali.

Komendant przemówił do nas:

– Żołnierze niemieccy! Zakończyliście szkolenie. Za chwilę zostaniecie odkomenderowani do różnych pułków: grenadierów, obrony przeciwpancernej, fizylierów, a nawet oddziałów obrony terytorialnej. Ale bez względu na to, gdzie będziecie służyć, wszędzie musicie wypełniać swój żołnierski obowiązek. Jesteście wyrzutkami społeczeństwa, ale jeśli dowiedziecie, że nie

brak wam męstwa i odwagi, być może nadejdzie dzień, w którym nasz wielki Führer przywróci was w poczet pełnoprawnych członków narodu niemieckiego. Teraz złożycie starą przysięgę na wierność, przysięgę, którą kiedyś złamaliście. Ale jestem pewien, że od tej chwili i na resztę życia zwiąże was ona lojalnością wobec waszego kraju. Oczekuję od każdego z was, że nigdy ponownie nie sprzeniewierzy się przysiędze i będzie wypełniał powinności wobec naszego tysiącletniego kraju i naszego wielkiego narodu, nie zapomni o obowiązku wobec Führera i Boga.

Zaraz po tym wszyscy przyklękliśmy, zdjęliśmy hełmy i położyliśmy dłonie na wylotach luf naszych karabinów. Musiało to wyglądać bardzo wzruszająco, dokładnie jak wzorcowy materiał dla niemieckich kronik filmowych. Następnie kapelan odmówił krótką modlitwę do wielkiego; niemieckiego Boga.

– Wszchemogący Boże, nasz Panie, ukaz nam swą wielkość i dobroć i pozwól niemieckiemu orężowi zwyciężyć barbarzyńskich wrogów.

Zauważcie, że barbarzyńskimi wrogami nazistów były narody, które wydały takie jednostki, jak: Ibsen, Nansen i Andersen, Rembrandt i Spinoza, Wolter i Isaak Dinesen, Czajkowski i Gorki, Szekspir i Dickens, Abraham Lincoln i Teodor Dreiser, Chopin i Kopernik, Sokrates i Homer, oraz takie kobiety, jak: Florence Nightingale i Emmelina Pankhurst, Marion Anderson i Eleonora Roosevelt, Maria i Irena Curie, Katarzyna II, Joanna d'Arc, Renę Clair, siostry Bronte, Anna Pawłowa.

Następnie kapelan pobłogosławił broń, za pomocą której mieliśmy tępić barbarzyństwo, ale nie sądzę, by mogło to być szczególnie pomocne. Gdy nędzny, mały księżuło robi znak krzyża nad wielkim czołgiem – nawet jeśli ktoś wierzy w magię, czego ja nie potrafię – nie może to skutkować zgodnie z jego wolą. Najwyżej można sobie wyobrazić, że taka mała kreatura rzuci zaklęcie na broń małokalibrową. Pomimo wstawiennictwa u sił nadprzyrodzonych i tak przegrali tę wojnę.

Następnie złożyliśmy przysięgę. Kapelan recytował po kilka słów, a kompania powtarzała je chórem, zaś jeden z nas stał przed frontem kompanii, dotykając trzema palcami klingi szabli komendanta. To był stały element obrazka.

Gwar głosów rozbrzmiewał na całym placu:

– Przysięgam Bogu... naszemu Świętemu Ojcu... świętą przysięgą... że we wszystkim... będę walczył należycie i wiernie... i oddam życie... jeśli będzie taka potrzeba... za Führera, naród i ojczyznę... Ten kto składa tę przysięgę... musi wiedzieć... że jest wryta w jego sercu... i jeśli złamie swą świętą przysięgę... niech Bóg Wszchemogący ma litość nad jego duszą... bo wówczas utraci... swe prawo do życia... i będzie przeżywał męki... przez całą wieczność...

w ogniu piekielnym...

Następnie odśpiewaliśmy „Deutschland, Deutschland über alles”.

W ten sposób zostaliśmy konfirmowani, lecz nie otrzymaliśmy, niestety, zwyczajowych prezentów.

Następnego dnia podzielono nas na małe grupki od pięciu do piętnastu żołnierzy i wydano nam nowe wyposażenie polowe. Ja i kilku innych otrzymaliśmy czarne mundury i berety Panzerwaffe, a następnego dnia przeszliśmy pod dowództwem Feldwebela do koszar w Bielefeld, gdzie natychmiast wcielono nas do kompanii, która zaraz miała odjechać na front. Załadowano nas do eszelonu.

*„Czy ta kompania musi znosić waszą obecność, wy cholerni kryminaliści? Obrzydliwe! Lepiej, żebym was nie przyłapał na najmniejszym uchybieniu regulaminowi, bo wtedy natychmiast wylądujecie w pierdłu, gdzie, gdybyście mieli choć trochę przyzwoitości, powinniście byli umrzeć dawno temu. Niech mnie diabli, jeśli tak nie uczynię. Dla takich jak wy więzienie to jedyne właściwe miejsce „.*

*Takimi oto słowami zostałem powitany przez dowódcę 5 kompanii, otyłego Hauptmanna Meiera, postrach rekrutów. Tyle że do takich rzeczy było się już przyzwyczajonym.*

*Otrzymałem przydział do 2 plutonu pod komendę Leutnanta von Barringa. Od tego momentu zaczęły się dziać rzeczy, do których absolutnie nie przywykłem.*

### **VIII Nasze pierwsze spotkanie**

Von Barring wyciągnął rękę i potrząsnął moją dłońią w silnym, przyjacielskim uścisku. Takich rzeczy oficer Wehrmachtu po prostu nie powinien robić, ale on się nawet nie zawahał. A gdy to uczynił, powiedział:

– Witaj, chłopcze, witaj w 5 kompanii. Przybyłeś do diabelnie paskudnego pułku, ale tu trzymamy się razem i sobie pomagamy. Przejdź tam do wagonu numer 24 i zamelduj się u Unteroffiziera Beiera, on jest dowódcą 1. drużyny. – Po czym uśmiechnął się szerokim, otwartym uśmiechem miłego, pogodnego młodego człowieka.

Byłem tym kompletnie oszołomiony.

Wkrótce odnalazłem wagon numer 24 i wskazano mi Unteroffiziera Beiera. Siedział przy dużej becce, grając w karty z trzema innymi - niski, potężnie zbudowany mężczyzna około trzydziestu pięciu lat. Stałem przed nim w odległości regulaminowych trzech kroków, strzeliłem obcasami i wyraźnym, mocnym głosem zacząłem się meldować:

– Herr Unteroffizier, melduję posłusznie...

Dalej już nie doszedłem. Dwóch z grającej czwórki zerwało się z wiader, które służyły im za krzesła, i stanęli wyprostowani jak struny, z dłońmi wzdłuż szwów spodni. Unteroffizier i czwarty towarzysz runęli z siedzeń do tyłu, rozrzucając w powietrzu karty, które sfrunęły niczym suche liście podczas jesiennej burzy. Przez chwilę cała czwórka wpatrywała się we mnie. W końcu odezwał się wysoki, rudowłosy Gefreiter:

– Człowieku! Do diabła! Wystraszyłeś nas śmiertelnie. Jak mniemam Hitler w ciebie wstąpił. Cóż to opętało takiego platfusowatego gnojara jak ty, by przyjść tu i przeszkadzać miłującym pokój obywatelom w ich niewinnym zajęciu? Powiedz nam, kim i czym jesteś?

– Melduję, Herr Obergefreiter, że przyszedłem od Leutnanta von Barringa i mam się zameldować u dowódcy 1. drużyny Unteroffiziera Beiera – odpowiedziałem.

Beier i czwarty mężczyzna, którzy wciąż jeszcze leżeli na plecach, wreszcie wstali i teraz

cała czwórka wpatrywała się we mnie z narastającym przerażeniem, wyglądając przy tym tak, jakby mieli się za chwilę rozbiegnąć z wrzaskiem na cztery strony świata, jeśli zbliżę się do nich choćby o krok. Naraz wszyscy ryknęli gromkim śmiechem.

– Słyszeliście go! Herr Obergefreiter. Cha, cha, cha! Herr Unteroffizier Beier. Cha, cha, cha!  
– wykrzyknął Rudowłosy, po czym zwrócił się do Unteroffiziera: – Czcigodna Ekscelencjo! Wasza Uwielbiana Łaskawość, Wasza Urzekająca Magnificencjo, Herr Unteroffizier Beier, melduję posłusznie...

Patrzyłem całkowicie oszołomiony to na jednego, to na drugiego, całkowicie niezdolny pojąć, co tak piramidalnie śmiesznego było w moim zachowaniu. Gdy po tym paroksyzmie śmiechu doszli do siebie, Unteroffizier spytał mnie, skąd przybywam. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, a oni popatrzyli na mnie ze współczuciem.

– Pozbądź się tego bagażu – rzekł Rudowłosy. – Karny batalion w Hanowerze... Teraz rozumiem twoje zachowanie. Gdy strzeleś obcasami, myśleliśmy, że robisz sobie z nas jaja. Ale teraz przypuszczam, że to cud boski, że wciąż je masz. A więc tak zostałem wcielony do 1. drużyny i już w godzinę później toczyliśmy się do Freiburga, gdzie mieli z nas sformować jednostkę liniową i posłać na specjalne przeszkolenie w takie czy inne miejsce oszalałej Europy. Koła pociągu turkotały, a moi towarzysze, z którymi później przeszedłem całą wojnę, przedstawili się.

Willie Beier był o dziesięć lat starszy od reszty i z tego powodu nazywaliśmy go Starym. Był żonaty i miał dwoje dzieci. Mieszkał w Berlinie, z zawodu był stolarzem. Jego polityczne ciągoty zaowocowały osiemnastoma miesiącami obozu koncentracyjnego, po czym został „ułaskawiony” i skierowany do karnego batalionu. Stary uśmiechnął się i powiedział:

– I tutaj z pewnością pozostanę, aż pewnego pięknego dnia wybiegnę zbyt szybko na spotkanie z kulką.

Stary był doskonałym kompanem. Zawsze spokojny i milczący. Przez te cztery przerażające, wspólnie spędzone lata ani razu nie widziałem go zdenerwowanego czy złkniętego. Był jedną z tych dziwnych istot, które promieniowały spokojem, jakiego my pozostali tak bardzo potrzebowaliśmy, znalazłszy się w krytycznej sytuacji. Był dla nas prawie jak ojciec, choć różnica wieku między nami wynosiła zaledwie dziesięć lat, i wielokrotnie dziękowałem fortunie, która umieściła mnie w czołgu Starego.

Obergefreiter Józef Porta był jednym z tych niepoprawnych kawalarzy, których nigdy nie sposób zagadać. Wojna nie interesowała go ani odrobinę i jestem święcie przekonany, że zarówno Bóg, jak i diabeł trochę obawiali się mieć z nim cokolwiek do czynienia, aby nie dać mu się wystrychnąć na dudka. W każdym razie wszyscy oficerowie kompanii czuli przed nim respekt, gdyż potrafił zbić ich z tropu, niekiedy bez reszty, jedynie spoglądając na nich niewinnym wzrokiem.

Nigdy nie omieszkał oświadczyć każdemu, kogo spotkał, że jest „czerwony”. Spędził rok w Oranienburgu i Moabicy pod zarzutem działalności komunistycznej. A zdarzyło się to tak, że w 1932 roku pomógł kilku kolegom rozwiesić parę czerwonych flag na wieży kościoła św. Michała w Berlinie. Złapała go policja i dostał wyrok czternastu dni aresztu, po których sprawa, jak się wydawało, została zupełnie zapomniana. Jednak w 1938 roku aresztowało go Gestapo, które nie szczędząc wysiłków, usiłowało go przekonać, że posiada wiedzę o tajemniczej kryjówce tłustego, lecz nieuchwytnego przywódcy komunistów – Wollwebera. Głodzony i torturowany przez kilka miesięcy Porta został wreszcie zawleczony przed sąd i oskarżony o wywrotową działalność komunistyczną. Jako koronny dowód składowi sędziowskiemu przedłożono olbrzymie powiększenie zdjęcia przedstawiającego Portę z ogromną czerwoną flagą w drodze do kościoła św. Michała. Dostał dwanaście lat ciężkich robót za działalność komunistyczną i profanację Domu Bożego. Na krótko przed wybuchem wojny, jak wielu innych więźniów, doczekał się swoistego „ułaskawienia” – poprzez skierowanie do karnego batalionu. Z żołnierzami jest tak samo jak z pieniędzmi – wszystko jedno, skąd się ich bierze.

Porta był berlińczykiem i nigdy go nie opuszczał łobuzerski, berliński humor, cięty język i nieprawdopodobny tupet. Wystarczyło, że otworzył usta, i wszyscy dokoła pokładali się ze śmiechu, szczególnie gdy nadawał swemu głosowi dystyngowany akcent, przybierając przy tym arogancką i beczelną pozę, z którą można się spotkać tylko u lokaja niemieckiego hrabiego.

Porta był również bardzo muzykalny i posiadał swoisty talent muzyczny. Czarował grą zarówno na drumli, jak i na organach kościelnych, a gdziekolwiek szedł, zabierał ze sobą flet, który był dlań przyrządem magicznym. Gdy na nim grał, jego bystre, świńskie oczka patrzyły nieruchomo przed siebie, a rude włosy stawały dęba jak kopa siana podczas burzy. Wydawało się, że nuty wydobywane z instrumentu tańczą, bez względu na to, czy gra popularną melodię, czy improwizuje klasyczne tematy. Nuty były dla niego absolutną chińszczyzną, ale jeśli zdarzyło się nam usłyszeć jakąś melodię, wystarczyło, że Stary gwizdząc podał mu kilka taktów, a Porta już dalej grał z taką łatwością, jakby był kompozytorem utworu.

Miał też wielki talent gawędziarza. Potrafił opowiadać jedną historię przez szereg dni, choć od początku do końca była ona pasmem swobodnej konfabulacji.

Jak wszyscy szanujący się berlińczycy, Porta zawsze wiedział, gdzie można zorganizować coś do jedzenia, i jak je najlepiej przyrządzić, a jeśli był jakiś wybór, to wiedział jakiego dokonać. Być może Żydzi podczas wędrówki przez pustynię też mieli wśród siebie takiego Portę.

Porta twierdził, że ma ogromne powodzenie u kobiet, lecz jego uroda pozwalała cokolwiek żywić wątpliwości co do prawdziwości tych przechwałek. Był nieskończenie wysoki i przeraźliwie chudy. Szyja, długa jak u bociana, wysoko sterczała z kołnierza munduru; wyróżniało się na niej potężne jabłko Adama. Zawsze, gdy mówił, można było dostać zawrotów

głowy, gdyż trudno było się powstrzymać od śledzenia jego ruchów. Twarz Porty przypominała trójkąt, który ktoś niedbale obsypał piegami. Miał małe, zielone, świńskie oczka z długimi jasnymi rzęsami. Te oczka zawsze chytrze mrugały do rozmówcy. Włosy, płomiennie czerwone, sterczały we wszystkie strony niczym garść siana. Tylko jeden Bóg wie dlaczego Porta szczylił się posiadany nos. Gdy otwierał usta, ukazywał się samotny przedni ząb. Porta upierał się, że ma jeszcze dwa, tyle że trzonowe, więc głęboko ukryte. Skąd kwatermistrz zdobył dla niego buty, było tajemnicą, nosił bowiem numer 54.

Trzeci z kwartetu, Stabsgefreiter Pluto, wyglądał jak góra mięśni. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Gustaw Eicken. Trzykrotnie siedział w obozie koncentracyjnym, z tym że zaprowadziła go doń nie polityka, lecz porządne, „rasowe” przestępstwo natury kryminalnej. Wcześniej był dokerem w hamburskim porcie, gdzie mu się nie najgorzej wiodło. Od czasu do czasu „skubnął” z kumplami to i owo z mnóstwa towarów przeładowywanych stale ze statków i przechowywanych w magazynach portowych. Wreszcie ich przyłapano i wszyscy dostali po sześć miesięcy więzienia. Dwa dni po jego zwolnieniu z obozu policja znów po niego przyszła. Tym razem powodem był brat Pluta, który sfalszował paszport, za co zresztą nóż gilotyny ściał mu głowę. Sam Pluto był przetrzymywany bez śledztwa w więzieniu przez dziewięć miesięcy, a następnie, po gruntownym przetrzepaniu skóry, wyrzucono go za drzwi bez słowa wyjaśnienia. W trzy miesiące później posadzono go o kradzież całej ciężarówki mąki. Pluto nie miał o niczym zielonego pojęcia, ale i tak najpierw dołożono mu w areszcie, po czym skonfrontowano z człowiekiem, który przysiągł, że Pluto był jego współnikiem podczas kradzieży ciężarówki. Rozprawa sądowa trwała dokładnie dwanaście minut i Pluto zarobił za kolejną „zbrodnię” sześć lat. Dwa odsiedział w Fuhsbüttel, następnie zgodnie z przyjętą wtedy „procedurą” wylądował w karnym batalionie, z którym w 1939 roku przejechał się przez Polskę w szeregach 27 pułku pancernego. Jeśli chciało się wywołać u niego wybuch prawdziwej wściekłości, wystarczyło w zdaniu wypowiedzieć dwa słowa – „ciężarówka” i „mąka”.

Czwarty z nich, Obergefreiter Anton Steyer, nigdy nie był nazywany inaczej niż Mikrus. Miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Pochodził z Kolonii, gdzie wcześniej pracował w branży kosmetycznej. Nazbyt hałaśliwa sprzeczka w piwiarni kosztowała go, jak i jego dwóch kolegów, trzy lata obozu koncentracyjnego. Tamci dwaj już nie żyli – jeden zginął w Polsce, drugi zdezerterował, lecz wkrótce potem został ujęty i stracony.

Przez sześć dni nasz eszelon włókł się przez Niemcy, zanim dotarliśmy do miejsca przeznaczenia – malowniczego niemieckiego miasta Freiburg, położonego na południu kraju. Nie łudziliśmy się, że czeka nas dłuższy postój. Tyły nie są zazwyczaj miejscem stacjonowania jednostek karnych, ich powinnością jest być zawsze na pierwszej linii i krwawo zapisywać się na kartach historii. Krążyły fantastyczne pogłoski, że mają wysłać nas do Włoch, a stamtąd do Afryki, ale nikt nie mógł tego potwierdzić z całą pewnością. Pierwszego dnia zagoniono nas do

prac porządkowych, szkolono w prowadzeniu pojazdów mechanicznych i innych umiejętnościach. Czas wolny spędzaliśmy w nader przyjemnej atmosferze w restauracji, „Pod Złotym Jeleniem”, której jowialny gospodarz oczywiście nazywał się Schultz równie naturalne, okazał się starym znajomym Porty.

Wino było dobre, dziewczyny chętne, a nasze głosy mocne.

Od dawna nie brałem już udziału w tego rodzaju „szkoleniu”, a za mną pozostawały rzeczy tak koszmarnie i mimo wszystko wciąż świeże, że miałem poważne trudności w oderwaniu się od przeszłości. Jeśli jednak udawało mi się to od czasu do czasu, to głównie dzięki Porcie, Staremu, Plutowi i Mikrusowi. Wszyscy przeszli wszystkie etapy tego samego piekła co ja i stali się prawdziwymi twardzielami, a gdy w ich zasięgu znalazło się wino, panienki i śpiew, nic więcej już się nie liczyło.



*Kolejarz początkowo odmówił. Dobry narodowy socjalista nie może być gońcem wyjętych spod prawa. Lecz gdy Porta szepnął coś o całej butelce rumu, kolejarz natychmiast zapomniał, że jest lepszą od nas istotą. Przeszedł przez peron do naszego tłustego restauratora i po chwili powrócił ze sporym pakunkiem, który skwapliwie nam oddał. Porta obdarzył go głęboko przyjacielskim spojrzeniem.*

*– Jesteś członkiem partii, nieprawdaż? – ni to zapytał, ni to stwierdził z miną niewiniątka.*

*– Naturalnie – odrzekł kolejarz, wskazując na dużą odznakę partyjną zdobiącą jego mundur.*

*– Dlaczego pytasz?*

*Porta zmrużył swoje świńskie, zielone oczęta.*

*– Powiem ci, dobry człowieku. Jeśli jesteś członkiem partii, będziesz posłuszny wskazówce Führera, że dobro ogólne jest ważniejsze od interesu jednostki. I dlatego zgodzisz się z mniej więcej takim stwierdzeniem: „Dzielni bojownicy 27 Pułku Ognia i Miecza! By dopomóc wam jeszcze lepiej walczyć za Führera i Ojczyznę, pełen wdzięczności czynię wam prezent z butelki rumu, którą pan Józef Porta, Obergefreiter z bożej laski, w swej nieskończonej dobroci pragnął podarować mojej niegodnej osobie”. Czyż nie są to słowa dokładnie takie, jakie chciałeś nam teraz powiedzieć? Dobry człowieku, dziękujemy ci z całego serca. Możesz już odejść.*

*Porta wielkopańskim gestem wyciągnął rękę, uchylił czapki i wrzasnął:*

*– Giiiss Gott!*

*Gdy tylko zdruzgotany nazistowski kolejarz, wściekle zgrzytając zębami, odszedł, otworzyliśmy paczkę.*

*Było tam pięć butelek wina, pieczone prosię, dwa pieczone kurczaki oraz...*

## **IX Osobliwości Bałkanów**

Musimy pamiętać, że idziemy na wojnę – powiedział drżącym głosem – a wojna może być czymś zgoła niebezpiecznym. Słyszysz się o niej różne rzeczy; ludzie na niej umierają. Wyobraźcie sobie, że nadlatuje pocisk i zabija całą naszą piątkę jednocześnie... Albo – jego głos zbliżył się do pełnego przerażenia szeptu – wyobraźcie sobie, że nie trafia żadnego z nas, ale rozbija te trzy butelki, gdy jeszcze coś w nich zostało. To... to byłby praw dziwy horror wojenny!

Pomimo potencjalnego niebezpieczeństwa zostawiliśmy butelki z zawartością na później.

Wkrótce potem pociąg ruszył.

– Jedziemy! Jedziemy!

Bóg jeden wie, dlaczego wrzeszczeliśmy. Był to fakt całkowicie oczywisty tak dla nas, jadących w wagonie towarowym, jak i dla osób znajdujących się na zewnątrz. Rozsuwane drzwi były otwarte z obu stron wagonu, a my staliśmy w nich, wrzeszcząc aż do ochrypnięcia. Nieważne, czy dostrzeżliśmy kota, krowę, nie mówiąc już o kobiecie – wszystkich

pozdrawialiśmy grzmiącymi wiwatami.

– Powiedzcie mi wreszcie, czym, u diabła, tak się entuzjazmujemy? – odezwał się nagle Stary. – Czy jesteśmy aż tak szczęśliwi, że ruszamy na zarżnięcie?

Porta przerwał okrzyk w połowie i zastanowił się.

– Czemu tak się cieszymy? No cóż, mój kochany, malutki prosiaczku, rozumiesz, my się cieszymy... ale dlaczego?

Spojrzał na każdego z nas.

– Myślę, że wiem – powiedział Mikrus.

– A więc?

– Ponieważ – popatrzył na nas z patosem – ponieważ... czy kiedykolwiek słyszeliście o wojnie, na której ludzie milczą? – I po namyśle dodał: – A właśnie teraz wyruszyliśmy z wielką misją. Jedziemy, aby wesprzeć Führera, aby pomóc naszemu wielkiemu Adolfowi w naprawdę wielkiej klęsce, aby ta parszywa wojna mogła się zakończyć i nasza wspaniała porażka stała się nareszcie piękną rzeczywistością.

Porta podniósł Mikrusa do góry, ucałował go w oba policzki i postawił. Po czym wyciągnął swą długą, łabędzią szyję i wydał z gardła triumfalny ryk, który musiał dojść do samego Führera, tyle że ten być może go nie zrozumiał.

Nie do mnie należy formułowanie ocen, ale patrząc z perspektywy szeregowego żołnierza, słynny niemiecki talent organizacyjny chwilami nie wywiera najlepszego wrażenia, w każdym razie gdy chodzi o przerzut wojsk. Błyskotliwe zdolności planistyczne Sztabu Generalnego i tak zachwalana organizacja, w oczach transportowanego szeregowca „robią bokami”. Przerzucenie jednostki z punktu A do punktu B trasą w miarę zbliżoną do linii prostej, do tego bez wielokrotnych i długotrwałych postojów pośród łąnów zboża albo na bocznicach dworców towarowych, jest właściwie niewykonalne – jednym słowem przetransportowanie jednostki wojskowej bez straty czasu i paliwa oznaczałoby rewolucję w sposobie prowadzenia wojny. Jej złowieszczym efektem byłoby „wzięcie w łeb” wszystkich wspaniałych planów sztabowych, bo nie powodowałyby już bałaganu. Dobrze poznaną prawdą, którą mogą poświadczyć szeregowcy wszystkich armii, jest fakt że wojny nie da się prowadzić bez bałaganu. Chaos i powszechny brak szacunku dla życia ludzkiego, prowiantu, zaopatrzenia i wysiłku umysłowego, ukryte w takich sformułowaniach, jak: „posuwanie się naprzód zgodnie z planem”, nie mówiąc już o „skróceniu linii frontu” oraz „elastycznym odwróceniu”, wywołują niezmiennie tragiczne skojarzenia z rzeczywistością, którą trudno sobie nawet wyobrazić.

Wydaje mi się, że istnieje jednak swoiste wyjaśnienie wszechobecnego bałaganu towarzyszącego prowadzeniu wojny. Mianowicie, gdyby nie było bałaganu, to może dałoby się ustalić, kto i za co jest odpowiedzialny. Jeśli przyjąć, że bałagan to brak odpowiedzialności,

wówczas rzecz staje się logicznie zrozumiała. Stąd:

Jeśli wojna to bałagan, a bałagan to brak odpowiedzialności, to cała wojna jest brakiem odpowiedzialności.

Do tego równania będziemy jeszcze często powracać.

W związku z „brakiem odpowiedzialności” przetoczyliśmy się przez granicę serbską, gdzie zakomunikowano nam, że odtąd do odwołania stajemy się 18 batalionem 12 Dywizji Pancерnej i jedziemy na jakiś poligon na Bałkanach, gdzie zostaniemy przeszkoleni w obsłudze nowego czołgu, a stamtąd pojedziemy na front. Gdy dotarło to do nas, Porta z zachwytem wyszczerzył w uśmiechu swój samotny przedni ząb.

– Przy naszym obecnym tempie jesteście ustawieni na następne trzydzieści cztery lata – powiedział. – Nasze powodzenie jest przesądzone. Wszyscy staniemy się szczęśliwi i fantastycznie bogaci, i powiem wam, dlaczego. Na Bałkanach biznes kwitnie jak nigdzie w Europie, ponieważ wszelki handel dokonywany jest tam metodą naturalną – okradamy się nawzajem i nikt nie robi o to żadnego hałasu. A kim jest żołnierz, jeśli nie dobrym handlowcem? Teraz bądźcie dobrymi żołnierzami, pamiętajcie czegoście się nauczyli i korzystajcie z tej wiedzy. Będę opuszczał prześliczne Bałkany jako człowiek młody, bogaty, szczęśliwy i na zawsze ustawiony.

Z Zagrzebia do Banja Luki, z Banja Luki do Sarajewa, stamtąd nagłym zwrotem na północ do Bosanskogo Brodu, następnie na wschód przez granicę do węgierskiego Pecu – w ten sposób eszelon z 18 batalionem krążył tam i z powrotem, dokonując chwalebnych i wiekopomnych czynów, choć nie całkiem takich, o jakich donosiły Europie komunikaty z frontu i jakie można było z zapartym tchem śledzić w kinach, gdzie „dokumentalne” kroniki wyświetlano przy akompaniamencie dziarskich tonów muzyki wojskowej. Cóż, 18 batalion nie był pokazywany w kronikach filmowych ani wymieniany w komunikatach. Był to tylko jeden z setek szarych pododdziałów, które wielokrotnie zmiatano z powierzchni ziemi, formowano na nowo, znowu zmiatano i ponownie formowano, i tak bez końca, dla sprawy nam wstrętnej. Szkoda tylko, że nie umieliśmy wyrażać naszych odczuć z tak godną zazdrości zwięzłością jak Porta, który na zawołanie potrafił pierdnąć, stawiając w ten sposób kropkę nad „i” po wysłuchaniu fantastycznych treści „przeglądu wydarzeń” w radiu.

Prawie zgubiliśmy Portę w małym miasteczku Melykiit, na północny wschód od Pecu. Zjawił się na stacji w ostatniej chwili i trzeba było wciągać go do ruszającego już wagonu. W parę chwil później, gdy mijaliśmy jedną z ruder na przedmieściach, ujrzeliśmy trzy Cyganki entuzjastycznie machające w naszym kierunku. Porta pozdrowił je w ten sam sposób i wrzasnął:

– Do widzenia, dziewczynki. Jeśli urodzi się dziecko i będzie to chłopiec, nazwijcie go po ojcu Józef. I na Świętą Dziewicę nie dajcie mu zostać żołnierzem, już raczej alfonsem, to zajęcie

bardziej godne szacunku.

Po czym rozsiadł się wygodnie w kącie wagonu, wydobyl z kieszeni niewiarygodnie zatłuszczoną talię kart i wkrótce oddaliśmy się bez reszty grze w oko. Graliśmy już cztery godziny, kiedy pociąg zatrzymał się w Makó, stacji granicznej na południowy wschód od Szegedu.

Powiedziano nam, że zanim wjedziemy na terytorium rumuńskie, nastąpi dziesięciogodzinny postój. Wskoczyliśmy z wagonu i udaliśmy się na spacer, aby trochę rozejrzeć się po okolicy. Jak zwykle Porta oddalił się w sobie tylko znanym kierunku. Niedługo potem wrócił, bez pośpiechu podszedł do Starego i do mnie i z miną niewiniątka wyszeptał:

– Chodźcie ze mną!

Miejscowość – będąca czymś pośrednim pomiędzy małym miasteczkiem a dużą wsią – wydawała się roztopiać w popołudniowym upale. Gdy niespiesznie podążaliśmy za Porta, nasze ubrania zdążyły już stać się lepkie od potu. Szliśmy główną ulicą, gdzie chłopcy w postrzępionym odzieniu zalegli uśpieni w cieniu drzew. Nagle Porta przeskoczył przez kilka płotów i żywopłot, a my w ślad za nim, i znaleźliśmy się w uliczce pełnej domków z małymi ogródkami.

– Umiem to wyniucać – powiedział Porta i ruszył truchtem.

Rezultat wypadu był taki, że Stary i ja zostaliśmy za żywopłotem, trzymając w rękę po uduszonej gęsi, zaś Porta uciekał na złamanie karku, ścigany przez tłum wyjących mężczyzn i kobiet.

Pośpieszyliśmy w stronę pociągu, ukrywszy uprzednio na miejscu gęsią zdobycz. Przy okazji chcieliśmy przyjść Porcie z pomocą.

Znaleźliśmy go w otoczeniu wspaniałego pocztu, złożonego z węgierskiego porucznika, kilku Honwedów z bagnietami na broni, dwóch naszych żandarmów i około pięćdziesięciu żywo gestykulujących cywilów-Węgrów, Rumunów, Słowaków i Cyganów.

Porta znosił to towarzystwo ze stoickim spokojem.

– Jak widać – zwrócił się do nas – regent Horthy,\*[\* Admirał Miklós Horthy w latach 1920-1944 stał na czele Królestwa Węgier jako regent. W 1940 roku pod naciskiem III Rzeszy przystąpił do Paktu Antykominternowskiego. Węgry pod jego rządami wzięły udział (po stronie Niemiec) w wojnie przeciwko Jugosławii i ZSSR.] największy w tym kraju przyjaciel naszego Führera, przydzielił mi honorową eskortę.

Na szczęście, gdy dotarliśmy do wagonu sztabowego, „procesję” przyjął major Hinka. Hinka był młody, przywoity, a przy tym otaczał Portę szczególną opieką. Spokojnie wysłuchał wszystkich oskarżeń z ust węgierskiego porucznika, a gdy ten skończył, odrzekł:

– Co, u diabła, chciałeś znowu narobić, człowieku?! Rabunek i usiłowanie zabójstwa! Nie tylko ukradłeś gęsi, zwalając nam na kark całą ludność tej miejscowości, ale także, niech cię diabli porwą, napadłeś na węgierskich żołnierzy, naszych towarzyszy broni. Jakby tego było

mało, kopnąłeś jeszcze cennego psa, połamałeś sztuczną szczękę szefowi policji, wywołałeś dwa poronienia. Co masz na swoją obronę, ty krzywonożna małpo?

Wszystko to zostało wyrzeczane w taki sposób, że rozgorączkowany tłum mógł oczekiwać, że Porcie się tego dostanie.

Porta odwrzasnął:

– Panie Majorze, ta banda bredzących idiotów składa się z tak beznadziejnych łgarzy, że moja pobożna dusza jest wstrząśnięta do głębi. Na przenajświętszą sękatą maczugę świętej Elżbiety przysięgam, że szedłem sobie spokojnie i bezkonfliktowo, beztrosko ciesząc się przepięknym widokiem i cudowną pogodą. Właśnie byłem w połowie cichej modlitwy dziękczynnej do Boga za to, że pozwolił mi zaliczyć się do szczęściarzy, którzy zostali żołnierzami naszego wielkiego i ukochanego Führera, dzięki czemu mogłem się wydostać z naszego dobrego starego Berlina, aby poznać szeroki świat, gdy bezceremonialnie, w sposób skrajnie szkodliwy dla moich delikatnych nerwów, zostałem wyrwany z mych pobożnych i pięknych rozmyślań przez bandę dzikich diabłów, które nagle wypadły z jakichś krzaków, gdzie się na mnie zasadziły. Nie miałem pojęcia, czym im się naraziłem, ale przecież nie może to nikogo dziwić, że wydałem tylko okrzyk przerażenia i natychmiast rzuciłem się do ucieczki? Mogłem się tylko domyślać, że chcą mnie zamordować, bo przecież nie wyglądali na przechodniów, którzy chcieliby pożyczyć zapalki, a ponieważ jeden z nich miał zegarek, nie zamierzali zapewne pytać mnie o godzinę. Gdy z największą dozwoloną prędkością znikalem już za narożnikiem domu, wpadłem na jednego z tych operetkowych wojowników z piórami na idiotycznych kapeluszach i pudełkiem farb na piersiach. Gdy próbował mnie zatrzymać, nie zdołałem wyhamować i lekko go potraściłem, zapewniam jednak, że nie miałem najmniejszej intencji uchybienia jego powadze. Przypuszczam, że upadając, musiał o coś nader mocno uderzyć, ale jeśli do tej pory jeszcze nie wstał, to chętnie pomogę odstawić go do szpitala. Następnie, gdy stado tego pierzastego drobiu pojawiło się dookoła, wyjął dokładnie tak, jak to robią Indianie wstępujący na ścieżkę wojenną, o czym czytałem we wspaniałej książce – pan Major z pewnością ją zna, nosi tytuł „Łowca jeleni”, a jeśli pan jej nie czytał, to mogę o nią napisać do domu, do babci, bo wiem, że ją ma...

– Wystarczy – wrzasnął major Hinka. – Czy mogę usłyszeć coś na temat gęsi?

Panie Majorze – odparł Porta, przy czym, ku naszemu niekłamanemu podziwowi, po jego brudnych policzkach pociekły łzy – nie mam pojęcia, o jakich gęsiach mówią ci ludzie. Ale panie majorze, ja często bywam brany za kogoś innego. Jestem przekonany, że mam już co najmniej dwóch sobowtórów, i jestem z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Moja babcia też tak uważa.

Majorowi Hince zadrgały mięśnie twarzy, ale udało mu się zachować powagę i zwróciwszy się do węgierskiego porucznika, zapewnił go, że Porta zostanie należycie ukarany za grabież.

Tego wieczoru Major Hinka jadł z nami na kolację pieczoną węgierską gęś.

„Skontrolowaliśmy” nieskończoną ilość wagonów towarowych, aż wreszcie natknęliśmy się na duży, zamknięty wagon, którego drzwi były zaplombowane i opieczętowane wojskową referentką.

Wszelako plomba, jak i ciężka kłódka na drzwiach wagonu były już naruszone, więc Stary szybko odsunął je na bok.

– Popatrzcie na to i powiedzcie, co o tym myślicie.

Prawie padliśmy trupem na widok, który ukazał się naszym wytrzeszczonym oczom. O, bogowie! Czy takie rzeczy jeszcze istnieją na świecie? Puszki ananasów, kandyzowane owoce, wołowina, szynka, szparagi, langusty, krewetki, oliwki, portugalskie sardynki, słoje z imbirem, brzoskwinie, prawdziwa kawa i herbata, czekolada, papierosy i wino, białe i czerwone, koniak, szampan... Sklep kolonialny na kolach! Poemat! Orientalny spektakl!

– Wszzechmogący Boże! – jęknął Mikrus. – Kto jest odbiorcą tego wagonu?

– Chciałeś powiedzieć: „Kto był jego odbiorcą” – sprostował Pluto. – Nawet taki potwór jak ty przyzna, że to Opatrzność musiała cię prowadzić. A Bóg nie okazał nam swojej przychylności po to, abyś teraz stał i zadawał głupie pytania.

Nazajutrz dotarliśmy do wielkiego dworca towarowego w Bukareszcie, gdzie mieliśmy opuścić pociąg, Porta znikł ze skrzynką wina i wkrótce potem lokomotywa manewrowa przetoczyła „delikatesowy” wagon na odległą bocznice, gdzie został skutecznie ukryty przed ciekawością ludzi. Porta nawet postarał się, aby pewien Stabsfeldwebel wystawił dla tego wagonu list przewozowy, stwierdzający, że rzeczywiście należy on do 18 batalionu.

## **X Bałkańskie wspaniałości**

Zostaliśmy zakwaterowani w rumuńskich koszarach nad Dąbrowicą, o „rzut kamieniem” od rumuńskiej stolicy. Pewnego sobotniego wieczoru Porta wybrał się do Bukaresztu na pokera z paru znajomymi Rumunami i nie wrócił nawet na niedzielny apel poranny. Nie oznaczało to jeszcze afery, tyle że musiałem krzyknąć: „Jestem!”, gdy wyczytano jego nazwisko.

Pluto przekonywał, że Porta pewnie przegrał wszystko, łącznie z mundurem, i prawdopodobnie zabawia się teraz z jakąś dziewczyną w oczekiwaniu na nasz ratunek. Reszta uznała, że to raczej mało prawdopodobne, gdyż Porta był prawie genialnym oszustem karcianym. Uważaliśmy, że najbardziej prawdopodobna jest wersja, iż Porta oskubał pozostałych graczy i został przez nich w odwecie zamordowany.

Zaraz po śniadaniu pospieszyliśmy do miasta na poszukiwania. Nie było to bynajmniej proste zadanie, bo Bukareszt okazał się milionową metropolią. Zajmował znaczny obszar pełen wielkich parków, szerokich bulwarów i ciągnących się bez końca arterii z rezydencjami w otoczeniu ogrodów.

Okazało się jednak, że nie musieliśmy się specjalnie trudzić. Otóż na jednej z ulic w zamożnej dzielnicy dostrześliśmy osobliwy pochód idący z naprzeciwka – tak osobliwy, że wszyscy przechodnie przystawali, gapiąc się ze zdumieniem. Tworzyło go czterech ludzi: dwóch rumuńskich szeregowców, sierżant włoskich bersalierów i mężczyzna w pełnej gali wieczorowej. Wszyscy zataczali się pod ciężarem lektyki wielkości przedziału kolejowego. Tragarze usiłowali śpiewać – choć był to jeden wielki ryk – „W perskim ogrodzie” do akompaniamentu fletu. Flecista był niewidoczny, najwyraźniej siedział wewnątrz niesionego „potwora” zdobionego czerwonym lakierem i złoceniami. Nagle usłyszeliśmy krzyk:

– Niewolnicy, stać! Przygotować się do lądowania! Baczość... lądujemy!

Dwaj idący na czele „tragarze” opuścili na ziemię swój ciężar z hukiem, który musiał być słyszalny w promieniu kilku kilometrów, po czym z wnętrza lektyki wypadł Porta. Również i on miał na sobie kompletny strój wieczorowy: koszulę z gorssem, frak, cylinder, a w oku – monokl. Powitał nas gestem, który francuscy powieściopisarze z przełomu wieków określali jako „nieobyčajny”, po czym odezwał się dystyngowanie:

– *Cher amis! Mes freres!* [\*] [\*] Drodzy przyjaciele! Moi bracia! (franc.)] Nazywam się hrabia de la Porta, z bożej łaski *von undzu*. Jeśli się nie mylę, to jesteśmy sobie znajomi, nieprawdaż, panowie? Czy niemiecki oręż ma się pomyślnie? Niechże spojrzę na listę dzisiejszych zwycięstw.

– W czym ty, u diabła, teraz podróżujesz? – zapytał Mikrus. – Czy nasz przyzwoity wagon towarowy nie jest już dla ciebie wystarczająco dobry?

– Myślę poważnie o udaniu się na Front Wschodni w tym specjalnym środku lokomocji, obecnie zarezerwowanym wyłącznie dla najlepszego żołnierza Wehrmachtu. James – to było skierowane do mnie – ty będziesz odtąd kroczył zawsze za mną i podawał mi karabin, gdy będę zmuszony wystrzelić. Zadbasz też o to, aby najlepszy syn Niemiec właściwie wymierzył, zanim pociągnie za spust. W tej wojnie nie możemy sobie pozwolić na chybione strzały.

– A gdzie twój mundur?

– Panowie, to jest wojna dżentelmenów. Włożyłem więc strój dżentelmena... Wraz z tą lektyką i tym nienagannym frakiem wygrałem dwa tysiące trzysta lei i bardzo piękną pozytywkę, która wam zaraz zagra.

Porta znikł na moment w przepastnej lektyce, po czym wynurzył się, trzymając wspaniałą rokokową pozytywkę, z której wydobywały się tony menueta, podczas gdy dwie porcelanowe pasterki tańczyły dookoła. Niewątpliwie był to kosztowny drobiazg. Kilka dni później Porta podarował go w tramwaju konduktorowi.

– I na koniec wygrałem kochankę... z udami i całą resztą.

– Z czym?

– Jak to z czym? – powtórzył jak echo Porta. – Czyżbyś nie wiedział, moje dziecko, co to



jest kochanka? To zabawka hrabiów i baronów. Ma uda, piersi i pośladki. To właśnie służy do zabawy. Można ją kupić w bardzo drogich sklepach, gdzie podczas demonstrowania modeli podają szampana. Model nim się poruszy, musi zostać nakręcony przy pomocy czeku. Porusza się w górę i na dół, aż się zmęczy, a wówczas należy go nakręcić kolejnym czekiem. Jeśli masz wystarczająco dużo czeków, to nigdy się nie zatrzyma.

Porta cisnął butelkę wina swym tragarzom i wrzasnął: Niewolnicy! Oto wasze paliwo! Pijcie i weselcie się!

Następnie wręczył nam kilka butelek sznapsa i oświadczył wylewnie:

– Śpiewajmy pochwałę dobrych, starych bogów!

Przyłożył flet do ust i zaczął grać, zaś jego czterej uradowani tragarze zaśpiewali chórem:

*Oto nadszedł czas, by opróżnić pełen puchar!*

*Oto czas, by swobodnymi stopami wybijać rytm taneczny!*

*Oto czas, towarzysze, by salicką ucztą ozdobić łoża bogów!*

– Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś Horacego? – spytałem.

Porta odrzekł bezczelnie, że to on sam jest autorem tych wersów.

– Doprawdy? – zdziwił się Stary. – Do głowy mi nie przyszło, że jesteś już tak wiekowy. Rzymianie śpiewali to dwa tysiące lat temu.

Następnie „niewolnicy” Porty przekazali nam barwny opis wydarzeń ubiegłej nocy. Porta grał w pokera z młodym baronem. Obaj oszukiwali tak ordynarnie, że dziecko by się w tym połapało. W końcu Porta wygrał wszystko, z ubraniem barona włącznie, po czym ucztował z czterema wesołkami, którzy teraz nieśli go w lektyce na ulicę Bazarową, wraz z pewną damą, którą Porta również wygrał od nieszczęsnego barona.

Wreszcie postój dobiegł końca, „niewolnicy” unieśli lektykę i, zataczając się, ruszyli dalej w drogę, podczas gdy my pozostaliśmy na miejscu, kręcąc z niedowierzania głowami i ściskając otrzymane w prezencie butelki sznapsa.

Późnym niedzielnym popołudniem czterej niewolnicy złożyli Portę, flet i całą resztę pod murem otaczającym koszary. Udało nam się wciągnąć go do wewnątrz, po czy przekupiliśmy jednego z młodych lekarzy, aby przyjął go na izbę chorych, gdzie spał jeszcze przez dwie doby. Strój wieczorowy upchaliśmy na dnie jego żołnierskiego plecaka i od tej chwili Porta taszczył go zawsze ze sobą.

Być może „lektyka” wciąż stoi pod murem koszar na przedmieściach Bukaresztu, jako osobliwy rodzaj pokojowego pomnika wojennego. Jeśli się nie mylę, to Rumuni z pewnością będą spoglądać nań łaskawiej niż na ruiny, które pozostały w ich kraju na pamiątkę pobytu Wehrmachtu.

Gdyby istniało więcej takich osobników jak Porta, a znacznie mniej Hauptmannów Meierów, bez wątpienia moglibyśmy podbić każdy naród, zwyciężyć każdego wroga, a nawet uczynić go naszym przyjacielem i najbliższym sercu bratem. Zwyciężalibyśmy nieprzyjaciela nie w krwawej bitwie, lecz w turnieju pijackim, który nigdy nie jest tak ponurym przedsięwzięciem jak wojna, a ma tę wyższość, że środki służące odniesieniu takiego zwycięstwa radują wszystkich. Łatwiej bowiem wyleczyć się z kaca, niż kurować oderwaną szrapnelem nogę.

Nie przybyliśmy do Rumunii jako pożądanymi turyści, a już na pewno niejako fetowani towarzysze broni, chociaż gazety wieściły, że Niemcy i Rumunia to sprzymierzeńcy, którzy jak bracia walczą ramię w ramię za wielką sprawę. Ludzie tacy jak Porta i Stary, oraz wielu jeszcze galerników Wehrmachtu, bardziej trafiali w gust Rumunów niż opisywani w gazetach herosi. Tyle że nasze mundury na ogół nie były dobrze postrzegane, a właśnie tylko w tych mundurach mogli nas oglądać autochtoni. Widząc je, uważali nas za sprzymierzeńców Żelaznej Gwardii,\*[\* Żelazna Gwardia (Garda de Fier) – rumuńska masowa organizacja faszystowska założona w 1930 roku przez Comeliu Codreanu jako siła zbrojna Legionu Michała Archanioła. Zdelegalizowana w 1938, powraca na scenę polityczną w roku 1940, a jej lider Horia Sima (Codreanu został zamordowany) zostaje wicepremierem. Popierana przez Himmlera. Rozbita po nieudanej próbie przejęcia władzy w styczniu 1941 roku przez marszałka Iona Antonescu i armię, za którymi opowiedział się Hitler. Niedobitki znalazły schronienie w Niemczech.] arystokratów, antysemitów, dyktatora Iona Antonescu „oraz całej szlachty, która tłamsiła kraj klęską niedorozwoju. W rzeczy samej, w kraju naszych braci Rumunów było nam dużo trudniej fraternizować się z miejscową ludnością lub przynajmniej jej częścią, niż w wielu krajach, w których Wehrmacht przebywał jako nieprzyjaciel i okupant. Byliśmy towarzyszami broni, wobec których nikt nie mógł czuć niczego innego, niż daleko posuniętą nieufność. To, że Porta znalazł drogę do rumuńskich serc dopiero za pośrednictwem rozpustnego barona, tylko potwierdzało tę regułę. Jedynie wyższe warstwy nie wzbraniały się, aby mieć z nami cokolwiek wspólnego. Oczywiście, byliśmy tu przecież po to, by bronić ich pieniędzy i praw, by bronić ich nie tylko przed Sowietami i socjalizmem, lecz także przed maltretowanymi, niezadowolonymi rumuńskimi robotnikami i drobnymi rolnikami, których trzeba było krwawo poskramiać. Bosi, niedożywiony i uciskany lud nigdy nie zapala serdecznym uczuciem do obcych, bez względu na to, czy jego przywódcy będą przekonywać o łączącym go z nami braterstwie i wspólnym budowaniu nowego oblicza Europy. Życie w Rumunii wyglądało wtedy mniej więcej tak, jak sobie wyobrażam, że musi wyglądać obecnie w Hiszpanii,\*[\* Autor pisał te słowa w roku 1957, za czasów dyktatury generała Franco ] czyli prawie nie do wytrzymania, gdyż nikomu i niczemu nie można było ufać. Wrzenie społeczne kipiało tuż pod powierzchnią; trzeba było być ślepym, aby tego nie zauważyć.

Na nieszczęście wielu niemieckich żołnierzy oślepiło i ogłuchło. Nie zdołali dostrzec prawdziwego oblicza rzeczywistości. Zostali oślepieni przez Hitlera i ogłuszeni przez Goebbelsa. Wierzyli propagandzie i nie mogli zrozumieć, dlaczego Rumuni nie witają ich w sposób należyty zwycięskim herosom. Nie rozumieli tego i czuli się zawiedzeni. Nieliczni tylko zdołali rozeznaczyć się trochę we wszechobecnej zgniliznie, ale jeszcze w ojczyźnie zostali zanadto ogłupieni i zastraszeni, aby odważyć się nazywać sprawę po imieniu. Pozwalali im biec nadal starym torem i woleli odwracać wzrok, niż spojrzeć „towarzyszom broni” w oczy.

Porta był szczęśliwym wyjątkiem: oskubał rumuńskiego barona, wygraną przehułał w jeden wieczór, a resztkę łupu podarował w tramwaju rumuńskiemu konduktorowi. Radził sobie z miejscowymi lepiej niż my wszyscy razem wzięci. My musieliśmy na ogół zadowalać się przyjemnościami wzrokowymi: widokiem teatralnych piękności, nieskończoną melancholią puszczy, żyznymi płaskimi i rozległymi polami rumuńskiej pszenicy, malowniczymi krajobrazami Karpat; lokalnymi społecznościami pogrążonymi w południowej sjeście, a wieczorami – pełnymi życia; stadami owiec z samotnymi pasterzami w grubych, białych płaszczach i baranich czapach, z przewieszonymi przez ramiona skórzanymi bukłakami na sznurkach absolutnie odpornych na przemijanie; gromadami zabiedzonych, wielkookich i rachitycznych dzieci. Przynajmniej jednak – Bukaresztem. Białym, wspaniałym miastem z reprezentacyjnymi dzielnicami, luksusowymi samochodami, aroganckimi bogaczami, przyjezdnymi chłopami w barwnych strojach ludowych i odzianej w łachmany biedoty miejskiej.

Życie rumuńskiego ludu mogliśmy sobie tylko pooglądać; nie było nam dane w nim uczestniczyć, chyba że ktoś okazał się wyjętym spod prawa typem szubienicznika, jak Porta. Niekiedy jednemu czy drugiemu z nas, używając odpowiedniej artykulacji głosu i właściwej gestykulacji, udawało się zdobyć odrobinę milczącej sympatii i życzliwego zainteresowania – nigdy nie wyrażały się one słowami – ze strony mieszkańców kraju, w którym znaleźliśmy się w sytuacji mało pokrzepiającej: nieproszonych przyjaciół. Nie mogliśmy jednak oczekiwać niczego więcej – weszliśmy do tego kraju pod pretekstem walki ze wspólnym wrogiem, a w rzeczywistości stanowiliśmy dodatek do sił porządkowych utrzymujących w Rumunii system dyktatorskich rządów. Pod pretekstem obrony narodu rumuńskiego przed radzieckim podbojem, przybyliśmy przede wszystkim po to, aby chronić rumuńskie szyby naftowe, kopalnie, linie kolejowe, wielkie latyfundia i monopole: winny, zapalczany, tekstylny, cukrowniczy, papierniczy, kosmetyczny oraz nieskończoną ilość drobniejszych, aby w gruncie rzeczy strzec cały ten bogaty kraj z jego żyjącą w nędzy ludnością przed obraniem drogi prowadzącej do nacjonalizacji wszystkich tych bogactw.

Jakież bowiem prawo ma naród do złóż własnej ropy naftowej? Otóż dopóki stacjonowaliśmy w Rumunii wraz z Węgrami, Włochami i innymi zagranicznymi „przyjaciółmi”

- żadnego. Bogaci mieszkańcy byli nieprzyzwoicie bogaci, biedni – nieprzyzwoicie biedni, a obozy koncentracyjne... brrr, cała ta rzeczywistość była cokolwiek ciężko strawna.

Tutaj na Bałkanach, jak sądzę, dostrzegłem potrzebę nie tylko buntu wobec rzeczywistości, ale i zorganizowanego protestu przeciwko wojnie. Doszedłem do wniosku, że wojna nie jest tak zupełnie pozbawiona sensu, jak nieraz sądziliśmy w chwilach rozkołysania nastrojów i emocji.

Istotą sprawy było to, że mieliśmy wyciągać z ognia kasztany, a gdy już tego dokonamy, okaże się, czy będziemy umieli żyć pośród popiołów.

Te myśli nie były jeszcze wówczas do końca w mojej głowie skryształizowane, jasne, ale już uparcie kielkowały. Nie umiałem jeszcze ich roztrząsać, żyłem chwilą obecną i nigdy dogłębnie się nie zastanawiałem. Musiałem najpierw do końca dać sobie radę z najświeższymi wydarzeniami, zanim mógłbym przejść do czegoś tak fascynującego, jak myślenie.

*Od chwili gdy pożegnaliśmy się we Freiburgu, napisaliśmy do siebie wiele serdecznych słów, ale we wszystkich listach Urszuli dostrzegałem ton zniechęcenia, który niekiedy prawie doprowadzał mnie do szaleństwa męki nieodwzajemnionej miłości wraz z pragnieniem, by być zdolnym przekonać ją, że się myli, że mnie kocha i tylko sama boi się do tego przyznać.*

*Jej odpowiedź na mój telegram nadeszła wieczorem:*

*SPOTKAJMY SIĘ W WIEDNIU-STOP-CZEKAJ W DWORCOWEJ  
RESTAURACJI-STOP-URSZULA.*

## **XI Urszula**

Urszuli nie było. Jej pociąg musiał być opóźniony. Pewnie wkrótce nadjedzie. Siedziałem przy stoliku, skąd mogłem obserwować wejście. Niekończący się potok wchodzących i wychodzących. Od czasu do czasu wstawiałem z wściekłości, gdy tłum był tak wielki, że nie mogłem wszystkich ogarnąć jednym spojrzeniem.

Minęła ponad godzina.

Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem listy Urszuli i po raz tysięczny zacząłem je przeglądać, czytając po jednym wierszu, spoglądając co chwilę na drzwi. Nagle ogarnęła mnie panika: a jeśli weszła w chwili, gdy wzrok miałem skierowany na list; a jeśli stała tam i, rozglądając się, nie zauważyła mnie, po czym odeszła, wsiadła do pociągu i wróciła do Monachium?

Przesiedziawszy tak kolejne dwie godziny, wstałem i zapytałem, czy pociąg z Monachium jest opóźniony. Odpowiedziano mi, że przybył godzinę przed moim. Pracownik kolei był uprzejmy i przyjazny, ale zupełnie niezainteresowany moim problemem, którego powagę mógłby z pewnością wyczytać z mojej twarzy.

Czując się wewnętrznie spustoszony i rozdarty wahaniem, włączyłem się bez celu. Po cóż, u diabła, przyjechałem do Wiednia? Wróciłem w końcu do restauracji i zająłem ponownie swoje poprzednie miejsce, na przemian rozglądając się, zmuszając się do myślenia, kochając, płacząc bez łez, nienawidząc, snując pomysłowe teorie poszukiwań, pokonując nieprawdopodobne przeszkody, które mogły stanąć mi na drodze, podczas gdy cały czas wokół słychać było głosy, brzękały talerze, warczały dwie kasy rejestrujące, których szuflady to otwierały się, to zamykały. Wszyscy obecni byli zajęci zamawianiem, jedzeniem, rozmowami – po prostu życiem. Ja byłem jedynym, którego nikt nie znał, i dlatego nie mogłem żyć jak oni. Mogłem jedynie siedzieć, gdy moja świadomość oddalała się coraz bardziej od otoczenia, zaś życie wewnętrzne przyjmowało coraz to bardziej fantastyczne formy. Nie wierzę, że istnieje bardziej anormalna istota od osobnika, który przesiaduje w oczekiwaniu na ukochaną. Minęły już trzy godziny od umówionej pory spotkania, a ona wciąż nie nadchodziła. Moje szaleństwo stawało się coraz bardziej

bolesne, sięgało stanu, z którego może nigdy nie być ucieczki, jeśli ukochana nie przyjdzie.

Przyszła jednak, miękka, wdzięczna i wiotka jak płomyk. Moje palce zmiążdżyły trzymanego papierosa, którego żarzący się koniuszek parzył mi dłoń, ale mózg nie odbierał sygnału bólu, więc się poparzyłem, moje oczy odrzuciły jego wezwanie; patrzyły, patrzyły i patrzyły na szary kostium, solidne pantofle, przelotny uśmiech, małą brązową walizeczkę ze srebrnym monogramem „US” i dłoń, która ją trzymała, dokładnie takiego kształtu, żeby pasowała do karku mężczyzny.

– Wsiadłam do niewłaściwego pociągu. Tak mi przykro. Protestowałam, ale pomimo tego ucałowałam jej dłoń i tak przesunąłem stolik, by mogła usiąść koło mnie.

– Kochanie.

– Teraz, mój chłopcze, musisz najpierw zamówić swojemu misiaczkowi coś do jedzenia... Nie, nie, bądź teraz grzeczny, zamów coś pysznego i butelkę wina. Wtedy ci powiem, co będziemy dalej robić.

Zamówiłem kurczę z ryżem i wskazałem jakąś pozycję w karcie win. Nadal byłem w szoku i przy nie całkiem zdrowych zmysłach, ale zachowałem dość przytomności umysłu, by przez następny kwadrans ograniczyć swoje wypowiedzi do jednego słowa „kochanie”. Było to namacalny dowód na to, że w głowie mam niezupełnie po kolei, co mogło tylko sprawić jej przyjemność i zostać zaakceptowane.

Pojedziemy do Hochfilzen. Już za godzinę.

– Bardzo lubię tę miejscowość, a gdy przyszedł telegram, że dostałeś urlop i przyjedziesz, i że masz aż pięć dni, pomyślałam, że tam właśnie pojedziemy. Ty też przepadasz za górami, prawda?

– Kochanie.

– Jesteś absolutnie niemożliwy. Musisz wypić dużo wina. Musimy cię zrobić na powrót normalnym. Nie chcę podróżować w towarzystwie imbecyla. Co nie znaczy, że ja sama mam w głowie wszystko po kolei. W co ja się wpakowałam?

Opróżniłem jednym haustem moją szklankę, a następnie napełniłem obie. Jedzenie na moim talerzu pozostało nietknięte, ale ona zmiatała kurczaka, sos paprykowy, ryż i chleb, szczebiocąc i okazując wielką, podnoszącą na duchu witalność. Byłem odrobinę zawiedziony, że nie powiedziała mi, iż też powinienem jeść. Zawsze to powtarzała. Zawsze mówiła, że jestem za chudy, że powinienem jeść i jeść. A teraz tego nie powtarzała. Coś się w niej zmieniło i nie byłem pewien, czy nie jest po prostu zdenerwowana, podobnie jak ja, że siedzimy tutaj, poszukując się nawzajem powierzchownie i po omacku, wciąż od siebie odlegli.

– Wpakowałaś się w swój miesiąc miodowy – odpowiedziałem zamyślony. – Nasz miesiąc miodowy.

Roześmiała się, a potem, siedząc przez chwilę i spoglądając przed siebie ze zmarszczonym

czołem, nagle pochwyciła moją dłoń i przycisnęła ją do swego policzka. Siedzieliśmy tak, spoglądając na ulicę przed restauracją.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała. – Nic mi o tym nie wiadomo. Ale ponieważ masz tylko pięć dni i ponieważ być może już nigdy... otrzymasz wszystko czego zapragniesz, absolutnie wszystko. Cieszysz się?

To mnie kompletnie zaskoczyło. Zgłupiałem do tego stopnia, że spojrzałem na nią z wielką nadzieją. Ale ona nie oddała mi tej wielkiej nadziei, ona po prostu spełniała moją zachciankę, bo chciała być miła.

– Nie chcę spełnienia mojego pragnienia – odrzekłem – ale twojego... i na pewno zostanie ono spełnione. Czy nie powinniśmy pójść już na dworzec?

Gdy szliśmy peronem, znów wzięła moją dłoń i spojrzała na mnie.

– Idź i kup butelkę koniaku.

Gdy kilkanaście minut później w przedziale pewien Hauptmann sztabowy ujrzał elegancką kobietę, butelkę koniaku i nędznego szeregowca z pułku karnego, odwrócił się na pięcie, a chwilę potem zjawiała się żandarmeria. Zapadła konsternacja, gdy wyjąłem moje dokumenty, przepustkę oraz dodatkowy bilet na podróż drugą klasą. Urszula odpowiedziała na ich spojrzenia wyrazem pogardliwego oburzenia na twarzy. Na szczęście nie poparła go słowem. Gorliwy Hauptmann wysiadł w Linzu. Urszula nie uprzyjemniła mu podróży swoim towarzystwem, przez całą drogę bowiem milcząco spoglądała na niego z ironią. Para cywilów wysiadła w Setztal i stamtąd mieliśmy już cały przedział tylko dla siebie. Ku memu zdumieniu Urszula obdarzyła mnie długim, namiętym pocałunkiem, po którym chwyciła powietrze drobnymi, drżącymi haustami.

– Będziesz miał wszystko, czego zechcesz – powiedziała bez tchu, patrząc jednocześnie na widok za oknem. – Powinny być jakieś granice tego, co mogę dla ciebie zrobić. – Odwróciła się do mnie, ciągle z gniewnym spojrzeniem. – Możesz mieć to teraz, jeśli chcesz.

Cudownie było śmiać się, śmiać się naprawdę.

– Nie przejmuj się tym, co oni mówią. My tak nie robimy. Są nędzni i nikczemni. Czasem można się na którymś poślizgnąć, ale potem oczyszczasz buty i idziesz dalej. Wyczyść i ty swoje i chodź my dalej.

Otworzyłem butelkę.

– Czy wypijemy za te „czyste buty”?

Góry pomykały w oknie wagonu razem z kroplami deszczu, słupami telegraficznymi i zmierzchem. W końcu dopadła nas ciemność i została już z nami, dotrzymując towarzystwa. Gdy się obudziliśmy, była już trzecia rano, a powinniśmy byli wsiąść w Hochfilzen kwadrans po północy. Głośnik na peronie obudził nas słowami:

– Innsbruck. Innsbruck. Innsbruck.

Wygramoliliśmy się z wagonu pijani snem, a gdy Urszula poszła doprowadzić się do porządku, ja telefonowałem po wszystkich hotelach.

– Znalazłeś pokój? – zapytała, gdy spotkaliśmy się pod zegarem.

– Hotel „Jagerhof” – odparłem.

– Czy było trudno? Tak mi zimno.

Dzwoniłem kolejno do dwudziestu trzech hoteli, ale odpowiedziałem, że bez trudności, gdyż nigdzie nie potrafili oprzeć się mojemu melodyjnemu barytonowi. Ogromny hol dworcowy był opustoszały i w połowie zaciemniony. Ktoś gdzieś grzechotał wiadrem, a bliżej nas człowiek z szeroką, miękką miotłą metodycznie zmiatał tłuste trociny z płyt koloru terakoty.

– Wobec tego spędzimy nasz „miesiąc miodowy” w Innsbrucku – powiedziała. – Przykro ci?

– Nie, skądże. Tu także są góry. Pozwól, że wezmę twoją walizkę. Plac przed dworcem był również opustoszały. Padał deszcz, powietrze było zimne. Co teraz? Gdzie jest hotel „Jagerhof”?

– Poczekaj chwilę – powiedziałem i zawróciłem na dworzec, by spytać kogoś o właściwy kierunek lub zadzwonić po taksówkę. Nie było tam żywej duszy, ale obok kiosku z gazetami stała budka telefoniczna. Właśnie miałem otworzyć drzwi.

– Chwileczkę!

Puściłem klamkę i odwróciłem się. Drzwi zamknęły się powoli z sykiem.

– Chodź z nami.

W biurze żandarmerii było bardzo jasno. Zacząłem się pocić. Światło było o wiele za jaskrawe. Ostre światło nadal wywołuje u mnie zimne poty, nawet teraz.

Podoficer służbowy spojrział najpierw pytająco na dwóch żandarmów, którzy mnie przyprowadzili, a potem badawczo na mnie.

– Co jest grane? – zapytał. Tamci stali sztywno na baczność.

– Natknęliśmy się na tego typa koło dworca. Podoficer ponownie mi się przyjrzał.

– Co tam robiłeś o tak późnej porze? Stałem na baczność.

– Chciałem zadzwonić po taksówkę. Moja żona i ja przyjechaliśmy nocnym ekspresem z Wiednia, aby spędzić tu mój urlop. Oto moje papiery.

Obejrzał je.

– Urlop dla skazanego żołnierza. To dziwne. Popatrzyliśmy na siebie. Gdzieś zabręczała mucha. Brzęczała i brzęczała, latając zygzakiem po pokoju.

– Gdzie jest twoja żona?

– Została na zewnątrz przy głównym wejściu. Kiwnął głową w stronę jednego z żandarmów.

– Przyprowadź ją.

Nadśluuchiwałem jego kroków na zewnątrz i zezowałem na muchę. Podoficer poruszył się na krześle. Otworzyły się boczne drzwi i ukazała się w nich Zaspana twarz.

– Która godzina? – Pół do czwartej. Głowa znikła.



– Tymczasem chcę zobaczyć twój bilet.

Wzdrygnąłem się. Czy nie powinienem powiedzieć, że go wyrzuciłem? Wtedy zapyta, czy mam powrotny do Wiednia. Zażąda też, by Urszula pokazała swój bilet. Nie było wyjścia z tej sytuacji. Pokazałem.

– Ten jest tylko do Hochfilzen. Może to wyjaśnisz?

– Zasnęliśmy i obudziliśmy się dopiero tutaj, w Innsbrucku.

– Chcesz powiedzieć, że podróżowałeś z Hochfilzen bez biletu?

– Tak. Nie było czasu, by zapłacić. Śpieszyliśmy się przy wysiadaniu. Oczywiście niezwłocznie ureguluję różnicę.

Nic nie odpowiedział. Zadzwoił telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę.

– Policja dworcowa... Kto? Chwileczkę. – Przesunął palcem po liście wiszącej na ścianie tuż obok niego. – Nie, nie mamy go... To musi być pomyłka... Tak, jak zwykle bałagan. Tutaj zawsze jest bałagan... Chętnie sprawdzę jeszcze raz, ale i tak nic z tego nie będzie...

Weszła Urszula. Spojrzała na mnie przerażona. Czekaliśmy. Mucha brzęczała. Karny batalion. Karny batalion. Skazany. Skazaniec. Człowiek za biurkiem roześmiał się do słuchawki i odłożył ją.

Gdy na nas spojrzał, zażądał dokumentów Urszuli i wtedy musieliśmy przyznać, że nie jesteśmy małżeństwem.

– Jeszcze nie – powiedziała Urszula – aż do jutra. – Nagle wzięła się w garść. – A teraz proszę posłuchać – powiedziała – proszę nas puścić. To wszystko jest nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Gdybyśmy nie zaspali w przedziale, wysiedlibyśmy tam, gdzieśmy zamierzaliśmy, i nic z tego, co się tu teraz dzieje, nie miałoby miejsca. Sam pan wie, jak trudno jest mężczyźnie w... no... w karnym batalionie dostać urlop. Mój mąż go dostał. Nie zrobił nic złego, to moja wina, że zaspaliśmy. Rozumie pan, nie widzieliśmy się od tak dawna, a ja bardzo chciałam, żeby to było naprawdę szczęśliwe spotkanie. Chciałam, żeby poczuł się dobrze i – odrobinę uniosła butelkę koniaku - żeby się napił, i jeszcze aby... aby...

– Tak?

Była wspaniała. Zapłoniwszy się jak piwonია, z oczami pełnymi blasku i miotającymi błyskawice, w kobiecy, pozbawiony wszelkich skrupułów sposób uderzała aż do głębi serca i zmysłów mężczyzny.

– Widzi pan, mieliśmy przedział tylko dla siebie. Od tak dawna go nie widziałam. Nie zrobił niczego złego, zachował się jak dobry żołnierz.

Ostatnia uwaga była błyskiem geniuszu. Człowiek za biurkiem zwrócił nam dokumenty.

– Możecie iść. – Następnie spojrzał na mnie. – A ty nadal zachowuj się jak dobry żołnierz.

Gdy drzwi zamykały się za nami, ci w środku głośno parsknęli.

– Chodźmy stąd – szepnęła i pociągnęła mnie za sobą, ruszając prawie biegiem. – Boję się.

Gdy znów znaleźliśmy się na zalanym deszczem, pustym placu, ujrzałem, że jej twarz jest kredowo-biała, a czoło pokryte kropelkami potu.

– Podtrzymaj mnie – jęknęła – czuję, że zaraz zemdleję.

Stałem tam, z butelką w jednej, a walizką w drugiej ręce, i tuliłem ją w ramionach. Musiałem szybko postawić walizkę na ziemi i podtrzymywać Urszulę, aż usiadła na jakimś stopniu.

– Opuść głowę między kolana – poleciłem. – Teraz siedź nieruchomo, to zaraz przejdzie.

– Czuję się już lepiej – powiedziała, doszedłszy do siebie. – Czy jesteś bardzo zły?

– Z jakiego powodu?

– Tego, że omdlałam. Niezbyt sympatycznie urozmaicam ci urlop.

– Też mi coś! Gdybyś nie uratowała sytuacji na policji, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Jednego jestem pewien, gdyby zaczęli sprawdzać moje wyjaśnienia, telefonując od Heroda do Piłata, nie wy dostałbym się stamtąd wcześniej niż nad ranem. Tego rodzaju sprawy potrafią się potwornie ciągnąć, a mogę cię zapewnić, że połączenia telefonicznego z Bukaresztem nie uzyskaliby w ciągu kwadransa. Uważam, że byłaś bardzo dzielna i sprawiałaś się wspaniale... Musisz być okropnie zmęczona. Chyba powinienem złapać taksówkę?

– Nie, nie. Nie rozstawajmy się już więcej. Posiedzę tu jeszcze parę minut, a potem pójdziemy razem poszukać dorożki...

– Siedzieliśmy razem jeszcze chwilę, Urszula przytuliła się do mnie. Po chwili zaczęły wstrząsać nią dreszcze zimno mi.

– Chodź. Poruszamy się.

W końcu znaleźliśmy dorożkę i ze stukotem końskich kopyt podążyliśmy do hotelu. Był duży, biały, z otwartymi drzwiami balkonowymi i grubą warstwą żwiru na podjeździe, który raptownie spowolnił dorożkę. Stary portier wykreślił nazwisko Urszuli z księgi gości, do której je wpisałem, zawiadamiając mnie przyjacielskim tonem, że nie muszę wpisywać nazwiska panińskiego żony.

– Teraz wpisujemy tylko „z żoną” – powiedział z lekkim uśmiechem. – To wystarczy.

Zaczerwieniłem się jak piwonia. Wydawało mi się, że nawet windziarz miał na twarzy charakterystyczny uśmiezek, choć sztywno patrzyłem przed siebie. Gdy pokojówka przygotowywała posłanie, Urszula wyszła na balkon, a ja powiedziałem „Hm” i przeszedłem do łazienki. Wkrótce potem zostaliśmy sami, stojąc na środku pokoju i patrząc na siebie.

– No, to jesteśmy. Zapalisz?

Zapałka złamała się, a ręka Urszuli lekko drżała.

Czuliśmy się oboje potwornie nieswojo. Dookoła wysuszone powietrze nijakiego wnętrza pokoju hotelowego, gdzie wszystko było czyste i obce. Podniecenie. Czy to wszystko było tylko podnieceniem? Zmęczenie. Czułem się tak wypompowany i ociężały jak po nocnych

ćwiczeniach. Urszula stała z opuszczonymi ramionami, a jej piwne oczy wyrażały bezgraniczny smutek i wyczerpanie. Czyżby żadne z nas nie miało siły odgadnąć, czego w tej chwili oczekuje drugie? Urszula w końcu przerwała pełną zakłopotania ciszę.

– Teraz pójdę dokończyć papierosa na balkonie, a ty się rozbierzesz. To było okropne. Nie ośmieliłem się nawet powiedzieć słowa „łóżko”.

Czy istnieje jeszcze cokolwiek tak cichego jak noc? Góry w oddali były czymś wielkim, ogromem czającym się w ciemności w oczekiwaniu nadejścia dnia, aby ukazać swą potęgę. Wielkie góry, wspaniałe góry, jutro ujrzę was razem z Urszulą. Wyspani, zjemy jutro z wami śniadanie i porozmawiamy o odwiedzeniu was. Noc jest ciemna i jeszcze nie możecie się nam ukazać.

– Teraz możesz przyjść.

Jedna ze szklanek w łazience była prawie do połowy napełniona koniakiem. Druga była już opróżniona, lecz woń podpowiadała mi, że i w niej wcześniej był koniak. Butelka stała pusta. Wziąłem w dłoń szklankę.

Jeśli powiem, że jesteśmy zbyt zmęczeni, aby się kochać, ona być może pomyśli, że staram się być wyrozumiały, i odpowie, że owszem, jesteśmy, i w ten sposób pozostaniemy w martwym punkcie, w którym każde z nas będzie się obawiało zasnąć jako pierwsze. Może nawet poczuje się rozczarowana, choćby była śmiertelnie zmęczona. A jeśli powiem...

Doprawdy, niełatwo odnaleźć się w tych niuansach. Te ludzkie buhaje i ogiery w brutalnych amerykańskich powieściach a la Hemingway, wrażliwi kochankowie z rozdartymi sercami... W tym momencie zazdrościłem im wszystkim. Choć nie, żaden moment nie jest jeszcze definitywnie przesądzający, chyba że to śmierć.

– Zdrowie „czystych butów” – powiedziałem głośno i jednym haustem opróżniłem szklankę.

– Jesteś słodki – powiedziała przyciszonym głosem. Położyłem głowę Urszuli na swym ramieniu i naciągnąłem kołdrę aż po jej piersi.

– Jutro – powiedziałem – będę jednym z najbardziej namiętnych kochanków Hemingwaya. Szczyty górskie powiedziały mi, że rankiem pokażą się nam z najlepszej strony. A teraz, na Boga, śpijmy już.

Zaśmiała się. – Jesteś słodki.

Chyba nie najgorzej wybrnąłem z tego ambarasu.

Po chwili dodała:

– Dziękuję, kochanie.

Wtuliła głowę w poduszkę, splotła swoją lewą dłoń z moją prawą i tak zasnęliśmy. Spaliliśmy ciężkim, dobrym, wzmocnionym koniakiem snem, aby po kilku godzinach obudzić się jednocześnie, ułożeni w tej samej pozycji, w której zasnęliśmy.

Po prostu trzeba było wszystko odespać.

*– Kocham cię. Kocham cię całym sercem. Wielkie, błyszczące lzy polyskiwały na jej długich rzęsach i toczyły się po policzkach. Oczy miała zamknięte.*

## **XII Ostatnie dni**

Poranne słońce świeciło na nas przez otwarte na oścież drzwi balkonowe. Siedzieliśmy oboje w fotelach, pochłaniając śniadanie, które kelner przyniósł nam do pokoju. Uniosła w dłoni grubo posmarowaną kromkę.

– Musisz więcej jeść!

– Nie jestem w stanie jeść tyle, ile by mogło Cię zadowolić – odparłem. – Dawno już nauczyłem się zaspokajać głód niewielką ilością pożywienia. Ostatnie miesiące zmusiły mnie do tego.

– Musisz szybko pozbyć się tych niezdrowych nawyków. Jesz stanowczo za mało. Dobry Boże, chłopcze, przecież z ciebie zostały tylko skóra i kości.

Spojrzałem po sobie. Miała prawo tak sądzić. Ramiona miałem tak cienkie, że można było objąć je dłonią. Boże, co ona widziała w kimś wyglądającym tak jak ja? Ona, kobieta smukła, hoża i powabna. Mocne biodra, twarde i ładnie zaokrąglone pośladki. Po prostu stworzone po to, aby stać się matecznikiem dla plemienia opalonych, tłustych berbeci, wielkich długowłosych chłopców i rozchichotanych dziewcząt, bez przerwy przychodzących, by poprosić o coś do zjedzenia. I wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny, powracającego wieczorami do domu, chłopca jak tur – ale nie mnie.

– Jedz lepiej, zamiast litować się nad sobą. Jesteś akuratywny taki, jaki jesteś. Gdy skończymy śniadanie, oczekuję od ciebie bardzo wiele. Bardzo wiele. Ale najpierw musisz najeść się do syta.

Musisz zjeść dwa jajka. A potem bądź przerażająco orientalnym satrapą.

– Nie możesz mnie zmuszać do jedzenia – zrzędziłem. Chleb był w moich ustach okropnie suchy. Przeżuwałem go wciąż w kółko.

– Czego nie możesz?

– Siedzieć tu spokojnie, jedząc, w oczekiwaniu na to, co później ma nastąpić.

– Po prostu nie czekaj na to, co będzie później. A teraz jedz, kochanie. O właśnie, wypij szklankę mleka, może masz pragnienie. Jeśli już sama muszę zająć się twoją dietą, nie puszcę cię, dopóki nie zobaczę u ciebie brzuszka. Nie możesz zapominać, że jestem lekarzem i umiem dostrzec, iż masz krzywicę, twój organizm cierpi na brak witamin i mnóstwo jeszcze innych mankamentów zdrowotnych, nawet jeśli uważasz się za sprawnego „orientalistę”.

– Jestem bardzo, bardzo dobrze wyszkolony.

– A gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? Większość mężczyzn jest po prostu gwałtowna,

a myślą, że są zręczni.

– Gdy dostałem twój telegram ćwiczyłem na dziewięciu tysiącach kobiet i małym tureckim doboszu, specjalnie sprowadzonym z Konstancy.

Miała, czego chciała. Zjadłem wszystko i wypilem, co mi kazała, a potem okazało się, że oboje byliśmy bardzo, bardzo dobrze wyszkoleni. To nonsens, że mężczyźni chcą tylko *tego*. Mężczyźni chcą tego samego, co kobiety. Chcą tego, co jest źródłem i pokarmem każdej kultury – doznań.

Następnie wyruszyliśmy na górską wędrowkę, prosto do małego klasztoru, gdzie oprowadził nas białogłowy ksiądz. Obejrzelśmy wszystko, co można zobaczyć w górach. W jednym miejscu napotkaliśmy stado kóz i łaciatych krów prowadzone przez malowniczego pasterza z wielką brodą i w alpejskich butach. Potem usiedliśmy na chwilę, spoglądając na małą wioskę z krętymi uliczkami i domkami w dzieciennych, jaskrawych kolorach. Kilka wiejskich dziewczyn wyśpiewywało w akompaniamencie brzęku krowich dzwoneczków, a z wysokości napłynęła odpowiedź *Holidorio! Holidorio!* Wysoko na błękitnym niebie krążył orzeł. Żywy, nie heraldyczny, który trzyma całą Europę w swych krwawych szponach, lecz prawdziwy górski orzeł.

To była idylliczna sceneria, która może się stać w pewnej chwili nie do zniesienia. Zbyt nierzeczywista, zbyt bajkowa. Ośnieżone szczyty nazbyt majestatyczne spokojem – na ten widok buntuje się w człowieku niespokojna dusza. Trzeba albo wstać i iść dalej, albo zasnąć w wonnym, rozbrzmiewającym miriadami brzęczeń upale.

Idylla jednak trwała nadal. Ja, żołnierz, byłem nią wciąż bombardowany. Gdy siedzieliśmy tak, pochłaniając całe góry dobrego jedzenia i żłopiąc reńskie wino z kubków bursztynowego koloru, pogłaskałem jej uda, aż uciekła od łaskoczącego muśnięcia, i nagle ogarnęło mnie przerażenie i mnóstwo obaw: zostały nam już tylko dwa dni!

– Pomyśl tylko – odezwała się nagle – mamy jeszcze całe dwa dni.

Ale zaraz się rozpląkała i wpadła w nastrój równie melancholijny jak mój. Oberżysta na nasz widok powiedział: „Grüss Gott” a gdy oddalaliśmy się, odprowadzał nas poważnym spojrzeniem. Gdy uszliśmy już spory odcinek, Urszula obejrzała się, a on wciąż stał w drzwiach i z powagą machał do nas ręką.

– Jaki on był słodki – powiedziała.

– Zaiste.

Wzięła moją rękę i położyła ją sobie na ramieniu.

– Czy rozumiesz, chłopcze, że gdybym się w tobie zakochała, to byłoby to dla mnie piekłem?

– Gdybyś się we mnie zakochała? – odparłem zaskoczony. – Myślałem, że tak jest.

– Przecież przez cały czas powtarzałam ci, że nie. Tylko ty nie chciałeś mi wierzyć. Ale to

inna sprawa. Po prostu nie mogłam nie przyjechać. Ty... ty jesteś kimś, do kogo kobiety nie są przyzwyczajone. Przynajmniej nie ja. Może dlatego, że nie jestem szczególnie...

– Jesteś bardzo, bardzo – powiedziałem i opuściłem rękę, by objąć jej pierś; ale odsunęła ją i znów położyła sobie na ramieniu.

– Nie, nie mówmy o tym – zażądała. – To tylko wprowadzi nas w zakłopotanie. – Ale... nie wiem, co powiedzieć.

– A ja wiem – odrzekłem. – Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz. Urszulo, nie używajmy wielkich słów. Wiem, że sam zawiniłem, ale przez długi czas trzymałaś mnie na długość wyciągniętej ręki, więc nie zawiniłaś w ten sam sposób. Doprawdy, trudno jest w tej sprawie wypowiedzieć się obiektywnie.

– Jesteś taki mizerny i zmaltretowany. Czy wiesz, że krzyczysz przez sen?

– Doprawdy? Lecz poza tym czuję się świetnie.

– Być może. Ale dla mnie to piekło.

Nagle jakby zupełnie oszalała. Rzuciła się na mnie, łkając bez przerwy.

– Nie opuścisz mnie, prawda? – szlochała. – Nie wolno im zabrać mi ciebie, prawda?

– Nie, nie – powiedziałem. – Nie, nie.

To było jedyne, co potrafiłem wyjąkać. Pogłaskałem ją po plecach i wyszeptalem:

– Nie, nie.

Zupełnie nie mogłem się w tym wszystkim połapać.

Tego wieczoru założyła prostą, obcisłą czarną sukienkę i naszyjnik z zielonych i czarnych kamieni. Wyglądał na bardzo kosztowny. Wiedziałem, że mój czarny mundur czołgisty przydaje temu pewnego rodzaju ponurej elegancji, podkreślonej faktem nieposiadania przez mnie Żelaznego Krzyża czy jakichkolwiek baretek (jedynym urozmaiceniem były tylko zwyczajne, proste odznaki mej jednostki). Odczuwałem swoistą dumę, gdy widziałem, jak ludzie przyglądają się nam, gdy idziemy do naszego stolika.

Podczas posiłku przeszedł obok nas jakiś porucznik, ocierając się prawie o nasz stolik, i upuścił przede mną, niby przypadkiem, złożoną kartkę papieru. Podniosłem ją zdumiony i przeczytałem: „Jeśli jesteś tu nielegalnie, to pośpiesz się i wyjdź. Żandarmeria jest w sąsiedniej sali. Jeśli potrzebujesz pomocy, będę w holu”.

Popatrzyłem na Urszulę. Zgodziła się, że powinienem pójść za nim, podziękować za ostrzeżenie i zapewnić, że dokumenty mam w najlepszym porządku.

Odnalazłem go palącego papierosa w narożniku holu. Po krótkim wstępie podziękowałem mu, a potem powiedziałem:

– Czy będzie wielką śmiałością z mojej strony, jeśli zapytam o powód pańskiej zyczliwości?

– Jesteś czołgista, jak mój brat. Czy znasz Hugona Stegego? Oparłem natychmiast, że Stege jest jednym z moich najbliższych towarzyszy w kompanii.

– Niemożliwe! – zakrzyknął radośnie porucznik. – Trzeba to uczcić. Czy wraz z twoją panią przyjmiecie moje zaproszenie na ten wieczór? Znam takie zabawne miejsce, gdzie możemy pójść po kolacji.

Razem już wróciliśmy do stolika Urszuli. Przedstawił się jako Paul Stege, porucznik saperów. Gdy po wesołej nocy zegnaliśmy się przed hotelem, powiedział, że jeżeli będzie mógł nam w czymś pomóc, to wystarczy jeden telefon.

W pokoju hotelowym rzuciliśmy się zmęczeni na fotele, by w milczeniu wypalić ostatniego tego dnia papierosa. Na dworze już zaczynało świtać, więc wstałem i opuściłem żaluzję na drzwiach balkonowych. Następnie włączyłem radio. O tej porze zwykle nadawali dobrą muzykę, tak zwany koncert życzeń dla frontu. Orkiestra symfoniczna, z pewnością berlińscy filharmonicy, przedzierała się przez ostatnie takty preludium Liszta, by zagrznieć końcowym akordem. Hitler i Goebbels zniszczyli nawet ten wzruszający utwór, by zmienić go w ilustrację muzyczną dla swojej przekłętą wojny. To właśnie UFA wykorzystwała go jako tło muzyczne kronik filmowych, w których prezentowano dokonania Luftwaffe. To Luftwaffe otwierała drogę nam, broni pancernej. To Luftwaffe dosłownie zrównała z ziemią warszawskie getto w ciągu trzech dni i nocy. Gdy powrócił spokój i rozwiął się dym, nie pozostało tam nic wyższego niż dwa metry ponad poziom gruntu. Tylko garstka z wielu setek tysięcy Żydów uszła z życiem, idąc otoczona kordonem roześmianych esesmanów. Garstka Żydów i kilka milionów szczurów.

Przy dźwiękach radosnej muzyki Liszta.

– Wyłączmy to! – powiedziała Urszula. – Ten utwór działa mi na nerwy.

Wyłączyłem radio i rozebrałem się.

– Jakież to był cudowny dzień. Popatrz, wkrótce zrobi się widno. Aż wstyd kłaść się teraz spać.

– Uważam, że cudownie jest spać... w każdym razie przez parę godzin. Jesteśmy do cna umęczeni.

Życie zawsze powinno być tak cudowne, jak teraz. Z czego doprawdy człowiek może być w życiu zadowolony? Z jedzenia, gdy jest głodny. Z alkoholu, gdy poczuje lekki rausz i przypływ sił witalnych. Z rzeźkości, gdy rankiem przeciera oczy, wita go bowiem całkiem już rozbudzony dzień pełen słonecznego światła, i ze zmęczenia, jeśli tylko warte było podjętego trudu.

W tej chwili nie musiałem prosić o żadną z tych rzeczy, chciałem jedynie... zdejmować jej naszyjnik, i jeszcze pantofelek, dalej zamek błyskawiczny, tak, zamek błyskawiczny, ach, zamek... jest!

– Jak pewne są twoje ręce. Jak wiele umieją. Kiedy będę miała zdjęty drugi pantofelek? Nie, nie te! Te na końcu.

– Nie, teraz te.

Jednak zdjąłem również drugi bucik.

– Uważaj, by nie zrobić paznokciem oczka w pończosze. To moja ostatnia przyzwoita para. Och, czy nie mówiłeś, że pójdziemy spać?

Nie odpowiedziałem. Miałem moją lalkę do zabawy. Dałem jej też drugą lalkę i w ten sposób umilkliśmy, mocno, spokojnie wtuleni w siebie, z tą niezmierną powolnością, jak gromadzące się ogromne chmury na niebie, dość szerokim dla błyskawic przetaczających się grzmotów i dla gwałtownego deszczu, poprzedzającego nadciągającą burzę.

W życiu trzeba czekać na wiele zbędnych rzeczy, a ponieważ są niepotrzebne, czekający nań człowiek staje się szybko niecierpliwy, niespokojny, gwałtowny i podniecony, a tymczasem chmury z wolna przepływają mu nad głową i znikają – pozostaje tylko przeraźliwe zakłopotanie.

Ale jeśli pewnych rzeczy nie uznajemy za zbędne, nie trzeba nas zanadto zachęcać do działania.

– Teraz cię zjem.

Patrząc w oczy, w których fala pojawia się i znika. Być z samym sobą tak zaprzyjaźnionym, że bogowie użyczają ci swych zmysłów i potrafisz poczuć ciśnienie o masie miligrama, ruch o setną milimetra. To oznacza zjednoczenie ciała i duszy.

– Unieś się odrobinę – powiedziałem cicho. – O, właśnie. Tutaj.

– Dobrze... i co teraz?

Nie musiałem odpowiadać. Większe fale pojawiły się niespodziewanie i popłynęły przez nasze twarze.

Urszula nagle przewróciła się na bok i leżała odwrócona do mnie plecami. Przez jej ciało przebiegały rytmiczne dreszcze. Przez moje zresztą również. Oboje byliśmy do głębi wstrząśnięci. Żadne z nas się nie odezwało. Nie było nic do powiedzenia. Podniosłem z podłogi pierzynę, nim poczuliśmy zimno.

Zapisałem to dla przypomnienia, jako pamiątkę, że osiągnąłem to, co się nazywa pełnym szczęściem – zanim znów włączyłem radio.

– ...armie Rosji Sowieckiej, które mamy zaatakować. Ofensywa rozgorzała od Oceanu Lodowatego aż do Morza Czarnego i już napływają meldunki o pochodzie i zwycięstwach połączonych niemieckich... włoskich... rumuńskich...

Zerknąłem na Urszulę, wyprostowałem się na łóżku i cicho zawołałem. Spała. Bogu niech będą dzięki.

Niektórych ludzi moje wspomnienia zirytują, inni potraktują je z uśmiechem, gdyż nie brakuje ludzi oddzielających pojęcia ducha i materii, ciała i duszy. Niech się irytują i prześmiewają. W dniu, w którym sami zostaną obdarci ze skóry, zrozumieją to o wiele lepiej.

Następnego dnia wzięliśmy ślub w małym górskim klasztorze. W rolę ojca panny młodej



oddającego mi córkę wcielił się porucznik Paul Stege. Podarował Urszuli wielki bukiet białych róż, czym bardzo ją wzruszył. Białogłowy ksiądz opierał się początkowo przed udzieleniem nam ślubu, ponieważ byłem tym, kim byłem, ale uparliśmy się i gdy usłyszał, że jestem *Auslandedeutsche* duńsko-austriackiego pochodzenia, prawie naturalizowanym Skandynawem – wreszcie się zgodził.

– W młodości – powiedział – spędziłem wiele lat w tym małym północnym kraju, oazie w środku Europy. Miejmy nadzieję, że los ją oszczędzi, a jeśli tak się stanie, to pojedźcie i zamieszkajcie tam jak najszybciej.

Tego poranka Urszula otrzymała w darze prawdziwe rumuńskie skarby: jedwabną koszulę nocną z prawdziwej koronki, dwie pary cieniutkich jak pajęczyna majteczek, pięć par jedwabnych pończoch oraz pierścionek, który dał mi Porta. Był to złoty pierścionek z ogromnym szafirem w otoczeniu brylancików. Wszystko to po cenach czarnorynkowych warte było fortunę.

Z ostatniego dnia urlopu pozostały mi tylko ułamki wspomnień.

– Co nas obchodzi ta głupia wojna? Wiemy, że należy odtąd tylko do siebie.

– Nie, nie, nie, musisz mi obiecać. Jeśli cokolwiek się zdarzy, musisz mi obiecać, że się tego pozbędziesz. Musimy poczekać aż wojna się skończy i zobaczymy, jak ten kraj wygląda.

– Kochanie! Czy pamiętasz, że w Wiedniu nie mówiłeś niczego innego poza „kochanie”. A teraz ja mówię „kochanie” i nic innego.

– Obiecuj mi, że będziesz bardzo się o siebie troszczył. Przestań ciągle zgłaszać się na ochotnika. Obiecuj, że naprawdę będziesz często pisał. Och, Svenie, Svenie!

– No, dobrze już, dobrze... Nie powinnaś teraz płakać. No, dobrze już, dobrze.

– Do widzenia, Svenie. Czy zapamiętałeś...?

Urszula, Urszula. Biała twarz, cofająca się coraz szybciej. Urszula, Urszula, Urszula, dum-dudum, dum-dudum, koła, ko-ła...

Słupy telegraficzne uciekały w przeciwną stronę. Przedziały wagonów były przepełnione. Ludzie gadali i gadali. Dawali wiarę komunikatom donoszącym o sukcesach, a to, być może, spowodowało, że poczułem się jeszcze bardziej przygnębiony i wyobcowany, niż podczas pożegnania z Urszulą. Któremu z tych bełkoczących, bezmyślnych, do głębi wytresowanych stworzeń mogłem wytłumaczyć, że perfekcyjną maszynę militarną, jaką mają niemieccy generałowie, spotka nędzny koniec i to już niedługo? Któremu z nich mógłbym powiedzieć, że ta perfekcja w rzeczywistości nie była aż tak doskonała, jak powszechnie sądzono, że polegała wyłącznie na odruchach bezwarunkowych, wpojonych aż do głębi genów: żołnierz w postawie zasadniczej nie budzi jakiegokolwiek szacunku jako człowiek, zaś generałowie nie mają dość rozumu, aby oczekiwać czegoś więcej niż tylko perfekcyjnego stawania przed nimi w postawie zasadniczej.

Kompletnie brakowało im zdolności rozpoznawania sytuacji i oceny marszruty, którą

podążali. Polecono im iść, to szli. Maszyna maszerowała na wroga, który miał to, co przesądza o zwycięstwie: rację moralną.

Tylko ludziom takim jak Stary i Porta mogłem powiedzieć, że jesteśmy jedynie zgniłymi, starymi rekrutami; ale oni i tak to już wiedzieli. W owych latach tego rodzaju myśli trzeba było jednak trzymać tylko dla siebie.

– Dla mnie – oświadczył Stary – był to bardzo miły urlop spędzony z żoną i dziećmi. Cudowny – ale, jaki jest pożytek z kilku dni? Żona została motorniczym na linii numer 61.

To zawsze lepiej, niż być konduktorką. Teraz w domu nie ma już kłopotów z finansami. Piekielna sprawa, że muszę tu wracać do tych brudów. Gdybym miał dość szczęścia, żeby odstrzelono mi nogę, wtedy skończyłaby się dla mnie ta parszywa, nazistowska wojna.

– Lepiej byłoby rękę – oświadczył Porta.

– Jeszcze nawet na tej wojnie nie byliśmy – zauważyłem. – Ale, dobry Boże, może pozwolisz nam wyjść z niej cało.

Stary ukrył twarz w dłoniach.

– Myślę, że mieliśmy jej już dość – wyszeptał. – Nie proszę o więcej. Nie czuję potrzeby wspianiałych zwycięstw. Czuję potrzebę spokoju. Ujść cało? Kto będzie chciał mieć z nami cokolwiek wspólnego, gdy wyjdziemy z tego cało? Nikt. Nawet my sami. Niech to diabli porwą.

Porta włożył flet do pudełka. Stracił chęć gry.

### XIII Urlop Porty

Mogą sobie wziąć ten swój meldunek i go (...). Nim nadejdzie, już będę na pustyni i chciałbym widzieć, co mi tam zrobią za to, że zasmarkany kolejarz dostał zasłużonego kopa w „truskawę”.

Porta wydmuchał nos w palce i splunął na ścianę, trafiając w napis oznajmujący, że plucie w tym miejscu jest surowo wzbronione.

– Mój urlop był cholernie nieudany. Ledwie wszedłem przez drzwi, gdy jakaś wiedźma ze Spandau przybiegła z dzieckiem na ręku i była na tyle bezczelna, by powiedzieć mi prosto w moją niewinną, przystojną twarz, że jestem jego ojcem. Powiedziałem jej w grzeczny i kulturalny sposób, że musiało dojść do godnej pożałowania pomyłki i że może sobie pójść i (...) w ogrodzie. Niech mnie diabli, ta kobyła zaciągnęła mnie przed sąd! Musiałem tam pójść i stanąć przed jakimś wrzeszczącym stworem, który bredził coś zza wielkiego biurka i w końcu wypłuł z siebie, że to ja jestem ojcem „odpadka” urodzonego przez tę sprośną ladacnicę. Wskazałem mu w odpowiedzi cicho i spokojnie na fakt, że każdy jest zdolny dostrzec, iż było absolutną niemożliwością fizyczną dla tak przystojnego młodego człowieka jak ja spłodzić dziecko tej urody – przy czym pokazałem palcem na produkt, który wiedźma przyniosła ze sobą. Była masa szumu na temat badania grupy krwi i zezowate indywiduum, które twierdziło, że jest lekarzem, zajęło się tą sprawą, a ja byłem szczęśliwy, gdyż wierzyłem, że to ostatecznie pomoże wszystko wyjaśnić. Ale to tylko dowiodło, że nigdy nie należy ufać lekarzom, bo, niech mnie diabli porwą, jeśli to nie on powiedział, że należy uważać mnie za ojca tego dziecka.

– Ależ Porto, nie mogli tego zrobić. Jeśli twoja książeczka żołądka dowodzi, że nie było cię

wtedy w Berlinie, to nie mogą...

– Mogą, wszystko mogą. Byłem akurat w samym środku czułego pożegnania z moimi kochanymi staruszkami i wszystko wyglądało różowo, choć ze zgrzytaniem zębów, a tu nagle włązi jakaś kulawa stara maciora i zawiadamia mnie, że właśnie ma się oprosić.

– Bardzo interesujące – powiedziałem do niej – i życzę ci przy tym wiele szczęścia. Führer będzie w najwyższym stopniu uradowany. Wyrazy szacunku dla twego męża i powiedz mu ode mnie, że ma codziennie wynosić śmieci, póki się to wszystko nie skończy.

– Nie było w tym oczywiście niczego, co by mnie mogło dotyczyć w najmniejszym nawet stopniu, ale ostatecznie ma się to dobre wychowanie. Pogadałem trochę z klaczą o zbliżającym się jej wielkim szczęściu oraz, żeby przypomnieć jej, że właśnie jest Boże Narodzenie, wziąłem ją do drugiego pokoju i zjedliśmy trochę słodczy. I ja, ciężki idiota, niczego się nie domyślałem, póki kobyła nie szepnęła do mego kształnego jak muszelka uszka: Mój drogi, to ty jesteś ojcem. Cieszysz się?

– Cieszę się? – zawyłem. – Bredzisz jak wariatka!

I została odprawiona bez mego błogosławieństwa. Człowieka po prostu prześladują nieszczęścia. Nie wiem, jak to jest z innymi, ale wystarczy, by kobieta ledwie siadła mi na kolanach, no i masz.

– Może spróbujesz w końcu zapinać rozporek – zaproponował Stary. – Powiedz mi uczciwie, Porto, czy na pewno nie byłeś w Berlinie dziesięć miesięcy temu?

– Sam możesz to sprawdzić w mojej książeczce żołdu – odpowiedział Porta.

– Tak, tak, ale to, co jest w książce żołdu, to jedno, a czego tam nie ma – to drugie.

– *I ty, Brutusie...* – rzekł urażony Porta. – Byłem w Berlinie dziesięć miesięcy temu, ale, do diabła, tylko przez pół dnia.

– To bez znaczenia, jeśli polowałeś na damskie uda – orzekł Stary.

*Niech ja chwyć w ręce szyję tego poety, który napisał, że Morze Śródziemne jest błękitne, cudowne i uśmiechnięte.*

#### **XIV Kierunek Afryka Północna**

Machając nogami w drzwiach bydlęcego wagonu, 18 batalion toczył się przez Rumunię, Węgry i Austrię, a stamtąd radośnie podążał w dół mapy, przez całe Włochy. Pięć razy wzywaliśmy Portę do drzwi, by popatrzył na pola makaronu. Do końca miał jednak wątpliwości, czy makaron jest rośliną.

Zostaliśmy zakwaterowani w Neapolu, zaopatrzeni w nowiutkie czołgi i odziani w tropikalne mundury. Porta odmówił zamiany starego, czarnego, filcowego beretu na hełm i nastąpiła taka kłótnia między nim i Feldweblem w magazynie mundurowym, że jej hałas można było usłyszeć na pobliskim Wezuwiuszu. W rezultacie nastąpił kompromis: Porta wziął hełm, ale Feldwebel nie dostał jego beretu.

Tuż przed tym, jak mieliśmy zostać przerzuceni, w batalionie wybuchła epidemia i w ciągu kilku dni z szeregów ubyło tylu ludzi, że musieliśmy pozostać na miejscu tak długo, aż z Niemiec przybyły uzupełnienia.

Gdy nas na koniec zaokrętowano, było wszystkiego chłopca pięć batalionów, pięć tysięcy ludzi rozdzielonych pomiędzy dwa statki, które wcześniej obsługiwały linie pasażerskie. Gdy nasz parowiec wychynął z portu, ryknęliśmy „hurra!”. Przechylaliśmy się przez relingi, zwisaliśmy z masztów i takielunku, wciąż wiwatując.

Każdemu z nas wydano kamizelkę ratunkową wraz z surowym nakazem nierozstawiania się z nią. Ale okazały się one zbyt przydatne jako podglówki, by ktokolwiek zamierzał stosować się do tego rozkazu. Łodzie ratunkowe wisiały na żurawikach po obu burtach statku. Na pokładach zamontowano działka przeciwlotnicze, a eskortę stanowiły trzy włoskie torpedowce, z których przysadzistych kominów wzbijał się oleisty, czarny dym. Statek kołysał się gwałtownie na dużej fali i nie sposób było wytrzymać w ładowni z powodu potwornego smrodu wymiocin. Porta, Stary i ja zwinęliśmy się w nasze płaszcze wojskowe i położyliśmy się spać na pokładzie po zawietrznej.

Nie wiem już, o czym rozmawialiśmy, ale pamiętam, że byliśmy dość zadowoleni ze swojego losu. Przypuszczam, że po prostu paliliśmy papierosy i spokojnie gawędziliśmy o różnych rzeczach, od czasu do czasu wypowiadając krótkie, przemyślane wnioski. Rozmawialiśmy na podobieństwo oraczy siedzących na brzegu rowu podczas przerwy na południowy posiłek. Na chwilę przestaliśmy się czuć galernikami, którymi bywaliśmy na co dzień, i nawet Porta nie okraszał swych wypowiedzi wtrętami nawiązującymi do organów płciowych człowieka, co zwykł czynić. Nawet on zachowywał się prawie normalnie.

Przekonałem się, że tęsknota za Urszulą dodaje realizmu spokojowi, którego pozwolono nam na posmakować na wyładowanym wojskiem i czołgami transportowcu.

Porta uznał, że potrzeba nam odrobiny muzyki, i wtedy odkrył, że znikła jego waliza.

– Na pomoc! – wrzasnął. – Na pomoc! Zginałem! Zamordowano mnie! Złodzieje, mordercy, przekłeta banda nazistów! Zostałem obrabowany! Ograbiony! Mój flet! Mój frak!

Odmówił pocieszenia, nawet gdy przekonywaliśmy go, że kupi sobie nowy flet w Trypolisie. Żaden trypolitański flet nie będzie tak dobry jak ten stary.

Zasypaliśmy po kolei.

Obudził nas w ciemnościach straszliwy rumor silników lotniczych tuż nad naszymi głowami. Złośliwe czerwone języki ognia kłuły nas z powietrza. Skrzeczące i świszczące dźwięki rozdzierały nasze uszy, słychać było łoskot i uderzenia w stalowe płyty statku. Nasza armata p-lot pokazywała atakującym w ciemnościach bombowcom swój język: bum-bum-bum, a karabiny maszynowe, wściekle ujadając, jej wtórowały.

Staliśmy przyciśnięci do nadbudówki, tak samo przerażeni, jak i niezwykle zaciekawieni – był to, jak by nie patrzeć, pierwszy raz, gdy znaleźliśmy się bezpośrednio w ogniu walki, jednocześnie próbując się połapać, co się dookoła dzieje. Samoloty powracały, nurkując z wyciem.

Rozległo się wycie głośniejsze od ryku silników. Stary popchnął mnie i wrzasnął:

– Padnij! Bomba!

Wówczas rozległ się inny rumor, a wielki statek zadrżał. Znów usłyszeliśmy okropne wycie, ale tym razem lotnicy wzięli się za drugi transportowiec. Wraz z grzmotem podniosło się na nim kilka słupów ognia, a w ich blasku mogliśmy zobaczyć swoje twarze. W ciągu kilku sekund sąsiedni statek zmienił się w ryczące morze płomieni. Czerwone i żółte języki ognia wystrzeliły przez dym w górę z hukiem armatnim. Na pokład dziobowy trafionej jednostki dodatkowo wbił się zestrzelony samolot i tam już pozostał. Wkrótce i jego pochłonęły płomienie. Nagle pomyślałem, że popękały mi bębniaki w uszach. Nic nie słyszałem, żadnego dźwięku. Wszystko, co się dookoła mnie rozgrywało, odbierałem jak nieme kino. Podniosłem się i popatrzyłem w dal, przez ciemnoczerwone morze. Nagle przewrócono mnie i przekonałem się, że jednak nadal słyszę. Fontanny wody i ognia wznosiły się ku niebu. Z wnętrza statku dochodził huk eksplozji. Jeden z wielkich kominów uniósł się i powoli odfrunął w ciemnościach. Był to niezwykle, surrealistyczny widok.

– Statek się przewraca!

Z wnętrza statku nadal dochodziły gromowe trzaski i wkrótce rozległ się wrzask przerażenia ludzi zamkniętych w ładowniach. Spojrzeliśmy na siebie zagubieni, po czym skoczyliśmy.

Powierzchnia morza była tak fantastycznie daleko ode mnie, że myślałem, iż nigdy do niej nie doleczę, aż nagle zamknęła się nad moją głową i poczułem, że tonę, i chyba tonąłem, czując

jakby moje ciało przełamało się w pół. W uszach miałem ryk i skrzek, a w głowie coś tętniło mi coraz szybciej i coraz głośniejsze. W końcu nie mogłem już tego dłużej wytrzymać i poddałem się. Zaraz umrzesz, pomyślałem sobie, i w tym momencie moje usta wynurzyły się nad powierzchnię morza, a obolałe płuca wciągnęły łapczywie powietrze. Lecz prawie natychmiast ponownie znalazłem się pod wodą. Gorączkowo pracowałem rękami i nogami, aby jak najdalej odpłynąć od tonącego parowca i nie zostać wessany przez wir, gdy będzie szedł na dno. Wszystkie kolory tęczy tańczyły i migotały mi przed oczami. Nie miałem najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku płynę. Po prostu – ratując życie, kopałem nogami w wodę, a moje mięśnie wyły z bólu i błagały, abym pozwolił im odpocząć, bo w przeciwnym razie umrą. Mój instynkt samozachowawczy był mimo wszystko silniejszy od życzeń moich mięśni i ciężko dyszących płuc, czy też woli; był silniejszy od wszystkich odruchów i zmusił mnie, szlochającego, śmiejącego się i będącego zaledwie na wpół świadomym tego, co się dzieje, do uciepienia się małego koła ratunkowego, które nie wiadomo skąd nagle się pojawiło.

Unosiłem głowę ponad powierzchnię, rękami opierając się na zbawczym kole ratunkowym. Czarne, okryte pianą fale wyrzuciły mnie w górę niczym pocisk, aż znalazłem się na szczycie potężnej góry wody, spoglądając w przerażeniu w dół, na bulgoczącą pianą dolinę. Opadając do takiej doliny wielokrotnie, wrzeszczałem histerycznie.

W oddali płomień zabarwiał niebo czerwoną purpurą, prócz tego nie było niczego prócz wody; wody dzikiej, potężnej i przerażającej, czarnej jak smoła nocy.

Rekiny! Co z rekinami? Czy w Morzu Śródziemnym są rekiny? Tak, są! Kopałem histerycznie nogami, ale wkrótce się zmęczyłem i musiałem przerwać. Wtedy pomyślałem o Starym i o Porcie i zacząłem wywoływać w ciemności ich imiona:

– STA-RY! POR-TA! POR-TA!

Odpowiedział mi tylko ryk fal i znów załkałem dziko i rozpaczliwie. W przerażeniu wzywałem matkę i Urszulę.

– Weź się w garść, człowieku – krzyknąłem, a potem zacząłem się śmiać.

Wyłem jak hiena, pełen wściekłości, wydawałem obłąkańcze dźwięki, o których nigdy bym nie powiedział, że mogą należeć do mnie, aż wreszcie doszedłem do siebie i dalej już tylko szlochałem. Przez całą noc miotały mną fale, choroba morska wyróciła mój żołądek na spodnią stronę, wymiotowałem i dalej płakałem.

Czy ktoś nawołuje? Nasłuchiwałem. Tak, ktoś wrzeszczał w oddali. A więc był w tych ciemnościach jeszcze ktoś oprócz mnie! Zdecydowanie. Nonsens. Przecież wszyscy zginęli. Nie ma już nikogo, a i ty pewnie niedługo umrzesz w tych ciemnościach. Wszyscy są martwi. Mają ważniejsze rzeczy do roboty. Nie ma już nikogo, kto by pomyślał o tobie. Są źli i zziębnięci, jesteś naiwny, jeśli jeszcze czegokolwiek oczekujesz od tych ludzi.

Tak, ale tam jednak ktoś musi być. Nie leżysz przecież tak sobie na falach, kompletnie

zapomniany. Gdy przejrzą spisy i dowiedzą się, kogo brakuje, wyślą przecież kogoś na ratunek.

Aby szukać ciebie? Ciebie? Żołnierza skazanego prawomocnym wyrokiem. Cha, cha, cha!

Zaczęło się przejaśniać. Czy tam na prawo ode mnie coś jest? Czy to nie człowiek leżący na kole ratunkowym?

Zaczynasz mieć omamy, dostrzegać rzeczy, które chcesz widzieć. Jesteś głupcem i widzisz to, czego nie ma.

To jednak był Porta. Z szerokim uśmiechem wyciągnął spod kurtki mundurowej swój берет, włożył go na głowę i uniósł, jakby to był kapelusz.

– Dzień dobry, mój chłopcze! A więc i ty zdecydowałeś się na plażowanie? Trochę mi mokro w stopy, ale kąpiel od czasu do czasu nie zaszkodzi.

– Porto! – krzyknąłem uradowany. – Dzięki Bogu, ty stary rozstrząsaczu gnoju!

Czułem jeszcze w głowie skutki omamów, a w jego oczach dostrzegłem oznaki podobnych przejść.

– Gdzie jest Stary?

– Gdzieś tu, w tej sadzawce – wskazał Porta szerokim gestem ramienia. – Ale nie pytaj mnie, czy leży z pyskiem w wodzie czy nad wodą.

Związaliśmy nasze koła ratunkowe razem, aby nie ryzykować rozdzielenia przez fale.

– Być może czeka pan na ten sam tramwaj, sir? – zapytał Porta. – I czemu, u diabła, jesteś tak chudy? – dodał, wpatrując się we mnie głodnym wzrokiem. – Nie będzie z ciebie nawet jedno pełne danie. Zabawne będzie za sto lat opowiadać wnukom, jak pewnego razu uratował mi życie worek kości, zwany Svenem. Czyż nie czujesz dumy z faktu, że skończysz swą bohaterską karierę jako posiłek dla najlepszego żołnierza Hitlera? Gdy wrócę do domu, postaram się, aby wystawiono ci pomnik. Jaki wolisz, z granitu czy z brązu? I nagle wydał głośny ryk, wskazując na statek w oddali.

– Nasz tramwaj!

Wrzeszczeliśmy do zachrypięcia, ale statek wkrótce znikł.

– Cieszę się, że musisz odejść! – wołał Porta za statkiem znikającym za horyzontem. – Daj nam po prostu spokój. Nic ci nie zrobiliśmy!

Szary, chmurny poranek przeszedł nam na rozmowie. Gdy słońce od czasu do czasu wyglądało przez chmury, jego promienie paliły. W końcu wpadłem w stan półodrętwienia z wyczerpania, ale Porta niestrudzenie kontynuował swój długi monolog.

– No, a weź parę takich mew, mogą śmiać się ze wszystkiego. Nic by się nie stało, gdybyśmy i my mieli skrzydła, ale zamiast tego siedzimy tu z tyłkami w kąpiel. Spędzasz bardzo wiele czasu na tym, aby zapewnić sobie należyty dystans od najbliższego cholernego morza i, oczywiście, parszywa armia musi cię wysłać prosto na nie. Zawsze mówiłem, że z faktu bycia żołnierzem jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło. Obiecuj mi, mój synu, że nigdy nie



zostaniesz generałem! Gdybyż tylko nie było tu tak mokro.

– Porto... czy myślisz, że przeżyjemy?

– Przeżyjemy? Nie, mogę ci przysiąc, że nie, więc zwieś głowę, mój chłopcze. Ale jeśli zaczniesz biadolić, dostaniesz w pysk takiego ciosa, że będziesz mógł zgłosić się po harfę. Masz trzymać swój paskudny ryj z dala od tego (...) garnka. Z pewnością powiem ci, kiedy będziesz mógł zastopować. Tymczasem ciesz się, że nie leżysz w śmierdzącym dołku strzeleckim, słuchając koncertu na wielkie armaty. Oczywiście te małe dołki na ziemi niczyjej są znakomite dla cierpiących na zaparcia, ale to tutaj jest jeszcze lepsze. Widzisz, jeśli idzie o ciebie, to spotkało cię jedyne w swoim rodzaju niezasłużone szczęście... tutaj możesz nie tylko narobić w spodnie, ale jednocześnie od razu podmyć się do czysta. A w leju po pocisku nie da się tego zrobić.

– Porto... czy ty wierzysz w Boga?

– W kogo, w Niego? Jeśli masz na myśli tego faceta, o którym księża wygłaszają kazania, to możesz sobie pójść w domu do swego proboszcza i powiedzieć mu, że lepiej będzie dla niego, jeśli się wypisze ze związku zawodowego i znajdzie sobie coś lepszego do łapania klientów.

– Także w moim przekonaniu Kościół i wszystko, co z nim związane, to obrzydliwy szwindel. A to dziwne, że powiedziałem „w moim przekonaniu”, zwykle nie wysławiam się w taki sposób.

– Dobrze! Więc nie zwariowałaś jeszcze do reszty. Zaczynałem się całkiem poważnie obawiać, że leżę sobie tutaj, rozkoszując się radościami wynikającymi z kąpieli, w towarzystwie niedorozwiniętego osobnika, który pragnie przekonać mnie do Kościoła i wiary. Ale oszustwo... to zależy, jak się na to patrzy. W każdym razie nie marnuj energii na pogardę dla religii. Nie jest tego warta. Pozwól ludziom w nią wierzyć, jeśli tego pragną. Jak długo nie zawracają mi głowy swoją wiarą, tak długo mnie ona nie obchodzi; a jeśli potrafią znaleźć w niej pociechę, no, to wszystkiego najlepszego. Osobiście wolę ograniczyć moje zainteresowanie do wina mszalnego i mniszek. Mogę cię zapewnić, że jeśli kiedyś napoczniesz sobie dobrze zaopatrzone żeński klasztor, religia cię nie rozczaruje.

Porta oczywiście był już także pomocnikiem ogrodnika w żeńskim klasztorze. Słuchałem w otępieniu soczystej relacji o jego wyczynach, moje myśli zaś nadal zajmowały się kwestią Wszechmocnego, Wszechwiedzącego i w najwyższym stopniu dobrego Stwórcy, – Nie słuchasz, chłopcze – stwierdził nagle Porta i przerwał.

Nasza sytuacja doprawdy nie skłaniała do improwizacji na temat dogłębnych radości życia klasztornego. Zauważył to. Ale jego twarz za chwilę znów rozjaśniała.

– Ale przecież jest jedna rzecz, którą dał mi Kościół i która nie jest lipą.

– Co takiego?

– Organy. Gdybyśmy je mieli, nie sądzę, by dalej przeszkadzało mi leżenie tutaj, moczenie

nóg i łapanie śmiertelnego kataru. Kiedyś poznałem pewnego organistę, a on nauczył mnie gry na organach. Tak, oddajcie diabłu, co diabelskie, nawet łącznie z tymi wszystkimi modlitwami oraz tym całym przekonywaniem ubogich do tego, by byli zadowoleni, gdyż dostaną się do nieba. Wszystko to jest mydleniem oczu i niczego tam nie ma dla obecnego tutaj tatusia, ale to cholernie fajny widok, gdy urządzają Jezuskowi święto jak należy, z choinką i czymś tam jeszcze. A gdy śpiewają i grają muzykę kościelną, mogę ci powiedzieć: masz ochotę rozbeczeć się po cichu z czystego, wszawego wzruszenia. Gdy słyszysz ich muzykę, woda po prostu sływa ci po pysku.

Cierpieliśmy coraz silniejsze katusze z pragnienia. Umilkliśmy.

Drugiego dnia, tuż po wschodzie słońca, nisko nad nami przeleciał włoski samolot i zrzucił gumową łódkę, która spadła ledwie o dwadzieścia metrów od nas. Śmialiśmy się i płakaliśmy, a Porta wrzasnął do załogi:

– Dzięki, starzy makaroniarze! Więc jednak mimo wszystko możecie być do czegoś przydatni.

Okazało się, że przepłynięcie tych dwudziestu metrów i wdrapanie się do łódki jest trudniejsze, niż myśleliśmy. Uczepiliśmy się jej boków. Zdecydowałem się spróbować jako pierwszy, więc skakałem w wodzie w górę i w dół, lecz ześlizgiwałem się stale przy kolejnych nieudanych próbach wgramolenia się do pontonu. Prawie się utopiłem, ponieważ w końcu zacząłem się rozpaczliwie śmiać i zupełnie nie mogłem przestać. Mimo wyczerpania wreszcie obaj znaleźliśmy się w pontonie, kwitując swój wyczyn podaniem sobie dłoni.

– Teraz przydałaby się jeszcze talia kart.

Nie było jej, ale w wodoszczelnym schowku znaleźliśmy kilka puszek skondensowanego mleka, suszone mięso, herbatniki i cztery butelki sznapsa. Jedliśmy i piliśmy, aż w końcu wyciągnęliśmy się na rufie przykryci żaglem i zasnęliśmy. Obudziło nas w środku nocy uczucie zimna. Zaczęliśmy się nawzajem okładać pięściami, a to, oraz kilka porządnych łyków sznapsa, zaraz nas rozgrzało. Znów położyliśmy się i wkrótce ponownie zapadliśmy w sen.

Następnego dnia około południa zaczęliśmy dalej przeglądać schowki pontonu i znaleźliśmy pudełko rakiet oraz puszkę jakiegoś żółtego płynu. Należało wylać go do wody i tak zrobiliśmy. W chwilę później na powierzchni morza unosiła się oleista substancja przypominająca wielką, jaskrawożółtą plamę, łatwą do zauważenia z powietrza. Wystrzeliliśmy kilka rakiet i wznosiliśmy okrzyki, jakby to było garden party. Następnie zaśpiewaliśmy niemiecką, angielską i francuską piosenkę, pokosztowaliśmy pozostałych zapasów – z wielką przyjemnością oszukując się nawzajem, ale pod koniec posiłku dzieląc się już wszystkim, jak na prawdziwych braci przystało – i zjedliśmy wszystko, co jeszcze pozostało, za wyjątkiem kilku sucharów.

Zaczęliśmy rozmawiać o naszych kolegach, których większość zapewne już nie żyła.

– Gdy wreszcie osiągniemy brzeg, będziemy bardzo zajęci pisaniem listów – orzekł Porta –

do wszystkich ich matek, żon i ukochanych.

Następnego ranka wypiliśmy resztkę sznapsa i zjedliśmy ostatniego suchara.

Wkrótce po tym natknęliśmy się na pływające w pasie ratunkowym ciało. Z wielkim trudem udało nam się wciągnąć je do pontonu. Był to niemiecki podoficer, z paskudnie spalonymi nogami i tułowiem. W kieszeni miał notes pełen zapisków i adresów; znaleźliśmy także jego książeczkę zołdu i portfel. Z nich dowiedzieliśmy się, że nazywał się Alfred Kronig i był Unteroffizierem w 161 pułku artylerii; służył od trzech lat, miał dwadzieścia dwa lata i był żonaty z dwudziestojednoletnią Irmą Bartels z Berlina. Jego portfel zawierał szereg zdjęć z młodą, jasnowłosą dziewczyną.

Zatrzymaliśmy jego rzeczy, a ciało oddaliśmy morzu.

– Pozdrowienia dla pozostałych w tym oto akwarium – rzekł Porta. – Napiszę ładny list do Irmy. Powiem jej, że zginąłeś jak bohater, samotnie stojąc wyprostowany, że powstrzymałeś przeważające siły wroga, atakujące nieprzerwanie przez cztery dni, póki nie padłeś trafiony kulą w serce. Wiem, czego potrzeba, aby twoja mała Irma mogła powiedzieć przyjaciółkom, że jej Alfred wykitował regulaminowo, walcząc za swoją plugawą, wielką ojczyznę. Nie będzie tam nic o tym, że jego nogi najpierw zostały upieczone jak gęś, a następnie wymoczone w morzu. Twoja Irma być może leży teraz w domu w Berlinie, nie myśląc o niczym i tęskniąc do swego Alfreda. Będzie znów czytała twój ostatni list, w którym pisałeś, że czujesz się dobrze, jesteś jej wierny i wiele o niej myślisz, i że wobec tego nawet nie marzysz o wetknięciu nosa lub czegokolwiek innego w pokusy Neapolu. Następnie otrze łzę i pozwoli odejść inkasentowi z gazowni, nie dopuszczając do niczego prócz odczytania stanu gazomierza. I taka będzie codzienność Irmy. Każdego dnia nie otrzyma tego, co jej się należy, ponieważ Führer odebrał jej to i posłał na dno morza. Wreszcie pewnego dnia otrzyma od Wehrmachtu pocztówkę prostą, związłą i wojskową:

Unteroffizier Alfred Kronig ze 161 pułku artylerii padł 30 września 1941 roku, bohatersko walcząc za Führera i Ojczyznę.

Pod spodem będzie skomplikowany zakrętas nieczytelnego podpisu jakiegoś plugawego oficera. A jeszcze niżej, drobnym, gotyckim drukiem, na kształt niby cytatu z Biblii:

Führer składa podziękowanie, Heil Hitler!

Porta głośno puścił gazy i omiół spojrzeniem rozciągającą się dookoła stalową szarość.

– Przez jakieś kilka dni mała Irma będzie chodziła z zaczerwienionymi oczami i tą kartką w torebce, a niektórzy ludzie będą jej współczuć, ale nie nazbyt wielu, gdyż nie jest jedyna.

Gdyby bowiem zacząć współczuć im wszystkim, byłoby to dla człowieka nie do zniesienia! A gdy inkasent z gazowni zjawi się następnym razem, będzie mu wolno więcej, niż tylko odczytać gazomierz, i w ten sposób utrata Alfreda zmieni się w coś dobrego, gdyż Alfred przyjeżdżał tylko raz na rok, zaś inkasent przychodzi co kwartał i nie może zginąć za Führera i Ojczyznę, bo ma drewnianą nogę... Bóg jeden wie, może w końcu trafimy do Hiszpanii, a małe, ładne, kruczowłose stworzonko z goździkiem za uchem...

Męczyło mnie pragnienie i przekonałem się, że nieustająca sprośność języka Porty może być irytująca.

– Zamknij się, ty wielka świnio – powiedziałem kłótliwie. – Jak możesz myśleć o łożeniu na dziwki, gdy leżymy tutaj o włos od „przekręcenia się” z głodu i pragnienia?

– Przekręcenia się? Zwariowałeś? Chyba nie myślisz, że Królewskie Włoskie Siły Powietrzne sprezentowały nam ten piękny gumowy ponton, na którym wiosłujemy sobie do Hiszpanii, abyśmy się w nim przekręcili? Wykitować na środku Królewskiego Włoskiego Morza Śródziemnego? Zbikowałeś, człowieku! Byłaby to prawie obraza majestatu włoskiego monarchy, gdybyśmy się położyli tutaj i umarli. Ciekawe, czy królowie mają złote kible z pluszowymi siedzeniami?

Opuścił spodnie i usiadł z tyłkiem wystawionym nad rufą łódki. Od czasu do czasu nadpływała fala i dawała klapsa jego nagim pośladkom.

– Pfuj! Jak to łaskocze! Ale za to jakie higieniczne. Sam powinieneś spróbować. To sposób zdrowszy niż u króla Włoch.

– Porto, przestałeś być zabawny.

Jego witalność zdumiewała mnie i wyczerpywała zarazem. Był jak biała ściana w południowym słońcu. Ale za każdym razem, gdy miałem ochotę chwycić go za gardło, jego spojrzenie powstrzymywało mnie. Dostrzegałem w jego oczach, że bez względu na cały jego demonstrowany „wisielczy humor” jesteśmy w podobnym stanie ducha.

Jednak od pewnego momentu nawet i to zaczęło drażnić moje nerwy, i gdybyśmy, tuż przed zapadnięciem zmierzchu, nie zobaczyli w oddali statku, to nie mogę wykluczyć, że rzuciłbym się niego nocą w ataku ślepej, szaleńczej nienawiści. Wołaliśmy, machaliśmy rękami, wystrzeliliśmy rakiety, aż wreszcie dostrzegł nas i podjął z morza włoski niszczyciel. Pod gorącym prysznicem zmyliśmy z włosów olej z zatopionego statku, a następnie ulokowano nas w suchych, ciepłych kojach i nakarmiono górą spaghetti, które przeplukaliśmy dwoma litrami czerwonego wina. W końcu zasnęliśmy jak niemowlaki. Nazajutrz włoscy marynarze powiedzieli nam, że z tych dwóch zatopionych transportowców uratowano całkiem sporo ludzi, a wszystkich ocalonych przetransportowano do Neapolu, dokąd i my mamy się udać. Przyszedł lekarz okrętowy, obejrzał nas, zapytał, jak się czujemy, i odszedł, nic nie robiąc. Zaczęliśmy

rozmawiać o innych. Porta westchnął ponuro.

– Nie będzie przyjemnie pisać do żony Starego. Na urlopie poszedłem ich odwiedzić, a ona, ojciec Starego i ja zgodziliśmy się co do tego, że wrócimy do domów w ciągu sześciu miesięcy, bo do tej pory wojna się skończy i trzeba będzie jeszcze przeżyć rewolucję. Niech to diabli! Mam nadzieję, że Królewski Piracki Klub makaroniarzy wyłowił go i że leży teraz w jakimś gospodzie neapolitańskiej, kalając swe dobre imię i reputację towarzystwem opojów, szulerów i kobiet lekkich obyczajów... Ale czemu, u diabła, my leżymy tu i becymy? Oczywiście, że wyłowili Starego. Jeśli nie, co by zrobił Rommel w Afryce Północnej? Nigdy nie poradziłby sobie bez Starego, nawet przy naszej pomocy.

Dotarłszy do Neapolu, zaparliśmy się i odstawiliśmy przedstawienie.

– Ni cholere nas nie obchodzi, że jest pan majorem. Nie chcemy mieć nic wspólnego z armią, póki nie dowiemy się, gdzie jest Stary. Nie dla przyjemności pozwoliliśmy się storpedować, a potem bujaliśmy na falach, całując śródziemnomorskie rekiny przez całe dni. Nie było też mowy o tym, że będziemy tu stać i dostawać platfusa z powodu pańskich dziadowskich list zaprowiantowania i pokwitowań odzieży. Stary jest naszym kumplem i, póki się czegoś o nim nie dowiemy, nie jest pan dla nas żadnym majorem ani kimkolwiek. Siadamy tutaj i nie ruszymy się z miejsca, więc proszę nas po prostu zastrzelić albo wsadzić do pudła, lub co pan tam, do cholery, sobie zażyczy.

Delikatnie mówiąc, w głowach mieliśmy nie do końca po kolei. To było odreagowywanie stresów i napięć ostatnich dni. Nasza odporność psychiczna osiągnęła granicę możliwości. Na szczęście, tamci domyślili się przyczyn takiego stanu, a major okazał się człowiekiem rozsądnym. Odplacił nam pięknym za nadobne, a gdy się okazało, że sam był na jednym z zatopionych transportowców i ma za sobą podobne przejścia, staliśmy się bardziej wstrzemięźliwi.

Feldwebel w magazynie mundurowym, ujrawszy nas, z szerokim uśmiechem uściskał Porcie dłoń. A gdy już opowiedzieliśmy mu o naszym ocaleniu i na koniec spytaliśmy, czy nie słyszał czegoś o Starym, odpowiedział, żebyśmy wybrali sobie odpowiednie sorty, on zaś w tym czasie zobaczy, co się da zrobić. Znikł w swym małym kantorku, aby pojawić się po krótkiej chwili i powiedzieć, abyśmy jeszcze chwilę zaczekali, bo za dziesięć minut będzie miał jakieś wieści. Dał nam sznapsa, papierosy i wypytywał o różne szczegóły dotyczące zatopienia transportowców. Właściwie niczego ciekawego mu nie powiedzieliśmy, bo ogarniał nas coraz większy niepokój i wydawało się, że dziesięć minut to zanedo długi czas na wyczekiwanie. Wyglądało to tak, jakby Stary gdzieś tu był, ale nie wolno mu było się z nami zobaczyć. Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon, zdawało się nam, że Stary zaraz wyskoczy ze słuchawki.

– Halo... Tak... Gdzie?... Dzięki.

Feldwebel odwrócił się do nas. Do dziś pamiętam ten uśmiech na jego twarzy.

– Wasz przyjaciel jest w koszarach marynarki wojennej w porcie.

Mam nadzieję, że Feldwebel domyślił się, iż to nie przez brak wdzięczności czy szacunku dla jego osoby Porta i ja wypadliśmy z jego biura, zapomniawszy podziękować – po prostu na wojnie przyjaciel jest kimś bardzo szczególnym. Najpierw egzystujesz w hałaśliwej samotności, w gwałtownym odosobnieniu, a potem spotykasz przyjaciela i przez cały czas masz świadomość, że może on odejść w następnej sekundzie, znów zostawiając cię samego w zawierusze i samotności.

Następne cztery czy pięć dni spędziliśmy na włączeniu się i nieróbstwie. Zwiedziliśmy Pompeje i weszliśmy na Wezuwiusz, którego krater w naturalny sposób stał się inspiracją dla retoryki Porty, aż pewnego ranka załadowano nas do dwunastu samolotów transportowych, zwanych Ciotkami Ju. (Junkers Ju 52p) Na ich pokładach odlecieliśmy w formacji w kształcie klina „V”, osłanianej przez myśliwce. Morze Śródziemne znikło za ogonami samolotów, a pod nami pojawiły się czarne góry. Od czasu do czasu pokazywało się jezioro albo miasto. Przed osiągnięciem miejsca przeznaczenia – miasta Wuppertal w Westfalii – mieliśmy dwa międzylądowania. W drodze do koszar na przedmieściu Elberfeldt przemaszerowaliśmy przez miasto. W koszarach sformowano z nas trzy kompanie, bo tylko tylu nas pozostało, a następnie mieliśmy zostać skierowani na Front Wschodni, jako uzupełnienie dla 27 pułku pancernego.

*Stary potrząsnął głową i powiedział:*

*– Nie bądź naiwny. Jak długo pozostanie choć jeden oficer pilnujący dyscypliny, będziemy musieli siedzieć cicho, trzymać krok i kierunek. Zobacz, co się stało w roku 1918. Trzeba było załamania się całego ówczesnego porządku, zanim chłopcy w mundurach feldgrau się zbuntowali. Boże, zachowaj nas jednak od rewolucji. To bezsensowna, niecelowa głupota. Nie, mój chłopcze, mały, niemiecki zjadacz kielbasy jest tak wszystkim przerażony, że nie pozwoli sobie na myślenie, a rewolucji nie robi się ludźmi bojaźliwymi, których żołądki wywracają się na myśl o czymkolwiek stanowczym. Skończyło się tak, jak musiało: spryciarze dali dyla z lupami, a psy gończe pozostały bezkarne i dzisiaj są tutaj, trzaskając z batów nad naszymi głowami. Nie mam wątpliwości, że wszystko załame się ponownie, ale możesz mi mówić „Adolf”, jeśli to miałyby się skończyć rewolucją. Spryciarze znajdą podobnych do siebie i załatwią Numer Pierwszy, a gdy minie jakiś czas, znów pomogą psom gończym i wsuną im w łapy nowe, śliczne bicze i wtedy od początku będziemy musieli nadstawić nasze tytki. Do chwili, gdy moi wielce szanowni ziomkowie nie zaczną samodzielnie odkrywać, o co chodzi w tym szambie, nie mogą mieć do nich zaufania. Hitler i jego szumowiny zostaną wyróżnieni i im szybciej się to stanie, tym lepiej, ale czymże oni są, jeśli nie plugawymi marionetkami? Nie ma mowy o rewolucji, jeśli usuwa się marionetki, a reżyserowi pozwala dać dyla z kasą.*

*Stary wypowiedział te słowa w roku 1941.*

## **XV Trzy dziewczyny**

Wśród wielu nowych ludzi, którzy dołączyli do nas w ramach uzupełnienia naszych kompanii, znalazłem nowego przyjaciela - Hansa Breuera. Poprzednio był porucznikiem policji w Düsseldorfie i przybył do naszego ślicznego, małego przedsiębiorstwa, ponieważ odmówił dobrowolnego wstąpienia w szeregi SS, do którego zgodnie z poleceniem Hitlera powinni należeć wszyscy funkcjonariusze policji. Breuer był przekonany, że Niemcy wkrótce przegrają tę wojnę, dowiedział się bowiem od swego brata, zatrudnionego u Goebbelsa w Ministerstwie Propagandy, że nazizm jako ideologia jest już na skraju bankructwa.

Naziści mogli być pewni poparcia nie więcej niż ułamka sił zbrojnych i było tylko kwestią czasu, kiedy generałowie wystawią Hitlerowi i jego stukniętej bandzie rachunki do uregulowania. Hans i ja wielokrotnie deliberowaliśmy o dezercji, ale Stary poradził nam, żeby tego absolutnie teraz nie próbować.

– To się nie udaje nawet jednemu na tysiąc, a jeśli cię złapią, to koniec z tobą. Staniesz pod ścianą. Znacznie lepiej zostać rannym... ale, na miłość boską, nie okaleczaj się sam, bo zbadają cię bardzo dokładnie, by ustalić, jak została zdana rana. Pamiętaj, że jeśli przystawisz sobie pistolet do ręki czy nogi, to w ranie zawsze zostaną drobiny prochu, a jeśli cię na tym przyłapią,

mój chłopcze, jesteś załatwiony. Tyfus i cholera są znacznie lepsze, tu niczego nie mogą udowodnić. Syfilis się nie nadaje. Wsadzą cię do szpitala i wywalą stamtąd w dwa tygodnie po takiej kuracji, że nigdy jej nie zapomnisz. Trzymaj się z dala od chorób wenerycznych, bo wbijają cię żywcem na pal, jeśli zgłosisz się z nimi w zaawansowanym stadium. Niektórzy piją benzynę, której używamy w czołgach, i to jest całkiem niezłe: wywołuje gorączkę wrzodową, która utrzymuje się przez cztery albo pięć miesięcy, jeśli wiesz, jak ich wykiwać. Możesz też wsadzić papierosa do rury wydechowej, a potem go zjeść – to też wywołuje całkiem niezłą gorączkę, tylko że nie trwa ona długo i na dodatek musisz przeszmuglować do szpitala butelkę benzyny i trochę kostek cukru, aby co dzień zjadać kostkę nasyconą benzyną, co gwarantuje utrzymanie temperatury ciała około 39 stopni Celsjusza. Ale nie pozwól się złapać, bo będziesz załatwiony i osadzą cię za „obniżanie woli walki”. Jeśli dasz posługaczowi szpitalnemu kilkaset papierosów, może ci załatwić gangrenę nogi – wtedy tracisz nogę, ale i wojna kończy się dla ciebie. Możesz też dostać wodę zakażoną tyfusem. W tych trikach był też zawsze jakiś haczyk, jak w większości różnych szachrajstw: albo na ciebie nie działają (Porta próbował już wszystkiego, zjadł nawet kawałek zdechłego psa pełnego robaków, ale na niego tego rodzaju eksperymenty działały raczej jak kuracja zdrowotna), albo zostajesz sparaliżowany, albo kończysz na cmentarzu. Wielu tego doświadczyło.

W niedzielę 12 października nasz pociąg minął Wrocław. Gdy staliśmy na dworcu towarowym w Częstochowie, wydano nam „żelazne” racje żywnościowe. Każda składała się z puszki gulaszu, paru herbatników i pół butelki rumu. Przyszło surowe zalecenie, że nie wolno nam tknąć tych racji bez wyraźnego rozkazu, a zwłaszcza nie wolno wypić rumu.

Ze zwyczajowym zamiłowaniem do bombastycznych nonsensów, armia nazwała je „żelaznymi racjami”.

Oczywiście pierwszą rzeczą, jaką zrobił Porta, było wypicie rumu. Nie odjął butelki od ust, dopóki nie pokazało się dno. Wówczas posłał ją w powietrze eleganckim łukiem, oblizał usta i opadł na słomę, wyściełającą podłogę naszego wagonu towarowego. Nim zasnął, wypuścił gazy i powiedział:

– Drogie dzieci, pociągnijcie nosami. W powietrzu unoszą się witaminy.

Po kilku godzinach Porta obudził się, beknął, przeciągnął, a potem, ku naszemu zdumieniu, wyciągnął z tornistra drugą butelkę rumu i opróżnił ją z błogością. Następnie zażądał talii kart i zmusił nas do gry w oczko. Wszystko przebiegało pięknie, aż do chwili, gdy głos z zewnątrz zawołał:

– Obergefreiterze Porto, podejdźcie tutaj!

Porta nawet nie ruszył się z miejsca.

– Porto! Wyjdźcie tu natychmiast!

Porta nawet nie spojrzął na drzwi i ryknął w odpowiedzi: – Zamknij gębę, ty świński ryju na



platfusach! Jeśli chcesz mnie zobaczyć, ty bredzący półgłówku, przyjdź tutaj, ale nie zapomnij najpierw wytrzeć swoje zabłocone buty, a za następnym razem, gdy do mnie zawołasz, to zwracaj się per „Herr Obergefreiterze Porto”. I zapamiętaj to sobie. Nie jesteśmy w koszarach, ty wszawy chamie!

Po tej „wiązance” zapadła śmiertelna cisza. Następnie cały wagon wybuchł głośnym, rubasznym śmiechem. Gdy śmiech zamarł, z zewnątrz rozległ się ryk.

– Porto, jeśli nie przyjdiesz tu w tej chwili, staniesz przed sądem wojennym!

Porta spojrział na nas szeroko otwartymi oczami.

– Mój Boże, myślę, że to Hauptmann Meier – wykrztusił. – Teraz Porta dostanie po tyłku.

Wyskoczył z wagonu i strzelił obcasami przed naszym gnębicielem Meierem, który stał w rozkroku, z dłońmi opartymi na biodrach, purpurowy na twarzy z wściekłości.

– A więc wreszcie raczyłeś przyjść! Nauczę takiego brudnego śmierdziela jak ty, jak słuchać rozkazów! I jak, u diabła, ośmieliłeś się nazwać mnie świńskim ryjem i wszawym chamem?! Co? Stój na baczność, człowieku, albo rozwalę ci łeb! Czy postradałeś rozum? Co cię opętało, aby obrazić oficera? A to co, u diabła? Człowieku, przecież ty śmierdzisz rumem. Jesteś pijany. Teraz rozumiem. Wziąłeś go ze swej żelaznej racji, nieprawdaż? Czy wiesz, jak to się nazywa? To jest niesubordynacja! I na Boga, dopilnuję, żebyś został za to ukarany!

Porta nic nie odpowiedział, tylko stał na baczność z miną absolutnego idioty. W końcu Meiera opuściły resztki samokontroli.

– Odpowiadaj, ty nędzny gnojku! Czy wypiliśmy rum?

– Tak jest, Herr Hauptmann! Ale to była tylko kropelka, którą wpuściłem do naszej skądinąd jakże smakowitej, narodowo-socjalistycznej namiastki herbaty. Lecz był to rum, który Kuchenunteroffizier był mi winien od czasu, gdy wspólnie walczyliśmy we Francji. Muszę w pełni zarekomendować go Herr Hauptmannowi do degustacji. Namiastkę herbaty, którą otrzymujemy od naszego ukochanego Führera czyni on wspaniałym napojem.

– Co z tobą, u diabła, człowieku? Czy próbujesz zrobić ze mnie idiotę? Chcę zobaczyć twój rum, który miałeś wydany wraz z żelazną racją.

W odpowiedzi Porta pokazał butelkę rumu, wydobytą z jednej z jego licznych, przepastnych kieszeni własnej roboty i z uśmiechem uniósł ją w górę, aby zdumiony Hauptmann mógł dostrzec pod światło, że jest pełna.

Jakiś kapuś musiał donieść Meierowi, że Porta wypił swój rum. Rzeczywiście, później okazało się, że Meier obiecał pewnemu Gefreiterowi dodatkowy, dwutygodniowy urlop, jeśli tylko zdoła on dostarczyć dowód czynu, który pozwoli mu wsadzić Portę za kratki.

– Rozumiem – powiedział Porta, niczym wcielenie łagodności i potulności – że Herr Hauptmann sądził, iż ja właśnie jego miałem na myśli, wykrzykując te wszystkie niecenzuralne słowa, jakie przed chwilą padły z moich ust, ale przecież nic podobnego nie mogłoby mi przyjść

do głowy wobec oficera – podziwianego przeze mnie dowódcy naszej kompanii. Myślałem, że to jest Unteroffizier Fleischmann, na którego zawsze krzyczę. Jego ojciec, uważa pan, miał kiedyś wszy, a on chyba dostał je od niego.

Meier jak zwykle zrobił z siebie głupca, posyłając po Fleischmanna, który z poważną miną oświadczył, że założyli się z Portą o to, który z nich potrafi lepiej kłać. I że jest także prawdą, że niegdyś miał wszy. Miała je cała rodzina od jego ojca. Pochodziły z wojny w latach 1914 -1918, gdy ojciec walczył pod Verdun.

– Dzieci – powiedział Porta pewnego popołudnia, gdy staliśmy na boczniczy między Częstochową a Kielcami – mieszkamy w tym królewskim apartamencie już od szeregu tygodni i nie mamy pojęcia, co jest za tymi oto drzwiami.

Były to przesuwne drzwi po lewej stronie naszego wagonu towarowego. Dotychczas otwieraliśmy tylko te po stronie prawej.

– Wiemy, co jest za tymi drzwiami – kontynuował Porta, wskazując te po prawej stronie, które były otwarte – tu mamy Polskę. To wiemy. Ale jakie wielkie tajemnice kryją się tam – wskazał drugie, zamknięte drzwi – tego nie wiemy. Być może znajdziemy za nimi – teraz chwycił drzwi – samą Victorię, która musi być gdzieś tu lub gdzie indziej, bo czyż sam Führer nie powiedział, że jest ona cała nasza? A może jeszcze coś lepszego, może za tymi tajemniczymi, nigdy nie otwieranymi drzwiami – tu jego głos zniżył się do szeptu – stoi cały tłum ślicznych...

Ekstrawaganckim gestem wiecowego agitatora rozsunął szeroko drzwi.

Był tak zaskoczony jak i pozostali z nas, bo naprawdę stały tam trzy młode kobiety. Spoglądały na pociąg i niepewnie uśmiechały się do nas. Dla żołnierza kobieta jest rzeczą wyjątkową i skomplikowaną. Jest romantycznym, dalekim i wzniosłym pragnieniem, obiektem bolesnych, niezaspokojonych tęsknot, wyczarowanych w samotnych marzeniach o straconej, normalnej, cywilnej egzystencji, tak odległym, że aż nierealnym, odstraszającym suchym i zawadiactwem życia wojskowego, a jednocześnie jest ona też obiektem lubieżności, typowej dla pozbawionego kobiet mężczyzny. Żołnierz to stworzenie w mundurze, jeden ze stada identycznych osobników i dlatego ośmiela się określać swoje fantazje seksualne słowami, których w codziennym życiu cywilnym nigdy by nie wypowiedział. Mundur chroni go przed identyfikacją i dlatego żołnierz pozwala sobie – na swój biedny, szary sposób – na udawanie „wilka morskiego”. Jest częścią kompanii i to dodaje mu animuszu.

Wszyscy co do jednego wyskoczyliśmy z wagonu i zaczęliśmy pozwalać sobie na wypowiedanie jeżących włosy na głowie nie-przyzwoitości. Nie mieliśmy na myśli niczego złego, nie pragnęliśmy tych dziewcząt urazić i zauważyłem, że kobiety nie biorą sobie szczególnie do serca uwag wychodzących pod ich adresem od tłumu żołnierzy. Gdy nawet

zapasy słownictwa Porty zostały wyczerpane, większość wspięła się z powrotem do wagonów, gdyż na zewnątrz panował przejmujący chłód, ale Porta, Pluto, Hans i ja nie daliśmy się zniechęcić. Patrzyliśmy na dziewczyny, a one na nas, i dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę z niezwyklego znaczenia sytuacji. Oczywiście byliśmy go świadomi przez cały czas, ale obezwładniające zaskoczenie, jakim było spotkanie kobiet w miejscu, gdzie nigdy byśmy się nie spodziewali ich ujrzeć, wpędziło nasze myśli na jedną tylko ścieżkę.

Trzy kobiety miały na sobie pasiaste stroje więzienne, a pomiędzy nimi a nami znajdował się trzymetrowy płot z drutu kolczastego.

Kobiety te były więźniarkami obozu koncentracyjnego. Wszystkie trzy, jak nam powiedziały, pochodziły z Francji i przebywały w obozie od dobrych czternastu miesięcy. Jedna z nich była nawet Żydówką. Gdy usłyszały, że jedziemy do Rosji, zaczęły prosić, abyśmy zabrali je ze sobą. Oczywiście w kontekście ich sytuacji miał to być żart.

– Nie da rady, dziewczynki – odrzekł Hans. – Gestapo by nas zaraz rozstrzelało.

Jedna z nich, wysoka i jasnowłosa, o inteligentnym spojrzeniu, powiedziała drwiąco:

– Boicie się? Pokażcie, że jesteście prawdziwymi mężczyznami!

I choć żaden z nas chwilę wcześniej nawet by o tym nie pomyślał, nagle wszyscy poczuliśmy, że zaczynamy całą sprawę traktować poważnie.

– Lepiej już chodźmy – powiedział nerwowo Hans. – Jeśli esesmani zobaczą te dziewczyny, jak rozmawiają tu z nami, to zbiją je tak, że mogą zostać kalekami. Wiem coś na ten temat, służyłem przecież w policji.

– Będziemy tu stali tak długo, dopóki nie zechcemy odejść – oświadczył Porta.

– Tak, ale za to nie oberwiemy nawet w przybliżeniu tak, jak mogą dostać one – stwierdził Hans i nerwowo rozglądał się dookoła, wypatrując strażnika obozowego.

Niestety było sporo racji w tym, co mówił Hans. Stojąc przy drutach, narażaliśmy dziewczyny na najbardziej przerażające skatowanie przez oprawców z SS. Spojrzeliśmy na nie wzrokiem pełnym wahania. W ich oczach widzieliśmy rezygnację.

– Do wszystkich diabłów! Powinniśmy je zabrać – stwierdził Porta. – Biedne dziewczyny. Patrzcie, jakie są chude.

– Pomimo tego nie brak im słodyczy – dodałem od siebie.

Nie można się było oprzeć ich przyjaznym uśmiechom. Podaliśmy im papierosy i nadal staliśmy, bezradni i przepełnieni nienawiścią do ludzi, którzy je uwięzili.

– Robienie teraz w portki nie ma sensu – powiedział Stary, który z jakiegoś powodu wypełził z Asmusem z wagonu.

– Trzeba zdecydować, czy je zabieramy, czy nie? Jeśli tak, to musimy działać błyskawicznie.

Stary był spokojny i piekielnie szybki. Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, koło jednego ze słupów już stała ludzka piramida, a Stary, stojąc na ramionach Pluta i Asmusa,

opuścił dziewczynom nasze spięte razem żołnierskie pasy, po których wciągaliśmy je do góry. Przeciągając je kolejno nad drutami, podawaliśmy je sobie z rąk do rąk. Następnie Asmus, Hans i Pluto wspięli się do naszego wagonu i wyrzucili z niego wszystkich, którzy nim nie podróżowali, po czym zamknęli drzwi po przeciwnej stronie. W ten sposób nikt z postronnych żołnierzy nie mógł dostrzec dziewczyn wsiadających do naszego wagonu.

Z sercami walącymi jak młoty patrzyliśmy na nasze trzy nieszczęsne pasażerki. W co się pakowaliśmy? Zdaje się, że była to rzecz najniebezpieczniejsza, jaką tylko moglibyśmy wymyślić. Coś wstąpiło w nas w niekontrolowanym odruchu. Czy możemy do określenia „tego” użyć wielkiego słowa i określić to jako zew człowieczeństwa? W każdym razie, choć śmiertelnie przerażeni sytuacją, w którą zanurzyliśmy się po szyję, odczuwaliśmy również dumę i satysfakcję: ogarniała nas fala radości, która pojawia się wraz ze świadomością, że potrafiłeś pokonać samego siebie, czyniąc coś o wiele, wiele większego, niż wydawało ci się, że jesteś w stanie. Chciałbym umieć to wyrazić możliwie obiektywnie, aby nie trąciło samochwalstwem, ale trudno przy tym uniknąć wątku osobistego. Faktem pozostaje, że gdy mowa o czynie bohaterskim, zawsze wracam do tamtej sytuacji niczym do kamienia probierczego: czy tamto działanie było bohaterstwem, czy nie? I mając na zawsze w pamięci nasze ówczesne postępowanie, i w zgodzie z nim, wielu powszechnie sławionym czynom nie mogę jakoś, przy najlepszej woli, przyznać w mojej ocenie palmy bohaterstwa.

Nasz odruch był wielkim triumfem koleżeństwa nad indywidualizmem, zwycięstwem wspólnego wysiłku nad możliwościami jednostki.

– Ale wracając na ziemię – odezwał się Stary – gdy już doszliśmy do siebie po naszych pierwszych, zapierających dech w piersiach podniętach konspiracji – przecież one nie mogą spacerować tu w więziennych pasiakach. Musimy je w coś odziać. Pokażcie chłopcy, co tam macie, i proszę niczego nie ukrywać!

W jednej chwili czterdzieści tornistrów zostało wywróconych do góry nogami: skarpetki, majteczki, sweterki, koszule, dresy, czapki i buty do wyboru zostały zaproponowane naszym trzem dziewczynom.

Gdy dziewczęta spokojnie zrzucały pasiaki z nagich ciał, czterdziestu brudnych żołnierzy odwróciło głowy i w milczeniu spoglądało na boki. Bóg tylko wiedział, że stanowiliśmy zbiorowisko zgniłych śmierdzieli. Przypuszczam, że to cywilizacja uczyniła nas takimi, jakimi byliśmy. Stanowi to więc doskonały przykład, co nie powinno zbyt pesymistycznie nastrajać, że cienka warstewka cywilizacji pozwala na ujawnienie się naturalnej ogłady. To nie tylko pewne zakłopotanie sytuacją kazało nam pozwolić dziewczynom na spokojne dokończenie przebieranki; była to jednocześnie demonstracja naszego stosunku do strażników obozowych, którzy przez czternaście miesięcy wyśmiewali i deptali wszystko, co stanowi o ludzkiej godności. Chcieliśmy pokazać tym słodkim dziewczynom, że szacunek, skromność

i człowieczeństwo nadal istnieją, nawet pomimo faktu, iż byliśmy tylko bandą brudnych żołdaków.

Ukryliśmy je w wagonie za stertą oporządzenia. Następnie Stary, Porta i ja poszliśmy sprawdzić, czy w obozie ogłoszono alarm, podczas gdy pozostali usiedli w otwartych drzwiach, by uniemożliwić wstęp komukolwiek, kto chciałby myszkować wewnątrz.

Pociąg odjechał, nim ucieczka więźniarek została odkryta.

Nafaszerowaliśmy nasze trzy dziewczynki najlepszymi smakołykami, jakie mieliśmy. Najstarsza z nich, Rosita, była poprzednio nauczycielką muzyki. Porta uważał się za szczególnie powołanego, aby być jej protektorem. Nie chciała nam zdradzić, za co została osadzona w obozie.

Jeanne, zaledwie dwudziestojednoletnia, najmłodsza z trójki, studiowała wcześniej na Sorbonie. Jej dwaj bracia służyli w wojsku w stopniach poruczników, a po kampanii w 1940 roku trafili do oflagu. Jej ojciec był poszukiwany przez Niemców i Gestapo zabrało ją jako zakładniczkę.

Maria, Żydówka, została aresztowana pewnego wieczoru na ulicy i deportowana do obozu w Polsce bez słowa wyjaśnienia. Była żoną biznesmena z Lyonu i miała dwu – i półrocznego syna. W trzy miesiące po przybyciu do obozu koncentracyjnego urodziła drugiego syna, lecz przeżył on zaledwie dwa tygodnie.

Po pięciu dniach wspólnej podróży, cała nasza czterdziestka była oczywiście bez reszty beznadziejnie zakochana w tej trójce kobiet i jak młodzieńcy, którzy znaleźli gniazdo piskląt, nie mieliśmy pojęcia, co z nimi począć. Prowadziliśmy na ich temat nieustanne dyskusje, z których wynikały najfantastyczniejsze i niestety na ogół niepraktyczne pomysły. Ale w jednym byliśmy zgodni: w żadnym wypadku nie mogą one jechać z nami na front, aby próbować ucieczki na rosyjską stronę. Było tak po części dlatego, że ukrywanie ich w warunkach pola walki byłoby dla nas niezmiernie kłopotliwe, jak również dlatego, jak zapewniało wielu z nas, że jeśli udałoby się im przekroczyć linię frontu na odcinku, który obsadzałiby przedstawiciele jakiegoś prymitywnego ludu z Azji, to niechybnie natychmiast zostałyby przez tę tłuszcę zgwałcone.

Brat Fleischmanna rozwiązał nasz problem. Pewnego dnia Fleischmann przybiegł i powiedział, że jego brat jest Oberfeldweblem w pociągu pancernym, który właśnie stoi nieopodal na boczniczy. Pociąg pancerny zmierzał do Francji i dziewczyny mogłyby się nim zabrać. Postanowiliśmy bezzwłocznie przygotować je do podróży powrotnej. Nie od razu zrozumiały, co chcemy z nimi zrobić, i myślały, że Gestapo już wpadło na trop naszego pociągu. Maria zaczęła nawet płakać. Porta powiedział jednak z uśmiechem:

– Nie fraszuj się, mała Mario, pojedziesz teraz z ciężką artylerią. Pociąg pancerny dowiezie was aż do Francji. Brata Fleischmanna w tym głowa.

Przemykaliśmy przez nieskończoną liczbę torów, wielokrotnie niemal niosąc spanikowane dziewczyny, bo bały się same iść dalej, aż w końcu doszliśmy do gigantycznego pociągu pancernego z ogromnymi lufami armat groźnie wycelowanymi w niebo. Brat Fleischmanna wszystko już przygotował na nasze przybycie i nawet wystawił na czatach paru ludzi. Uśmiechnął się do nas i groźnie przykazał dziewczynom:

– Pospieszcie się i wsiadajcie. Żadnego wyglądanania na zewnątrz. Po prostu przez cały czas nie wolno wam opuszczać prycz, a my będziemy wam przynosić wszystko, co potrzebne. Będziecie się musiały podzielić w miarę możliwości górną pryczą. Ale nie martwcie się, dziewczynki, dostarczymy was bezpiecznie do domu, możecie być tego pewne.

Podsadziliśmy je do wagonu i sami wsiadliśmy z nimi, aby sprawdzić ich nowe „warunki mieszkaniowe”. Miały górną pryczę w najdalszym i najbardziej niedostępnym miejscu stalowego wagonu – labiryntu pełnego broni i amunicji. Każdy z nas otrzymał od każdej z dziewczyn całusa w usta. Porta nazwał je swoimi małymi gołąbeczkami, wobec tego wszystkie trzy dały mu po dodatkowym buziaku. Chwilę później staliśmy, patrząc, jak wielki pociąg pancerny z dudnieniem kół oddala się na zachód i znika. Nie wiem, czy nasze dziewczyny ponownie ujrzały Francję, ale wiadomo nam, że pociąg pancerny dotarł na miejsce przeznaczenia.

Brat Fleischmanna został sześć tygodni później zabity przez francuskiego partyzanta w Le Mans. Padł od strzału w plecy, a jego pistolet zabrano. Gdyby dzielny francuski patriota wiedział o trzech uratowanych przez niego dziewczynach, to być może do tej śmierci nigdy by nie doszło. Ale taka jest wojna. Bez sensu!

*Wiozący nas pociąg nieustannie zmierzał na wschód, w stronę wielkich stepów i dzikich, czarnych puszczy Rosji. Piecyk w wagonie trzymaliśmy rozpalony do czerwoności, ale pomimo to dotkliwie odczuwaliśmy zimno. Dniem i nocą siedzieliśmy skuleni w swoich grubych płaszczach, z czapkami naciągniętymi na uszy, lecz ile byśmy nie dokładali do pieca i jak mocno nie otulali się płaszczami, to wciąż było nam okropnie zimno.*

## **XVI W kościele**

Było późne popołudnie, gdy w samym środku burzy śnieżnej wtoczyliśmy się na stację w Pińsku. W kantynie Czerwonego Krzyża dano nam czarną fasolę i nareszcie było jej tyle, że mogliśmy najeść się do syta.

Stary wdał się w rozmowę zjedną z sióstr Czerwonego Krzyża, a ta poleciła nam pójść obejrzeć wspaniały, stary kościół, który znajdował się tuż za stacją. Osobiście nam go poleciła, a ponieważ nie mieliśmy nic innego do roboty, wyruszyliśmy na zwiedzanie.

Kościół w pełni odpowiadał przekazanemu nam opisowi – był wyjątkowo piękny i bardzo wiekowy, wszędzie czuło się zapach kadzidła. Pełen był masywnych sprzętów, kunsztownych, rzeźbionych w drewnie ozdób, wspaniałych złoceń i katolickich świecidełek, małych palących się lampek, krużganków ukrywających figury i wizerunki świętych namalowane naturalnymi, jaskrawymi kolorami. Wiele z nich już pożółkłych i o kresce tak prymitywnej jak na rysunkach wykonanych rękami dzieci. Dalej pełno było usytuowanych po kątach naw i ołtarzy nakrytych białymi obrusami, a pośrodku otwierała się ogromna przestrzeń, na tyle wysoka, aby dusze wiernych mogły wzlecieć i podążyć wysoko do Ojca Niebieskiego – Ojca dobrych dzieci bożych – pod czujnym spojrzeniem gorliwych kapłanów, łagodnych czy też surowych, zawsze cierpliwych czy też wiecznie zgorzkniałych, ascetycznie powściągliwych czy może przejeźdżonych i rozpustnych.

Porta cały czas powtarzał, że to całkiem głupie, żeby iść w lodowate zimno tylko po to, aby pogapić się na stary kościół, gdy nagle odkrył wewnątrz organy.

– A teraz posłuchacie mojej gry! – powiedział, szczerząc zęby z zadowolenia, podniecony jak zniecierpliwione dziecko.

Znaleźliśmy schody prowadzące na chór, gdzie znajdowały się organy. Porta poprosił kilku z nas, aby weszli za instrument i popracowali trochę przy dmuchawie, dostarczającej piszczałkom powietrza. Pluto miał siłę przynajmniej trzech ludzi, więc sam jeden poruszył miechem. Porta ponownie obdarzył nas uszczęśliwioną miną, sadowiąc się przy wielkich organach.

– Teraz usłyszycie, jak gra Józef Porta!

Stary oparł się na poręczy i stał tak, pykając z fajki własnej roboty, którą na chwilę wyjął

z ust.

– Zagraj nam ten kawałek Bacha, który grałeś dla mnie w Jugosławii – powiedział.

Porta nie wiedział, który utwór Stary ma na myśli, więc Mikrus musiał zagwizdać kilka taktów. Była to *Toccata i Fuga* Jana Sebastiana Bacha. Gdy tylko Porta pojął, o co Staremu chodzi, twarz mu się rozjaśniła i zawołał do Pluta:

– Pedaluj zdrowo, galerniku, a Józef Porta, z bożej łaski Obergefreiter, pokaże wam, jak się na tym gra.

Wyglądało, jakby wziął głęboki oddech, a jego twarz straciła wszelki wyraz. Było to podobne do opróżniania szklanki z resztek zwięzłego piwa, by ją zaraz potem napęlnić szlachetnym winem.

Porta zaczął grać. Sprawiało to wrażenie, jakby po prostu się zabawiał. Dźwięki trzepotały w kościele niczym stadko ptaków, niektóre małe i świergoczące, inne z wielkim, świszczącym furkotem. Gdy skończył, śmieliśmy się entuzjastycznie. Zapalił papierosa i rozsiadł się wygodniej. Stary trącił mnie i, nie odwracając wzroku od Porty, wyszeptał:

– Teraz dopiero usłyszysz. Właśnie się rozgrzał.

Stary był tak uszczęśliwiony jak dumny ojciec, z sercem pełnym czystego i nieskrywanego uczucia dla kogoś naprawdę tego wartego.

Porta nie zawiódł go. Zagrał wspaniale. Najpierw bawił się klawiszami lekko i niedbale, następnie w jednej chwili zahipnotyzowała go własna gra. *Die Himmel rühren des Ewigen Ehre* Beethovena, anonimowe *Schlafmein Prinzchen, schlafein*, które zagrał tak niezmiernie delikatnie, że łzy napłynęły nam do oczu. Stary i ja poczuliśmy wielką, poruszającą radość, że mimo iż w życiu istnieją smutek i ciemności, do których zostaliśmy przykuci, to oprócz nich pozostaje na świecie jeszcze tyle wspaniałych osiągnięć ludzkich.

Zaraz potem Porta oszalał. Wyciągnął wszystkie rejestry i kościołem wstrząsnął huragan dźwięków. Było to jak taniec i radosne okrzyki. Wszystko, co żywe i martwe, zjednoczyło się w pochwalnym hymnie. Potężna, grzmiąca fanfara, grana przez tysiąc heroldów. Taniec miriadów płatków śnieżnych w cichej Bożonarodzeniowej Nocy czasu pokoju. Ptaki leśne i polne, unoszące dzioby ku niebiosom i śpiewające anielskim chórem.

Słuchaliśmy jak sparaliżowani. Paskudni, brudni żołnierze i ten kolosalny, zwyciężający wszystko hymn radości.

Przypadkiem spojrziałem w dół i ku memu zdumieniu dostrzegłem, że kościół jest w połowie wypełniony przez ludzi. Obok ołtarza stały wysoki siwowłosy ksiądz, a nieco dalej grupa zachwyconych autochtonów wpatrzonych w chór. W połowie kościoła siedzieli i stali żołnierze ubrani w brudne wojskowe płaszcze, w czapkach ocieniających ziemiste z niedożywienia twarze. Między nimi dało się zauważyć jedną czy dwie siostry Czerwonego Krzyża; ale choć tego rodzaju istoty zwykle są obiektami naszych tęsknych westchnień, to zapomniałem o ich



obecności z powodu cudownej gry Porty. Wreszcie przebrzmiwały ostatnie akordy i w grobowej ciszy można było usłyszeć, jak wyczerpany Pluto spazmatycznie chwytą powietrze. Porta zerknął na Starego i na mnie.

– Cholernie fajnie jest zagrać w kościele – powiedział. – Cholernie fajnie.

Był szczęśliwy, bezgranicznie szczęśliwy.

Głos Starego drżał ze wzruszenia.

– Porto, ty parszywy, stary idioto! Ty rudowłosy półgłówku!

Wkrótce potem przyszedł ksiądz. Uściskał szczerzącego zęby Porte i ucałował go w oba policzki.

Nagle przybiegł Asmus i zawołał, że zaraz odjeżdżamy. Majestatyczny ksiądz wzniósł nad nami krzyż:

– Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci.

A chwilę potem byliśmy już na dworze, wśród wirujących płatków śniegu, z którymi zmagaliśmy się w drodze do naszego wagonu i brudnej słomy na podłodze. Okryliśmy się przed zimnem tak szczelnie, jak to było możliwe, i trzęsąc się, podążaliśmy w stronę nieznanego celu. Wyładunek nastąpił w Smoleńsku.

*– Do tyłu, do tyłu! Niech cię diabli! Stopa dostała mu się pod rolkę! Reakcja Porty była prawie natychmiastowa. Czołg szarpnął do tyłu, a Porta wyskoczył z niego i wraz ze mną schwycił Hansa, który stał biały jak papier, trzymając się czołgu. Zanieśliśmy go do chaty, a Stary zapalił papierosa i wetknął mu między sine wargi. Potrząsnął głową, rozcinając but na zmiażdżonej stopie Hansa. – Dzieci, dzieci, czyście powariowali?*

## **XVII Przed atakiem**

Zostaliśmy zakwaterowani na przedmieściach Smoleńska w prywatnych domach. Gdy tylko odebraliśmy swoje racje żywnościowe, wybraliśmy się na miejscowe targowisko, gdzie już roilo się od przedstawicieli wszystkich rodzajów wojsk: esesmanów z trupimi główkami na czapkach, spadochroniarzy, kawalerzystów w bryczesach z kozłej skóry i butach z ostrogami, piechurów w dziwacznych kurtkach, barwionych w plamy brązowego, zielonego i niebieskiego koloru, Rumunów i Węgrów w mundurach khaki. Można tam było zobaczyć wszelkiego rodzaju żołnierzy z różnych armii Europy Środkowej, od eleganckich oficerów lotnictwa z monoklami po brudnych, zawszonych piechurów.

Na placu kłębił się również tłum rosyjskich cywilów w waciakach, wielu z nich nosiło nieprawdopodobne łachmany. Na nogach mieli bezkształtne, wojskowe buty. Ciężkim krokiem przeciskało się tam sześć czy siedem kobiet, każda z workiem na plecach, wszystkie trajkoczące jak najęte. Nagle jedna z nich rozkraczyła się i w następnej chwili rozległo się głośne pluskanie, a na ziemi między jej nogami pojawiła się wielka kałuża. Załatwiwszy potrzebę spokojnie poszła w swoją stronę.

– Niech mnie diabli! Zupełnie jak stara krowa.

Porta popatrzył na kałużę, na kobietę i powtórzył:

– Niech mnie diabli!

Wydawało się, że przeraźliwy chłód, który wpływał bardzo negatywnie na nasz humor, nie robi na Rosjanach najmniejszego wrażenia.

W Smoleńsku pozostaliśmy tylko przez kilka dni, następnie ciężarówki zawiozły nas do Bieliewa, gdzie stacjonował 27 pułk pancerny. Nasza kompania została wcielona do 2 batalionu, którym dowodził Oberstleutnant von der Lindenau, a major Hinka był jego zastępcą. Gdyby tylko dowódcą naszej kompanii nie była taka świnka jak Meier, to wszystko byłoby dobrze.

Porta utrzymywał, że objawił mu się w wizji Pan i powiedział, że sezon „polowań na świnię” wkrótce się zacznie, a kompania niedługo będzie miała nowego dowódcę. To właśnie Pan powiedział do Obergefreitera Porty. Amen.

W kompanii wiele dyskutowano o „polowaniu na świnię”. Meier pozwalał sobie wobec nas na nieprawdopodobne szykany, oszukiwał i prześladował nas przy każdej okazji.

Ukoronowaniem wszystkiego były nieustanna musztra oraz marsze na azymut – marnotrawienie czasu i naszego wysiłku, a przy tym poważny błąd w przedmiocie szkolenia żołnierzy, którzy przecież mieli lada chwila ruszyć do walki. Wszyscy oficerowie potrząsali głowami, myśląc, że nasz dowódca kompanii chyba zwariował, i od tej chwili wiedzieliśmy już, że w razie śmierci Meiera „na polu chwały” nikt nie będzie się w tym fakcie niczego doszukiwał. Od tej chwili Meier „należał” już do nas. On tego jeszcze wciąż nie rozumiał, za to każdy z nas – aż nadto. Przestaliśmy zatem rozmawiać już o „polowaniu na świnię”, a wielu z nas zrobiło sobie na tę okazję pociski dum-dum. Sprawa była całkowicie jasna i nie wymagała dalszego roztrząsania.\*[\* Dum-dum to w tym kontekście potoczne określenie karabinowego pocisku rozpryskowego, który w amatorski sposób przygotowywano, nacinając „na krzyż” jego czubek. Zamiast „zwykłych” ran przelotowych powodował on rozleglejsze i groźniejsze rany szarpane o średnicy znacznie większej od kalibru pocisku]

Jednym z tych, którzy najmocniej wzięli sobie do serca zachowanie Meiera, był Hans Breuer. Raz czy dwa pytał mnie, czy nie powinniśmy zdezerterować, ale ja, pomny na przestrogi Starego, wciąż nie mogłem znaleźć dość odwagi.

– Niech to diabli wezmą, Svenie, czy nie widzisz, że musimy się wydostać z tego gówna za wszelką cenę? – dodał w zamyśleniu.

Popatrzyłem na niego.

– Hans – powiedziałem poważnym tonem – tylko nie zrób czegoś głupiego.

Pewnego wieczoru nadszedł rozkaz, by przygotować czołgi do działań bojowych. Zatankowaliśmy do pełna zbiorniki, uzupełniliśmy smary i amunicję: po dwa tysiące pięćset naboju do każdego z karabinów maszynowych i kilkadziesiąt pocisków wszystkich rodzajów do armaty – odłamkowych, przeciwpancernych i podkalibrowych – a także granaty ręczne, flary, amunicję do naszej broni osobistej i mieszankę zapalającą do miotacza płomieni.

Porta leżał na brzuchu w przedziale silnikowym, że widać było tylko jego wystające nogi, gdy kłął na wszawą armię zamieniającą ludzi w świnię. Od czasu do czasu wybuchał głuchym śmiechem i pokrzykiwał na swoje cylindry i zawory.

– Hej, Stary, tym razem trafię w dziesiątkę. Po prostu Bóg mi to przepowiedział.

– Jeśli ktoś nie trafi przed tobą – odrzekł Stary. – W kompanii jest kilkuset zainteresowanych.

Porta w odpowiedzi zagwizdał motyw łowiecki. Stary i Mikrus poszli do chaty przygotować kolację, Pluto zaś udał się do kwatermistrza po nasze racje. Porta i ja mieliśmy podjechać czołgiem bliżej zabudowań i zamaskować go gałęziami i śniegiem, by nie mogły go wypatrzeć rosyjskie samoloty przelatujące nad nami co noc i zrzucające flary na spadochronach.

Nim zdołaliśmy przemieścić czołg, przyszedł Hans i powiedział nam, iż właśnie dowiedział się z listu, że jego żona trafiła do szpitala z poważną chorobą jamy brzusznej. Był bardzo

przygnębiony. Do dziś wyrzucam sobie, że spuściłem go z oka. Wiedziałem, że powinienem był dawać na niego baczenie, ale po prostu w pierwszej chwili nie przyszło mi to do głowy, a w następnej było już za późno.

Stałem przed czołgiem, prowadząc Porte, aby podjechał maksymalnie blisko chaty, nie przewracając jej przy tym. I wtedy usłyszałem, jak Hans wydaje z siebie niezbyt głośny krzyk, właściwie jęk i... już wiedziałem, co się stało. Gdy dopadłem do niego, stał ze stopą zakleszczoną między ogniwem gaśienicy i stalową rolką jezdnią.

Gdy ambulans odjechał, uzgodniłem ze Starym treść meldunku, jaki musiał napisać. Solidarnie twierdziliśmy, że Hans próbował wspiąć się na czołg z boku i w tym momencie Porta wrzucił wsteczny, sądząc że właśnie to mu sygnalizowałem. W rezultacie Hans ześlizgnął się z rolki, na której stanął, a stopa została zakleszczona. Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, lecz miało tę słabą stronę, że zgodnie z regulaminem wchodzenie na czołg z boku było surowo zabronione. Można było to robić jedynie z przodu, gdy było się w zasięgu pola widzenia mechanika-kierowcy.

Zdziwienie mógł budzić też fakt, że do wypadku doszło tuż przed naszym wejściem do działań bojowych.

– Bez względu na to, jak to ocenią przełożeni – rzekł Stary – to nikt z nas nie ma wątpliwości, że Hans zrobił to celowo, ale dopóki nie będą w stanie niczego mu udowodnić, dopóty wszystko będzie w porządku. A nie będą mogli, jeśli wszyscy zgodnie będziemy się trzymali naszej wersji zdarzeń.

– Musimy jeszcze mieć nadzieję, że te diabły nie zdołają Hansa odpowiednio „zmiękczyć” – westchnął Porta.

Następnie poszliśmy zażyć trochę snu, ponieważ w nocy mogliśmy spodziewać się rozkazu wymarszu na front. Obudzono nas o pierwszej.

Mikrusowi udało się zapalić kaganek i w jego migoczącym świetle szykowaliśmy się, choć byliśmy jeszcze mocno zaspani. Porta siedział na słomie wyprostowany, drapiąc się w chudą, niemytą kurzą klatkę piersiową, z grzywą rudych włosów sterczących na wszystkie strony. Stary i Pluto łapali wszy i topili je w płomieniu kaganka, w którym eksplodowały z cichym trzaskiem, wydzielając przy tym oleisty, mdlący odór. W ciągu kwadransa mieliśmy już na sobie całe oporządzenie i, trzęsąc się z zimna, wleźliśmy do czołgu. Szyje owinęliśmy zatłuszczonymi szalikami, a na uszy naciągnęliśmy czapki z goglami przeciwsłonecznymi.

Jakaż różnica dzieli znanego na całym świecie z plakatów werbunkowych rumianego, schludnego, sprężystego młodego bohatera, bez trwogi spoglądającego w dal wojownika, któremu nie potrafią oprzeć się kobiety, od pociągającego nosem, przerażonego, biednego, zziębniętego diabełka z nieświeżym oddechem i ziemistą cerą – bo tak wygląda on w realiach wojennych. Gdyby artyści uwieczniający owych plakatowych bohaterów wiedzieli, jak

beznadziejne jest zadanie, które podjęli się wykonać swoją śmiechu wartą sztuką, postaraliby się o inne zajęcie. Pewnie jednak nie bardzo to im się udawało, bo gdy przyjrzeć się dokładniej tym „dziełom sztuki”, to okazałoby się, że zlecenia na ich wykonanie dostawali na ogół artyści szóstej lub siódmej kategorii. Plakaty zachęcające do wstępowania w szeregi armii są polem artystycznego wyżycia się dla bardzo podrzędnych autorów.

Silniki licznych pojazdów naszego batalionu huczały i grały w całej wiosce. Od czasu do czasu przez mrok przebijał się krótki błysk ręcznej latarki, poza tym wszystko odbywało się w najgłębszych ciemnościach z obawy przed „młynkami do kawy”. Tak nazywaliśmy typ rosyjskich samolotów, których silniki podczas pracy wydawały zabawny, sapiący dźwięk, niezwykle przydatny dla zarządzania alarmu przeciwlotniczego we właściwym czasie. Niekiedy – gdy niewidoczne, bardzo nisko przelatywały ponad naszymi głowami – brzęczenie ich silników zagłuszało nawet hałas naszych własnych pojazdów.

*Wioskę opuszczaliśmy po kolei kompaniami. Było ciemno choć oko wykol i trzeba było bardzo uważać, by nie walnąć w poprzedzający czołg. Chcąc ułatwić zadanie Porcie siedzącemu w dole przy instrumentach i drążkach sterowych czołgu, Pluto i ja ulokowaliśmy się w wieżyczce i stamtąd podpowiadaliśmy mu przez interkom kierunek jazdy. Z rykiem silników i klekotem gąsienic posuwaliśmy się w tempie kilkunastu kilometrów na godzinę. Nagle usłyszeliśmy suchy trzask. Po pół minucie kolejny i jednocześnie wielki kawał drewna przeleciał nam koło głów. Gdy to zjawisko powtórzyło się po raz piąty, zrozumieliśmy wreszcie, że ścinamy czołgiem słupy telefoniczne i natychmiast nakierowaliśmy Portę z powrotem na drogę. Kawaleczek dalej prawie najechaliśmy na czołg przed nami, który nagle zatrzymał się, gdyż kolumna dotarła do mostu, a czołgi musiały przejeżdżać po nim pojedynczo. Dwóch z nas stanęło na obu krańcach mostu, trzymając po zapalonym papierosie, by jego ognikiem wskazywać naszemu wielotonowemu potworowi właściwy kierunek jazdy. Około kilkanaście centymetrów w bok i rzeka Upa zamknęłaby swój nurt nad nieoczekiwaną ofiarą.*

*Okolo czwartej rano nasza kolumna zatrzymała się na skraju zarośli. Silniki wyłączono i zapanowała dziwna cisza. Jedyńm dźwiękiem było zawodzące sapanie „młynków do kawy”. Od czasu do czasu w dół sphywała na spadochronie flara oświelająca i przez moment stawało się jasno jak w dzień.*

*Podczas gdy nasi oficerowie znajdowali się na odprawie u dowódcy pułku, my próbowaliśmy zażyć drobinę snu, leżąc w kucki na stalowej podłodze czołgu. Właśnie zapadliśmy w sen, gdy nadeszły rozkazy. Dowódcy plutonów postawili nam zadania.*

## **XVIII Przedstawienie**

Nasz 27 pułk pancerny miał wraz z 4, 18 i 21 Dywizją Pancerną zaatakować pozycje rosyjskie w rejonie miasta Sierpuchow, na północ od Tuły. Pozycje nieprzyjaciela miały zostać przełamane, aby kontynuować uderzenie na Moskwę. Pułk czołgów z 12 Dywizji Pancernej miał stanowić ostrze atakującego klina, z esesmanami jako rezerwą na prawej flance. Nasza kompania miała znaleźć się na skrajnej lewej flance z zadaniem przeniknięcia przez pozycje rosyjskie i otwarcia drogi dla pozostałych kompanii, które za nami podążą. Na czele miała iść 3 kompania.

– Uczcijmy pamięć 3 kompanii – powiedział ze śmiechem Porta.

Mieliśmy przemieścić się do zniszczonej wsi tuż za główną linią walki. Grenadierzy z 10 pułku zmotoryzowanego mieli jechać na naszych pancerzach jako desant.

Godzina 6:40. Atakują Stukasy.

Godzina 6:45. Atakuje 3 kompania.

Godzina 6:51. Nasza kompania podąża za 3 kompanią.

Ogień zaporowy artylerii zostanie położony trzy kilometry za liniami nieprzyjaciela o 6:50.

Widok był wspaniały. Pociski smugowe o wszelkich barwach tęczy, skrzecząc, przelatywały po niebie. Wzdłuż całego horyzontu wieś i zagajniki stawały w płomieniach, aż niebo zabarwiło się na purpurowo. Granaty artyleryjskie wybuchały z gromkim hukiem i białymi błyskami, ale poza tym panowała cisza jak przed burzą. Od czasu do czasu głosem wściekłego psa gończego zatrzeszczał karabin maszynowy, a zbłąkane pociski cętkowały ruiny za nami.

Byliśmy świadkami wspaniałego przedstawienia dramatycznego. Bitwa jest wielkim, pełnym dramaturgii widowiskiem, prawdziwą gratką dla widzów. Wojna, z jej niekończącym się lękiem, brudem, głodem i zupełnie nie bohaterką nędzą, zostaje na chwilę przerwana przykuwającym uwagę popisem przepychu i dzikości. Przerazona dusza wyzwala się, wznosi na mocnych skrzydłach i leci na spotkanie swojego wielkiego przeznaczenia. To wielka godzina dla cierpiącego cywila. Jego dusza nigdy nie miała okazji, by rozkwitnąć w bogactwie i luksusie; pokrywała się kurzeni w niechlujnym biurze, gdzie ugniatano ją na kształt określony przez kadrowego. Nie znalazła też żadnej duchowej realizacji; nie była dużego kalibru, a jej finanse były zbyt szczupłe, by zapewnić edukację literacką i szeroki światopogląd. A gdy ta dusza złożyła wizytę Miłości, być może była to chwila nazbyt krótka, gdzieś w bramie czy na łonie natury, potem dziecko, więzy małżeńskie, ponure mieszkanko na ulicy bez widoków, rachunki, pot, pożądanie z podciętymi skrzydłami oraz kobieta – śmiertelnie nudna, która w krótkim czasie staje się zakałą codzienności.

W bitwie zaś malutki cywil mobilizuje cały swój kumulowany dotąd strach, a jest go wiele, rzuca się w wir boju i uwalnia swą duszę w wielkim dramacie zmagania życia ze śmiercią.

Nie. Dusza nie zostaje wyzwolona. To tylko jej karykatura. Zbyt prymitywna, by stać się wolną ludzką istotą. Nasz cywil staje się oszalałym, histerycznym kundlem, ślepo posłusznym podszeptom własnego strachu. Robi dokładnie to, czego nigdy nie zgodziłby się robić, a przynajmniej nie ośmielił, lecz co zarazem intrygowało go przez całe życie: zabija, aby żyć.

A ponieważ podejmując to działanie, sam ryzykuje śmiercią, jego dusza wierzy, że jej właściciel jest człowiekiem dzielnym i nigdy nie będzie próbował żyć i umierać daremnie.

Tak wyglądają fakty od strony prozaicznej.

W każdym razie ja nie wierzę w liryczny ton wojny. Nikt mnie nie przekona, że wojna jest buńczuczną, podniecającą przygodą dla prawdziwych mężczyzn, safari dla myśliwych bogatszych i potężniejszych niż milionerzy.

Stary często opowiadał mi o atakach czołgów, które były niszczone przez nieprzyjacielską obronę przeciwpancerną, a ich załogi na ogół ginęły wewnątrz wozów, często w płomieniach. Wysłuchiwałem też wielokrotnie, że prowadzenie ataku jest zajęciem, po którym niewielu tylko uchodzi z życiem. A my, pułk karny, mamy jak w banku, że zawsze będziemy na czele.

– Svenie, czy pamiętałeś, żeby napisać parę pożegnalnych słów do matki i do ukochanej?

Poważny głos Starego przerwał moje rozmyślenia, aż się wzdrygnąłem. Wyciągnąłem

arkusik papieru listowego poczty polowej i nabazgrałem kilka słów przy słabym świetle rzucanym przez żaróweczki podświetlające tablicę wskaźników. Gdy skończyłem, Porta wręczył mi butelkę i odezwał się z szyderczym śmiechem.

– Pociągnij łyka „pijackiej odwagi”, a zapomnisz, że tam nie strzelają ślepakami. Będzie po prostu jak na ćwiczeniach.

„Pijacka odwaga” według Porty okazała się czystym, dziewięćdziesięciosześciprocentowym spirytusem, gwizdniętym, zgodnie z nakazem honoru, gdzieś z izby chorych. Od tej pory pijałem go wiele, ale nigdy w stanie nierozcieńczonym. Ujrzawszy grymas na mojej twarzy, Porta roześmiał się.

– Wybacz! Zapomniałem ci powiedzieć, byś przerzucił swoje jajeczka na jedną stronę i szybko połknął to lekarstwo.

Ku memu zdumieniu Mikrus przyłożył butelkę do ust i pociągał z niej bez mrugnięcia okiem. Porta musiał mu ją po chwili wyrwać.

– Wystarczy, ośle. Nie siedzimy przy stole wigilijnym z choinką i petardami.

– Dzięki za prezent, drogi Porto – odparł na to Mikrus i beknął głośno. – Jeśli zdarzy mi się unieść się w górę na tej skromnej wycieczce, zamówię tam odpowiedni asortyment aniołów i każę im czekać aż do twojego przybycia.

– Chronź nas, Panie – odezwał się Stary. – Posłuchajcie ich. Oni myślą, że pójdą do nieba. Nie, moje maleństwa, skrzydła, które dostaniemy, będą należały do odmiany nieco przypalonej.

Na zewnątrz dał się słyszeć szept podawanych cicho rozkazów i niedługo potem na pancierz czołgu wdrapało się kilku grenadierów. Zajrzeli do nas, szczerząc zęby. Zapaliliśmy po ostatnim papierosie.

– Gotowość do ataku! Kompania... naprzód!

Z rykiem silników przetoczyliśmy się przez zrujnowaną wieś. Pokrywy naszych wieżyczek nadal były otwarte, a na pancierzach siedzieli grenadierzy, gotowi zeskoczyć, gdy rozpoczną się gry i zabawy wojenne. Porta siedział z oczami przyklejonymi do wąskich szczelin przezierników, z dłońmi zaciśniętymi na drążkach sterowych. Stary stał sztywno w wieżyczce, patrząc przez szczeliny obserwacyjne, podczas gdy Pluto gotów był do odpalenia wielkiej armaty w chwili, gdy otrzyma rozkaz. Mikrus miał wszystkie zasobniki amunicyjne otwarte i pozostawał w gotowości do wepchnięcia w paszczę zamka działa nowego pocisku natychmiast po tym, jak tylko wypadnie z niego rozpalona łuska. Ja siedziałem najniżej, przy radiostacji, i po raz dwudziesty sprawdzałem, czy karabin maszynowy jest w porządku i prostowałem długą taśmę z nabojami wijącą się jak szeroki, płaski wąż.

Wtem zaskrzeczała radiostacja:

„Piąta kompania! Piąta kompania! Tu sztab. Do wszystkich wozów. Otworzyć ogień!”

Nagle rozpętało się piekło. Głowy wypełnił nam ryk, trzask, łomot i grzmot spuszczonej ze



smyczy energii.

Długie, żółtawo-czerwone płomienie wysuwały się jak noże ognia z luf armatnich. Wnętrze czołgu przypominało rozgrzany kocioł podczas sabatu czarownic. Dym z wystrzałów kłuł, palił oczy i gardła. Za każdym strzałem armaty spiczasty płomień wyskakiwał z jej gardzieli. Puste łuski toczyły się i obijały o ściany czołgu z przerażającym łoskotem.

Siedziałem z otwartymi ustami i gapiłem się przez szczelinę na otoczenie. Nagle prosto przed nami dostrzegłem grupę piechoty rosyjskiej. Automatycznie spojrzałem na przyrządy celownicze mojego kaemu, palec wskazujący momentalnie nacisnął na spust... teraz! Chłodnym wzrokiem i ze zmrużonymi oczami patrzyłem, gdzie lokują się serie pocisków smugowych, wziąłem poprawkę i zacząłem zabijać. Nagle gwałtowny wstrząs silnie rzucił mną do przodu i gdybym nie miał na głowie skórzanego hełmu ochronnego, rozbiłbym sobie twarz na strzępy o zamek karabinu maszynowego. Stary rzucił przekleństwo pod adresem Porty, który wjechał do głębokiego na ponad metr leja po pocisku artyleryjskim.

– Tylko poczekaj, aż zacznę prowadzić twoje „pierdzi-pudło” w sposób, w jaki w mej uniżonej opinii powinno ono być prowadzone – odciął się Porta.

Rosyjska artyleria przeciwpancerna zaczęła odpowiadać na ogień i pierwsze trafione czołgi stanęły w płomieniach. Ich stalowe kadłuby oblizywał coraz większy purpurowy ogień, a kaskady gęstego, aksamitnego, czarnego jak węgiel dymu biły w niebo.

Powoli posuwaliśmy się do przodu, a nasi grenadierzy, skuleni pod osłoną wieży, szykowali się do ataku na rosyjską piechotę, gdy tylko wbijemy się w nieprzyjacielskie pozycje. Około południa Iwan rozpoczął odwrót. Gdy tylko uzupełniliśmy benzynę i amunicję, znów ruszyliśmy pełnym gazem za cofającym się nieprzyjacielem. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się w jakiejś wsi, w której Iwan uparł się dalej stawiać opór i z której trzeba go było wyrzucać ogniem i żelazem. Po kwadransie na ogół nie było już wsi, tylko wielkie ognisko, po którym krążyliśmy z klekotem gąsienic, kosząc przy tym wszystko: żołnierzy, cywilów, mężczyzn, kobiety, zwierzęta. Jeśli na naszej drodze stał płonący dom, z hukiem przebijaliśmy się przezeń na wprost, podnosząc przy tym chmurę wirujących iskier, płonące belki zaś opadały na czołg i dopalały się na nim jeszcze przez pewien czas, tak że miało się wrażenie jakby i on się palił.

Żołnierze rosyjscy nie bali się umierać. Niejeden raz garstka sowieckiej piechoty obsadzała strategicznie ważny punkt i wstrzymywała nasze natarcie, dopóki nie wystrzeliła ostatniego naboju lub nie została rozjechana gąsienicami naszych czołgów. To dziwne, gdy widzi się człowieka leżącego, siedzącego, biegnącego lub kulącego się tuż przed tobą, a ty, zamiast go ominąć, jedziesz prosto i miażdżysz go. Dziwne, bo nie czujesz przy tym niczego. Wiesz, że nie możesz teraz przeżywać tego w jakikolwiek sposób. Być może za tydzień, miesiąc, rok, za pięćdziesiąt lat. Ale nie w tej właśnie chwili. Nie ma czasu na przeżywanie, to wszystko po prostu rozgrywa się dookoła ciebie; obrazy i dźwięki, postrzegane z największą ostrością, są

rejestrowane i natychmiast spychane w niepamięć, do późniejszych analiz.

Zapoznaliśmy się z ciężkimi czołgami Rosjan, ogromnymi bestiami o wadze czterdziestu czy pięćdziesięciu ton, z wielkimi, stu pięćdziesięciomilimetroвыми działami, których ogromne paszcze sterczały z potężnych wież. Ale te prawdziwe mastodonty nie były w boju aż tak niebezpieczne. Ich słabością była nadmierna ociężałość.

Dysponując przewagą prędkości i zwrotności, w starciach na krótkim dystansie rozwalaliśmy je bez trudności.

Po ośmiu tygodniach nieprzerwanego natarcia nasza zdolność bojowa się wyczerpała i musieliśmy zatrzymać się na operacyjną przerwę w Podolsku, mieście położonym na południowy zachód od Moskwy. Pauza wypadła w samym środku rosyjskiej zimy, której przerażająca moc nie miała granic. Tysiące niemieckich żołnierzy zginęło od straszliwych odmrożeń. Do domu trzeba było odsyłać nie kończące się transporty kalek, których gangrena pozbawiła nogi albo ręki.

Zaopatrzenie się załamało. Nie było ani benzyny, ani amunicji, ani żywności. Utknęliśmy w samym środku rosyjskiej zimy, przy temperaturze minus 48 stopni Celsjusza, a prawie nikt nie miał kożucha czy innego zimowego okrycia, aby móc złagodzić skutki wyjącej burzy śnieżnych. Wielokrotnie dziki ból dłoni czy stopy wydobywał z ust krzyk cierpienia lub ciche kwilenie jak u niemowlaka. Nikt nie był w stanie wytrzymać na warcie dłużej niż dziesięć minut, przekroczenie tego czasu bowiem skazywało delikwenta na niemal pewną śmierć. Gdy ktoś został ranny, zwykle potem znajdowaliśmy go zamrożonego na beton w pozycji, w jakiej trafił go pocisk lub odłamek. Odnajdowanie zamrożonych zwłok naszych towarzyszy, opierających się o pień drzewa czy ściankę okopu, było codziennym doświadczeniem.

Inicjatywa przysłała w ręce Rosjan, a my nabraliśmy wielkiego respektu dla ich syberyjskich jednostek, wyspecjalizowanych w działaniach zimowych. Walili w nas bez ustanku i bez litości. Wiele setek naszych czołgów wypadło z walki z powodu braku benzyny; ale nawet gdybyśmy mieli całą benzynę świata, w niczym by nam to nie pomogło, bo wszystkie bez wyjątku silniki naszych wozów były bezużyteczne z powodu niezwykle niskich temperatur. Dźwignie sterowania i sprzęgieł pękały na kawałki przy byle naprężeniu, jakby były ze szkła.

W końcu 22 grudnia 1941 roku, po trzech tygodniach, w trakcie których atakowano nas nieustannie w dzień i w nocy, wycofaliśmy się podczas wyjącej burzy śnieżnej. Wyszliśmy uprzednio w powietrze wszystkie czołgi, aby nie wpadły w ręce nieprzyjaciela. Wyczerpani i na pół oślepieni śniegiem, chwiejnym krokiem podążaliśmy na zachód.

Szedłem między Porta a Starym i byłem tak chory z zimna, głodu i wyczerpania, że musieli mnie nieść przez prawie całą drogę. Gdy padałem i nie chciałem wstać, bili mnie i przeklinali, póki się nie podniosłem i nie kontynuowałem wędrówki. Tylko dzięki ich uporczywej determinacji uratowania nas, Mikrus i ja nie podzieliśmy losu tysięcy niemieckich żołnierzy,

którzy pozostali tam na zawsze. Rosjanie ciągle deptali nam po piętach. Zimno nie robiło na nich najmniejszego wrażenia i bez przerwy nam zagrażali.

Ponieważ byliśmy jednostką karną, podczas odwrotu stanowiliśmy niezmiennie ariergardę, podobnie zresztą jak awangardę podczas ataku.

Nieco na północ od Kalinina kazano nam okopać się w śniegu i za wszelką cenę utrzymać zajmowaną pozycję (była nią wieś Gorodnaja). Rozpoczęły się dni nie do zniesienia, gdy Rosjanie naprzeciw naszego odcinka dosłownie wybiegali po śmierć. Tysiące, tysiące martwych rosyjskich żołnierzy tworzyło stosy tuż przed naszymi pozycjami, oni jednak uparcie rzucali do walki ciągle świeże jednostki. Byliśmy uczestnikami jednej z wielu niespotykanych masowych rzezi.

Po stracie czołgów sformowano z nas dwunastoosobową drużynę piechoty, ze Starym jako dowódcą. Pewnej nocy Rosjanie przełamali w końcu naszą pozycję i przeniknęli ponad dwadzieścia kilometrów na tyły.

Leżałem przy karabinie maszynowym z Asmusem i Fleischmannem, ostrzeliwując atakujące fale. Musieliśmy trzymać oczy szeroko otwarte, by uniknąć skoszenia swoich ludzi, gdyż Rosjanie tak jak i my używali długich, białych peleryn maskujących, z kapturami narzucanymi na hełmy. Polegaliśmy w dużej mierze na instynkcie.

Nagle z tyłu za sobą usłyszeliśmy głośny krzyk po rosyjsku. Pierwsza myśl – złapać karabin maszynowy, pistolety maszynowe, granaty ręczne i biegiem! Uciekać, uciekać!

Wszyscy, prócz Asmusa, rzucili się do tyłu, a on, głupek, popędził prosto na Rosjan. Po chwili okazało się, że my również – byliśmy bowiem już otoczeni.

*Z największą niechęcią piszę o okresie, gdy byłem jeńcem. Wiem, że przez antykomunistów może on zostać wykorzystany jako dowód słuszności ich punktu widzenia, natomiast strona przeciwna nazwie mnie kłamcą i oszustem, zdrajcą interesów ludu.*

*Po przeczytaniu tego rozdziału jedna opcja pośpiesznie chwyci za czerwony ołówek i podkreślając pewne fragmenty, zawoła: – Spójrzcie! Tak tam jest! Sami przeczytajcie, co pisze naoczny świadek! Posłuchajcie prawdy o Rosji Sowieckiej!*

*Jeśli ktokolwiek mnie spyta, czy w Rosji jest „właśnie tak”, mogę tylko odpowiedzieć, że doprawdy nie wiem. ZSSR jest ogromnym krajem. Byłem tam tylko przez bardzo krótki czas i widziałem niewiele, ponieważ okoliczności mojego pobytu były takie, że niemożliwe stało się nawiązanie normalnych kontaktów lub uzyskanie jakiegokolwiek szerszej perspektywy, a cóż dopiero dokonanie czegoś tak skomplikowanego, jak obiektywny sąd o tym, jak „tam „sprawy mają się naprawdę.*

*Przybyłem jako wróg do kraju, który miał aż nadto wiele powodów, by mnie nienawidzić i zwalczać, a także być zupełnie obojętnym na to, co mnie „tam” spotyka. Ostatecznie byłem jednym z tych, którzy pomagali palić tysiące wsi i rujnować egzystencję milionów ludzi.*

*Nie podzielałem prostego równania, że nazizm i demokracja ludowa to jedno i to samo, a Stalin i Hitler należą do tego samego gatunku tyranów. Wystarczy jeden rzut oka na ich wizerunki, by się przekonać, że to nonsens. Hitler był historykiem, Stalin upartym facetem, który miał dość rozumu, by nie bawić się w rewolucję, lecz iść swoją drogą – dokładnie, doktrynersko, z nieskończoną cierpliwością i wieczną nieufnością. Nie był głupcem, ale też nie jednym z dzieci bożych. Nie znając go osobiście, wołałbym dalej nie zgadywać. Ale ponieważ można porównać czyny ich obu, a także pisma, więc łatwo zauważyć, że Hitler i Stalin byli tak do siebie niepodobni, jak tylko różnić się może dwóch ludzi.*

*Relacja o okresie, gdy byłem rosyjskim jeńcem wojennym, nie powinna zatem być używana jako argument za czy przeciw komunizmowi, za lub przeciw Stalinowi, za lub przeciw Wschodowi. Dopóki Hitler i jego współpracownicy – zarówno martwi, jak i ci, którzy tu i ówdzie zachowali się przy życiu – nadal mogą wywierać wpływ na ludzi, dopóty doszukiwanie się źródła lęków i koszmarów całego świata wyłącznie w polityce Moskwy jest daremnym trudem. Dopóki wolność i swobody demokratyczne pozostają problematycznym postulatem, dopóty nie mamy moralnego prawa zamiatać gdzie indziej, niż tylko przed naszym własnym brudnym progiem.*

*Poza tym niech każdy spokojnie zachowuje swoją wolność, jeśli tylko mnie pozwala zachować moją. Moje umiłowanie wolności dalekie jest od wolności strzelania z karabinów. Pokosztowawszy smaku wojny, chętnie podporządkuję się nawet najsurowszym ograniczeniom, jeśli będzie to konieczne, byśmy mogli przeżyć nasze życie w pokoju. Nie wystarczy mówić: „Nie chcemy więcej wojny „– a potem uważać, że wykonało się już zadanie. Musi istnieć pewność*

*ureczywistnienia woli, ktoś musi pilnować, by wszyscy mieli dosyć jedzenia, by wszystkie wielkie humanitarne plany i programy zostały przeniesione z papieru w rzeczywistość.*

*Będzie to wymagało znacznego wysiłku, trwającego być może przez wiele pokoleń – prawdopodobnie bowiem bez ograniczeń i ostrej samodyscypliny nie da się zbudować potężnej maszynierii, gwarantującej produkcję i dystrybucję żywności, tak aby starczyło jej dla wszystkich. Będzie to wymagało najtwardszego ze wszystkich przymusów: konieczności podporządkowania się dobru ogólnemu. Będzie wymagało, aby każdy z osobna i wszyscy razem zrezygnowali z komfortu i wygod i wzięli do pracy, aby ludzie zapomnieli o własnym tylko interesie i wyrzekli się życia dla siebie samych, aby zlikwidowano tę formę egzystencji społeczeństw, która uznaje tylko prawa indywidualne, pozwalające zagarniać wszystko dla siebie – indywidualum bowiem staje się jakże zmęczone, znużone i jakże niezadowolone, gdy ktokolwiek przypomni mu, że jednostka ma również obowiązki. Mówimy wiele o wolności z implikacją, że pragniemy wytepić innych, lub też, co jest już całkiem nikczemne, że pragniemy, aby inni wytepiłi się nawzajem, podczas gdy my będziemy się przyglądać i na tym korzystać.*

*Istnieją dwie powiązane ze sobą przyczyny, dla których muszę napisać o okresie spędzonym w niewoli, pomimo oporów i obaw, że moja relacja może zostać wykorzystana w sposób niezgodny z moimi intencjami. Pierwsza jest taka, że bez tego fragmentu mojego wojennego życiorysu obraz wojny, jakiej doświadczyłem, byłby niekompletny. Druga zaś, że ten rozdział wydaje się niezbędny w książce, której celem jest przeciwstawienie się wszelkim obliczom wojny jako zjawiska w ludzkim życiu. Bynajmniej nie koliduje to z ukazaniem oczami pojedynczego świadka, jak „rzeczy się miały „w Związku Sowieckim; w tym ogromnym kraju, którego – powtarzam raz jeszcze – prawie zupełnie nie znam, lecz który dziś w pokojowej rzeczywistości wyobrażam sobie jak każdą inną ludzką zbiorowość: jako całkiem zwyczajne i normalne społeczeństwo.\*[\** Autor w swoich cokolwiek asekuranckich rozważaniach na temat systemu sowieckiego starannie unika ogólniejszych wniosków, komentarzy i podsumowań, tłumacząc to fragmentarycznością posiadanej na ten temat wiedzy. Nie należy zapominać, że pisał te słowa w drugiej połowie lat 50 ubiegłego wieku. Komunizm usiłował wtedy odciąć się propagandowo od stalinowskiej spuścizny i pokazać światu bardziej „ludzkie” oblicze. „Pokojowe” i „postępowe” hasła, jakie głosiła wówczas światu komunistyczna propaganda (zwłaszcza poprzez zależne od Moskwy wielomilionowe partie komunistyczne w krajach zachodnich, przeciwstawiając je „niehumanicznemu” obliczu „prącego do globalnej konfrontacji” imperializmu amerykańskiego i wyzyskowi człowieka przez kapitał, nie pozostawały bez echa wśród społeczeństw Zachodu wciąż żywo pamiętających okropności wojny światowej. Najwyraźniej przemawiały one wówczas w jakimś stopniu także do autora tej książki, przytępiając nieco obraz znanej mu (być może empirycznie) rzeczywistości sowieckiej, stąd jego rozważania przypominają trochę szamotaninę się pomiędzy bezspornymi faktami, a wiedzą będącą skutkiem

oddziaływania komunistycznej i pacyfistycznej propagandy, trochę w myśl zasady: „Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek” ]

## **XIX Niewola**

Trudno o bardziej rozpaczliwą perspektywę niż rosyjska niewola. Fleischmann i ja zostaliśmy zamknięci w domu we wsi Klin, a przed drzwiami postawiono bojca. Przez całą drogę z linii frontu na sowieckie tyły spadały na nas kopniaki, ciosy pięścią i przekleństwa, póki nie przekazano nas do jenieckiego punktu zbornego właśnie we wsi Klin. Zostaliśmy przesłuchani przez oficera, który koniecznie chciał się dowiedzieć, jaka jest organizacja naszego pułku. Po drodze widzieliśmy, jak Rosjanie załatwiali dziesięciu esesmanów: wbili im w karki łuski po nabojach. Gdzieś indziej ukrzyżowali na drzwiach niemieckiego majora. Inni zostali zbici na miazgę kolbami karabinów i kozackimi nahajkami.

Wybiła godzina zemsty.

W nocy ustawiono nas w kolumnę złożoną z tysiąca ludzi, a konni strażnicy popędzili nas na wschód. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było wychodzić z szeregu, więc potrzeby fizjologiczne musieliśmy załatwiać w spodnie. Ci, którzy upadli w śnieg, biciem byli zmuszani do powstania. Jeśli nie wstali, dobijano ich ciosem szabli.

Po trzech dniach dotarliśmy do wsi Kimry, gdzie zamknięto nas w dużej stodole i wydano nam pierwszy posiłek od chwili wymarszu z Klinu. Jedzenie stanowiła śmierdząca, niewiadomego pochodzenia papka, której nie mogliśmy przełknąć pomimo wściekłego głodu.

Fleischmann i ja zdecydowaliśmy się podjąć próbę ucieczki. Jeńcom wolno było wychodzić za stodołę, by oddać hołd naturze, i podczas jednej z takich wycieczek dostrzegliśmy swoją szansę i ze wszystkich sił ruszyliśmy przed siebie. Biegliśmy przez zamrznięty staw o jakieś trzysta metrów od stodoły, wciąż dalej i dalej, nie odczuwając żadnego zmęczenia. Jedyne, co wtedy czuliśmy, to strach. Wędrowaliśmy przez całą noc, orientując kierunek według gwiazd, na których, z racji mojego niegdysiejszego zainteresowania astronomią, znałem się całkiem nieźle. Pokonaliśmy duży las i podążaliśmy dalej przez zamrznięte jezioro. Prawie dotarliśmy na jego drugi brzeg, gdy za plecami doszedł nas krzyk odzianego w futro żołnierza. Gdy przyśpieszyliśmy kroku, posłał za nami serię z pistoletu maszynowego, której pociski zagwizdały nam koło uszu, ale żaden nie trafił. W parę minut później zasłoniły nas krzaki.

Tego wieczoru dotarliśmy do jakichś chat i ukryliśmy się w stajni, gdzie odpoczywaliśmy przez całą dobę. Udało się nam złapać kurę, ukrećiliśmy jej łeb i pożarliśmy ją na surowo. Następnego dnia przenieśliśmy się do kolejnej stajni, gdzie zakopaliśmy się głęboko w stercie starego siana. Po południu ku naszemu przerażeniu doszły do nas głośnie wrzaski, a gdy ostrożnie wyjrzelśmy przez dziurę w dachu, ujrzeliśmy pięciu rosyjskich żołnierzy z dwoma psami. Po

dłuższej rozmowie z kołchoźnikami odeszli. Leżeliśmy w sianie jeszcze kilka godzin, a gdy tylko zapadł mrok, uznaliśmy, że czas opuścić dotychczasową kryjówkę.

Starzec, który ujrzał nas w stajni, nie wyglądał na zdziwionego. Zapytał w łamanej niemczyźnie:

– Jeńcy?

Kiwnęliśmy głowami.

Zabrał nas do swego domu i nakarmił. W pokoju siedział inny starzec i cztery kobiety. Powitali nas spokojnie i zrobili nam miejsce przy stole. Obserwowali, jak pałaszowaliśmy baraninę i gotowane kartofle. Nikt się nie odezwał.

Stary kołchoźnik pozwolił nam spać w izbie, więc mogliśmy wreszcie porządnie odpocząć, a rano dał nam jeszcze po parze watowanych spodni i takie same kurtki. To była dobra, ciepła odzież i miała bezcenną zaletę – czyniła nas anonimowymi, tak więc mogliśmy wędrować również w ciągu dnia, nie ryzykując zbytnio rozpoznania. Pożegnaliśmy serdecznie naszych wciąż milczących dobroczyńców.

Przez cztery następne dni kierowaliśmy się na zachód, aż w końcu pewnego poranka dopadł nas pech. Wychodząc z małego lasku, znaleźliśmy się twarzą w twarz z grupą rosyjskich żołnierzy, którzy wyrosli przed nami jak spod ziemi. Zażądali okazania dokumentów. Zacząłem mówić do nich po duńsku, ale naturalnie niczego nie zrozumieli. Wtedy spróbowałem angielskiego i tu poszło lepiej. Wyjaśniłem, że jesteśmy Duńczykami, byliśmy w niemieckim obozie koncentracyjnym i zdezerterowaliśmy z karnego pułku na stronę rosyjską. W jednostce Armii Czerwonej, do której się zgłosiliśmy, kazano nam podążać w stronę Moskwy, ale idąc w kierunku linii kolejowej, zabłądziliśmy.

Dalej nastąpiło drugie przepytywanie, z którego wywnioskowałem, że raczej nie dano mi wiary. W końcu zaprowadzili nas do komandira. Po drodze jeden z nich dostrzegł na moim przegubie zegarek, który już po chwili zmienił właściciela. Inny bojec zabrał mi złoty łańcuszek, który był prezentem od Urszuli. Komandir potraktował nas przyzwoicie i bardzo szczegółowo przesłuchał. Zapytał, czy jesteśmy komunistami, co zgodnie potwierdziliśmy; ale nie śmieliśmy już udawać, że należeliśmy do partii komunistycznej, bo to można było bez trudu sprawdzić. Mruknął z dozą dezaprobaty, że nie starczyło nam odwagi, aby zadać sobie trud wstąpienia w szeregi partii, ale najważniejsze było, że mamy szczerze komunistyczne przekonania.

Następnego dnia w eskorcie dwóch bojców zaprowadzono nas na stację kolejową, skąd mieliśmy być odstawieni do Moskwy i przekazani NKWD. Po trzydziestu sześciu godzinach podróży znaleźliśmy się na jednym z moskiewskich dworców kolejowych. Wprowadzono nas do wielkiego pomieszczenia z gęstą siatką w oknach, przez które widać było olbrzymi hol stacyjny, gdzie roilo się od żołnierzy i cywilów. Kilku z nich wspięło się na okna i z zaciekawieniem

zaglądało do środka. Czekaliśmy tam przez szereg godzin, aż wreszcie zjawili się pięciu uzbrojonych enkawudzistów, którzy poprowadzili nas do dużego, czarnego furgonu policyjnego. Z szaleńczą szybkością przejechaliśmy ulicami miasta do wielkiego więzienia.

– Teraz wpadliśmy – szepnął Fleischmann. – Albo nas od razu zastrzelą, albo wyślą na Syberię.

Szept Fleischmanna kosztował nas potok ciosów kolbami karabinów, po których prawie nieprzytomni zwaliliśmy się z ławki. Kilka kopniaków w brzuch szybko postawiło nas na nogi. Przejechaliśmy labiryntem ogrodzonych więziennych dziedzińców, aż zatrzymaliśmy się przy małych drzwiach, przez które dosłownie nas wkopano. Potem zostaliśmy pognani do biura, w którym oficer NKWD powitał nas dobrze wymierzonymi uderzeniami pięści, racząc niemal identycznie, jak esesmani w Lengries.

Po wpisaniu naszych personaliów do rejestru – obaj potwierdziliśmy, że jesteśmy obywatelami duńskimi – wsadzono nas do celi, w której było już ściśniętych dwudziestu pięciu więźniów. Nasi współlokatorzy zostali aresztowani za wszelkie możliwe do zdefiniowania zbrodnie, tak polityczne, jak i kryminalne. Sierżant Armii Czerwonej, który nożem do chleba podciął gardło swej żonie, oznajmił nam tonem eksperta:

– Za parę miesięcy zostaniecie wysłani do obozu pracy. Jeśli dobrze traficie i nie podpadniecie nikomu z naczałstwa, to może się wam nawet całkiem nieźle powodzić. Najważniejsze, to nie przepracowywać się, robić dokładnie tyle, ile trzeba, a jeśli już coś zostanie zrobione, to trzeba to natychmiast spieprzyć. Musicie też starać się zaprzyjaźnić ze strażnikiem z NKWD, „organizując” dla niego rozmaite rzeczy z fabryki, w której będziecie pracować, ale oczywiście, tylko te dobre.

Był między nami profesor, laureat nagrody Stalinowskiej, teraz oskarżony o wrogą działalność przeciwko państwu. Taryfikator przewidywał za to dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Od niego usłyszeliśmy, że legalnie nigdy już się z Rosji nie wydostaniemy, i radził nam uciekać przy pierwszej okazji.

Tylko dwunastu z nas mogło położyć się jednocześnie. W jednym kącie celi stało wiadro bez pokrywy, do którego załatwialiśmy potrzeby fizjologiczne zwane paraszą. Smród fekaliiów, jaki bił z tego miejsca, był nie do zniesienia i przenikał całą naszą odzież. Do tego należało dodać głód i wszy. Ale bynajmniej nie było nam zimno. Dniem i nocą pociliśmy się jak w łaźni tureckiej. Stając na ramionach współwięźnia, można było wyrzeć na wielki dziedziniec, gdzie każdej nocy przeprowadzano egzekucję więźniów: mężczyzn i kobiet. Dźwięk, który na zawsze będzie mi się kojarzyć z tym więzieniem, to huk salw i hałas silników wielkich ciężarówek. W Moskwie więźniów transportowano wyłącznie nocą.

Byliśmy badani przez młodego komisarza. Przesłuchanie trwało pięć godzin i musieliśmy w jego trakcie opowiedzieć wszystko o sobie i o naszych rodzinach. W dwa dni później nastąpiło



kolejne przesłuchanie, podczas którego zadawano nam dokładnie te same pytania, tylko w innej kolejności. Badania kontynuowano w ten sposób przez kilka dni, po których znajdowaliśmy się na skraju załamania nerwowego, tak oglupiali, że zaczęliśmy mylić ludzi i zdarzenia. Wtedy wrzeszczeli na nas, że wszystko, co powiedzieliśmy, jest kłamstwem, i usiłowali nakłonić do przyznania, że jesteśmy esesmanami i szpiegami.

Następne trzy dni minęły bez przesłuchań, po czym odbyło się coś w rodzaju sądu. Mnie skazano na dziesięć lat ciężkich robót, zaś Fleischmann dostał ich piętnaście, tyle że nie powiedziano nam, za co dostajemy te wyroki. Cała rozprawa trwała pięć minut.

Wkrótce potem wraz z grupą około dwustu więźniów, mężczyzn i kobiet, zostaliśmy przewiezieni na dworzec kolejowy i załadowani do pociągu towarowego. W każdym wagonie wskazano jednego więźnia, który miał odtąd być kimś w rodzaju „starszego” wagonu, odpowiedzialnego za porządek. „Starszych” wyznaczali enkawudziści według siebie tylko znanego klucza.

Więźniowie w naszym wagonie wywodzili się ze wszystkich warstw społecznych. Był tam wieśniak w waciaku i bezkształtnych walonkach. Obok niego leżał starszy już mężczyzna w brudnym i wygniecionym, lecz dobrze skrojonym garniturze i półbutach na nogach – rodzaj obuwia wskazywał, że jego właściciel należał do grona uprzywilejowanych obywateli. Naprzeciw mnie siedziała kobieta w futrze i eleganckich jedwabnych pończochach. Obok niej młoda dziewczyna w stroju robotnicy, a były też jedna czy dwie kobiety w letnich jeszcze sukienkach.

Pociąg podążał na wschód, ale nikt nie wiedział, dokąd jedziemy. Trzy razy dziennie podczas postojów urządzano apel. Metoda liczenia polegała na tym, że ustawiano nas w szeregu a żołnierz, który szedł z tyłu, walił z rozmachem nahajką pierwszego więźnia i wołał: „Odin!”, po czym kontynuował tę czynność przez całą długość szeregu. Pewnego ranka wydało się, że w naszym wagonie brakuje więźnia. Okazało się, że zdołał on otworzyć drzwi wagonu i wyskoczyć w bieg. Nasz „starszy” zapłacił za tę ucieczkę życiem.

W Kujbyszewie nad Wołgą do naszego składu doczepiono szereg nowych wagonów z więźniami. Codziennie któryś z „podróżnych” umierał z zimna i wyczerpania. Zwłoki musiały pozostawać z nami w wagonach, a my wyciągaliśmy je na każdy apel. Trupy liczone razem z żywymi, jednych i drugich uderzając biczem. Któregoś dnia, gdy zatrzymaliśmy się w Bogołowsku, wśród potężnych szczytów Uralu, wyglądało na to, że nasi strażnicy zwariowali, bo nagle otwarli drzwi naszego wagonu i oddali do środka, gdzie leżeliśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze, serię strzałów, po czym zamknęli drzwi, rycząc ze śmiechu. Dwie kobiety wpadły w histerię i zaczęły wyć z oczami w ślup i pianą na ustach. Fleischmann i ja zajęliśmy się jedną, zaś paru byłych żołnierzy – drugą. „Uspokajaliśmy” je biciem dłonią po twarzy, tak jak to się robi na froncie, gdy jakiś żołnierz nagle dostanie fioła. Skutek jest zawsze murowany. Obie

kobiety przestały opętańczo wrzeszczeć, szarpnęły się konwulsyjnie, a po czym usiadły i długo płacząc, pozbywały się resztek napięcia.

Wyładowano nas w Tobolsku. Tamtejszy obóz pracy niczego nie mogliśmy się nauczyć od swoich nazistowskich odpowiedników. Powiedziano nam, że przez pierwszych kilka dni będziemy pracowali w lesie, a następnie zostaniemy odkomenderowani do różnych fabryk i zakładów. Dla naszych osłabionych organizmów ciężka praca w lesie wymagała niewiarygodnego wysiłku i dobrze, że trwała tylko kilka dni, bo inaczej w krótkim czasie byłaby nas wykończyła. Fleischmann i ja trafiliśmy do podziemnej fabryki produkującej lampy radiowe i sądząc z tego, co przepowiedział nam w celi moskiewskiego więzienia współwięzień-sierżant, rzeczywiście mieliśmy szczęście. Ci, których skierowano do fabryk amunicji, podobno umierali jak muchy.

Pozwalano nam spać pięć godzin na dobę. Nocowaliśmy w ziemiance, gdzie na prycze przypadało trzech mężczyzn. Nie było materaców i mieliśmy tylko po jednym kocu. Trzy razy dziennie otrzymywaliśmy nędzną zupę rybną, bez żadnego pieczywa. Chleb był luksusem, zapewne dlatego, że Ukraina i żyzne stepy nad Morzem Czarnym dostały się w ręce niemieckie.

Po pewnym czasie przeniesiono nas do obozu otwartego. Było to miejsce, gdzie mieszkali robotnicy skierowani do pracy w tutejszych fabrykach i innych przedsiębiorstwach, ale nie będący pod bezpośrednim nadzorem NKWD. Panowały tu o wiele bardziej znośne warunki bytowania, a porządek opierał się po ludzku na bałaganie, nie zaś na terrorze, jak w obozach zamkniętych. Było się traktowanym przyzwoicie, a także otrzymywało się niewielką zapłatę. Człowiek naprawdę sprytny mógł się postarać, aby brygadzysta wciągnął go na stan jako specjalistę i w ten sposób stawał się niezastąpionym.

Po pewnym czasie znów załadowano nas do wagonów. Pociąg wlokł się przez pięć dni, aż przybyliśmy do Jenisiejska nad rzeką Jenisiej. Po drodze minęliśmy jezioro Kałunda, gdzie dostaliśmy mnóstwo suszonej ryby i o mało nie poumieraliśmy na skręt kiszek po spożyciu olbrzymiej ilości tego specjału. Była to pierwsza od bardzo długiego czasu okazja, aby najeść się do syta – zakończona niemal katastrofą! Nasze osłabione żołądki nie były w stanie podolać tak potężnej ilości jedzenia, choć pozostanie kwestią otwartą, czy i zdrowy żołądek mógłby sobie poradzić z ponad trzydziestoma suszonymi rybami. Pilnowało nas kilku dość przyzwoitych starszych panów z tak zwanego „niebieskiego” NKWD.

Dla nas nowy obóz w Jenisiejsku oznaczał znaczną poprawę. Prawda, że nie było w nim zbyt przestronnie, ale na jedną prycze nigdy nie przypadało więcej niż dwóch ludzi. Mieliśmy również dość sporo swobody i nie stosowano wobec nas żadnych szykan. Wręcz przeciwnie, stosunki między więźniami i nadzorcami były zupełnie przyzwoite. Każdego ranka i wieczoru musieliśmy stawać na apelu, a jego jedyną formą było meldowanie się strażnikowi, który zapisywał nazwiska obecnych na desce. Po apelu zapis zdrapywano scyzorykiem. Po prostu

brakowało papieru na tę formę biurokracji. Jeśli zaniedbało się meldunku podczas apelu, mogło to kosztować kuksańca w głowę, ale obywało się bez brutalnego bicia. Bardzo często kontrolujący enkawudzista pytał jednego z obecnych, czy gwarantuje, że brakujący więzień przebywa w obozie, i jeśli usłyszał odpowiedź twierdzącą, to jedynie pouczał strofującym tonem:

– Powiedz mu, że został zapisany, ale jutro musi stawić się osobiście, bo inaczej naprawdę się wścieknę. Musi tu panować jakiś porządek.

W Jenisiejsku przeżyłem najbardziej zwariowaną przygodę mojego życia. Chodziło o sposób, w jaki dobierano tu „specjalistów”.

– Powiedz mi, co potrafisz.

Wiedząc, że zakwalifikowanie w charakterze „specjalisty” ma kluczowe znaczenie, tak Fleischmann, jak ja spokojnym tonem stwierdziliśmy, że jesteśmy mechanikami.

W ten sposób zostaliśmy zaliczeni do uprzywilejowanego grona „specjalistów”. Gdy zwróciliśmy enkawudziście uwagę, że wpisano nas jako „specjalistów”, a nie „specjalistów mechaników”, uśmiechnął się wesoło, „puścił oko” i powiedział:

– A co, jeśli potrzebny będzie kucharz, a wy będziecie figurowali tylko jako „mechanicy”?

Był człowiekiem głęboko praktycznym.

Zaczęliśmy od wyrabiania drewnianych kluczy przemysłowych. Nikt nie miał najmniejszego pomysłu, do czego mogłyby być przydatne. Wytwarzająca je fabryka zatrudniała do tego celu dwudziestu pięciu ludzi. Po dwudziestu dniach przeniesiono nas na inny wydział, produkujący cyrkle.

Nawet w najbardziej rozpasanej wyobraźni nie mieściło się, do jakiego stopnia można sabotować pracę. Pięćdziesiąt procent całej produkcji tej fabryki nadawało się od razu na szmelc. Gdy na przykład stawiano halę pod wydział budowy silników, a była to robota, przy której pracowało sześciuset specjalistów, sięgnięto po wszelkie środki i sposoby, żeby budynek wypadł okazale. Architekci i oficerowie NKWD codziennie wielokrotnie sprawdzali postępy prac, pławili się w rysunkach i planach. Budowę śledzono z wielkim zainteresowaniem w całym mieście. Gdy wreszcie budynek został ukończony, był tak krzywy jak wieża w Pizie i wszyscy, z wyjątkiem bezpośrednio odpowiedzialnych za wzniesienie tego „arcydziela architektury”, zareagowali głośnym i niepowstrzymanym śmiechem, nie wyłączając enkawudzistów.

Ta sama reguła dotyczyła funkcjonowania silników urządzeń fabrycznych. Psuły się nieustannie, a robotnicy krzyczyli wtedy z zachwytem: „Silnik nawalił! Silnik nawalił!”.

Bez względu na to, jak drobna nie byłaby to awaria, naprawa zajmowała cały dzień, a garść piasku w dynamie zawsze gwarantowała dłuższą przerwę. Jeśli potrzebna była część zamienna do maszyny, kradło się ją z innej, tę zaś zastępował element wykradzony z kolejnej, a ostatnią brało się na końcu z unieruchomionej na dłużej maszyny czekającej na przywiezienie takiej czy

innej części zapasowej z Moskwy. Nadzorowaliśmy wielki silnik, który pewnego razu zepsuł się, co spowodowało zatrzymanie pracy całego wydziału. Po długiej naradzie my, „specjaliści”, zdecydowaliśmy, że musi być coś nie w porządku ze świecami. Nie mając tego rodzaju części zamiennych w magazynie, musieliśmy posłać kogoś do Moskwy po nowy komplet. Gdy po trzech tygodniach oczekiwane części nadeszły w wielkiej skrzyni, po otwarciu okazało się, że pełno w niej śrub, ale nie ma żadnej świecy. Do Moskwy poszło kolejne zapotrzebowanie. Minęły kolejne trzy tygodnie i nadeszła druga skrzynia, tym razem pełna oczekiwanych świec. Tymczasem jednak znikł silnik. Z wielkiego urządzenia nie zostało nic oprócz koła zamachowego. Dyrektor zakładu przez chwilę wpatrywał się w resztki potężnego do niedawna mechanizmu, potrząsnął głową i poszedł do naczelnika NKWD, kapitana Turgojskiego, z którym następnie pił wódkę.

Złudne byłoby przypuszczenie, że wszędzie w ZSSR praca odbywała się w takim chaosie, a sabotaż był tak powszechny jak w Jenisiejsku. Armia walcząca przeciwko nam funkcjonowała perfekcyjnie. Nie dysponowała na ogół sprzętem lepszym od niemieckiego, ale ten, który był, wydawał się przynajmniej równie dobry i znacznie mniej skomplikowany. Za to materiał ludzki był często lepszy. Bardziej prymitywny, ale jednocześnie wytrzymalszy. Pozyskanie takiego rekruta w kraju tak zdemoralizowanym byłoby niemożliwe. Wielu ludzi z przyjemnością przyjęłoby, że wszystko w Związku Sowieckim jest tak zgniłe, jak to miało miejsce w Jenisiejsku, ale trzeba być ostrożnym przy wyciąganiu wniosków. To, że w Jenisiejsku działo się tak, jak się działo, nie powinno dziwić, jeśli pamiętać, że pracowało tam trzydzieści tysięcy robotników przymusowych, z których sześć tysięcy stanowili cudzoziemcy. Czyli trzydzieści tysięcy ludzi myślących tylko, jak by tu wymigać się od roboty; ludzi, którym było absolutnie obojętne, co produkują, dla kogo, czy wytwarzane elementy spełniają jakiegokolwiek normy, czy w ogóle nadają się do czegokolwiek. Nam, cudzoziemcom, powodziło się względnie dobrze i interesowało nas jedynie, aby móc tam pozostać. Innymi słowy, naszym celem było takie wykonywanie pracy, aby nie dać najmniejszych powodów do podejrzeń o bumelanctwo czy sabotaż, co mogłoby skutkować natychmiastowym przeniesieniem i ukaraniem. Byliśmy „ustawieni” dopóty, dopóki nic się nie zmieniało w panującym tam porządku.

Do czasu wojny Rosjanie wybudowali wielkie kanały i elektrownie, przeprowadzili meliorację gruntów, rozbudowali przemysł ciężki i podnieśli ogólny poziom wykształcenia obywateli – wszystkie te fakty nie mogłyby zaistnieć w kraju, w którym żyliby tylko sami sabotażyści. Po prostu skala wszystkiego jest tam tak ogromna, że błędy i ułomności, od których żadna zbiorowość ludzka nie jest wolna, w oczach zachodnich Europejczyków wydają się nieproporcjonalnie wielkie i natychmiast zwracają na siebie uwagę. Należy przy tym uwzględnić okoliczność, że wszystko, co zapamiętałem, odbywało się w kraju prowadzącym wojnę na śmierć i życie, i choćby z tego jednego powodu moje obserwacje muszą odbiegać od normalnego

stanu rzeczy, typowego w okresie pokoju.

W Jenisiejsku poznałem niemieckiego komunistę, Bernharda Kruse z Lichterfelde w Berlinie. Brał udział w walkach na barykadach\*[\* Autor ma na myśli próby wzniesienia rewolucji bolszewickiej w Niemczech podjęte przez niemieckich komunistów w grudniu 1918 roku w Berlinie oraz w pierwszej połowie 1919 roku w Bawarii.] po pierwszej wojnie światowej. W 1924 roku wyjechał do Rosji Sowieckiej, gdzie został przyjęty z otwartymi ramionami. Był monterem maszyn i dostał dobrą pracę w fabryce w Leningradzie, gdzie został brygadziwą i instruktorem kilkuset ludzi. Był jak na warunki sowieckie nieźle sytuowany: miał dobrą pensję i cieszył się wszelkimi przywilejami należnymi elicie społeczeństwa sowieckiego, włącznie z możliwością nabywania w specjalnych sklepach dóbr nieosiągalnych dla zwykłych obywateli. Ożenił się z młodą Rosjanką pochodzącą z Moskwy. W 1936 roku został niespodziewanie aresztowany i osadzony na Łubiance, gdzie siedział przez dwa lata, nie mając pojęcia, dlaczego się tam znalazł. Gdy podczas inspekcji wszedł do jego celi jakiś oficer, Kruse zapytał go, czy może dowiedzieć się, za co został aresztowany.

Oficer posłał po rejestr, przewracał kartki, aż dotarł do nazwiska Kruse, i odczytał na głos:

– Nazywasz się Bernhard Kruse, urodzony w Berlinie w 1902 roku, żonaty z Katią Wolin. Jesteś specjalistą od montażu maszyn i byłeś inżynierem w kilku fabrykach w okręgu leningradzkim. Otrzymałeś dyplom honorowy za zasługi w szkoleniu rosyjskich robotników i jesteś członkiem partii.

Oficer czytał dalej. W końcu przerwał i pokręcił głową.

– Wygląda to cokolwiek dziwnie – powiedział.

Czytał dalej w milczeniu, aż w końcu wykrzyknął:

– A, tutaj jest. W 1924 roku przekroczyłeś nielegalnie granicę Polski i Rosji Sowieckiej. To było przestępstwo.

– Zgadza się, ale otrzymałem przecież rosyjski paszport, a wszyscy wiedzieli, w jaki sposób i kiedy znalazłem się w Rosji Sowieckiej. Żyję tu już od dwunastu lat.

Oficer wzruszył ramionami.

– Musiałeś ukryć coś przed NKWD, jeśli teraz cię znaleźli – oświadczył.

W następnym roku Kruse został skazany na piętnaście lat ciężkich robót za nielegalne przedostanie się na terytorium Związku Sowieckiego, zapewne z zadaniem szpiegowskim. O wyroku powiadomiono go w celi, wobec czego nie poznał nawet oblicza sędziego.

Słyszałem jeszcze mnóstwo podobnych historii. Czy wszyscy opowiadający je byli tak niewinni i nieświadomi przyczyn skazania, jak twierdzili, pozostaje pytaniem, na które nie potrafię udzielić odpowiedzi. Pewien stary Rosjanin objaśnił mi:

– Jeśli ktoś rzeczywiście popełni jakieś poważne przestępstwo, to zostaje natychmiast zastrzelony.

Bardzo się zaprzyjaźniłem z naszym komisarzem do spraw organizacji pracy. Często podchodził do mnie w fabryce i prosił, żebym coś tam dla niego prywatnie zrobił. Pewnego dnia zapytałem go, czy pomógłby załatwić mi lepszą pracę, co zresztą już wcześniej obiecał. Następnego dnia przyszedł z niecodzienną propozycją.

– Znasz angielski i niemiecki. Co byś powiedział na zostanie nauczycielem języków obcych? Z pewnością umiałbyś uczyć dzieci. Gdy przyjedzie inspekcja, po prostu zaproszę komisarza na wódkę, a wtedy on zapomni o reszcie. Wszyscy tak robimy.

Zaśmiałem się.

– To się nie może się udać – powiedziałem. – Potrafię już dość dobrze mówić po rosyjsku, ale nie potrafię w ogóle pisać w tym języku. Musisz wymyślić coś innego.

Ze zdumieniem pokręcił głową.

– Dzieci nauczą cię rosyjskiego alfabetu, a ty nauczysz ich angielskiego i niemieckiego. Jestem pewien, że to możliwe.

Jednak nie zostałem nauczycielem-lingwistą, lecz „specjalistą młynarzem”. Gdyby ktokolwiek mnie o to pytał, miałem odpowiedzieć, że byłem wcześniej komisarzem wszystkich młynów w Skandynawii.

Młody Rosjanin oprowadził mnie po wielkim młynie zbożowym numer 73. Podeszliśmy do kilku sit z najbielszą mąką, jaką kiedykolwiek widziałem – taką, jakiej w Niemczech nie można było legalnie kupić. Następnie napełnił nią pięciokilowy worek, zawiązał go, płasko udeptał i powiedział, bym włożył go pod waciak i nieco ukształtował, tak aby wyglądało, że nic nie wystaje.

– Możesz robić to każdego ranka. Wszyscy tak robimy. Dzięki tej bezcennej „organizowanej” mące, stałem się bliskim przyjacielem wielu enkawudzistów, a także udało mi się załatwić Fleischmannowi przeniesienie do przyzwoitej pracy poza terenem obozu. Nie upłynęło też wiele czasu, jak zdobyłem dla nas obu zezwolenie za swobodne poruszanie się po mieście, ważne dopóki będziemy meldować się na codziennym apelu porannym. Przez kilka miesięcy mieliśmy się doskonale i żyliśmy lepiej niż niejeden wolny obywatel sowiecki. Raz na tydzień chodziliśmy do kina na rosyjskie filmy, z których wiele było doskonałych. Niestety nie można tego było powiedzieć o kronikach filmowych. Wydawały mi się fałszywe i bombastyczne, niekiedy nawet groteskowe. Jedna opowiadała o sowieckim żołnierzu walczącym na Krymie. Został ciężko ranny powyżej kolan w obie nogi, które mu amputowano, zaś odłamek pocisku pozbawił go wzroku. Gdy jednak został opatrzony, zaraz wyskoczył z łóżka, chwycił naręczce min i pobiegł na swych kikutach, by dalej walczyć. Niemieckie czołgi przetaczały się ulicami, a ten beznogi i niewidomy Rosjanin skoczył jak tygrys, wlaźł na pierwszy z brzegu czołg i wysadził go w powietrze. Powtarzał tę czynność, póki nie zniszczył dwunastu czołgów, a gdy już wszystkie niemieckie wozy wściekle płonęły, ten dzielny Rosjanin

pozwoił się z powrotem zanieść do szpitala polowego, gdzie lekarze dokończyli opatrywania jego ran. Gdy film się skończył, oficer na trybunie zawołał do publiczności:

– Towarzysze! Tak Armia Czerwona walczy z pachołkami burżuazji i kapitalizmu!

Wszystko, co dobre, tak czy inaczej kiedyś się kończy, więc gdy usłyszałem od znajomego enkawudzisty, że mówi się o naszym rychłym przeniesieniu, być może z powrotem do piekła w Tobolsku, Fleischmann i ja zdecydowaliśmy się na ucieczkę. Moglibyśmy spróbować dostać się do Moskwy i poprosić o azyl w ambasadzie Królestwa Szwecji.

Pewnego wieczoru obiecałem dyżurnemu enkawudziście worek mąki, jeśli nie zauważy, że nie zameldujemy się następnego ranka na apelu. Roześmiał się i powiedział coś o dziewczynach, w co skwapliwie pozwoliliśmy mu wierzyć. W młynie poprosiłem o kilka wolnych dni, ponieważ mam fuchę u komisarza. Wziąłem worek po mące i wypchałem go pieniędzmi, jakie zarobiłem na czarnorynkowym handlu mąką. Następnie spokojnie wyszedłem do miasta. Fleischmann już na mnie czekał.

Szedłem nieprzerwanie przez dwadzieścia cztery godziny bez odpoczynku, a gdy wreszcie zwałem się w rowie, byłem tak wyczerpany, że natychmiast zasnąłem. Nie ma bardziej monotonnego krajobrazu niż rosyjski. Polne drogi są długie i kręte, wyłącznie ziemne i żwirowe. Ze wszystkich stron step i step, jak okiem sięgnąć. Od czasu do czasu można ujrzeć ptaka. Pojedyncze wioski dzieli od siebie pięćdziesiąt, nawet sześćdziesiąt kilometrów. Po dwóch i pół dnia wędrówki dotarłem do linii kolejowej, która, sądząc z mapy, musiała łączyć miasta Gorki i Saratów. Czując totalne zmęczenie, kompletnie wykończony położyłem się na skarpie nasypu i czekałem. Nie było cienia, więc o mało co nie zostałem upieczony przez prażące słońce. Zaczęło mnie męczyć pragnienie. Mroczki tańczyły mi przed oczami. Nie mogłem zasnąć, choć czułem się martwy i pusty w środku. Czas stanął w miejscu i przestał mnie obchodzić. Po prostu leżałem, zwinięty w kłębek i przygnębiony. Będąc zarazem apatyczny i rozwścieczony, pożałowałem kobiety. Urszulo, odeszłaś. Już nigdy cię nie zobaczę. Nie wiem, czy płakałem z tego bólu, być może kopałem nogami ziemię i przeklinałem Boga, zachowując się jak rozhisteryzowane dziecko. Były to okropne, ciągnące się w nieskończoność słodko-gorzkie godziny, które spędziłem gdzieś między Gorkim a Saratowem w oczekiwaniu na pojawienie się pociągu.

W końcu nadjechał. Był to pociąg towarowy, mknący dość szybko. Powiedziałem sobie: skacz, nawet jeśli skręcisz przy tym kark. Gdy tylko minęła mnie lokomotywa, rzuciłem się biegiem wzdłuż wagonów, przerażony możliwością upadku na luźnych kamieniach nasypu i dostania się pod kola wagonów. Chwyciłem za poręcz węglarki. Trzy, cztery razy próbowałem podciągnąć się w górę, ale nie udawało mi się to i już prawie straciłem głowę, gotów puścić poręcz lub przestać biec i pozwolić wlec się po ziemi, aż zacisnąłem zęby i wziąłem odbicie. Już po chwili wciągnąłem się na tył wagonu i zwałem na podwoję, która stała tam przykryta

brezentem.

Chwilę potem przeżyłem prawie atak serca, gdy jakaś upiorna gęba ukazała się nagle nad podwodą, na której ległem, ciężko dysząc. Patrzyliśmy na siebie, obaj sparaliżowani strachem. Wreszcie wyciągnąłem z kieszeni pistolet. Tamten jęknął i zamknął oczy.

– *Jetzt is alles aus!*\*[No to już po mnie!]

– Co u diabła! Jesteś Niemcem?

Zdumiony opuściłem broń i w następnej chwili ukazał się drugi człowiek.

Zwiali z obozu jenieckiego sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Ałatyru. Początkowo było ich czterech, ale jeden spadł z pociągu i dostał się pod koła, drugi zaś zeskoczył prosto w ramiona trzech Rosjan. Ci, na szczęście, nie przeszukali wagonu.

Przestudiowawszy mapę, zrozumieliśmy, że gdy dostaniemy się do Saratowa, musimy uważać, aby nie wylądować na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Byliśmy zgodni, że najlepiej będzie próbować przedostania się na Powołże, w stepy na północny zachód od Stalingradu, gdzie, jak obaj napotkani twierdzili, są teraz nasze wojska. Zostali wzięci do niewoli dobre cztery miesiące wcześniej, w Majkopie na Kubaniu, a od tego czasu Niemcy posunęli się jeszcze dalej w stronę Wołgi.

Dojechawszy do Saratowa, wypełziliśmy z wagonu, by sprawdzić, czy na stacji nie ma jakiegoś pociągu, do którego moglibyśmy się przesiąść, jeśli nasz zmierzałby w niewłaściwym kierunku. Znaleźliśmy stertę skrzyń z surowymi rybami, otwarliśmy jedną i najedliśmy się do syta. Surowa ryba jest naprawdę smaczna, pod warunkiem, że jest się odpowiednio głodnym. Kilka kotów, które dołączyły do nas, dostało rybie resztki, a także trzy całe ryby, których już nie daliśmy rady zjeść. Następnie wróciliśmy na miejsce, gdzie zostawiliśmy nasz pociąg. Już go tam nie było, za to znaleźliśmy inny, wyladowany ciężarówkami i amunicją, i uznaliśmy, że z takim ładunkiem może tylko jechać w odpowiednim kierunku – w stronę frontu.

Wtedy po raz pierwszy dotarło do mojej świadomości, że moja droga powrotna wiedzie na front. Dotąd nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad celem powrotu, ale teraz widok skrzyń z amunicją uświadomił mi ten fakt. Z powrotem do tego wszystkiego! Dotychczas myślałem tylko o jednym – wydostać się z Rosji. Związek Sowiecki był dla mnie miejscem niebezpiecznym. Ale jeśli chciałem pozostać wśród żywych, to czy powinienem podążać w kierunku frontu? Wracać po to, by ponownie iść na czele wszystkich ataków i stanowić strażą tylną podczas odwrotów? Paranoja był uderzająca. Dlaczego życie bywa tak pozbawione sensu? Czyż nie prostszą rzeczą byłoby od razu strzelić sobie kulę w łeb? Było to dziwne i niewytłumaczalne, ale poczułem się nagle znacznie bardziej przygnębiony, niż w chwili, gdy wracałem z urlopu z Urszulą. Być może nasze małżeństwo i mój urlop były w moim życiu okresem, który był spójny i przyniósł satysfakcję; pozostawił przekonanie, że gdyby życie nie



ofiarowało mi już nic więcej, to przecież właśnie „to” dostałem. Ale tutaj, w Związku Sowieckim, nie doświadczyłem niczego, co byłoby doświadczeniem pełnym, zamkniętym, samym w sobie. Ja, samotny uciekinier, podróżowałem, a ten ogromny kraj, pośród mych cierpień, udowodnił mi, jak wielki jest świat, jak barwny, bogaty i pełen sposobności do przygód. Widziałem coś, co istniało na znacznie większą skalę niż małe, otoczone Niemcy, poddawane obecnie procesowi dławienia. Spotkałem kobietę, która mogłaby wyjść prosto ze złotolitego, wielobarwnego dywanu *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Bez wahania oddała mi wszystko, co miała, a ja wiedziałem, że zawsze będę mógł powrócić i zawsze, zawsze otrzymam więcej, a ona nigdy nie będzie miała dość. Tyle że nigdy nie wrócę i nigdy już się nawzajem nie odnajdziemy. Wielki kraj właśnie zamykał za mną swe wielkie wrota po przelotnej wizycie. Czulem dziką chęć, by odwrócić się, wrócić do tego, co przypominało życie na wulkanie, odnaleźć moją księżniczkę i szczęśliwie zakończyć przygodę.

Nie spróbować byłoby z mojej strony głupota, zaś uczynić to – szaleństwem. Trudno też nazwać mądrym powrót do domu i swoistego „bezpieczeństwa”, jakie na linii frontu daje przebywanie w czołgu. To prawda, że warunki, w jakich przyszło mi żyć w Związku Sowieckim, były nieludzkie, ale czy inne są w czołgu? Na dodatek bardziej bezsensowne, bo cierpiąc głód i pragnienie, na koniec i tak nie można osiągnąć celu, który byłby wart tego poświęcenia. Wracałem do miejsca, w którym moje dłonie nie znajdą niczego prócz pocisków, a z nimi nie ma żartów.

Wzięliśmy skrzynię z rybami i weszliśmy z nią na jeden z wagonów, koła zaczęły jednostajnie turkotać, a my, położywszy się pod transportowanymi ciężarówkami, zapadliśmy w sen. Przez cały następny dzień lało nieprzerwanie, ale pod brezentem mieliśmy sucho i tam spędzaliśmy czas, jedząc ryby, śpiąc i gadając ospale. Jakże nudni i nieciekawi byli moi towarzysze podróży. Obaj byli nazistami i uważali, że wygrywamy wojnę. Wierzyli, że potrafimy podbić tak wielki kraj, jakim był Związek Sowiecki. Pierwszy nazywał się Jurgens, drugi Bertram.

W Uwarowie, na wschód od Donu, pociąg zatrzymał się i nie zanosilo się, że dalej pojedzie. Niedaleko od miasta przestudiowaliśmy mapę i stwierdziliśmy, że znajdujemy się o dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Woroneża. Musimy przebyć co najmniej sto kilometrów w kierunku na południe od Woroneża, aby mieć nadzieję na napotkanie wojsk niemieckich na naszym brzegu Donu, wiedzieliśmy bowiem, że na północ od Woroneża Rosjanie zajmowali stanowiska na zachodnim brzegu rzeki oraz panowali nad wszystkimi mostami i brodami.

Szosa roila się od żołnierzy, armat i ciężarówek, ale nie odważyliśmy się poprosić o podwiezienie, ponieważ tylko ja jeden mówiłem po rosyjsku. Rosyjska żandarmeria była wszędzie i dzień musieliśmy spędzić w ukryciu.

Koło Sukmanki przywołał nas rosyjski sierżant. Wielka ciężarówka, którą jechał ugrzęzła w koleinach błotnistej, rozjeżdżonej drogi. Gdy pomogliśmy mu wydostać się z pułapki, wydobyłem pistolet i zastrzeliłem go. Włożyłem na siebie jego mundur, nie zastanawiając nawet, po co to robię. Działalem odruchowo, czyniąc to, co wydawało mi się, że trzeba robić. Zwłoki sierżanta ukryliśmy w krzakach, następnie ulokowałem się na miejscu kierowcy, a moi towarzysze zajęli miejsca na skrzyni. W szoferce znalazłem pistolet maszynowy. Przejechaliśmy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, zanim skończyła się benzyna. Wtedy porzuciliśmy ciężarówkę i dalej pieszo już kontynuowaliśmy wędrówkę. Pistolet maszynowy zabrałem ze sobą. Zbliżaliśmy się do oka cyklonu.

Następnego dnia doszedł nas huk artylerii. Dziwnie było usłyszeć go znowu. Po zapadnięciu zmroku horyzont stawał się czerwony jak krew. W zniszczonym Jelańsku ukryliśmy się w ruinach, ale nie dało się tam zasnąć, bo linia frontu przebiegała zaledwie o pięć kilometrów, a hałas artylerii był ogłuszający. Wiele wody upłynęło już od czasu, gdy odgłos ten stanowił naszą codzienność, nic więc dziwnego, że straciliśmy umiejętność zasypiania pomimo łoskotu artylerii. Nerwy mieliśmy napięte jak postronki, gdy po zapadnięciu zmroku wyruszyliśmy, by przedrzeć się do naszych przez linię frontu.

Nad głowami co pewien czas przelatywały pociski artyleryjskie, które wbijały się w ziemię z głuchym plaśnięciem i eksplodowały, rozrzucając wokół ziemię, kamienie i odłamki stali. Kilka godzin zabrało nam dotarcie do linii rosyjskich okopów, gdzie ukryliśmy się w leju. Nie spuszczałyśmy z oczu dwuosobowej obsługi karabinu maszynowego. W odpowiednim momencie rzuciliśmy się na nich i rozwaliliśmy im głowy, po czym wskoczyliśmy na przedpiersie okopu i bezładnie rzuciliśmy się biegiem ku niemieckim liniom. Pośrodku pasa „ziemi niczyjej” musieliśmy szukać schronienia w leju po pocisku, nasze nieoczekiwane pojawienie się między walczącymi wywołało bowiem po obu stronach histeryczny wybuch ognia z broni wszelkich kalibrów oraz, dodatkowo, eksplozje różnej maści flar. Upłynęło wiele czasu, nim wszystko się uspokoiło na tyle, abyśmy mogli odważyć się wyjść z leja i wykonać ostatni skok w stronę niemieckich pozycji. Gdy już prawie dobiegaliśmy, odezwał się niemiecki karabin maszynowy i Jürgens padł z krzykiem na twarz. Był martwy, co oznaczało, że nie będziemy musieli go nieść. Bertram i ja biegliliśmy dalej, krzycząc: *Nicht schiessen! Wir sind deutsche Soldaten!* Drżąc i ciężko łapiąc oddech, zwaliliśmy się do okopu i zostaliśmy natychmiast doprowadzeni do dowódcy kompanii, która obsadzała ten odcinek frontu. Po kilku pytaniach i odpowiedziach oficer odesłał nas do dowództwa pułku, gdzie nakarmiono nas i pozwolono spać.

... a potem okazał się tak głupi, że zwierzył się pielęgniarce, która nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Resztę można sobie dopowiedzieć. Pewnego ranka podczas apelu Stary odczytał krótki, dotyczący nas fragment rozkazu dziennego.

„Gefreiter Hans Breuer, z 3 kompanii 27 pułku czołgów został 12 kwietnia skazany na śmierć za świadome działanie na szkodę Wehrmachtu, polegające na tym, że rozmyślnie pozwolił, aby jego stopa została zmiażdżona gąsienicą czołgu. Zasądza się jego degradację i pozbawienie praw obywatelskich na zawsze. Wyrok zostanie wykonany 24 kwietnia we Wrocławiu”.

Tak mniej więcej brzmiała treść komunikatu. Stary pykał fajkę, a Porta zaśmiał się smutno:

– No, nie oplaca się zrobić tego samemu.

Usiadłem, by napisać do Urszuli i do matki, że za tydzień dostanę długi urlop. Tego samego wieczoru zostałem wezwany przed oblicze dowódcy kompanii. Meier siedział rozparty na krześle i w milczeniu groźnie na mnie spoglądał. W końcu otworzył usta:

– Jak śmiałeś prosić o urlop z pominięciem dowódcy kompanii?

– Nie prosiłem o urlop – odpowiedziałem. – Pułkownik osobiście stwierdził, że należy mi się po szczęśliwym powrocie.

– Anuluję twój urlop. W tej kompanii ja decyduję, kto dostaje urlop. Możesz odejść.

Czyli wszystko było nadal po staremu.

## **XX Świnia Meier**

Nagle rozległy się krzyki, które szybko zamarły w morderczym chrzęście. Czołg numer 5 zatrzymał się w miękkiej ziemi i zmiażdżył pięciu ludzi, którym kapitan Meier kazał pod nim leżeć.

Przez chwilę panowała grobowa cisza – a później przez szeregi kompanii przeszedł głośny pomnik. Gdy wyciągano z ziemi pięć zmasakrowanych ciał, Meier popatrzył na nie przez moment takim wzrokiem, jakby to, co się tutaj wydarzyło, w ogóle go nie dotyczyło.

Każdemu z nas dano krótką saperkę do wykopywania min i już byliśmy gotowi do wkroczenia na „ziemię niczyją”. Była godzina dwudziesta pierwsza. Wszystko, co mogło zdradzić nas hałasem: szkło, maski przeciwgazowe, hełmy i latarki elektryczne – zostawiliśmy w ziemiance. Jedyнным naszym uzbrojeniem były pistolety, noże i trochę małych granatów obronnych. Porta miał ze sobą swój rosyjski karabin snajperski, z którym się nie rozstawał. Tuż przed opuszczeniem okopu pojawił się kapitan Meier w towarzystwie porucznika von Barringa, aby nas zlustrować. Meier zachowywał się butnie jak zawsze.

– A teraz świnie – powiedział – wykonajcie tę robotę, jak trzeba.

Nie zwracając uwagi na arogancję dowódcy kompanii, von Barring uściskał nam wszystkim dłonie i życzył szczęścia.

Stary dał sygnał, wyskoczyliśmy na przedpiersie i pomknęliśmy przez naszą zaporę z drutu kolczastego. Za nią ciągnął się długi, niebezpieczny, otwarty pas, który powinniśmy pokonać z największą szybkością, na jaką było nas stać. Gdy przebyliśmy dobrą połowę dystansu, w niebo wleciały rakiety oświetlające i rozlały się oślepiającym, białym światłem. Okopaliśmy się w miejscu i zalegliśmy bez ruchu. Gdy zostanie postawiona zapora świetlna, to w jej blasku widać najmniejsze poruszenie, a każda ze stron uważała wszelkie ruchy na ziemi niczyjej za należące do nieprzyjaciela. Rakiety potrzebowały niewiarygodnie długiego czasu, by ostatecznie opaść na ziemię.

Wyskoczyliśmy z ukrycia i ponownie pomknęliśmy naprzód, ale zrobiliśmy zaledwie kilka kroków, gdy nad nami rozpętały się kolejne fajerwerki. Stary zaklął z wściekłością.

– Jeśli to się jeszcze przeciągnie, nie wrócimy żywi. Co, u diabła, wlało dziś wieczorem w Iwana, że posyła w górę wszystkie te śmieci?

Znowu kilka flar zaczęło z sykiem opadać, po czym nastąpiła przerwa, podczas której dopadliśmy do rosyjskich drutów. Leżąc na plecach, cięliśmy je nożycami, aż strzelały na boki, kłębiąc się z cichym świstem. Teraz nastąpiła najniebezpieczniejsza część zadania: leżąc na brzuchu, z kłębami drutu kolczastego nad głowami, mieliśmy szukać min, sondując ziemię długimi i cienkimi żelaznymi szperaczami. Miny były drewniane, więc wykrywacze elektromagnetyczne nie na wiele by się tu zdały.

Zadania tego w ogóle nie powinni wykonywać pancerniaczy, ale ten wyjątek zawdzięczaliśmy całkowicie świni Meierowi i jego żądzy zdobycia Żelaznego Krzyża. Poprosił dowódcę pułku, by zlecił tę robotę jego kompanii. Nie tylko mieliśmy sporządzić plan pola minowego, ale także wykryć i wykopać pewną liczbę min oraz ułożyć je na pozostawionych przez Rosjan wolnych ścieżkach w polu minowym. Tą drogą powinniśmy byli przygotować nowe, własne przejścia, nieznane Rosjanom, które można by wykorzystać podczas natarcia.

Ponieważ miałem spore doświadczenie w wykopywaniu tych diabłów, dano mi jedyną będącą w posiadaniu kompanii żerdź ze szperaczem, którą, jak mi powiedziano, miałem skośnie wbijać w ziemię. Po chwili moja „lanca” napotkała w ziemi coś twardego.

– Stary! – zawołałem cicho. Podpełzł do mnie.

– Masz jakąś? – wyszeptał.

– Tak mi się zdaje.

Wziął ode mnie żerdź i ostrożnie sondował grunt.

– Całkiem niezłe. Dostałeś ją. Teraz uważaj, żeby ona ciebie nie dostała. Zaznaczył minę na planie. Teraz zaczęliśmy znajdować je jedną po drugiej. Gdy wszystkie wykryte miny zostały naniesione na mapę, wykopaliśmy niektóre z nich i ułożyliśmy w innym miejscu. Była to

wyjątkowo niebezpieczna i wyczerpująca nerwowo robota, najmniejszy bowiem hałas mógł nas zdradzić. Prawie skończyliśmy, gdy pocisk oświetlający wybuchł prosto nad naszymi głowami. Właśnie szedłem, tuląc do siebie minę, gdy musiałem paść plackiem na ziemię. Przez prawie sześćdziesiąt nieskończenie długich sekund leżałem z przyciśniętym do siebie przedmiotem, który w każdej chwili mógł zrobić ze mnie miazgę.

O świcie powróciliśmy bez strat na nasze pozycje. Przez cztery kolejne noce powtarzaliśmy tę operację. Mieliśmy niewiarygodne szczęście, że żadnemu z nas nic się nie stało.

Gdy zameldowaliśmy o wykonaniu zadania, kapitan Meier roześmiał się szyderczo.

– Wykonaliście zadanie? Wylegiwaliście się, chrapiąc w jednym czy drugim leju. Wielokrotnie wystrzeliwałem flary, ale ani razu nie zauważyłem żadnego z was. Nie będziecie tu urządzać ze mnie kpin, wstrętne bydlaki. Zameldujecie się o dwudziestej trzeciej z waszymi mapami, a ja po prostu pójdę z wami i sprawdzę waszą plugawą robotę. Zrozumiano?

– Tak jest, Herr Hauptmann – odrzekł Stary i tak energicznie wykonał „w tył zwrot”, że błoto poleciało w kierunku naszego obłąkanego dowódcy kompanii.

Gdy wraz ze świnią Meierem posuwaliśmy się przez „ziemię niczyją” w stronę rosyjskiego pola minowego, księżyc stał już wysoko. Dotarliśmy do podłużnego zagłębienia w ziemi, w którym Rosjanie nie mogli nas dostrzec. Miny leżały tak gęsto jak śledzie w beczce. Meier poszedł przodem, szukając zaznaczonych na mapie przejść w polu minowym. Stary, który mu ją dał, podążał tuż za nim, udając, że również ją studiuje, choć całe pole minowe znaliśmy na pamięć.

Meier odbił w prawo. My pozostaliśmy na miejscu i bez emocji przywarliśmy do ziemi. Kapitan przeszedł piętnaście metrów przez pole i nic się nie zdarzyło. Nagle odkrył, że idzie sam. Nie próbował na nas wrzeszczeć, jak to miał w zwyczaju, bo zwróciłby na siebie uwagę Rosjan.

– Co to, u diabła, ma znaczyć, wy śmierdzący kryminaliści? – zasyczał. – Macie posuwać się tuż za mną zgodnie z rozkazem albo was aresztuję i staniecie przed sądem polowym!

Stary uniósł się nieco i odpowiedział z rozbawieniem:

– Koniec z tobą i twoim sądem polowym. Za pięć minut zostaniesz przerobiony na mielonkę, czy to do ciebie dotarło?

Meier ze zdumieniem studiował trzymaną w ręku mapę.

– Tak, gap się na mapę, ty zasańcu – powiedział Porta. – Drobny problem tkwi jednak w tym, że między twoją mapą, a naszymi są malutkie niezgodności. Oczywiście, jako oficerowi, należała ci się mapa lepsza od naszych, więc pomyśleliśmy, że przemieścimy na niej trochę czerwonych ptaszków z lewej strony na prawą. Nie możesz zatem uskarżać się, że nic dla ciebie nie zrobiliśmy.

Przez kilka minut śmieliśmy się z niego głośno, po czym Porta wziął do rąk swój karabin

snajperski i zawołał do Meiera:

– A teraz będziesz tańczył dla nas, ty oficerska świnio, albo wsadzę ci kulkę w brzuch.

Śmiertelnie blady Meier zaczął się powoli wycofywać, ale przeszedł zaledwie metr lub dwa, gdy rozległ się suchy trzask wystrzału z karabinu Porty i Meier dostał pociskiem dum dum w bark. Kapitan stał, chwiejąc się i jęcząc z bólu, a krew z rozerwanego barku spływała mu po piersi.

– Tańcz, do cholery, ty świnio – zasyczał Porta. – Zatańcz walca! Zagrają ci werble naszych małych lufek, których ty i tobie podobni nauczyli nas używać!

Stary wyciągnął swój ciężki pistolet wojskowy i ulokował pocisk między stopami Meiera, który podskoczył, trochę jakby w tanecznym pląsie. Stege, Pluto, ja i pozostali żołnierze drużyny również zaczęliśmy strzelać w ziemię przed drżącym i podskakującym w miejscu oficerem.

Gdy wreszcie padł na ziemię, eksplodowała pierwsza mina, wyrzucając go wysoko w powietrze. Po upadku ciała następował każdorazowo wybuch następnej miny i tak pięciokrotnie.

Zaraz po tym poleciały w niebo flary, huk eksplodujących min zaalarmował bowiem cały sektor. Zaszczekały karabiny maszynowe, a od czasu do czasu rozległ się głuchy rumor młotów. Po niemieckiej stronie wzniosły się w górę czerwone rakiety sygnałowe, dając znak artylerii, aby położyła zapórę ogniową wzdłuż linii rosyjskich. Rosjanie wysłali w odpowiedzi własne sygnały świetlne żądające tego samego, tyle że wobec linii niemieckich. Obie strony sądziły, że za chwilę staną się przedmiotem ataku.

Burza ognia spadła na nas niczym wyjący huragan, a dookoła podnosiły się ściany ziemi. Runęliśmy gromadą do leja po pocisku i spędziliśmy w nim dwie godziny, aż duet artyleryjski zakończył swój koncert. Niedługo potem wycofaliśmy się do własnych pozycji, a Stary zameldował porucznikowi von Barringowi:

– Herr Oberlejtnant! Unteroffizier Beier melduje powrót 2 drużyny po przeprowadzeniu, według otrzymanego rozkazu, rozpoznania nieprzyjacielskiego pola minowego. Rozpoznaniem dowodził Hauptmann Meier. Hauptmann został zabity podczas wykonywania zadania, zlekceważył bowiem moje ostrzeżenie, aby nie poruszał się samodzielnie po nieprzyjacielskim polu minowym.

Von Barring spoglądał na nas z namysłem, podążając wzrokiem kolejno po naszych twarzach, na każdej zatrzymując się przez chwilę. Nigdy wcześniej nie widziałem spojrzenia tak głęboko ludzkiego i poważnego.

– Hauptmann Meier zabity? Cóż, tak właśnie bywa na wojnie. Unteroffizier Beier, zabierzcie swoją drużynę z powrotem do ziemianki. Wasza drużyna wykonała doskonałą robotę z tym polem minowym. Napiszę o tym w raporcie.

Zasalutował, dotykając krawędzi daszka czapki dwoma palcami, i wrócił do swej ziemianki.

– Czy zauważyliście, jakie koziołki „świnia” wywijają, gdy nasze kochane, małe miny łaskotały jej tyłek? – powiedział radośnie Porta. – Uradowałoby to serce jego starego nauczyciela gimnastyki, gdyby tylko mógł to widzieć.

Tak brzmiała mowa pogrzebowa dla Hauptmanna Meiera, niemieckiego drobnomieszczucha zanadto podłego, aby na wojnie zostać kimś.

– Co? Czy nie było ich dwóch?

*Pluto, rycząc ze śmiechu, pobiegł za Porta i dziewczynami. Wkrótce znikli z oczu, ale nadal słyszeliśmy piski rozkoszy z ust dwóch hożych dziewczyn.*

– Nie zobaczymy ich przez kilka godzin – orzekł ze śmiechem Stary.

*Przez resztę dnia znów leżeliśmy w wysokiej trawie. Leżeliśmy tam, drzemiąc i przyglądając się dymkom z naszych fajek. Cicho wspominaliśmy kolegów, których nie było już wśród nas.*

## **XXI Chłopcy, wypijcie się na zapas**

Wczesnym rankiem, gdy powraca się z dworu do zatłoczonej chłopskiej chaty, jej fetor wystarczy, by zostać dosłownie zwalonym z nóg, ale ponieważ jest się już do tego przyzwyczajonym, po paru minutach zapada się w sen przy akompaniamencie chrapania i chrząkania śpiących Rosjan. Wiedzieliśmy, że żona gospodarza jest chora na gruźlicę, no i co z tego? Zarazki akceptowało się wraz z całą resztą: wszami, szczurami i brudem.

Wydawało się, że ledwie się położyliśmy, gdy obudzili nas wstający Rosjanie. Porta zaklął, ale stary Rosjanin odpowiedział spokojnie i zdecydowanie.

– Zamknij się, Herr żołnierz, i śpij!

Godzinę później przyszła kura, prowadząc za sobą kurczęta, a gdy zaczęły stąpać Porcie po twarzy, ten stracił cierpliwość. Zerwał się ze słomy jak rakietą, chwycił kurę za szyję, wymierzył jej policzek palcem wskazującym i wrzasnął:

– A teraz zabierz się stąd wraz ze swoim nieślubnym potomstwem, ty źle wychowany drobiu!

Po czym wyrzucił kurę przez okno i zaczął wyganiać z domu przerażone kurczaki, na co przybiegła rosyjska gospodyni i zaczęła piszczeć.

– Żądam spokoju! – zawył Porta i kłął tak długo, aż kobieta straciła panowanie nad sobą i wyrznęła go w głowę wielką warząchwią.

Wszyscy zaczęliśmy głośno chichotać, co doprowadziło Porte do zupełnej utraty zmysłów. Rzucił się za kobietą ubrany tylko w koszulę, której końce plątały się wokół jego chudych nóg. Wypadł na dwór, a tam Rosjanie ryczeli ze śmiechu, wkrótce po tym wrócił więc zdyszany, zamknął z hukiem drzwi, wstrząsając przy tym całą chałupą, wystawił głowę przez okno i zawył.

– Życzę sobie spać, a następny, który mi przeszkodzi, będzie zastrzelony, bang-bang! Wykończony! Martwy!

Gdy się obudził i wstał, było prawie południe. Właśnie przyniosłem posiłek z kuchni polowej. Wreszcie dostaliśmy coś przyzwoitego – grochówkę. Połknęliśmy jak zwierzęta pełne menażki zupy. Po wylizaniu naczyń do czysta wzięliśmy się za paczkę, którą Stege dostał z domu. Były w niej cukierki, herbatniki i duży kawał wędzonej szynki. Położyliśmy wszystko



na stole, który ustawiliśmy koło latryny. Porta wydobył butelkę wódki.

Latrynę zrobiliśmy w taki sposób, aby siedzieć twarzą w twarz, mając stół między sobą. Usadowiwszy się, wyciągnęliśmy zatłuszczoną talię kart i rozpoczęliśmy grę. Zajadaliśmy herbatniki, a od czasu do czasu sięgaliśmy po kawałek szynki. Butelka z wódką krążyła dookoła. Szklanki, filiżanki czy kubki były luksusem, który już od dawna uważaliśmy za niepotrzebny i świadczący o zniewieścieniu. Tak więc cała nasza piątka siedziała ze spodniami opuszczonymi do kolan, jedząc, pijąc i grając w karty, paląc i rozmawiając, załatwiając potrzebę i w ogóle ciesząc się życiem. Nasze nagie tyłki uśmiechały się wesoło do ludzi na głównej ulicy w wiosce, gdyż latryna została usytuowana na wzgórku, skąd mieliśmy dobry widok we wszystkich kierunkach, i wszyscy z dołu mogli nas dobrze widzieć. Z pobliskiego drzewa dobiegały ptasie trele, obok spał pies, leniwie wylegujący się w ciepłe jesiennego słońca. Jakieś kobiety pracujące w polu śpiewały rosyjską piosenkę.

Dopiero pod wieczór, gdy Rosjanie zaczęli wracać z pola, przerwaliśmy tę idyllę i leniwie powlekliśmy się z powrotem do chaty.

Pewnego przedpołudnia Stary i dowódca drugiego czołgu zostali wezwani do dowódcy kompanii. Stary, powróciwszy po godzinie, oświadczył nam z ogromną przyjemnością:

– Chłopcy, wszyscy wyruszamy na cudowną, maleńką ekspedycję. Mamy udać się na równinę piętnaście mil na południe od miejscowości Nowyj i tam zakopać nasze stare pudło w glinie, tak aby tylko wieża wystawała. Miło będzie posiedzieć na tyłach bez żadnego strzelania, trzydzieści mil od frontu. Będziemy sobie siedzieć, kwitnąć i czekając na Iwana. Jeśli tylko przełamię linię frontu, mamy rozwaląć wszystkie jego czołgi, jakie się pojawią. Musimy utrzymać naszą pozycję za wszelką cenę, a klucz zapłonu ma zostać wyrzucony, gdy tylko okopimy nasze stare pudło.

Porta odpowiedział wybuchem śmiechu.

– Powiedziałaś „klucz zapłonu”? Stary uśmiechnął się.

– Tak, mowa była tylko o jednym.

– Cudownie.

Mieliśmy jeszcze cztery zapasowe.

Dotarliśmy do naszej nowej pozycji tuż przed świtem. Leżała dokładnie pośrodku równiny, gdzie trawa była tak wysoka, że trzeba było stanąć wyprostowanym, aby cokolwiek dostrzec. Było zimno, mieliśmy więc futrzane czapki, ciężkie płaszcze, grube rękawice i skórzane kombinezony na naszych czarnych, mundurowych spodniach. Ponieważ w czołgu mieliśmy przydziałowo jedynie dwa szpadle i łopate, tylko trzech z nas mogło pracować jednocześnie. Z powodu zimna rozpoczęliśmy wielkie współzawodnictwo pracy.

Stary podniósł rękę do góry i stwierdził lirycznym tonem:

– Dzieci, dzieci, dzieciątka! Czyż nie jest cudownie kopać tutaj, na otwartym terenie?

Spójrzcie! Słońce właśnie wschodzi i nie musimy się bać czarnego luda. Będzie gorąco, a ptaszki zaśpiewają nam mnóstwo melodii, a jeśli będziemy bardzo, bardzo grzeczni, Stary Człowiek Stepu być może przyjdzie i opowie nam długą, nieprzyzwoitą historię. Czy nie czujecie na swoich zapadniętych policzkach pocałunku świeżego stepowego wiatru, jak bawi się waszymi falistymi lokami?

Gdy słońce wstąpiło wyżej, nasz zapal począł nieco maleć. Zaczęliśmy się pocić i zrzucać odzież, sztuka po sztuce. Na koniec pracowaliśmy już tylko ubrani w szorty i buty, ale nawet wtedy pot lał się z nas strumieniami, a dłonie nienawykłe do uporczywego zmagania się z twardą, stepową glebą pokrywały się bąblami.

– Powiedzcie mi – krzyknął Porta – czy my jesteśmy żołnierzami, czy też kopaczami rowów? Chciałbym to wiedzieć przede wszystkim z powodu obowiązującej w tej pracy minimalnej stawki związkowej.

Ciągle mierzyliśmy czołg, by mieć pewność, że wykop będzie dostatecznie głęboki, ale w południe, po siedmiu godzinach nieustannego kopania, znajdowaliśmy się dopiero w połowie roboty. Stary zaczął kłać na armię, a Porta zapytał go niewinnym tonem, czy nie czuje łagodnego pocałunku stepowego wiatru i czy jego serce nie raduje się rozgrzewającymi promieniami słońca oraz wychowawczymi skutkami machania łopata. Stary z wściekłością cisnął szpadlem w jego kierunku i poszedł „ciąć komara” w cieniu naszego czołgu.

– Więcej nie wykopię nawet tyle, co łyżeczką do herbaty. W tej wojnie nie będzie już więcej okopów. Dobranoc.

Porta, Stege i ja kopaliśmy dalsze pół godziny, aż do chwili, gdy Stary i Pluto powinni byli nas zmienić. Po długiej kłótni udało nam się w końcu spowodować, aby z utyskiwaniem wleźli do dziury. Kolejnych kilka godzin robót przebiegało już zgodnie z planem według półgodzinnych zmian, które wkrótce zostały zredukowane do piętnastu minut, aż wreszcie cała nasza piątka legła, gapiąc się na obłoki, niezdolna do jakiegokolwiek wysiłku.

Okop na czołg musiał jednak zostać dokończony, od tego nie było ucieczki. Tak więc po godzinnym wylegiwaniu się na słońcu Stary i Porta wstali, a my poszliśmy za ich przykładem. Nazajutrz o piątej rano robota była skończona i mogliśmy wjechać czołgiem do okopu. Namiot ustawiliśmy w mgnieniu oka, by móc się w nim natychmiast położyć, ale przebywając na terenie, gdzie miało się roić od partyzantów, musieliśmy wystawić wartę. Nie mogliśmy uzgodnić między sobą, kto pierwszy stanie na posterunku. W samym środku naszej głośniejszej kłótni nagle odezwał się Stary.

– Jestem plutonowym i mnie warta nie obowiązuje. Ten problem dotyczy was i sami musicie go rozstrzygnąć.

Po czym owinął się kocem i zasnął.

– Jestem Stabsgefreiterem – oświadczył Pluto. – Dobranoc, drogie dzieci.

– Godność Wehrmachtu zostałaaby wystawiona na szwank, jeśli Obergefreiter zniżyłby się do pełnienia podłej służby wartowniczej – stwierdził Porta.

W ten sposób „w puli” pozostaliśmy tylko Stege i ja. Spojrzeliśmy na siebie.

– Nie róbnmy z igieł wideł – powiedziałem. – Tu nie ma żadnych partyzantów.

– Ani jednego – zgodził się ze mną Stege.

Tak więc cała piątka zapadła w zasłużony sen.

Stege jako pierwszy wynurzył się rankiem z namiotu. Chcieliśmy, aby poranną kawę podano nam do łóżek. Ciągnęliśmy więc losy i wypadło właśnie na niego. W pięć minut później usłyszeliśmy jego wołanie:

– Ruszcie się, nadjeżdża dowódca pułku!

Wygramoliliśmy się z namiotu, nie chcąc być przyłapani na spaniu o jedenastej przed południem. Okazało się, że Stege zażartował sobie z nas, więc wpełzliśmy znów do środka i zaczęliśmy się głośno upominać o kawę. W końcu otrzymaliśmy ją, ale zaledwie spożyliśmy śniadanie, Stege, który pozbierał dzbanki i kubki, znowu zawołał:

– Teraz naprawdę musicie wyleźć. Pospieszcie się! Nadjeżdżają „stary” i szyper. Szybciej, głupie świnię, tym razem nie żartuję!

Ale my tylko roześmialiśmy się, a Porta krzyknął, że jeśli dowódca pułku chce go zobaczyć, to niech Stege mu powie, że jest dziś nieobecny, i uwagę tę podkreślił grzmiącym pierdnięciem. Stary poszedł za jego przykładem.

– Wszyscy wychodzić! Piękna robota – dobiegł nas głos z zewnątrz i oczywiście był to głos dowódcy pułku.

Poderwaliśmy się natychmiast. Gdy staliśmy na baczność, twarzami zwróceni do dwóch sztabowych Kübelwagenów zaparkowanych tuż obok arcydzieła polowej inżynierii wojskowej, nasze umundurowanie nie należało raczej do regulaminowego. Dowódca wpatrywał się w nas z wściekłością. Oberlejtnant von Barring miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Wyglądaliśmy jak bohaterowie pisma satyrycznego. Stary miał na sobie szorty khaki, skarpetki i ubrudzoną koszulę. Porta był w galowych spodniach z nogawkami wetkniętymi w skarpetki, a na szyi miał zawiązaną ognisto-czerwoną chustkę. Koszula Pluta była wyłożona na spodnie, a głowę zdobił mu zielony szalik zawiązany jak turban.

– Czy ten czołg znajduje się pod waszą komendą? – ryknął dowódca do Starego, groźnie błyskając monoklem.

– Tak jest, Herr Oberst!

– Więc co ty, u diabła, sobie myślisz? Dlaczego jeszcze nie usłyszałem meldunku?

Stary podbiegł do samochodu dowódcy, strzelił obcasami i zgodnie z regulaminem jego krzyk rozległ się wśród stepowej ciszy:

– Panie Pułkowniku! Unteroffizier Beier, dowódca czołgu nu mer 1 z 2 plutonu melduje

posłusznie, że nie ma nic szczególnego do zameldowania.

Dowódca pułku spurpurowiał na twarzy.

– Więc nie masz nic szczególnego do zameldowania – powtórzył po Starym. – Ale ja mam...  
– i zaczął nas opieprzać.

Kiedy już skończył i odjechał, wrócił do nas von Barring.

– Jesteście najbrzydliwszą bandą w całym Wehrmachcie – oświadczył, kręcąc przy tym głową. – Na litość boską! Już pierwszego dnia powinniście byli wystawić wartę. Musieliście chyba przewidzieć, że dowódca pułku zechce przeprowadzić inspekcję. Teraz każdy z was, po przybyciu waszych zmienników, dostanie po trzy dni aresztu. Wasze arcydzieło polowe nie usatysfakcjonowało dowódcy i macie wykopać drugi okop, dziesięć metrów za pierwszym. Spodziewajcie się także, że dowódca i ja możemy „odwiedzić” was wieczorem, więc najlepiej byłoby, gdybyście natychmiast wzięli się do roboty.

Po jego odjeździe przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wykopać drugą dziurę w glinie? Nigdy! Ale co teraz?

Stege był pierwszym, który coś wymyślił.

– Kochane dzieci – powiedział. – Powinniście podziękować Bogu, że wśród was znajduje się człowiek inteligentny, który po trafi w potrzebie ruszyć głową i uratować wasze tyłki. Należy zrobić co następuje: wsiąść do naszej starej blaszanki i pojechać z powrotem do Oskolu, ładnie się uklonić i zaprosić Rosjan na przejażdżkę oraz poprosić, aby zabrali ze sobą szpadle.

Z klekotem gąsienic wjechaliśmy do pogrążonej w niedzielnej ciszy wsi i bez trudności skrzyknęliśmy więcej ochotników, niż mogliśmy zabrać. Z „desantem” blisko czterdziestu mężczyzn i kobiet na pancerzu poturlaliśmy się z powrotem. Rosjanie uważali przejażdżkę na czołgu za jedną z lepszych rozrywek w swej szarej i nudnej rzeczywistości, dzięki czemu nowy okop, przy akompaniamencie wielu śpiewów i żartów, został wykopany w ciągu dwóch godzin, nawet pomimo faktu, że kopiący co chwila porzucali szpadle i zaczęli bawić się, śpiewać i tańczyć, podnosząc przy tym chmurę kurzu. Byliśmy tak zaabsorbowani obserwacją narodzin nowej formy „pikniku niedzielnego”, że nikt nie zauważył przybycia Oberleutnanta von Barringa, który stał i przyglądał się wesołemu zgromadzeniu z nieukrywanym zdumieniem. W końcu pokręcił głową.

– Muszę stwierdzić, że nie marnujecie czasu – powiedział w końcu, a potem, ciągle kręcąc głową, odjechał. Późnym wieczorem odwieźliśmy naszych wesołych Rosjan do wsi. Porta „przygruchał” sobie parę dziewczyn, które prawie uczepiły się jego szyi, niełatwo więc było wyciągnąć go stamtąd.

Czy „nasi” Rosjanie postąpili niepatriotycznie, pomagając nam? Przypuszczam, że tak. Ale jestem przekonany, że ich pomoc była działaniem skuteczniejszym od wysiłków partyzantów czy działań regularnych oddziałów. Nasza swoista „fraternizacja” mogła wywołać daleko

bardziej negatywne skutki dla niemieckiego morale – wystarczyła, aby niemiecki szeregowiec poczuł, że ma już dość wojny. Spotkałem wielu Niemców skutecznie wyleczonych z wiary w idiotyczny mit o rasie panów po odkryciu, że „wróg” nie jest tak naprawdę ich wrogiem, a już w żadnym wypadku istotą niższą. Zwykły niemiecki szeregowiec poznawał ludzi i narody i poszerzał swą wiedzę o świecie. Takie spotkania zasiewały w nim ziarno współczucia i solidarności ze zwykłymi ludźmi. Powoli, ale skutecznie, rozstawał się z fałszywymi, nadętymi hasłami ideologii nazistowskiej, z historycznym Führerem i aroganckimi generałami. Nauczył się nienawidzić SS, którego wcześniej po prostu się bał głupim i poniżającym strachem. Tracił motywację i chęć strzelania do ludzi, z którymi wcześniej bawił się i tańczył. Stawiał sobie pytanie – Rosjanie są w końcu przeciwnikiem czy nie? Było już prawie pewne, że żołnierz ten będzie raczej strzelać w powietrze niż do niedawnych współbiesiadników, chyba że za jego plecami stanie oficer.

*Wręczył nam z uśmiechem nasze urlopowe rozkazy wyjazdu i powiedział:*

*– Jeśli się pospieszycie, możecie pojechać na stację ze mną.*

*Dostaliście po czternaście dni urlopu plus pięć dni na podróż w obie strony.*

*Nie posiadaliśmy się z radości, po prostu szaleliśmy ze szczęścia. Walczyliśmy o starą żyletkę, która usunęła już co najmniej sześćdziesiąt zarostów. Porta ucałował starą Rosjankę prosto w pomarszczone usta i wesoło zatańczył z nią wkoło, aż jej kapcie pofrunęły w powietrze. Stara gdała jak kura i prawie przewróciła się ze śmiechu.*

*– Jesteście gorsi od Kozaków – powiedziała.*

## **XXII 988 batalion rezerwowy**

Dotarliśmy do Homla z dwudziestoczworgodzinnym opóźnieniem. Pociąg urlopowy już odjechał, musieliśmy więc czekać do następnego dnia. Jakiś podoficer powiedział nam, że na froncie rozpętało się piekło. Podobno Rosjanie atakowali wzdłuż linii od Kalinina po Don i udało im się przełamać front w wielu miejscach jednocześnie.

– Mieliśmy cholerne szczęście, że na czas wydostaliśmy się stamtąd – powiedział Porta.

Stary potrząsnął głową. Jego twarz wyrażała niepokój.

– Nie zapomnijcie, że za dwa tygodnie musimy tam wrócić, a bynajmniej nie zapowiada się, aby do tego czasu sytuacja się poprawiła.

– Och, przymknij się, ty stary pierdoło! – rzucił Stege. – Jesteś podtatusiałym, zbzikowanym facetem. Całe dwa tygodnie w domu z matką. Nim tu wrócimy wojna może się już skończyć.

Większość nocy minęła nam na rozważaniach, co będziemy robić w domu. Myślałem o jędrnym ciele i krągłych kształtach Urszuli, przypomiąłem sobie opłot jej ramion i sposób, w jaki jej dłonie wędrowały po moich plecach. Siedziałem zamyślony w cichym oczekiwaniu.

Nasz pociąg miał odjechać o osiemnastej czterdzieści, ale na peronie zjawiliśmy się już o piątej po południu. Gdy okazywaliśmy nasze dokumenty żandarmerii polowej, czuliśmy się jak królowie. W pociągu znaleźliśmy dobre miejsca. Porte i Pluta ulokowaliśmy na półkach na bagaż niczym w wagonie sypialnym, zaś pozostała trójka zdjęła buty i rozsiadła się wygodnie. Pociąg stopniowo wypełniał się hałaśliwymi żołnierzami – urlopowiczami jak my. Zapełniali już podłogi przedziałów i korytarzy. Wszędzie krążyły butelki sznapsa, a muzyka i śpiewy dochodziły z niejednego przedziału. Porta wyciągnął flet i zagrał melodię pewnej zakazanej oficjalnie piosenki, co nas podkreśliło do tego stopnia, że zaprezentowaliśmy, bardziej wrzeszcząc, niż śpiewając, repertuar złożony z zakazanych oraz bardzo sprośnych piosenek. Nikt nie zaprotestował. My, stare wiarusy, śpiewaliśmy to, na co mieliśmy ochotę. Gdyby ktokolwiek spróbował zwrócić nam krytyczną uwagę, zostałby bez wątpienia wyrzucony przez okno bez zbędnych komentarzy. Gdy pociąg ruszył, wznosiliśmy okrzyki.

W nocy pociąg zatrzymał się na dworcu w Mohylewie. W wagonach panował już wtedy spokój, większość z nas spała, we śnie snując wspaniałe wizje rozpoczynającego się urlopu. Dla wielu był to pierwszy urlop od początku służby.

Nagle wagonami szarpnęło i skład ruszył, przejechał jednak tylko krótki odcinek i ponownie się zatrzymał. Wkrótce potem usłyszeliśmy wrzaski dobiegające z jednego z wagonów i prawie jednocześnie nasze drzwi otworzyły się, a do środka wkroczyło dwóch żandarmów polowych w hełmach, informując głośno:

– Wszyscy wysiadać! Zabierać broń i wyposażenie. Wszystkie urlopy anulowane. Rosjanie przełamali front, a z urlopowanych żołnierzy zostanie sformowany improwizowany batalion rezerwowy.

Rozpoczęła się straszliwa awantura. Przekrzykując się wszyscy naraz, wrzeszczeliśmy do żandarmów, by spieprzali stąd z tak marnymi dowcipami.

Na nasze nieszczęście żandarmi nie żartowali. Zaspani i wściekli, musieliśmy stanąć w szyku przed dworcem: artylerzyści i czołgiści od lewej, pozostali od prawej: piechota, lotnicy, marynarze, obojętnie skąd, w całości na prawo. Najpierw polecono nam zwrócić dokumenty urlopowe, a potem rozległa się komenda:

– Kolumna... od prawego... w prawo... zwrot... biegiem... MARSZ!

Maszerowaliśmy całą noc. Droga była zasypana śniegiem, a lodowaty wichur dał nam w twarz. Do naszej świadomości wciąż z trudem docierał fakt, że ten niewiarygodnie parszywy kawał o anulowaniu urlopów może być prawdą. Takich kawałów nie robi się frontowemu żołnierzowi, nie wysadza się go z pociągu, którym podąża na ciężko zasłużony, dwutygodniowy urlop, i nie każe potem maszerować po cholernej wiejskiej drodze, prowadzącej z powrotem na pierwszą linię, by ponownie wylądował w czołgu, przy miotaczu płomieni czy armacie z pociskiem artyleryjskim w dłoniach. To bezpowrotnie niszczyło resztki ducha czy też woli walki, jakie mogły jeszcze kołatać się w którymś z nas.

Przez sześć dni brnęliśmy przez niekończący się śnieg, po czym doszło do pierwszego starcia z nieprzyjacielem nieco na północ od wsi Liszwin. Dziwny odgłos wydawały pociski pluskające w warstwy śniegu. Powoli ulegaliśmy atakom rosyjskiej piechoty, która parła naprzód, zupełnie nie licząc się ze stratami. Powoli, lecz nieprzerwanie, nasz świeżo sformowany pododdział zmierzał ku zagładzie. My, intruzi, całkowicie obcy w Związku Sowieckim, nie mogliśmy bez końca opierać się ludziom zdecydowanym oczyścić z nas swój kraj. Po ich stronie były racje moralne nakazujące obronę ziemi ojczystej przed najeźdźcą. Przypominanie im, że bronią własnych siedzib przed agresorem, nie było wyłącznie chwytem propagandowym, podobnym do tych, jakimi częstował nas Hitler.

Nasza improwizowana jednostka nosiła nazwę „988 batalion rezerwowy”. Dowcip polegał na tym, że w jego składzie znajdowali się reprezentanci wszystkich rodzajów wojsk i służb

niemieckiego Wehrmachtu. Od lotników i marynarzy po żołnierzy jednostek wartowniczych. Na odznakach i naszywkach na rękawach można było rozpoznać wszystkie formacje wojsk lądowych i Luftwaffe. Pomimo wielu różnic niewątpliwie łączyło nas jedno: wszyscy pogardzaliśmy 988 batalionem rezerwowym i pragnęliśmy jak najszybciej powrócić do macierzystych pułków. Na wschód od Wołchowa znaleźliśmy się w ogniu ciężkich walk, i w których Rosjanie użyli czołgów i lotnictwa myśliwskiego. W zrujnowanym domu w Wołchowie znaleźliśmy rudego kota, który żałośnie uskarżał się na zimno i głód. Wlaliśmy mu na siłę do pyska nieco sznapsa i nakarmiliśmy go, a gdy przyszło opuścić to miejsce, zabraliśmy kota ze sobą. Ponieważ był rudawy, nazwaliśmy go Stalinem.

Stalin odbył z nami całą kampanię wołchowską w tornistrze Porty. Pluto i Stege uszyli mu kompletny mundur: spodnie, kurtkę i czapkę. Ubrali w nie kota i wszystkie te części związali cienkim sznureczkiem, aby nie spadły. Będąc żołnierzem pułku karnego Stalin oczywiście nie mógł nosić na piersi nazistowskiego orła. Kot początkowo nienawidził munduru, ale stopniowo przyzwyczał się zarówno do niego, jak do sznapsa i bardzo szybko stał się takim samym pijakiem jak my. Można to nazwać okrucieństwem wobec zwierząt, ale Stalin okazał się nam nadspodziewanie wierny, jego sierść szybko nabrała połysku, zaś on sam stał się bezczelny i zuchwały, co jest normą wśród kotów, które dostają wszystko, czego potrzebują.

Gdy zbliżało się Boże Narodzenie batalion skurczył się do rozmiarów kompanii i wkrótce został rozwiązany. Nasza piątka otrzymała rozkaz wymarszu do Hodnia nad rzeką Worskłą, gdzie w tym czasie stacjonował nasz macierzysty 27 pułk pancerny. Trzy dni później zameldowaliśmy się na tyłowym stanowisku dowodzenia pułku, a nazajutrz dostaliśmy rozkaz wymarszu na front, gdzie czekały na nas czołgi. Przedtem jednak wręczono nam korespondencję.

Otrzymałem całą paczkę listów od Urszuli i matki. Pożeraliśmy ich treść, smakując ją wciąż na nowo, a na koniec czytaliśmy sobie listy nawzajem, marząc przy tym, tęskniąc i pozwalając, aby każde słowo z nich zapadło w nasze oddane i stęsknione dusze. W jednym z listów Urszula pisała:

*Monachium, 9 grudnia 1942 roku Moje najdroższe Kochanie!*

*Cierpię wraz z Tobą z powodu nieludzkiej krzywdy, którą wyrządzono Tobie i Twoim kolegom, ale nie upadaj na duchu tylko dlatego, że zostałeś okradziony z urlopu. Nieś wysoko głowę mimo brudnych chwytów psów gończych. Ani się nie obejrzymy, gdy koszmar się skończy, a nazistowska „wrona” zostanie oskubana z piór. Modłę się do Boga, aby zachował Cię w Swojej opiece i chronił przed wszystkimi okropnościami, jakie dzieją się na froncie. Wiem, że On kocha Cię tak samo jak Swoich najlepszych kapłanów, a gdy wojna się skończy, będę*



w stanie Cię o tym przekonać i stopić twardą skorupę cynizmu, w której wy, nieszczęśnicy w uniformach bez godła, musicie się skrywać. Pamiętaj, kochanie, że wcześniej czy później nastanie pokój, a wtedy wszystkie nasze cudowne sny spełnią się na jawie.

Pomyślałam, że gdy to nastąpi, będę miała dobrą praktykę lekarską tu w Monachium lub w Kolonii, a mam wielką nadzieję, że i ty zdecydujesz się na studia medyczne, może jako dentysta czy coś w tym rodzaju. Ale musisz mi jedno obiecać—że nie zostaniesz w wojsku, nawet jeśli nadarzyłaby się okazja zrobienia kariery.

Za sześć miesięcy zaliczę specjalizację jako chirurg i wtedy zacznę odkładać na nasz przyszły dom. Mam nadzieję, że do dnia twego powrotu będę w stanie wszystko przygotować.

Chociaż... nie. Mam nadzieję, że wojna nie potrwa tak długo. Chciałabym, żebyś wrócił dziś. Zaraz.

Ojciec i matka oswoili się już z myślą, że mają zięcia. Oczywiście początkowo byli w szoku, a powinieneś być zobaczyć minę ojca, gdy mu powiedziałam, że siedziałeś w więzieniu i w obozie koncentracyjnym, a teraz służysz na froncie w jednostce karnej. Na początku myślał, że zwariowałam, ale gdy wyjaśniłam mu wszystko i opowiedziałam apolitycznym charakterze Twojego „przestępstwa „, zaakceptował naszą decyzję i zgodził się ze wszystkim oraz powiedział, że póki się kochamy, reszta nie ma dla niego znaczenia.

Nie piszę Ci o sytuacji politycznej, gdyż mam nadzieję, że jesteście tam całkiem dobrze poinformowani. Pocieszam się myślą, że chwila Twojego ostatecznego powrotu nie jest odległa i nie rozstaniemy się już przez resztę życia, a wobec tego jeden stracony urlop nie znaczy tak wiele.

Poza tym urlop byłby dla nas męczarnią, bo przez cały czas myślałabym, że po raz kolejny będziesz musiał zostawić mnie samą i powrócić do tego wszystkiego, a pewnie i ty też byś o tym myślał.

Posyłam ci w liście mały, złoty krzyżyk. Nosiłam go na szyi od czasu, gdy byłam małą dziewczynką, a teraz ty go noś. Będzie Cię chronił od wszystkiego złego. Całuj go każdego wieczoru, tak jak ja całuję twój pierścionek. Kochany Svenie, kocham cię tak bardzo, że aż mnie serce boli i płaczę z radości na myśl, że wkrótce znów się spotkamy, a ja wówczas już nigdy nie pozwolę ci odejść. Jesteś mój, tylko mój, wyłącznie mój. Dobrze zdaję sobie sprawę, że od czasu do czasu odrobinę zakochasz się w jakiejś rosyjskiej dziewczynie albo w jednej z niemieckich kobiet, które spotykacie w pociągach wojskowych, ale równie dobrze wiem, że nie możesz zakochać się w nich w taki sam sposób, jak we mnie, i dlatego z góry ci wybaczam, jeśli będziesz tam całował inne kobiety i na krótką chwilę da ci to jakąś pociechę. Nie mam zamiaru cię prosić, abys żył jak mnich – tylko musisz mi obiecać, że nie wdasz się w nic, o czym nie mógłbyś mi powiedzieć.

Nie masz pojęcia, jak płakałam, gdy Twój wspaniały przyjaciel Stary napisał mi, że zostałeś

*zabity. Był to najładniejszy, choć jednocześnie i najsmutniejszy list, jaki kiedykolwiek dostałam. Ale bez względu na to, jaki wstrząs wtedy przeżyłam, był on niczym w porównaniu z tym, jakiego doznałam, otrzymując jedenaście miesięcy później Twój list z wiadomością, że jesteś w rosyjskiej niewoli. Po raz pierwszy w życiu zemdlalam, a potem dostałam gorączki i musiałam na tydzień położyć się do łóżka. Doznałam kompletnej zapaści, ale jakaż byłam szczęśliwa!*

*Piszesz mi, że nie wierzysz w Boga, ale ja wierzę, że On trzymał Swą dłoń nad Tobą, ponieważ jesteś bardzo przyzwoitym człowiekiem, podobnie jak Twoi przyjaciele. Masz swoje wady i słabostki, lecz jesteś istotą bardziej ludzką, o czystszej sercu i uczciwszych myślach niż wielu takich, którzy nie rozstają się z różańcem. Nie sądz jednak, że nie podzielam twojej odrazy do hipokrytów i tych duchownych, którzy są tylko świętoszkowatymi sługami swych panów, którzy nie rozumieją prawdziwego oblicza chrześcijaństwa i prawdziwego Boga. On z pewnością nie uznaje ich za Swoje sługi. On, który głosi miłosierdzie, nie może nic poradzić na obecność wśród nas owych hipokrytów, i nie powinieneś myśleć, że słuchając, co On ma do powiedzenia nam wszystkim, łączysz się we wspólnej sprawie z występnyymi księżmi. Tak bardzo chcę, byś to zrozumiał, i pewnego dnia taksie stanie, jestem tego pewna.*

*Muszę już kończyć, mój drogi, kochany mężu, i na zakończenie pozwól mi błagać Cię, abys się tam pilnował. Wiem, że to trudne, ale nie pozwól, aby cyniczna obojętność tak charakterystyczna dla was, frontowych żołnierzy, opanowała Cię bez reszty. Wierz niezachwianie, że w świecie można też znaleźć dobro. Bądź ostrożny, jeśli będziesz mógł, a to zawsze odrobinę przyspieszy chwilę, gdy wreszcie na powrót będę Cię miała w domu żywego. A teraz niech ten Nowy Rok będzie tym, który da nam obojgu oraz wszystkim szczęście i radość.*

*Twoja kochająca żona Urszula*

Liczyliśmy na to, że zostaniemy zluzowani jeszcze przed Wigilią, ale nasze nadzieje się nie spełniły. Mało tego, okazało się, że nadal mamy walczyć jako zwykła piechota, a na froncie czeka nas jakieś specjalne zadanie.

W Wigilię o siódmej wieczorem zostałem wyznaczony do służby na wysuniętym posterunku znajdującym się już na „ziemi niczyjej”. Leżeliśmy pojedynczo w wyrąbanych w zamarznętej ziemi dołkach strzeleckich, w odstępach co pięćdziesiąt metrów. Koncepcja tych wysuniętych stanowisk była taka, że miały one umożliwić nam wystarczająco szybkie podniesienie alarmu, gdyby nieprzyjaciel próbował podejść nas niepostrzeżenie. Ale bez względu na to, jak usilnie obserwowaliśmy teren z owych dołków, rosyjscy zwiadowcy raz po raz przedostawali się przez nasze linie i powracali nie wykryci. Dopiero gdy się rozjaśniało, niejednokrotnie odkrywaliśmy ślady ich pobytu, znajdując na naszych wysuniętych posterunkach żołnierzy z poderżniętymi

gardłami lub pusty dołek, jeśli Rosjanie zdecydowali się uprowadzić ze sobą jego lokatora.

Ciągnęliśmy losy o to, kto tym razem znajdzie się na wysuniętej czujce. Von Barring nalegał, aby w Wigilię posterunek ten obsadzić przez losowanie. W tę szczególną noc nie chciał tego nikomu nakazać. Losy wrzuciliśmy do jego hełmu i to nie tylko szeregowcy, ale cała kompania, z dowódcą włącznie. Jeden z naszych poruczników wylosował służbę od godziny dwudziestej drugiej do pierwszej.

W ten sposób noc wigilijną Anno Domini 1942 spędziłem na „ziemi niczyjej”. Na przedpiersiu dołka ułożyłem granaty, a pistolet maszynowy trzymałem w pogotowiu.

Stojąc na takiej warcie, człowiek staje się przerażająco senny. Wyczerpuje go nie tylko nieustanny trud wyławiania i interpretowania wszelkich najdrobniejszych odgłosów i obrazów pośród otaczających ciemności, również kompletna izolacja działa jako skuteczny środek nasenny. Jest się całkiem samotnym. Przede wszystkim jednak paralizująco działa coś, co można określić jako tęsknotę za śmiercią. Myśl, aby zasnąć i oddalić się od wszystkiego, zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić, jest bardzo kusząca – tak bezbolesna i nieskomplikowana. Wszystko, o czym się myślało, że czyni życie cennym, rozpuszcza się w czymś nierzeczywistym, zmienia się w widmowe doznanie, w daleki, umęczony lament, w coś, co żąda zbyt wielkiego wysiłku, aby je na powrót przywołać.

Nagły szcęk uderzenia stali o stal spowodował, że zmartwiałem. Odgłos był bardzo cichy, ale w tamtej chwili moje zaalarmowane zmysły obudziły się. Chwyciłem w dłoń granat i nasłuchiwałem, wokół jednak ponownie panowała głucha cisza. Nagle krew mi zamarła w żyłach i zmieniła się w lód: „coś”, ślizgając się, przeszło tuż obok mego dołka. Zaczęłem drzeć, wyobraziłem sobie dotyk zimnej stali ostrza na szyi, zagryzłem wargi do krwi i zacząłem wpatrywać się w ciemności, aż oczy zaszyły mi łzami. Pomyślałem, że to, co usłyszałem, musiało być odgłosem nart przesuwanych po śniegu. Czy powinienem był wystrzelić flarę? – zapytałem sam siebie, ale nie ośmieliłem się dalej ryzykować robienia z siebie głupca. Są sytuacje, w których musisz postąpić tak a nie inaczej, nawet jeśli miałyby cię to kosztować życie. Wystrzelenie flary w naturalny sposób ujawniłoby moje stanowisko wszystkim Rosjanom, którzy mogli gdzieś tam leżeć z długimi nożami w dłoniach. W oddali para wilków wyła przerażająco, ale poza tym nic nie zakłócało mroźnej ciszy nocy. Chwilę potem rozległ się przeszywający wrzask, po nim zaś przerażający grzechot, i w tym samym momencie inny głos zawołał:

– Ratunku! Ratunku! Iwan mnie dostał!

Krzyk nagle się urwał, jakby dłoń zamknęła usta wrzeszczącemu. Włosy zjeżyły mi się na głowie i myśląc, że dostrzegłem jakieś postaci, z wściekłością rzuciłem w ich kierunku kilka granatów, po czym puściłem serię z pistoletu maszynowego. Gorączkowo wystrzeliłem również flary i wkrótce na całym odcinku wybuchła strzelanina.

Na służbę poszło nas dziewięciu. Sześciu już nie wróciło: pięciu poderżnięto gardła, a szóstego brakowało.

Świąteczna poczta, której oczekiwaliśmy, wciąż nie nadchodziła, a o północy wyjaśnienie przekazały nam głośniki po rosyjskiej stronie.

– Uwaga! Uwaga! Towarzysze z 27 pułku pancernego! Życzy my wam Wesołych Świąt. Jeśli chcecie otrzymać wasze paczki świąteczne i listy, po prostu przyjdźcie po nie. Mamy je tu wraz z waszym gońcem. Paczki są dla...

I głos z głośnika wyczytywał nazwiska adresatów listów i paczek. Gdy skończył odczytywanie, kontynuował:

– Towarzysze z 27 pułku. Teraz odczytamy co nieco z waszych listów, abyście nie mieli wątpliwości, że są prawdziwe. Oto na przykład ten dla Kurta Hessnera: „Kochany Kurcie... dziś wieczorem był nalot... spadła bomba... ojciec został... okropna boleść...”. Jeśli Kurt Hessner pragnie przeczytać całość, niech po prostu tutaj do nas przyjdzie.

Czytali urywek po urywku z każdego listu, tak abyśmy byli przekonani, że nasi bliscy albo zginęli, albo zostali okaleczeni, albo też spotkało ich jakieś inne nieszczęście. Wielu z nas doszło prawie do granicy obłędu, nie mogąc przestać zastanawiać się i martwić tym, co zdołali dosłyszeć z rosyjskich głośników. Tragiczny finał był taki, że pięciu poszło na tamtą stronę.

Gdy nastało światło dzienne, ujrzeliśmy ciała trzech martwych Rosjan spoczywające przed dołkiem, w którym w nocy pełniłem służbę, i ślady nart przebiegające zaledwie o dwa metry od mojego stanowiska.

Pewnego dnia Porta przepadł bez śladu. Otrzymaliśmy pozwolenie, aby piętnastu najbardziej doświadczonych ludzi w kompanii przeprowadziło wypad. Porucznik Holler nalegał, żeby mógł w nim uczestniczyć. Przed wyruszeniem odpruł z munduru wszystkie odznaki i naszywki mogące zdradzić jego oficerską szarżę. Przez chwilę leżeliśmy przed rosyjskimi liniami, nasłuchując, gdzie mogą znajdować się ich czujki, po czym runęliśmy na nich z zaskoczenia: kilka granatów do ziemianki, serie z pistoletów maszynowych i kilka strzałów z miotacza płomieni wzdłuż dość wąskiego okopu. Cała sprawa zajęła nam najwyżej parę minut, po czym ruszyliśmy ku naszym stanowiskom, prowadząc dwóch jeńców. Gdy tylko dotarliśmy do swoich linii, zaczęliśmy ich przesłuchiwać – okazało się, że jeden jest oficerem. Gdy tylko zapytaliśmy go o Portę, wybuchnął śmiechem.

– To absolutny świr – zaśmiewał się. – W tej chwili siedzi pod stołem, upijając naszego komisarza. Chce kupić kozuch oraz skrzynkę wódki i ma ze sobą pięć tysięcy papierosów na zamianę.

Na nasze pełne zdumienia pytania, jakim sposobem Porta znalazł się po tamtej stronie frontu, oficer powiedział, że Porta został schwytyany przez ich zwiadowców.

W dwa dni później, gdy nas luzowano, po Porcie ciągle nie było śladu i już zaczęliśmy szczerze go opłakiwać.

W tydzień później przyszedł spacerkiem do naszej wsi, odziany w kozuch rosyjskiego oficera, dźwigając ciężki tornister.

– Cholernie piękną pogodę mamy dzisiaj.

Tyle tylko powiedział. Stanęliśmy wokół niego z otwartymi ustami.

– Mam nadzieję, że nie spóźniłem się na kolację. To byłby wstyd, bo przyniosłem trochę sznapsa.

W tornistrze było sześć butelek wódki oraz... pięć tysięcy papierosów.

– Rosyjscy komisarze beznadziejnie grają w oczko – oświadczył Porta i to było wszystko, co zdołaliśmy z niego wydobyć na temat jego niecodziennej wycieczki na stronę Iwana. Nie mogę podać żadnego racjonalnego wyjaśnienia tego zdarzenia.

Sześć butelek wódki, tornister i nowiutki kozuch oficerski. Jakże dziwną rzeczą jest wojna.

*Z powodu ciężkich strat, jakie poniósł 27 pułk pancerny, posypały się na nas, weteranów, liczne awanse. Dowódca pułku poległ, tak więc podpułkownik von Lindenau został pułkownikiem. Major Hinka awansował na podpułkownika i został dowódcą naszego batalionu, zaś von Barring – kapitanem i dowódcą 5 kompanii. Starego mianowano Peldweblem i dowódcą plutonu. Nasza piątka dostała teraz nowy czołg typu „Panther”, który stał się czołgiem dogodzenia 3 plutonu.*

*Porte chciało zrobić Unteroffizierem, ale z miejsca odmówił przyjęcia awansu. Były z tym straszne kłopoty, ale wszystko skończyło się po jego myśli. Podpułkownik Hinka powiedział:*

*– Dobrze, ruda małpo, nie zostaniesz Unteroffizierem, tylko Stabsgefreiterem. Czy to cię zadawała?*

*Zadowolilo, ponieważ Stabsgefreiter to najwyższy, nie podoficerski stopień dla żołnierza.*

*Nasz kot Stalin, który otrzymał teraz miniaturową książeczkę żołdu, został Obergefreiterem i na rękawie jego nowej kurtki mundurowej przyszyliśmy mu regulaminowo dwa paski. On także schlał się fantastycznie z okazji awansu.*

### **XXIII Śmierć bierze się do roboty**

*– No, Svenie, napij się sznapsa. Pociągnij przyzwoity łyk.*

*Świnie! Krwawe świnie. Boże zlituj się nad nimi, gdy skończymy z tym wszystkim tutaj i wrócimy do siebie. Porta zapytał, co się stało.*

*– Teraz przeczytam wam list - powiedział Stary. – I dajcie tutaj sznapsa, żeby Sven mógł pić i nie myśleć, ale nie wolno mu pić samotnie.*

*Stary rozłożył list od ojca Urszuli.*

*Monachium, kwiecień 1943 roku Mój drogi synu!*

*Mam dla ciebie bolesne wieści. Musisz je przyjąć z tak wielkim opanowaniem, jak tylko potrafisz, i obiecaj, że się nie załamiesz ani nie zrobisz niczego nierozważnego, gdy prawda dotrze do Ciebie.*

*Nasza kochana, dzielna Urszula nie żyje. Zamordowali ją naziści. Gdy przyjedziesz do Monachium, opowiem Ci wszystko ze szczegółami, ale do tego czasu ta krótka relacja musi Ci wystarczyć.*

*Pewien znany gauleiter miał przemówić do studentów na uniwersytecie, ale jego wystąpienie zostało przerwane przez demonstrację. Wielu studentów aresztowano, a wśród nich naszą kochaną dziewczynkę. W kilka dni później postawiono ich przed Trybunałem Ludowym i skazano na śmierć. Gdy ogłaszano wyrok, Urszula zawołała:*

– *Niedaleki jest dzień, gdy wy, dzisiejsi sędziowie i oskarżyciele, sami staniecie się oskarżonymi, a nasi towarzysze będą waszymi sędziami. Bądźcie pewni, że tego dnia wasze głowy również pójdą pod topór.*

*Tak właśnie powiedziała nazistowskim sędziom i z pewnością okaże się, że się nie myliła, jeśli jeszcze istnieje na świecie jakaś sprawiedliwość.*

*Byłem przy niej dzień przed tym, gdy ją zamordowali, i prosiła mnie, by Ci powiedzieć, że przywita śmierć z Twoim imieniem na ustach, że prosi Cię byś uwierzył w Boga i w to, że spotkacie się w niebie.*

*Nawet strażnicy więzienni byli pod wrażeniem jej godności i odwagi; oferowali jej przez te kilka ostatnich dni wiele zakazanych rzeczy, ale ona odmawiała przyjęcia czegokolwiek od ludzi, którzy nosili znienawidzony przez nią mundur.*

*Pewien mój przyjaciel był świadkiem egzekucji i opowiedział mi, że młodzi śpiewali zakazane pieśni tak, iż rozbrzmiewały na całe więzienie, a współwięźniowie we wszystkich oknach śpiewali je wraz z nimi. Ani groźby, ani bicie nie zdołały ich uciszyć, a gdy ścięto ostatniego ze skazanych, z okien cel rozległ się gromowy ryk: „Zemsta! Zemsta!” i w końcu wszyscy odśpiewali „Czerwony Wedding”.*

*Spal ten list zaraz po przeczytaniu. Przesyłam Ci go przez zaufanego przyjaciela, który jedzie na front w okolicy Twego pułku. Załączam medalion z portretem Urszuli i pukiel jej włosów.*

*Drogi zięciu, matka Urszuli ani ja oczywiście nigdy Ciebie nie poznaliśmy, ale prosimy Cię, abyś przyjechał i odwiedził nas, gdy tylko będziesz mógł. Przyjmujemy Cię jak własnego syna. Ty zaś uważaj nasz dom i wszystko, co posiadamy, również za swoje. Przesyłamy ci nasze najserdeczniejsze pozdrowienia wraz z najgłębszą nadzieją, że nie spotka Cię nic złego. Obyśmy Cię szybko ujrzeli w naszych progach!*

*Twój szczerze oddany...*

Gdy Stary skończył czytać, wszyscy siedzieli w milczeniu, paląc, zaś mrok gęstniał w niewielkiej izbie małej, brudnej chaty. Moim ciałem wstrząsały dreszcze, bo cały czas miałem przed oczami głowę Urszuli staczającą się do kosza pełnego trocin, krew tryskającą z jej szyi grubym strumieniem, jej cudowne, czarne włosy sztywne i lepkie od krwi, szkliste oczy otwarte szeroko i pozbawione wyrazu, spoglądające w górę, w niebo, w które wierzyła. Dokładnie widziałem, jak jej ciepłe jeszcze ciało drgnęło, a w końcu zostało beznamiętnie wrzucone do grobu.

Och, nie musiałem sobie wyobrażać, jak to się odbyło. Dokładnie to widziałem, znałem wszystko z detalami, w swoim czasie bowiem miałem okazję często widywać podobne sceny.

Nim moi koledzy zdążyli zareagować, odbezpieczyłem pistolet i rozstrzelałem na drobne

kawałki drewniany krucyfiks i wizerunek Madonny, wiszące na ścianie. Następnie podniosłem butelkę i opróżniłem ją, nie odrywając od ust. Stary próbował mnie uspokoić, ale wpadłem w szal. Musiał mnie uspokoić ciosem w szczękę.

Gdy doszedłem do siebie, usiedliśmy, aby pić, a ja piłem, jak nigdy dotąd. Przez całe dni byłem nieprzerwanie odurzony wódką. Przykładałem butelkę do ust już przy przebudzeniu i piłem tak długo, póki nie straciłem świadomości. W końcu Stary uznał, że to już za wiele. Wraz z Portą wywlekli mnie na podwórze i wsadzili do koryta, aż wytrzeźwiałem. Przez kolejne dni ani przez sekundę nie pozwalali mi na beczynność. Idąc spać, byłem śmiertelnie zmęczony i poobijany, a gdy tylko budziłem się rano, prowadzili mnie do koryta i na nowo polewali lodowatą wodą. To pomogło. Powoli rozjaśniało mi się w głowie – była teraz jasna, zimna i martwa.

Stałem się od tej chwili łowcą ludzi, rozwścieczonym i lekko zwariowanym, pomimo pełnej jasności umysłu. Mając karabin snajperski z celownikiem teleskopowym wziąłem się za zabijanie Rosjan bez wychodzenia z okopu. Byłem niezwykle podekscytowany za każdym razem, gdy widziałem, jak któryś z nich podskakuje po zainkasowaniu pocisku. Pewnego dnia przyszedł Hauptmann von Barring i stanął tuż za mną, obserwując mnie w milczeniu. Nie wiem, jak długo tak stał. Roześmiałem się i powiedziałem, że utlukłem siedmiu w ciągu pół godziny. Bez słowa odebrał mi karabin i odszedł. Trochę sobie popłakałem i przez długą chwilę patrzyłem przed siebie niewidzącym wzrokiem. Oczywiście miał rację.

Następny dzień zapamiętałem szczegółowo. Niosłem menażkę wypełnioną rosółem z podstarzałej krowy, gdy nagle rozległ się huk i coś rozpalonego uderzyło mnie w nogę. „Twoja noga poszła sobie na spacer” – pomyślałem sobie, ale to było tylko pół tylnej ćwiartki ze starej krowy, którą wybuch cisnął we mnie. Cała kuchnia polowa została zmiażdżona, a wokół leżało pięć czy sześć ciał, skąpanych w krwi i rosolu. O metr ode mnie upadła czyjaś noga w bucie wojskowym.

Zarzuciłem na ramię krowią ćwiartkę i wróciłem z tą „zdobyczą” na naszą kwaterę, gdzie urządziliśmy sobie ucztę.

– Strata jednego jest zyskiem drugiego – skomentował filozoficznie Porta.

Nikomnie nie przyszłoby do głowy postąpić inaczej, niż zabrać mięso i urządzić sobie wyżerkę. To nie cynizm spowodował, że nie zatrzymałem się nawet, aby pomóc rannym, lecz wojna. Wojna ma takie właśnie oblicze. Od niesienia pomocy byli tam inni. Na wojnie, poza najbliższymi towarzyszami, nie znaliśmy się nawzajem.

Walki wybuchły ze zdwojoną siłą, gdy tylko nadeszła wiosna, a drogi i pola wyschły wystarczająco i stały się dostatecznie twarde, aby po nich jeździć.

Butelka wódki krąży ostatnią kolejkę. Stary wtyka mi w usta zapalonego papierosa, ja zaś



chciwie wciągam dym głęboko do płuc, mając czoło wciśnięte w gumową osłonę peryskopu, przez który spoglądam na rozjeżdżoną ziemię.

– Wszystkie czołgi... otworzyć ogień!

Zaczyna się piekło. W czołgu upał jest przerażający. Przewalamy się przez rosyjskie okopy jak lawina. Na otwartym stepie płoną niezliczone czołgi, z których wali w górę czarny jak smoła dym, prosto ku uśmiechniętemu, błękitnemu niebu. Załogi czołgów nie biorą jeńców, tylko miążdżą i zabijają.

Nie byliśmy już istotami ludzkimi, lecz automatami wykonującymi wyćwiczone czynności.

Nadjechały kontratakujące T-34, musieliśmy więc przerwać mordowanie uciekającej piechoty i przyjąć walkę na śmierć i życie. Wieża z długą armatnią lufą obróciła się i wyrzucała pocisk za pociskiem w ryczące T-34.

Byłem bliski uduszenia. Coś uciskało moje czoło i klatkę piersiową, jakby zaciskały się na mnie żelazne, miążdżące pierścienie. Zrozumiałem, że za niedługą chwilę nie będę już w stanie zapanować nad sobą. Muszę natychmiast otworzyć pokrywę wjazdu wieżyczki i wydostać się z tego rozpalonego, stalowego potwora. Nagle rozległ się gromowy ryk, a czołg szarpnął i stanął. W tej samej chwili niebiesko-czerwony płomień wystrzelił w górę przez boczny pancerz. Jak przez mgłę dostrzegłem Pluta i Portę uciekających przez przednie wjazdy, Stege ewakuował się przez wieżyczkę. Wszystko to trwało może sekundę, błyskawicznie odzyskałem orientację i zacząłem reagować tak, jak powinienem: w górę do wjazdu i potężnym zeskokiem na zewnątrz.

Z czołgu wydobywały się krwistoczerwone płomienie. Nagle w jednej sekundzie eksplodował z ogłuszającym hukiem, który zaparł dech w piersiach, a rozpalone do czerwoności kawałki metalu fruwały wysoko w powietrzu.

Gdy dołączyliśmy do oddziału na pancernym jednym z pozostałych czołgów, Porta wiózł pod pachą Stalina, który miał osmaloną sierść, ale nie na tyle, by się to rzucało w oczy. Kot chleptał wódkę z wyraźną rozkoszą.

Wysłano nas do Dniepropietrowska po nowe czołgi, a kilka dni później znów weszliśmy do bitwy, która szalała z niesłabnącą furją, choć toczyła się już dziesiąty dzień. Na pożarcie Marsowi rzucono wszystkich, którzy tylko mogli walczyć. Niekończące się kolumny rezerw przybywały pospiesznie drogami i przepadały zaraz po dotarciu na front. Przypominało to podsycanie ognia w palenisku.

Z Senkowa, do niedawna wsi, a teraz już tylko morza płomieni, wypada na pełnej prędkości T-34. Błyskawicznie namierzam go i naprowadzam na cel armatę. Teraz albo oni, albo my, zależnie od tego, kto trafi pierwszy. Wycelowałem prosto w pierścień wieżyczki, najsłabsze miejsce T-34. Cyferki w peryskopie tańczą mi przed oczami. Wreszcie skrajne punkty

mechanizmu celowniczego nakładają się na siebie i pocisk z rykiem opuszcza lufę, a kolejny wylatuje za nim prawie natychmiast. Wieżyczka T-34 zostaje odstrzelona i wyrzucona wysoko w powietrze. Zanim członkowie jego załogi, oczywiście tylko ci, którzy przeżyli bezpośrednie trafienie, zdążą opuścić wrak, ten już eksploduje. Ot, zwyczajna scenka bitewna.

Wśród płonących zabudowań toczy się dzika, zaciekła walka. Z jednego z budynków strzela do naszych piechurów rosyjski karabin maszynowy. Porta skręca w miejscu czołgiem, chmura cegieł i tynku leci we wszystkie strony, gdy z hukiem burzymy ścianę. Przerażeni Rosjanie odskakują pod przeciwny mur i zostają skoszeni przez nasze karabiny maszynowe. Dalej przetaczamy się przez ruinę domu i wydostajemy na zewnątrz otoczeni chmurą wapiennego pyłu. Ot, zwyczajna scenka bitewna.

Kawałek dalej kilkunastu piechurów gorączkowo szuka osłony. Przyciskają płasko brzuchy do tłustej ziemi, lecz gdy nagle odkrywają, że toczymy się w ich stronę, podrywają się i uciekają do najbliższego budynku. Jednemu z nich noga w bucie więźnie w płocie i nim ją uwolni, już zamienia się w krwawą miazgę pod naszymi gaśnicami. Ot, zwyczajna scenka bitewna.

Przewracamy drzewa, obalamy ściany budynków, przetaczamy się po ludziach w brązowych mundurach.

Trzeba być w czołgu i słyszeć huk pocisku trafiającego w wieżyczkę, aby móc potem mówić, że ma się pojęcie, co znaczy huk. Strzelająca do nas armata przeciwpancerna zajmowała stanowisko za osłoną kamiennego ogrodzenia.

– Daj im całusa miotaczem płomieni – mówi Stary. – A na deser poczęstuj odłamkowym.

Pospiesznie kieruję miotacz płomieni w artylerzystów i w tym samym momencie nasz pocisk odłamkowy eksploduje dokładnie w środku celu. Trzy minuty później, gdy przetaczamy się przez stanowisko rosyjskiej armaty przeciwpancernej, nie ma tam już nic prócz poskręcanej, nierozpoznawalnej masy metalu, po której tańczą płomienie. Wszystko jest spalone i okopcone.

Dalej. Dalej. Naprzód. Tam, gdzie szerokie gaśnice czołgowe odcisną swój ślad, życie znika. Jeśli oglądało się rzeź ludzi, która trwała wiosną 1943 roku, to łatwiej zrozumieć, dlaczego szczyrząca zęby trupia główka na patkach naszych mundurów tak bardzo pasowała do naszego rodzaju wojsk. Podczas krótkich chwil wytchnienia od walki uzupełnialiśmy zapas benzyny i amunicji, a także przeprowadzaliśmy szybki przegląd silnika i podzespołów. Biada czołgowi, którego silnik zawodzi podczas boju, na ogół po trzech minutach jest już podziurawiony jak sito.

Starliśmy się z wielką ilością T-34. Te siejące postrach rosyjskie czołgi były niezwykle potężne i szybkie i tylko nasze nowe modele czołgów – „Tygrys” i „Pantera” – mogły skutecznie stawić im czoła.

Piechota, zarówno rosyjska, jak i nasza, podczas tej ryczącej bitwy lądowych pancerników, największej bitwy pancерnej tej wojny, raczej siedziała w ukryciu. Zapadły ciemności, ale walka,

pomimo przerażających strat w ludziach i sprzęcie, nadal toczyła się na ukraińskim stepie. Zdołaliśmy ukraść kilka godzin niesłychanie potrzebnego nam snu, podczas gdy drużyny kwatermistrzowskie uzupełniały w wozach paliwo i amunicję. Zaraz po tym zbudzono nas i na chwiejnych nogach powlekliśmy się do czołgów, gdzie jeszcze obwieszono nas dodatkowym sprzętem. Jak przez mgłę widziałem Feldwebla podającego Porcie jego kota – Stalina. Silnik zaskoczył i ruszyliśmy. Gdy po czterech dniach nastąpiła wreszcie pauza operacyjna, 27 pułk pancerny został prawie całkowicie unicestwiony. Wypalone wraki naszych czołgów zaśmiecały step. Z czterdziestu wozów bojowych ocalały dwa. Z całego składu osobowego pułku, liczącego czterystu czołgistów, pozostało nas zaledwie osiemnastu. Większość załóg, zwęglona i martwa, spoczywała w zniszczonych pojazdach. Prawie wszędzie paliły się jeszcze niezliczone T-34.

Ci, którzy uniknęli bohaterskiej śmierci przez spalenie i dotarli do szpitala tylko częściowo „upieczeni”, wrzeszczeli potem z bólu przez całe dni, miesiące, niektórzy nawet przez lata.

W ciągu nocy mieliśmy otrzymać uzupełnienia: nowe czołgi wraz z załogami. Ocalałe i wciąż sprawne czołgi miały być nadal utrzymywane w pełnej gotowości wraz z wozami dołączanymi do nas z innych wykrwawionych pułków. Próbowaliśmy spać w każdej sytuacji, choćby drzemając w czołgu z głowami opartymi na peryskopach i łożu armaty, rankiem bowiem znów rozpoczynał się bój. I tak dzień po dniu.

Z jednostek rezerwowych w Niemczech i garnizonów w krajach okupowanych płynął niekończący się potok świeżego mięsa armatniego – chłopcy siedemnasto-, góra osiemnastoletni, z reguły po sześciotygodniowym szkoleniu unitarnym. Byli bardzo dobrzy w musztrze i potrafili elegancko salutować, poza tym ginęli jak muchy. Drugą grupę stanowili pięćdziesięciolatkowie oraz „ochotnicy” wyciągani z obozów koncentracyjnych. Hitler skrobał już dno beczki. Szpitale polowe również musiały dostarczać swój kontyngent na ogół bladych, wynędzniałych, często jeszcze gorączkujących żołnierzy, którym powiedziano, że mają się już świetnie i w związku z tym zostają wypisani, bandażę nie przeszkadzają im bowiem w ponownym uczestnictwie w rzezi.

W starciu pancernym w Kubliańsku nad rzeką Oskoł T-34 i nasz czołg wystrzeliły jednocześnie. Oba pociski trafiły, lecz czołg rosyjski z zerwaną wieżą stanął w ogniu, my natomiast mieliśmy tylko zniszczone kilka ogniw gąsienicy i uszkodzone dwie rolki jezdne. Był to jednak wielki niefart, gdyż nasza kompania właśnie musiała się wycofać i zostaliśmy za liniami nieprzyjaciela, pozostawieni tylko własnej pomysłowości. Ukrywaliśmy się w jakichś krzakach aż do zapadnięcia ciemności, po osłonę których zabraliśmy się za wymianę uszkodzonego odcinka gąsienicy i dwóch zniszczonych rolek. Był to wysiłek w najwyższym stopniu szkodliwy dla nerwów, ciągle bowiem musieliśmy uważać na niekończący się potok rosyjskich czołgów przejeżdżających z łoskotem po odległej o sto metrów drodze.

Był już środek nocy, gdy uporaliśmy się z uszkodzeniami i czołg był gotów do jazdy.

Musieliśmy poczekać teraz na sprzyjającą sytuację. Porta i ja usiedliśmy w wieżyczce, mając na głowach rosyjskie hełmofony, gotowi mówić po rosyjsku, gdyby nas ktoś zaczepił. Nasze znaki rozpoznawcze zalepiliśmy błotem. W odpowiedniej chwili dołączyliśmy do trzech T-34 i, jadąc tak za nimi kilometr po kilometrze, dotarliśmy prawie do linii frontu. Wtedy nasi trzej towarzysze podróży skręcili w lewo w stronę wsi, my zaś kontynuowaliśmy jazdę na wprost. W zamku armaty spoczywał pocisk gotowy do wystrzelenia przeciwko każdemu, kto ośmieliłby się nam przeszkodzić, a obok kilka dalszych, gdyby pierwszy nie trafił. Karabiny maszynowe i miotacz płomieni również trzymaliśmy w pogotowiu. Jednak dalej już bez przeszkód przekroczyliśmy linię frontu i dołączyliśmy do naszego pułku.

O świcie ogłoszono alarm i nasz pluton został skierowany do unieszkodliwienia kilku T-34 i KW-2, które dostały się na nasze tyły i siały tam teraz spustoszenie. Postawiono też na nogi cały nasz batalion, odpoczywający w rejonie Iziumu.

Niczym psy gończe, które wpadły na trop zwierzyny, nasze dwa czołgi ruszyły do ataku przez niewielki lasek, gdzie widoczne były ślady szerokich gąsienic, które mogły pochodzić tylko od T-34 lub KW-2. Ze szczytu pagórka dostrześliśmy je na skraju wsi odległej o dobre trzy kilometry. Według mapy miała to być osada Swatów. Zdołaliśmy tam wypatrzeć tylko trzy T-34, więc założyliśmy, że pozostałe pojechały dalej w poszukiwaniu przeciwnika. Gdy tylko ta trójka znikła wśród chałup, ruszyliśmy z pagórka pełnym gazem, by okrążyć wieś przed nimi. Minęliśmy staw i wjechaliśmy w jakieś gęste krzaki, przez które mieliśmy nadzieję zbliżyć się do nich nie wykryci. Nasz drugi czołg zajął pozycję w zasadzce za długim budynkiem – szkołą czy czymś w tym rodzaju, my zaś jechaliśmy dalej naprzód, aż wypadliśmy pięćdziesiąt metrów od dwóch T-34.

Stary przycupnął za mną, aby mieć pewność, że dobrze wycelowałem armatę – niecelny strzał mógł dla nas oznaczać tylko śmierć. Huknął strzał. Zamek odskoczył do tyłu, a Stege wsunął do lufy następny pocisk. Wieża się szybko obróciła, a w okularze celownika pojawił się drugi T-34. Znów ryknęło działo, z takiego dystansu nasz pocisk dosłownie zerwał wieżę z T-34. Gdy wynurzyliśmy się z krzaków na pełnej prędkości, aby przyjść z pomocą naszemu koledze, oba T-34 stały w płomieniach. Sądząc po odgłosach gwałtownej kanonady, nasz drugi czołg porządnie obrywał. Przejechaliśmy drogą zaledwie kilkaset metrów, gdy dostrześliśmy KW-2. Te potężne bestie z wielkimi wieżami, ważące ponad pięćdziesiąt ton, były uzbrojone w armatę kalibru 152 mm, miotacz ognia i trzy karabiny maszynowe. „Nasz” KW-2 zatrzymał się na środku drogi i siał ogniem z karabinów maszynowych po całej wiosce. Raz po raz odzywała się też jego monstrualna armata, a od jej huku dudniło nam w uszach.

Stege wrzucił do zamka pocisk podkalibrowy, jedyny, który mógł przebić gruby pancerz KW-2. Gdy wystrzeliliśmy, z lufy wyleciała smuga ognia. Ku memu przerażeniu zauważyłem, że celowałem zbyt nisko. Pocisk trafił potwora w gąsienicę. Porta i Stary zrugałi mnie za

niezdarność, a w tym czasie gruba lufa armaty przeciwnika zaczęła obracać się w naszym kierunku. Na szczęście wieża KW-2 obraca się powoli.

– Strzelaj, niech cię diabli! – darł się Stary. – Czego się tak guzdrzesz?

Nasza armata ryknęła ponownie i pocisk podkalibrowy trafił w boczny pancerz. Na moment wieża KW-2 zatrzymała się, po czym znów zaczęła się obracać.

– Porta, do diabła! Ruszaj!

Stary odciągnął mnie od celownika i sam zajął moje miejsce. Błyskawicznie obrócił wieżę i wycełował. Nasza armata zaryczała jeszcze pięć razy, zanim z wnętrza potwora, który jakimś dziwnym trafem się nie zapalił, dobiegł grzmot eksplozji, a jego monstrualna wieża została wyrwana z fundamentu i przekrzywiła się. Z czołgu wyskoczyło trzech ludzi, ale skosiły ich nasze karabiny maszynowe. Stary posłał w KW-2 jeszcze dwa pociski podkalibrowe, po których z jego wnętrza zaczęły się wydostawać dym i płomienie.

Do końca dnia nie pozostał nam prawie żaden sprawny czołg. My zaś zmuszeni byliśmy ewakuować się z pola walki na pancerzu wozu von Barringa. Trzy dni później, po ośmiu dobach nieustającego boju, nasz pułk został wycofany z walki i skierowany na odpoczynek do wsi Achtyrka.

Powyższy opis walki może wydać się romantyczny i ekscytujący. Każdy pojedynek ze śmiercią, bez względu na formę, nie jest wolny od dramaturgii: w swojej istocie wybiega poza codzienność. Można jednak zmagać się ze śmiercią w inny sposób niż w walce oraz w innym miejscu niż pole bitwy, i doświadczyć tego samego wyzwalającego dramatu, z tą różnicą, że jego motyw może być rozumniejszy, a celem – ocalenie życia.

Tylko nielicznym wojna kojarzy się z romantyzmem i ekscytacją. Dla większości oznacza brud, cierpienie, niekończącą się monotonię, a jej przyjemne chwile są zazwyczaj ograniczone do przywołania w myślach tego, do czego się tęskni, co się zostawiło setki czy tysiące kilometrów od miejsca, w którym teraz się przebywa. Wojna jest złym miejscem na gromadzenie doświadczenia życiowego, pozostawia wyłącznie rozczarowania, a wracając z niej, odkrywa się, że spędzony tam czas nie miał żadnego pozytywnego celu, a jedynie przyniósł utratę kontaktu ze wszystkim, co trzeba było pozostawić. Człowiek traci równowagę wewnętrzną, staje się niespokojny i nerwowy. Dotyka to zarówno zwyciężonych, jak i zwycięzców. Być może tragedia zwycięzcy bywa nawet większa. Co prawda pokonał przeciwnika w boju, lecz dla kogo zwyciężył i w imię czego dokonał podboju? Nikomu nie udaje się w tym połapać. Jakże inaczej wyglądało wszystko, gdy żołnierz otrzymywał powołanie i wyruszał na front, wierząc w proste prawdy. Rzeczywistość wojny objawiła mu swoje oblicze, gdy zabrakło już wzniosłych słów i idei, którymi na początku był karmiony.

Gdy Rosjanie zostali odrzuceni do Biełgorodu nad Dońcem, niemiecka ofensywa wiosenna stanęła w miejscu, grzęznąc we krwi i błocie, a cały front wschodni od Oceanu Lodowatego po

Morze Czarne znieruchomiał. Nawet lotnictwo obu stron zawiesiło działania.  
Nadeszło cudowne lato.

– *Przede wszystkim każę sobie przygotować kąpiel – oświadczył Porta. – Będzie tam natrysk tak zaprojektowany, aby woda leciała z niego jak łagodny letni deszczyk, a gdy będę miał dość deszczu, przyjdzie stadko nagich i zgrabnych dziewcząt, które zanoszą mnie do jednego z trzydziestu siedmiu pokoi. Wszystkie będą napalone i ładniutko po kolei siadały przy mnie, by bawić się południowymi owocami Tatusia. Następnie nadejdzie druga drużyna żeńska, tak samo śliczne okazy, i przyniesie sto fajek, każdą nabitą jednym ze stu najlepszych gatunków tytoniu. Dziewczątka zapalą dla mnie fajki i będą trzymać je przy moich ustach, abym mógł na leżąco wciągać i wypuszczać dym. Od czasu do czasu jedna czy dwie zapolują na mój język. Każda będzie pachniała fiołkami. Gdy zgłodnieję, dziewczątka przygotują mi posiłek w malutkich kawaleczkach, a jeśli zdarzy się cokolwiek wymagającego żucia, zrobią to za mnie, abym nie musiał się przemęczać.*

– *Przypuszczam, że będziesz miał jeszcze jedną drużynę do wycierania ci tyłka po załatwieniu potrzeby? – zapytał Stary.*

– *Czy czytaliście ostatni list od Asmusa? – przerwał Pluto. – Jeśli choć połowa jest prawdą, nie miałbym nic przeciw temu, by mi również odcięto obie nogi i jedną rękę. Pisze też, że już go nie boli. Wyobraźcie sobie, że kibel przynoszą wam do łóżka, a przemiła pielęgniarzka robi wam zabieg piękności na wypadek, gdybyście się zafajdali. I wygląda na to, że Asmus dostaje codziennie tłuczone kartofle i siekaną wieprzowinę, a w niedzielę dwa jajka! Cholernie dobrze się powodzi tym rannym!*

– *Ależ szczęściarz z tego Asmusa!*

## **XXIV Odrębny pokój**

Rosjanie bombardowali nas ulotkami i broszurami propagandowymi. W jednej z nich przeczytaliśmy, że Hitler nie żyje od tygodnia, a Stalin jest ciężko chory. Hitler został zastrzelony przez jednego z generałów, ale jego śmierć jest przez nazistów utrzymywana w tajemnicy, podobnie jak choroba Stalina przez Politbiuro. Broszura kończyła się następującym apelem:

**Żołnierze rosyjskich i niemieckich sił zbrojnych!**

Zjednoczcie się dla wolnych Niemiec i Rosji! Skierujcie waszą broń przeciw waszym prawdziwym wrogom z SS i Gestapo, mordercom strzegącym więzień w Niemczech, tym, którzy przedłużają wojnę, miłującym wojnę podżegaczom. Żołnierze niemieccy! Zrzućcie jarzmo niewoli! Nie czekajcie, zróbcie to zaraz. A wy, żołnierze starej, świętej Rusi, zabijajcie tych z NKWD i komisarzy. Jak długo jeszcze będą wam przewodzić bestie, które gwałcą wasze

żony, siostry i ukochane, podczas gdy wy przelewacie krew na froncie? Żołnierze armii rosyjskiej i armii niemieckiej! Przestańcie strzelać do siebie i skierujcie broń przeciw mordercom z SS i NKWD!

## ARMIA WOLNOŚCI

Treść tej ulotki była czytana i dyskutowana z uwagą i podnieceniem. Chętnie nadstawialiśmy ucha wszystkim doniesieniom, nawet wątpliwej prawdziwości, informującym o śmierci Hitlera, rychłym powrocie do domu i niedalekim wyrównaniu rachunków z nazistowską bandą. Uważaliśmy zbliżanie się rewolucji za coś oczywistego i zakładaliśmy jej szybkie zwycięstwo. Porta powiedział z namysłem:

– Najpierw musimy trochę uporządkować bałagan, który tu zrobiliśmy, aby zwrócić Iwanowi to miejsce ładne i czyste. Wszystkie cegły należy porządnie ułożyć, aby mógł on po prostu cisnąć precz swą broń i zabrać się za odbudowywanie domów. Powinniśmy także odbudować jakiś most lub dwa i coś z tego, co tu zniszczyliśmy, aby nie wyglądało to źle w chwili przekazywania terenu Ruskim.

– A co z naszymi miastami w Niemczech? - zawołał Stary. – Założę się, że Tommy nie będzie nam pomagał przy układaniu cegieł.

– Nie bądź taki pewny – odparł Porta tonem człowieka głęboko przeświadczonego – bo mogłoby się zdarzyć, że Iwan i my razem pójdziemy nauczyć Tommiego dobrych manier. Ale oczywiste jest też, że i nasi lotnicy będą musieli przespacerować się na tamtą stronę, aby uporządkować bałagan, który tam narobili. Taka wzajemność jest do przyjęcia.

Pluto wspomniał Francję i inne kraje, w których narobiliśmy trochę bałaganu i być może przyjdzie nam tam co nieco uporządkować. Porta zamyślił się.

– Wygląda na to, że w niedalekiej przyszłości czeka nas piekielna masa roboty – oświadczył. – Ale jakkolwiek by to miało być, to wszyscy generałowie i oficerowie będą musieli zapomnieć o swoich szarżach i kopać wraz z nami. To dobry pomysł, żeby zmusić Goebbelsa, Goeringa, Adolfa, Himmlera, tego ciemnego typu Rosenberga i wszystkich innych wielkich panów do posprzątania po warszawskim getcie. Trzeba ich zmusić, żeby zapłakali tam krwawymi łzami.

W kilka dni później nie byliśmy już tak marzycielscy. Wojna trwała dalej i nie zanosilo się na jej szybki koniec. Nasz batalion miał walczyć jako piechota i zluzować 14 batalion strzelców, obsadzający odcinek wzdłuż Dońca. Na froncie chwilowo panował spokój i gdy nocą zajmowaliśmy stanowiska, nie rozległ się ani jeden wystrzał. Kot Stalin siedział na tornistrze Porty odziany w cienki mundur z białego płótna i absolutnie zadowolony z wycieczki. Był jedynym Obergefreiterem armii niemieckiej noszącym biały, tropikalny mundur, a Feldwebel-szef wpisał odpowiednie pozwolenie do jego książeczki żołdu, noszonej zgodnie



z regulaminem w prawej górnej kieszeni bluzy, tak że „psy gończe” mogły sobie przyjść i oglądać, ile tylko chciały. Obergefreiter Stalin wszystko miał w największym porządku.

Gdy przejmowaliśmy pozycje, ludzie z 7 kompanii 14 batalionu strzelców powiedzieli nam:

– Lepiej w ogóle nie strzelajcie do Iwana. Naprzeciwko siedzi całkiem przyjemna ferajna. Tutaj nie mamy tak zwariowanych pomysłów, by się ostrzeliwać.

Pomyśleliśmy, że chyba zwariowali.

Wkrótce po wschodzie słońca usłyszeliśmy po stronie rosyjskiej potężny zgiełk: krzyki, wrzaski i nawoływania. Mogliśmy się domyślać, że świetnie się bawią. Zaraz też kilku z nich pojawiło się na przedpiersiu swych okopów i wrzasnęło do nas przez rzekę „Dzień dobry”, my zaś przyglądaliśmy się wszystkiemu w zdumieniu. Grzecznie zapytali, czy jesteśmy nową załogą i czy dobrze spaliśmy. Mieli nadzieję, że ich pies nie przeszkadzał nam zbyt szczeniem. Następnie ruch po rosyjskiej stronie bardzo się ożywił, cała masa całkowicie nagich żołnierzy wybiegła z okopów i natychmiast dała nura do rzeki, podczas gdy my, wychyleni do połowy z okopów, gapiliśmy się na nich coraz bardziej wychodzącymi z orbit oczami. Rosjanie w rzece pluskali się, pokrzykiwali, oblewali wodą i wrzeszczeli do nas.

– Pospieszcie się i chodźcie do nas. Woda jest cudowna i ciepła. Z Portą na przedzie, nadzy, tylko w furażerkach, zbiegliśmy na brzeg Dońca. Porta skoczył do wody ze Stalinem w ramionach, a Rosjanie niemal potopili się ze śmiechu, usłyszawszy, że nasz kot nazywa się Josif Wissarionowicz Stalin.

– To jest najwłaściwszy sposób prowadzenia wojny, nie sądzicie? – zawołał rosyjski podoficer, a my oczywiście zgodziliśmy się z nim. Rosjanie wzniesli trzykrotny okrzyk na cześć Niemiec, a my odpowiedzieliśmy tym samym na cześć Rosji.

Stary cieszył się jak dziecko.

– Cholernie fajnie – wołał z błyszczącymi oczami. – W domu by mi nie uwierzyli. Myśleliby, że to kłamstwo.

Dzień przyniósł jeszcze więcej niewiarygodnych niespodzianek. Okazało się, na przykład, że obowiązuje nieformalne porozumienie, iż Rosjanie co dzień między czwartą a piątą trzydzieści po południu wystrzelują kilkadziesiąt pocisków artyleryjskich, my zaś strzelamy od trzeciej do czwartej trzydzieści. Naturalnie wszystkie pociski padały idealnie na „ziemi niczyjej”, nie czyniąc nikomu krzywdy. Taka aktywność zadawała generałów po obu stronach linii frontu. Jeśli wypadła jakaś strzelanina z karabinów maszynowych czy broni małokalibrowej, to strzelano oczywiście w powietrze. Jeśli Rosjanie wystrzelili czerwoną rakietę sygnalizacyjną o czterech gwiazdach, oznaczało to, że jest u nich inspekcja ze sztabu i dla zachowania pozorów muszą trochę postrzelać z broni automatycznej. Gdy inspekcja odjeżdżała, wystrzelili zieloną rakietę. Mieliśmy ustalone wszelkiego rodzaju sygnały i oczywiście składaliśmy sobie wizyty, zapraszając się nawzajem na kolację i wódkę. Wymienialiśmy się i handlowaliśmy wszystkim,

czego tylko dusza zapagnie: sznapsem, tytoniem, konserwami, kilimami, bronią, zegarkami, gazetami i magazynami ilustrowanymi. Magazyny były bardzo poszukiwane, a jeśli natrafiliśmy w nich na jakieś ilustracje, które uznaliśmy za szczególnie interesujące, przechodziliśmy na drugą stronę, aby przetłumaczono nam tekst. Rosjanie naturalnie postępowali w ten sam sposób.

Tak więc letnie miesiące minęły nam w spokoju, choć nieco monotennie. Podczas odpoczynku na naszych kwaterach w Achtyrce musieliśmy pomagać w szkoleniu rekrutów, którzy napływali z Niemiec niekończącym się strumieniem. Szkolenie rekrutów to nudne zajęcie, szczególnie gdy nie widać efektu wkładanego w tę pracę wysiłku.

Wykonaliśmy w tym czasie jedno mistrzowskie posunięcie, polegające na uwolnieniu pewnej ciężarówki z osiemnastu butelek i pięćdziesięciolitrowej baryłki bardzo dobrej, francuskiej brandy. Na tym zdrowym fundamencie zorganizowaliśmy prawdziwą ucztę. Pięć butelek trunku wymieniliśmy na trzydzieści jaj, trzy kurczaki, sześć kilo ziemniaków oraz trochę śliwek i pomidorów w puszkach. Następnie nafaszerowaliśmy kurczaki śliwkami, ziemniakami i innymi różnościami, polaliśmy wszystko butelką koniaku i zaprosiliśmy rosyjskich gospodarzy do naszych kwater na przyjęcie. Porta pożyczył kozackiego konia (należał do jednego z kozackich ochotników walczących po stronie Niemiec), ale ponieważ nigdy wcześniej nie siedział na koniu, wydarzenie skończyło się tym, że zwierzę skrzyłło kark. Kozak stał się nieprzyjemny i musieliśmy go zwięzać. Potem położyliśmy go wraz z jego martwym koniem na drewnianej tratwie, którą puściliśmy z biegiem rzeczki przepływającej przez wieś. Jeden z Rosjan zapytał, czy możemy zastrzelić jego kota, który kradnie kury, i Porta też zorganizował to w sposób budzący powszechną aprobatę. Co prawda ów kot nie zginął na skutek wysiłków Porty, ale gdy polowanie zostało przerwane z braku amunicji, nasz dzielny strzelec miał na koncie zabitego psa i trzy kury, zranił też krowę i kozę, a także przestrzelił kapelusz starego Rosjanina – właściciela kota, który był przyczyną, całego zamieszania. Rosjanin pocieszał Portę, mówiąc, że tego kota wprost niezwykle trudno trafić.

Pewnej nocy ukradliśmy 89 pułkowi artylerii, stacjonującemu w pobliskiej wsi Staraja, studwudziestokilogramową maciorę, po czym długo siedzieliśmy w naszej latrynie, pałaszując gotowaną wieprzowinę, popijając ją wódkę i grając w karty.

Stary wyrwał też w tym czasie Porcie ząb. Przez długi czas Porta cierpiał na straszliwy ból zęba, ale nie miał odwagi udać się do dentysty. Próbowaliśmy starego triku polegającego na obwiązaniu zęba nitką i umocowaniu drugiego jej końca do klamki drzwi, ale podczas tej próby nitka się urwała. Wtedy nasz stary Rosjanin wyciągnął skądś kleszcze dentystyczne. Skrupowaliśmy więc Portę sznurem i Stary wyrwał mu ząb. Okazało się jednak, że nie był to właściwy ząb i całą operację trzeba było powtórzyć. Niezamierzona pomyłka spowodowała, że Porcie pozostał z przodu tylko jeden i do tego całkiem czarny ząb, więc Stary zdecydował się usunąć również i ten, aby już nie powtarzać w przyszłości podobnego zabiegu. Po długich

wysiłkach rozwiązaliśmy wyjącego pacjenta. Od tej chwili przez wiele dni musieliśmy trzymać tych dwóch z daleka od siebie. Porta jednak dokonał zemsty. Udało mu się obezwładnić i zwięzać Starego, ściągnąć mu buty i skarpetki, przywiązać mu obie nogi do słupa, natrzeć pięty solą i zaprosić dwie kozy, żeby sobie używały. Gdy Stary wrzeszczał, Porta spokojnie pił piwo i używając długiego, kozackiego bicia, skutecznie nie pozwalał nam zbliżyć się do Starego. Kozy lizały i lizały, a Stary łkał, wrzeszczał i śmiał się konwulsyjnie.

To dopiero było lato!

*Daleko, w Prusach Wschodnich, odbywała się narada wszystkich dowódców korpusów. Byli tam generałowie-pułkownicy i feldmarszałkowie z krwawoczerwonymi lampasami na pedantycznie zaprasowanych spodniach. Złoto na kołnierzykach ich mundurów konkurowało z blaskiem brylantów na zwisających z szyj Krzyżach Rycerskich.*

*Z monoklami wciśniętymi w oczodoły pochylali się nad ogromnymi mapami wielkiego frontu. Godzinę po godzinie przesuwali małe szpilki kolorowych chorągiewek. Każda szpilka oznaczała wielką jednostkę, złożoną z od osiemnastu do dwudziestu tysięcy ludzi.*

*– I proszę was o przekazanie moich pozdrowień tysiącom tych, którzy otrzymają dar bohaterskiego przeznaczenia i poniosą śmierć w bitwie, walcząc za ojczyznę i honor.*

*Tak przemówił nasz dowódca armii do wszystkich dowódców dywizji, wśród których był też dowódca dywizji, w której składzie znajdował się 27 pułk pancerny. Na koniec tłusty, obwieszony medalami masowy morderca z monoklem w oku zasalutował i odjechał do swej kwatery, daleko, daleko za linią frontu, natomiast dowódcy dywizji powrócili do swych sztabów, aby zająć się przygotowaniem ofensywy, aby – obwieszeni nowymi medalami – nadal bawić się malutkimi chorągiewkami i ślicznymi, wielkimi mapami.*

*– Pułk... do modlitwy... Klęknąć!*

*Kapelan miał na sobie mundur oficerski z purpurowymi naramiennikami. Nosił stopień majora i piastował stanowisko odpowiadające randze oficera sztabowego. Na lewej kieszeni jego kurtki widniał Żelazny Krzyż.*

*– Ojczyźnie! Pobłogosław te dumne ramiona, stojące tu na Twoją cześć! Niech zmiżdżą i skatują czerwonych barbarzyńców, o to Cię błagamy. Ojczyźnie Nasz Niebieski, daj nam siłę, byśmy stali się narzędziem Twojej sprawiedliwości dla wszystkich czerwonych mieszkańców tych błot.*

*Później opowiem, co się wydarzyło, gdy Porta i ja schwytaliśmy tego kapelana podczas wielkiej bitwy.*

## **XXV Bohaterskie przeznaczenie**

*Wyłączyć, wyłączyć! – wrzeszczał Stary. – I to szybko! To już koniec 27 pułku pancernego.*

*W dwadzieścia minut później naszych sześćdziesiąt czołgów było poskręcany, płonącymi wrakami. Po kolejnych dwudziestu minutach podjechał Kübelwagenem Oberst von Lindenau i, rzuciwszy okiem na pogruchotane maszyny, powiedział zmęczonym głosem:*

*– Wszyscy mogący się poruszać mają się udać na nasze stare kwatery. 27 pułk stracił zdolność bojową. Nieprzyjacielskie lotnictwo zrobiło z nas kaszę.*

*Lotnictwo niestety było nasze własne. Z powodu godnej pożałowania omyłki zostaliśmy*

zbombardowani przez Stukasy.

Po kilku dniach znów byliśmy w akcji w nowych czołgach i ze skompletowanymi załogami, pospiesznie dostarczonymi z Charkowa.

Wtedy właśnie odkryłem, ku memu przerażeniu, jak bardzo wojna zatruwa ludzki umysł.

Zawsze nienawidziłem wojny i nienawidzę jej do dzisiaj, a przecież zrobiłem coś, czego nigdy nie powinienem był zrobić. Coś, czego nienawidziłem i co potępiałem, a czego żałuję, nie mogąc pojąć, jak do tego mogło dojść.

W pewnym momencie boju dostrzegłem w peryskopie rosyjskiego piechura wyskakującego z leja po pocisku i biegnącego do następnego leja. Szybko wycelowałem i posłałem w niego krótką serię z karabinu maszynowego. Pociski wyrzuciły ziemię koło biegnącego, lecz on sam nie został trafiony. Gdy nasz czołg zbliżył się, Rosjanin wyskoczył z leja i szukał schronienia w kolejnym. Pociski mojego kaemu ponownie padły koło uciekającego, nie czyniąc mu krzywdy. Po chwili także Pluto zaczął do mego strzelać, ale żaden z nas nie mógł go trafić. Porta zawył ze śmiechu i podniósł Stalina, by mógł wyrzucić przez szczelinę obserwacyjną.

– Popatrz no, na robotę twoich „strzelców wyborowych” – rzekł do kota.

Rosjanin musiał chyba oszaleć ze strachu, bo zaczął biegać w kółko. Nasze karabiny maszynowe ponownie do niego zagadały, lecz ku naszemu zdumieniu wciąż pozostawał nietknięty. Stary i Stege kpili z nas tak jak Porta, a Stege powiedział złośliwie:

– Dobry Boże, wy nawet nie potraficie położyć fiuta poziomo? Zakląłem pod nosem, a gdy Rosjanin przebiegł do kolejnego leja, posłałem za nim strumień ognia z miotacza płomieni, po czym odwróciłem się do Starego i stwierdziłem:

– Po czymś takim już nie wstanie.

– Doprawdy? – zapytał Stary. – Popatrz lepiej przez peryskop.

Ledwie mogłem uwierzyć własnym oczom: w okularze widziałem rosnącego chłopca, okopconego sadzą po strzale z miotacza, uciekającego co sił w nogach. Właśnie zniknął w jakimś budynku. Rozległ się potężny wybuch śmiechu całej naszej czwórki.

W tym momencie pozbawienie życia człowieka, który mnie ośmieszył przed przyjaciółmi, stało się dla mnie punktem honoru, strzelałem więc z miotacza w dom, aż cały stanął w płomieniach.

Punkt honoru?! Jak mogłem?! Jak mogłem zabić człowieka tylko dla mej urażonej dumy?

Ale tak właśnie uczyniłem i do dziś tego żałuję. Wojna ze swym bezustannym mordowaniem, hałasem, płomieniami i zniszczeniem nieoczekiwanie zatruła i mój umysł.

Nawet najbardziej fanatyczni naziści musieli już przyznać, że nasza wielka letnia ofensywa załamała się, bo teraz z kolei przygotowywaliśmy się do odwrotu na wielką skalę. Dokonaliśmy ostatnich, nadludzkich wysiłków, aby przechylić szalę zwycięstwa na stronę Wehrmachtu. Nasza kompania dotarła aż do Biriucka, gdzie zaskoczyliśmy nieprzyjacielską jednostkę kawalerii na

obozowisku. W krótkim czasie zmieniliśmy ludzi i konie w skłębioną masę przerażonych kawalerzystów i oszalałych zwierząt, po czym musieliśmy się wycofać, ponieważ przeciwko nam nadciągały liczne T-34.

Wszędzie toczyły się ciężkie walki i wszędzie ponoszono ogromne straty.

Zmasakrowaliśmy pewien otoczony pułk rosyjski, który, podobnie jak niegdyś nasz 104 regiment grenadierów, nie zdecydował się na poddanie. Nasze czołgi zajęły dogodne stanowiska i ostrzeliwały ich przez trzy godziny. Słyszeliśmy przerażające krzyki. Widok, jaki ukazał się naszym oczom po przerwaniu ognia, był straszny. Wszędzie wałały się zmiażdżone samochody ciężarowe, uzbrojenie i nieprawdopodobnie okaleczeni żołnierze, z których każdy okazał się kobietą. Wiele było młodych i ładnych, z białymi, zadbanymi zębami i na czerwono polakierowanymi paznokciami. Wszystko to zdarzyło się około kilometra na wschód od wsi Liwnyj.

Staremu pobielala twarz.

– Obiecujemy sobie nawzajem, że ten z nas, który wyjdzie z tego wszystkiego z życiem, napisze książkę o tym śmierdzącym paskudztwie, w jakim teraz wszyscy uczestniczymy. Ta książka ma być jak uderzenie pięścią dla całej podłej bandy wojskowych, bez względu na to, czy będą należeli do niemieckiej, rosyjskiej, amerykańskiej czy też jakiegokolwiek innej armii, tak aby ludzie mogli zrozumieć, jak bezdennie głupie i parszywe jest to całe pobrzękiwanie szabelką.

Otrzymaliśmy rozkaz, aby nie pozostawiać za sobą niczego, co mógłby wykorzystać nieprzyjaciel, i podczas odwrotu niszczyliśmy wszystko. Efekt był niemal niemożliwy do opisanego. Mosty, wsie, drogi i linie kolejowe były wysadzane. Wszelka żywność, której nie byliśmy w stanie zabrać ze sobą, była oblewana benzyną, smołą lub fekaliami. Ogromne, wspaniałe pola słoneczników były palone lub walcowane ciągnikami. Świnie i wszystkie inne zwierzęta hodowlane były zabijane i pozostawiane na słońcu, gdzie w ciągu niewielu godzin zaczynały gnić. Wszędzie pozostawialiśmy miny-pułapki. Wszędzie widoczne były czynione przez nas spustoszenia, okropny pejzaż śmierci.

Jak się można było spodziewać, 27 pułk pancerny po kilku tygodniach walk poniósł ciężkie straty, które w praktyce wyeliminowały go z walki. Wynikało to oczywiście z faktu, że nieprzerwanie stanowiliśmy ariergardę i toczyliśmy nieustanne boje z przeważającymi siłami rosyjskich czołgów, z tą jednak różnicą, że teraz nie przysłano nam już uzupełnień. Zagłada pułku była więc kwestią tygodni, jeśli nie dni.

Gdy podążaliśmy za pospiesznie wycofującymi się oddziałami niemieckimi, niekiedy niemożliwe było przebicie się przez stłoczone kolumny uciekających jednostek ze wszystkich rodzajów wojsk: kawalerii, piechoty, artylerii i pancerniaków. Niekończące się sznury samochodów ciężarowych, czołgów, armat, koni i ludzi rozpaczliwie brnęły piaszczystymi drogami, na których kurz i upał zmieniały życie w chorobliwy koszmar. Polami po obu stronach

drogi ciągnęły nie mniej liczne i nie mniej długie sznury ludzi i zwierząt, z tą różnicą, że byli to cywile. Toczyły się tam najdziwniejsze pojazdy, ciągnięte przez starego konia lub krowę, często jedno i drugie. Nierzadko wózek z całym dobytkiem właściciela ciągnął także pies, osioł czy nawet sam człowiek. Wszystkich ogarniała tylko jedna myśl – uciekać.

Było to dziwne, że nigdy nie ujrzeliśmy nawet cienia rosyjskiego samolotu, w przeciwnym bowiem razie wojna skończyłaby się o rok wcześniej. Gdy psuł się któryś z naszych pojazdów, bez względu na to, czy był to samochód osobowy, czy czołg, nikt go nie naprawiał. Sprawny czołg jedynie spychał ten uszkodzony do rowu, aby nie tamował ruchu na drodze. Nieprzeliczeni, wyczerpani żołnierze rzucali się do rowów i błagali, aby ich zabrać na pancierz. Ale „podwożenie” było niedozwolone. Serce pękało, gdy rozlegały się ich błagania. Nie mogąc zagłuszyć głosu sumienia, zabieraliśmy przynajmniej jednego. Na ogół jednak nikt się nie zatrzymywał, nikt ich nie zabierał. Czołgi jeden za drugim przetaczały się obok nich, wzbijając wielkie chmury kurzu unoszące się nad polami. Cywilni uciekinierzy też padali do rowów setkami i leżeli tak w nieznośnym upale. Nimi również nikt się nie przejmował.

– To coś jakby odwrót, chłopcy – zaryczał nagle z dna czołgu Porta. – To jednak wygląda gorzej, niż wtedy, gdy toczyliśmy wojnę u Żabojadów, a wszyscy Francuzi i Angole zmykali przed nami jak zające. Nasze „szambowozy” nie były wtedy tak szybkie jak te dzisiejsze, ale przedstawienie, jakie teraz dajemy, jest o wiele lepsze od francuskiego z 1940 roku. Zjem swoją lewą nogę, jeśli Goebbels kiedykolwiek piśnie słówko o tym wspaniałym, malutkim Grand Prix. Jeśli dalej będzie nam tak dobrze szło, to urodziny będę obchodził już w Berlinie. Stalin, stary kocie, dostaniesz śliczne cywilne łachy zamiast tego parszywego munduru, który teraz nosisz, i pozwolimy ci solidnie naostrzyć pazurki na tyłku Adolfa. A wy wszyscy czujcie się zaproszeni na tłuczone kartofle z wieprzowiną, a potem placki ziemniaczane z cukrem i dżemem oraz wszystkim, co tylko zdołacie przełknąć. Wyciągniemy też ze szpitala tego beznogiego osła Asmusa z jego drewnianym kulasem i osobistym kiblem.

Puścił dookoła butelkę i kazał nam wypić za rychłą i szczęśliwą klęskę prusko-nazistowskiego Wehrmachtu.

Na wschód od Charkowa rzucono nas do wielkich działań opóźniających, w których ponownie straciliśmy wszystkie nasze czołgi i w ten sposób po raz kolejny zostaliśmy zwykłą piechotą.

Porta i ja staliśmy o ćwierć mili od Starego i pozostałych, jako obsługa ciężkiego karabinu maszynowego. Gdy leżeliśmy na stanowisku, pozwalając cekaemowi strzelać do nadciągających Rosjan, nadbiegł jakiś człowiek i leciałaby dalej, aż do Rosjan, gdyby Porta nie złapał go za nogę.

Był to kapelan, ten sam, który tuż przed rozpoczęciem odwrotu odprawiał ową waleczną mszę pełną miłości i miłosierdzia. Porta usiadł na nim i wymierzył mu silne uderzenie w ucho.

– Dokąd się wybierasz, ty śmierdząca wrono? Przypadkiem nie zamierzałeś zdezerterować?

– Przegraliśmy wojnę – łkał kapelan. – Lepiej poddajmy się dobrowolnie, wtedy na pewno nic nam nie zrobią.

– Ja ci się poddam, ty plugawy jezuicki zwierzaku! Zapomniałeś już swojego budującego kazania, w którym kazałeś nam mordować czerwone bagienne stworzenia? Teraz, do ciężkiej cholery, będziesz pomagał nam obsługiwać karabin maszynowy albo wbiję ci łuskę karabinową w czoło, nawet gdybyśmy mieli przy tym umrzeć od twego smrodu! Osobiście pokosztujesz mordowania, które nam tak gorąco zalecałeś, ty tchórzliwy fiucie!

Porta podbił mu oko, a następnie walnął stalowym hełmem tak, że tamten zwinął się jak mokra szmata.

– To jest... niesubordynacja – krzyknął histerycznie kapelan. – Postaram się, żebyś stanął przed sądem wojennym, jeśli natychmiast nie...

Walnąłem go w twarz pięścią, przycisnąłem lufę pistoletu do wyszywanego złotem krzyża, który nosił nad górną kieszenią munduru, i wrzasnąłem:

– Albo w ciągu trzech sekund znajdziesz się przy karabinie maszynowym i będziesz podawał amunicję albo zostaniesz już na zawsze martwym kapelanem.

Łkając ze strachu i wściekłości z powodu poniżenia, popęźnął do miejsca, które mu wskazaliśmy. Nie mieliśmy dla niego żadnej litości; mogliśmy za to pozbyć się całego nagromadzonego pragnienia odwetu. Za każdym razem, gdy się pomylił, waliliśmy go z całej siły po palcach naszymi pistoletami.

– To za Hansa Breuera!

– To za Asmusa!

– A to... i to... i jeszcze raz... za Urszulę!

I jeszcze jeden za to, że w ciągu godziny zabiłem z karabinu snajperskiego dwunastu ludzi, gdy oszalałem z bólu na wieść o śmierci Urszuli!

I jeszcze jeden za to, że zabiłem z czołgu tego nieszczęśnika, którego tak długo nie udawało mi się trafić.

Migotało mi przed oczami i widziałem świat na czerwono. Dostał, co mu się należało. Porta również miał nader długą listę do wyrównania.

– Dostałeś się w ludzkie ręce, ty świniou, i my cię „na sucho” nie wypuścimy.

Gdy z nim skończyliśmy, kazaliśmy mu biec do Rosjan i w dwóch trzecich dystansu przestrzeliliśmy mu obie nogi. Zaraz wypełzło z okopu trzech Mongołów, by go złapać. Przerwaliśmy ogień, dopóki go nie wciągnęli.

– Nie wiem, jak ty – oświadczył Porta, ocierając pot z czoła – ale ja się czuję nowym i lepszym człowiekiem.

Powróciwszy do kompanii, złożyliśmy regulaminowy meldunek, że kapelan von Wilman



z 12 dywizji pancерnej zdezerterował na stronę nieprzyjaciela oraz że strzelaliśmy do niego, raniąc podczas ucieczki. Teraz, nawet gdyby jakimś sposobem wydostał się z łap Rosjan, Niemcy i tak zastrzeliliby go jako dezertera.

– Ci, co go dostali, to byli Rosjanie czy Azjaci? – zapytał Pluto.

– Azjaci.

– W takim razie może liczyć na solidne, „uzdrawiające” błogosławieństwo.

Wszyscy mieli ogólną satysfakcję, że kapelan wpadł w szpony najbardziej barbarzyńskich wojowników Związku Sowieckiego. Nie co dzień dostawali do zabawy prawdziwego, nazistowskiego księdza.

Chciałbym być ludzki. Chciałbym móc powiedzieć, że nie mam krwiożerczych instynktów. Ale nawet dziś widzę na czerwono, gdy jedynie pomyślę, a cóż dopiero gdy spotykam tych, którzy zachęcają do wojny; wszystkich idiotów, który w sposób jawny lub podstępny insynuacjami podsycają konflikty i rozpalają wojownicze instynkty. Widziałem nikczemne skutki działalności tych propagatorów, komentatorów, fanatyków, kalkulujących na zimno mózgów biznesmenów i chciwych rozgłosu polityków. To szkodliwe robactwo trzeba powyciągać z nor i kryjówek i pozbyć się go raz na zawsze! Wiem, że potraktowaliśmy kapelana polowego po barbarzyńsku, ale nie mogliśmy postąpić inaczej. Nie mam współczucia dla wszystkich tych, którzy chcieliby wojny, których cieszyłoby, gdyby miliony zwykłych ludzi odrzuciło wszelkie człowiecze normy i wzorce. Są niebezpieczni i wiem, że trzeba się im przeciwstawić z pełną mocą. Wiem i czuję to, podobnie jak każdy Niemiec. O, gdyby tylko Niemcy zdołali wziąć to sobie do serc i umysłów, a także mieli odwagę, by postępować według tej wiedzy! Jedna wspólna, powszechna rewolta niemiecka przeciw wojnie, bezlitosne wyrównanie rachunków z duchem i kreaturami militarizmu – wszystko by uporządkowało.

Nim na dobre opuściliśmy Charków, saperzy zniszczyli go doszczętnie. Charków był wielką metropolią o powierzchni równej Kopenhadze i w chwili wybuchu wojny liczył ponad osiemset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Był jednym z najpiękniejszych miast w Związku Sowieckim i cieszył się prawie takim prestiżem, jak Moskwa czy Odessa. Z pośród jego mieszkańców zginęło około trzystu tysięcy. Jak dumnie oświadczył generał Zeitzler w rozkazie dziennym, miasto zostało *restlos vernichtet*.

Czyż mogłem wtedy okazać litość temu tak zwanemu kapłanowi?

Nie, po prostu nie mogłem.

– *Wiem to aż nazbyt dobrze, mój drogi. – Von Barring ze smutkiem pokręcił głową, kładąc dłoń na ramieniu Starego. – To wszystko jest zupełnie niemożliwe. To już nie jest wojna, lecz czyste samobójstwo. Mamy prowadzić wojnę przy pomocy dzieci i starców, ale musisz sobie zdać sprawę, że to nie jest łatwe zadanie dla tych biednych diablów, wysłanych ot tak, bez przeszkolenia, w sam środek najgorszego bagna. Dlatego chcę cię poprosić, byś był dla nich choć odrobinę miły. Wyobraź sobie, że wśród nich przybył twój ojciec albo młodszy brat – miałbyś chyba dla nich odrobinę wyrozumiałości. Każdy z nas też by beczał, gdyby miał piętnaście czy szesnaście lat. Jeśli mógłbyś coś dla mnie zrobić, to traktuj ich przyzwoicie. Pomóż im stanąć na nogach, na tyle, na ile jest to możliwe w tych wariackich okolicznościach. Nie uważam, że powinniśmy dodatkowo utrudniać im egzystencję; nie zasługują na to w najmniejszym stopniu, jeśli bowiem ktokolwiek może być tu bez grzechu, to właśnie ci chłopcy. Przynajmniej jedno jest pewne: sądząc po metrykach rekrutów, których nam teraz przysyłają, dno beczki wkrótce zostanie doszczętnie wyskrobane i możemy mieć pewność, że wojna niebawem się skończy.*

– *Ależ nie, Herr Hauptmann – odparł ze śmiechem Porta. – Wtedy zaczną przysyłać nam dziewczyny. Czy moglibyśmy już teraz zapisać się na instruktorów dobrego asortymentu aktorek filmowych? Chętnie szkolilibym taką drużynę. Znam kilka bardzo stymulujących ćwiczeń w pozycji leżącej...*

– *Porto, z pewnością zrobię cię dowódcą szwadronu filmowego, jeśli tylko o to ci chodzi – przerwał z uśmiechem von Barring. – Tymczasem zrób mi tę uprzejmość i zapamiętaj, co teraz powiedziałem. Jest to oczywiście tylko moja sugestia, ale nie wątpię, że zastosujecie się do niej.*

## **XXVI Pociąg pancerny**

Do upadku Charkowa nasz 27 pułk został wycofany z walki i skierowany do Dniepropietrowska, gdzie przydzielono nas do pociągu pancernego „Leipzig”. Gdy tylko się tam zainstalowaliśmy, wraz z innym pociągiem pancernym wyruszyliśmy do Charołu, sto kilometrów na zachód od Połtawy, gdzie odbyliśmy ćwiczenia artyleryjskie mające zapoznać nas z nowym typem armat. Naszą piątkę przydzielono do jednego wagonu: Stary został jego dowódcą, Porta odpowiadał za osiem karabinów maszynowych i trzy armaty, Stege dowodził wieżyczką numer 1, a ja numer 2 – obie miały studwudziestomilimetrowe armaty o długich lufach. Jeszcze jedną miał dodatkowo Stege. Pluto odpowiadał za radio i łączność. Jako załogę dano nam dwudziestu pięciu rekrutów po czterotygodniowym przeszkoleniu unitarnym. Najmłodszy miał szesnaście, najstarszy – sześćdziesiąt dwa lata. Wszyscy mieli godną pożałowania prezencję.

Pojechaliśmy w kierunku frontu, gdzie roznieśliśmy w drobny mak jakąś rosyjską wieś, po

czym wdaliśmy się w pojedynek ogniowy z rosyjską artylerią. Następnie skierowaliśmy się na południowy wschód. Dniem i nocą z hukiem przemierzaliśmy setki kilometrów torów, zatrzymując się dla pobrania wody lub ropy lub też czekając na mijance, aby przepuścić jadący z naprzeciwka pociąg. W naszym wagonie mogliśmy spać do woli i dzięki temu mieliśmy się znakomicie. Uważaliśmy nawet, że wojna nie jest aż taka zła, jeśli tylko od czasu do czasu można się wyspać do woli. Permanentny brak snu, co było raczej normą na wojnie, czynił ją nie do zniesienia i wykańczał nerwowo największych nawet twardzieli.

W Kremieńczugu spacerowaliśmy wokół stacji, gdy kobiecy głos nagle zawołał:

– Svenie! Svenie!

Odwróciliśmy się zdumieni. Na sąsiednim torze stał pusty pociąg szpitalny, a w otwartych drzwiach pielęgniarka machała do mnie ręką.

– Svenie, chodź i przywitaj się.

To była Asta. Przytuliła mnie i pocałowała. Ledwie ją rozpoznałem w tym mundurku, również dlatego, że gdy ją spotkałem w Gothenburgu, była dziewczyną zdystansowaną i odrobinę nudną, chociaż dość ładną. Zauważyłem, że wojna ją odmieniła.

W jej spojrzeniu i ruchach nie było już powściągliwości i wahania, zastąpiły je śmiałość i zdecydowanie. Wciągnęła mnie do pociągu, dwie zaś inne pielęgniarki zainteresowały się Portą i Starym.

Asta wyszła za mąż i rozwiodła się z mężczyzną starszym od niej o dwadzieścia dwa lata. Następnie wraz z przyjaciółką wstąpiły jako ochotniczki do Niemieckiego Czerwonego Krzyża i tak dalej, i tak dalej. Boże, jaki byłem napalony. Boże, a jak ona była napalona. Patrzyliśmy na siebie i nic nie mówiliśmy. Wtedy przyszła jeszcze jedna pielęgniarka i coś szepnęła jej do ucha.

– Chodź – powiedziała Asta i zaprowadziła mnie do drugiego wagonu, wpełnęła na dolne łóżko, zaciągnęła zasłonę i rozebrała się szybkimi, wprawnymi ruchami. Jednym ruchem rzuciła sukienkę i nie trzeba było już czegokolwiek mówić – oboje pragnęliśmy tego równie gorąco i cudownie było otrzymać jakby dar niebios, gdy spadła na ciebie prosto z nieba czysta, zadbana dziewczyna o jędrnym ciele, która znała się na rzeczy. Kwadrans to mnóstwo czasu, jeśli się go nie traci na gadanie o pogodzie czy zbędne zastanawianie. Byliśmy oboje tak wyposzczeni, tak chciwi i zgodni, że zrobiliśmy to dwukrotnie, bez oporów i zahamowań, posłuszni wyłącznie nagromadzonej przez wiele miesięcy żądzy. Dziwne, że życie, to nagie i bezwstydne, wybrało trzech brudnych żołnierzy, by przypomnieć im o swoim obliczu na zwyczajnej stacji kolejowej. Wygląda na to, że zawsze można spotkać coś dobrego, a gdy to się już stanie, to kwadrans może się okazać aż nadto długi, by z wszystkiego skorzystać.

Nadal potrafię zobaczyć, uśmiechając się na ten widok, z lekka komiczny obrazek trzech brudnych żołnierzy, nie bez dumy powracających do swego pociągu pancernego, hardo odwróconych plecami do pociągu szpitalnego, który właśnie miał odjechać. Nie spojrzeliśmy za

siebie, ale zawsze mogę sobie wyobrazić okno wagonu pełne dziewczyn rzucających za nami czułe spojrzenia. To nie były po prostu trzy pielęgniarki, lecz przede wszystkim kobiety z pociągu szpitalnego, które użyczyły swych darów trzem mężczyznom i spotkały się z ich wzajemnością. Choć nastąpiło to tak szybko i trwało tak krótko, było jednak spełnieniem.

Z rozradowanymi minami wsiedliśmy do swojego pociągu.

Czy to było dobre?

Zaiste, było.

Nawet Porta milczał, co dowodzi, że na świecie musi być coś więcej niż sama lubieżność.

Stary zaczął nucić pod nosem, a Porta wyjął flet. Wtedy wybuchliśmy śmiechem i pozwoliliśmy innym gapić się do woli.

– Biedne dziewczyny – odezwał się Stary. – Jakąż ogromną porcję wszy otrzymały w darze.

A więc odegraliśmy ten kawałek o królu, który miał pchłę.

Był to poetycki cud, naturalny i zaskakujący, podobny do tego, który mógłby się zdarzyć, jeśli letniego dnia, leżąc w trawie, odkryłbyś nagle, że zajaczek obwąchuje ci palce.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin pociąg pancerny znalazł się w strefie działań wojennych. W miejscowości Bachworat, leżącej blisko dopływu Dońca, podano nam zadanie. Mieliśmy wspierać atak ogniem dział, a potem jechać linią kolejową Ługańsk – Charków tak daleko, jak się da, i dokonać na zapleczu nieprzyjaciela tylu zniszczeń, ile będzie możliwe, po czym wycofać się, niszcząc za sobą mosty i tory kolejowe. Gdyby pociąg stracił zdolność bojową, mieliśmy rozkaz wysadzić go w powietrze i przebijać się pieszo do naszych linii.

Głos Oberstleutnanta Hinki odezwał się przez radiowęzeł we wszystkich wagonach:

– Zarządzam pogotowie. Przygotujcie się do akcji.

Z armat zdjęto osłony, ułożono skrzynki z pociskami a każdy zajął swoje stanowisko. Pociąg powoli nabierał szybkości, aż zaczął się rytmicznie kołysać. Koła podskakiwały na łączeniach szyn, a od czasu do czasu piszczały i skrzeczały na ostrych zakrętach.

Głośnik wyszczeł kolejny rozkaz:

– Uwaga załoga! Pełna gotowość bojowa!

Zamki wielkich armat otwarły się, pociski i ładunki prochowe wrzucono do środka. Rozległ się grzechot i szcęk stali o stal, pokręta zmiany nastaw wielkich armat obracały się. Naciągnęliśmy na głowy azbestowe hełmy. Przez peryskop lustrowałem krajobraz.

Przed nami i nieco z boku toczyła szeroko swe brudnożółte wody rzeka wijąca się jak wstęga pośród szarych zboczy. Ze znaczną szybkością minęliśmy z łoskotem opuszczoną wieś. Kołysząc się i dudniąc, przemknęliśmy po wielkim, żelaznym moście. Nisko pod nami rzeka wyglądała jak wielki dach z żółtej blachy falistej.

Byliśmy już więcej niż pięć kilometrów od rzeki, gdy nawiązaliśmy pierwszy kontakt

z nieprzyjacielem. Nagle w naszą stronę wystrzelono kilka pocisków. Pociąg natychmiast przyspieszył, więc hałas ciężkich kół prawie zagłuszył ich wycie. Nagle we wszystkich wieżyczkach zadzwonił przeraźliwie sygnał alarmu i otrzymaliśmy rozkaz otwarcia ognia.

Każdemu dowódcy wagonu określono cel, a on z kolei przekazywał go dowódcom wieżyczek. Wielkie armaty skierowały swe czarne paszcze na leżące naprzeciwko, skąpane w słońcu pola i las.

Następnie przyszedł rozkaz: „Ognia!” – i dookoła przetoczył się ogłuszający, straszliwy grzmot, gdy trzydzieści naszych armat zaintonowało swą pieśń śmierci uśmiechniętemu, słonecznemu krajobrazowi. Momentalnie przykrył nas kurz i dym. Za każdym razem, gdy wszystkie armaty jednocześnie oddawały salwę, pociąg kołysał się tak gwałtownie, że niejednokrotnie myśleliśmy, iż przewraca się na bok. Rosjanie zaczęli odpowiadać na nasz ogień, a ich pociski z trzaskiem uderzały w ściany naszych wagonów, lecz kaliber tych dział był zbyt mały, aby mogły nam wyrządzić jakąkolwiek szkodę. Nie upłynęło jednak zbyt wiele czasu, gdy na nasz ogień zaczęły odpowiadać także ciężkie, dwustudziestocmilimetrowe armaty. Niektóre, celniejsze pociski zaczęły nam zagrażać, w miejscu ich uderzenia powstawał jakby huragan. Natychmiast zmieniliśmy nastawy i otworzyliśmy ogień do stanowisk rosyjskiej artylerii. Nagle pociąg się zatrzymał. Rozeszła się wieść, że któryś z pierwszych wagonów otrzymał bezpośrednie trafienie, a jeden z wózków jezdnych został zniszczony. Kilku saperów musiało wyjść na zewnątrz, aby pod osłoną pociągu zrzucić uszkodzony wagon z torów. Było to absolutnie konieczne, abyśmy mogli ruszyć z miejsca jak najszybciej, unieruchomiony pociąg pancerny bowiem zaraz pada łatwym łupem artylerii nieprzyjacielskiej. Jednak zanim saperom udało się zrzucić z torów ów pechowy wagon, Rosjanie bezpośrednim trafieniem ciężkiego pocisku zniszczyli następny, zabijając całą jego załogę.

Ten gwałtowny ostrzał artyleryjski zmusił nas do odwrotu ku wielkiemu, żelaznemu mostowi na rzece. Wycofując się, wysadzaliśmy za sobą w powietrze torowisko. Wtedy nasze dowództwo z drugiej strony rzeki przekazało nam rozkaz zatrzymania się o kilometr na wschód od mostu i wspierania piechoty, która miała go przekraczać. Gdy tylko piechurzy przejdą na drugą stronę, my mamy przejechać po moście, po czym saperzy go wysadzą. Jako nasze wsparcie skierowano tutaj kolejny pociąg pancerny „Breslau”. Po jego przybyciu, Oberstleutnant Hinka zamierzał uderzyć na nieprzyjaciela wzdłuż linii kolejowej Woroneż – Rostów i nękać nieprzyjaciela, jak to tylko możliwe. Hinka zakładał, że zdołamy dotrzeć do niewielkiego miasteczka położonego około dwudziestu kilometrów od nas, gdzie miało znajdować się stanowisko dowodzenia rosyjskiej dywizji. „Breslau” miał pozostać i stąd prowadzić do nieprzyjaciela nękający ogień w nadziei, że ten się nie połapie, a „Leipzig” w tym czasie miał przeprowadzić rajd na tyły wroga.

Przez kilka pierwszych kilometrów mknęliśmy z pełną szybkością w ogóle nie ostrzeliwani.

Ale w końcu Rosjanie skierowali na nas swe ciężkie działa i w ciągu kwadransa szereg wagonów naszego pociągu zostało ciężko uszkodzonych, choć nadal pozostawały zdolne do walki. Następnie kilka pocisków poważnie uszkodziło lokomotywę, co zmusiło nas do wycofania się drogą, którą przybyliśmy.

Przeciwno nam ruszyło także kilka ciężkich czołgów i musieliśmy maksymalnie obniżyć lufy dział, aby podjąć z nimi walkę. Bezpośrednie trafienia naszych pocisków w te czołgi robiły fantastyczne wrażenie. Studwudziestomilimetrowy pocisk rozbijał czołg na drobny mak, wyrzucając w górę rozprute płyty pancerne niczym pierze z rozdartej poduszki.

Wokół naszej lokomotywy nieustannie padały pociski, ta zaś traciła ciśnienie pary uchodzącej licznymi przestrzelinami. W rezultacie nasza coraz wolniejsza jazda zamieniła się w powolne, złożone z pojedynczych szarpnięć pełzanie. Było bardziej niż wątpliwe, czy pociąg pancerny „Leipzig” zdoła dotrzeć do punktu wyjścia.

Gdy myślę o gigantycznej wartości uzbrojenia i sprzętu, zarówno nieprzyjacielskiego, jak i naszego, który przyszło mi niszczyć, mój rozum się wzdryga. Gdy się tylko o tym pomyśli, można natychmiast zacząć śmiać się głośno i przeraźliwie, w przeciwnym razie reakcją powinien być płacz i depresja, w przypływie której można sobie nieraz wpakować kulkę w łeb. Czy ludzie naprawdę nie rozumieją pewnych rzeczy? Czy wy, którzy to czytacie, nie zdajecie sobie sprawy, jak fantastyczne bogactwa w ten sposób przepadają? Czy nie domyślacie się, że gdyby inaczej wydawano środki, które przeznacza się na wojsko, to wszyscy nagle staliby się ludźmi majątnymi? Każdy mieszkałby wygodnie, dobrze się odżywił, miał własny samochód lub nawet kilka, stać by go było na podróżowanie po całym świecie, mógłby bawić się do woli, a wychodząc z domu, nie musiałby się lękać, gdyby bowiem wszyscy byli zamożni, to nikt by się nie łakomił na cudze dobro.

Nikt mi w to nie uwierzy, a pewnie nawet nie spróbuje uwierzyć. Jakież przekleństwo wpaja nam ten brak wiary, apatię i lęk, że nie potrafimy się zjednoczyć i odebrać wojskowym tych wszystkich dotacji i subwencji? Czy jesteśmy wszyscy niedołęgami, lub przynajmniej większość z nas? Czy, jak leniwi ignoranci, potakujemy tylko, gdy wbijają nam do głowy nonsensy o „równowadze sił”, „zrównoważonych wpływach” i resztę tego politycznego żargonu. Równowaga sił? Gdyby każdy Smith i Schmidt ośmielili się i zażądali takiego wydawania pieniędzy z podatków, aby zawsze wpływało to na podnoszenie ich stopy życiowej, a nigdy na konflikty i zbrojenia, to wojny by w ogóle znikły, a dobrobyt stałby się powszechny. Lecz aby to osiągnąć, Smithowie i Schmidowie muszą się najpierw nauczyć walić pięścią w stół, aby było jasne, do kogo należy władza i jakim celom ma służyć.

Fakty wyglądają jednak tak, że Smithowie i Schmidowie, nie mając dostatecznego przygotowania i umiejętności, zmuszeni są działać raczej emocjonalnie niż racjonalnie, a to niestety nie wystarcza. Wszystko się jakoś ułoży, mówią, a w ogóle, to nie jest tak źle, poza tym

nie znamy się na robieniu polityki; zresztą politycy i tak mają nas gdzieś, od chwili, w której położą swoje brudne łapy na kasie. Jeśli Smith i Schmidt usłyszą, że samochód mógłby być za darmo, a benzyna po kilka groszy za litr, tylko się uśmieją, ponieważ nie uwierzą w to. Jeśli zaś spróbować im to wszystko wytłumaczyć, zaraz zaczną się irytować i obrażać, bo byłoby to jednoznaczne z udowodnieniem im, jakimi są idiotami, gdy nie protestują przeciwko wydawaniu pieniędzy z ich podatków na wojsko.

Wystarczyło zaledwie parę godzin, aby pociąg pancerny, uzbrojony w działa, których same lufy kosztowały fortunę, zamienił się w kupę złomu. Ze wszystkich stron trafiały w nas z wyciem pociski i choć niszczyliśmy czołg za czołgiem, pozostałe zbliżały się do nas jak nieznośne insekty.

Nagle nasze centrum kierowania ogniem zamilkło. Pluto gorączkowo kręcił swym przekaźnikiem, ale nie mógł nawiązać kontaktu nawet z sąsiednim wagonem. Od tej chwili jedynie Stary mógł kierować naszą walką. W tym momencie dzieliło nas od mostu i pociągu pancernego „Breslau” jedynie osiemset metrów. Tyle że w tym czasie „Breslau” również zamienił się w płonący wrak, a wszystkie jego działa umilkły.

Straszliwa eksplozja, aż zadzwoniło nam w głowach, wstrząsnęła naszym wagonem. Niektórzy zaczęli wrzeszczeć, a te wrzaski kłuły nerwy niczym noże. Z wieżyczki numer 1 zaczęły się wydobywać dymy i płomienie. Był to skutek bezpośredniego trafienia. Próbowaliśmy zduścić pożar przy użyciu podręcznych gaśnic. Po opanowaniu ognia policzyliśmy straty: czterech zabitych, siedmiu rannych. Na szczęście nic się nie stało Stegemu, jeśli nie liczyć kilku drobnych oparzeń.

Jedynie moja armata była zdolna do prowadzenia ognia. Pociliśmy się w przegrzanej wieżyczce, z której po każdym wystrzelonym pocisku były płomienie. Wagony były unieszkodliwiane jeden po drugim, a w końcu cały skład stanął, co naturalnie umożliwiło nieprzyjacielowi prowadzenie celniejszego ostrzału. Wtem rozległ się huk jak w dzień Sądu Ostatecznego i biały płomień wypełnił wieżyczkę. Poczulem gwałtowne uderzenie w klatkę piersiową i przed oczami wszystko mi pociemniało. Jęknąłem. Czulem, jakby coś zgniatało moje ciało. Mogłem oddychać tylko bardzo ostrożnie, ale i tak każdy łyk powietrza był dla mnie jak cios nożem. Nie mogłem się poruszyć. Zostałem uwięziony przez imadło składające się z wyrwanej z fundamentu armaty i pancernej ściany wagonu.

Byłem spryskany krwią od stóp do głowy. Nie wiedziałem, czyja to krew, ale przypuszczałem, że moja własna. Obok leżał jeden z moich artylerzystów z czubkiem głowy odciętym jak czubek jajka na miękko. Jego mózg oblepiał mi twarz i dłonie. Nozdrza porażał smród nie do zniesienia – parującej krwi i wnętrzości, zmieszany z kwaśnym odorem siarki, saletry i prochu. Zwymiotowałem. Potem zabrzmiał kolejny straszliwy huk i wszędzie pojawiły się płomienie. Wagon zaczął się przechylać i wydawało się, że się przewróci, ale musiał

napotkać jakąś przeszkodę i pozostał tak pochylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To drugie bezpośrednie trafienie w wagon rozluźniło trochę moje „imadło” i mogłem już jedną dłonią otrzeć twarz z lepkiej konsystencji mózgu. Za moimi plecami leżał Schultz, szesnastoletni chłopiec, z nogami zmiażdżonymi na czerwonej miazgę. Nad moją głową zwisała oderwana ręka ze złotym pierścieniem z niebieskim kamieniem na palcu. Przed oczami latały mi „mroczki” i zacząłem wrzeszczeć. Szybko odzyskałem jednak równowagę i zacząłem nawoływać Starego i Portę. Wkrótce potem usłyszałem głos, który przez grubą stalową płytę polecił mi stukać, abym wskazał dokładnie miejsce, gdzie jestem. Za chwilę doszedł mnie uspokajający głos Starego.

– Pomoc nadchodzi, mój drogi.

Palnikiem zrobili otwór, w którym po chwili ukazał się cudowny, obleśny pysk Porty.

– Hej, hej, jak się masz? – zapytał, szczerząc zęby. – Może skusisz się na mały spacerek?

Tnąc ostrożnie dalej, wreszcie mnie uwolnili. Z załogi naszego wagonu żyło jeszcze dziewięciu, ale w chwili, gdy opatrywaliśmy jednego z nich, nadleciał kolejny pocisk i eksplodując, zamknął nas ponownie wewnątrz.

Porta i Pluto chwycili za ciężkie, kowalskie młoty, których uderzeniami rozchylili pancerne drzwi na tyle, że mogliśmy przecisnąć się na zewnątrz. Uzbrojeni w pistolety maszynowe i kilka granatów ruszyliśmy biegiem w stronę mostu, szukając osłony na brzegu rzeki. Kilka rosyjskich czołgów ruszyło, aby odciąć nam drogę ucieczki, i w tej chwili staliśmy się uczestnikami wyścigu na śmierć i życie, którego nigdy nie zapomną ci, którzy go wygrali. Dotarliśmy do mostu przed czołgami sowieckimi. W mgnieniu oka założono ładunki wybuchowe i zapalniki. Ze wszystkich sił biegliśmy na drugi przyczółek mostu. Między stalowymi podkładami można było dostrzec w dole nurt rzeki, wzburzany uderzeniami pocisków artyleryjskich i z broni ręcznej. Rosjanie nieustannie „polewali” most ogniem karabinów maszynowych i wielu z nas wpadło do mętnej, żółtawej wody. Byliśmy już niemal na drugim brzegu rzeki, gdy rozległ się potężny huk, od którego prawie popękały nam bębrenki w uszach. Stalowa konstrukcja mostu zaczęła się przechylać.

– Trzymać się szyn! – wrzasnął Porta.

Większa część konstrukcji mostu wpadła do wody. Podkłady kolejowe spadały niczym jesienne liście z drzew. Szyny pękały, a śruby i nakrętki strzelały we wszystkie strony jak pociski z automatycznego działka.

W końcu hałas zaczął ustępować. Po jakichś kablach Porta i ja zdołaliśmy wciągnąć się na filar, a stamtąd, po kołyszących się szynach, dotrzeć na drugi brzeg i dołączyć do pozostałych.

Von Barring miał okropnie poparzoną twarz i cierpiał straszliwie. Oberstleutnantowi Hince odłamek odciął nos i kawałek twarzy.

Gdy wreszcie dotarliśmy do bazy, zapadliśmy w kamienny sen.



*Nalozylismy na oczy gogle, na szyjach zawiązaliśmy jedwabne chustki. Von Barring uniósł kota Stalina i podał go Porcie. Wtedy Stary przekazał przez radio rozkaz dla pozostałych wozów.*

*– Uruchomić silniki. Pełna gotowość.*

*Broń automatyczna była załadowana, taśmy amunicyjne założone. Dowódcy wozów zameldowali gotowość, po czym znów rozległ się głos Starego.*

*– Pluton rozpoznawczy... naprzód... marsz!*

*Silniki zaśpiewały, a pod ciężkimi oponami zatrzeszczał żwir.*

## **XXVII Złam kark, połam nogi**

- Stary, czy jest źle? – udało mi się wyszeptać.

– Parę małych odłamków w twoim brzuszku i w nogach. Nie wygląda to źle. Rozchmurz się. Zobaczysz, że za moment będzie w porządku. Zabieramy ciebie i Stegego do punktu sanitarnego. Stege oberwał w nogę. Gdy samochód podskoczył, skrzywiłem się.

– Stary, to piekielnie boli. Daj mi łyk wody.

– Nie wolno ci nic pić, dopóki nie obejrzy cię lekarz – odrzekł Stary i pogłaskał mnie po głowie. – Sam wiesz, że jest to absolutnie niewskazane przy ranach brzucha.

– A może ty mnie obejrzysz? Ten ból i pragnienie doprowadzają mnie do szaleństwa.

– Myśmy cię już opatrzyli. Dopóki nie obejrzy cię lekarz, niczego nie wolno robić.

Samochód zatrzymał się. Stary wyskoczył na zewnątrz, a do mnie podszedł Porta.

– Teraz, mój stary, dobrze zaciśnij zęby, bo Pluto i ja wyciągniemy cię z tego pudła i podamy Staremu i Mikrusowi, Najgorsze już za tobą. Teraz myśl tylko o wszystkich pielęgniarceczkach, które będą cztery razy dziennie myły twoje najważniejsze organy czystymi, płóciennymi ściereczkami, jak to już od dawna robią z naszym beznogim przyjacielem Asmusem.

Gdy tak leżałem na ziemi z głową wspartą na pojemniku od maski przeciwgazowej, krew płynęła mi z ust. Nagle pomyślałem, że jest piekielnie ważne, abym nie wrzeszczał i okazał odwagę. Gdy przenosili Stegego, ten głośno jęknął, gdyż zawadzili jego nogą o koło samochodu pancernego. Nasi towarzysze pochylili się, by się z nami pożegnać. Stary przycisnął swój szczeniasty policzek do mojego i szepnął.

– Siedź w garnizonie dopóty, dopóki się wojna nie skończy. Porta uściskał mi dłoń i podniósł swego kota Stalina, aby i on mógł mnie pożegnać, a potem, na chwilę przed odjazdem samochodu, zawołał:

– Wy diabelni szczęściarze! Pocałujcie ode mnie wszystkie panienki i powiedzcie im, że codziennie będę pielęgnował cerę, aby pozostać takim przystojniakiem, jakim mnie ujrzali za pierwszym razem.

Potężny silnik zaryczał. Stary, Mikrus i Pluto machali nam z otwartej wieżyczki, aż samochód pancerny znikł w chmurze kurzu.

Oprócz bólu odczuwałem niepokój i samotność. Jak dobrze było mieć obok Stegego, który czuł i myślał tak samo jak ja.

Sanitariusze zanieśli nas do dużego pomieszczenia z podłogą wysypaną słomą, wypełnionego rannymi żołnierzami w podartych, brudnych i pokrwawionych mundurach. Gdy tylko ułożono nas na słomie, Stege chwycił mnie za ramię.

– Nie jest źle, stary! Zobaczysz, wkrótce zjawi się lekarz i da ci zastrzyk. Musimy tak kombinować, aby być cały czas razem.

– Tak, za cholerę nie pozwolimy się rozdzielić, cokolwiek by się miało zdarzyć. Boże, ależ to boli. To tak, jakby wyciągali ze mnie flaki. A jak tam twoja noga? Paskudnie oberwałeś?

– Trochę boli – oświadczył Stege, próbując słabo się uśmiechać. – Najbardziej stopa. Ale do diabła z moją nogą, mogą ją nawet uciąć. Gorzej z twoim brzuchem.

Lekarz zjawił się w towarzystwie kilku sanitariuszy, którzy pod jego dyktando wypełniali kartę chorego każdemu rannemu. Popatrzył beznamiętnie na obandażowaną nogę Stegego i orzekł:

– Odłamki po pocisku w lewej nodze, przypadek szóstej pilności, natychmiast świeże bandaże i zastrzyk przeciwtężcowy.

Na moje rany na brzuchu założono świeży opatrunek.

– Odłamki po pocisku w lewej nodze, prawej stopie i brzuchu, pierwszy stopień pilności: zastrzyk przeciwtężcowy, morfina, to samo przed transportem.

Wziąłem się na odwagę i zapytałem, czy mógłbym pozostać razem ze Stegem.

– Czy kopniesz w kalendarz tutaj czy też w pociągu sanitarnym jest bez znaczenia – odpowiedział spokojnie lekarz. – Ale ranni w brzuch odjeżdżają w pierwszej kolejności, a ten tutaj w szóstej. Nic na to nie poradzę.

I odszedł, powiewając białym kitem. W swoim szorstkim obejściu nie był wcale arogancki czy brutalny, tak po prostu zachowuje się ciężko przepracowany lekarz frontowy. W zamian za angielską fajkę, papierosy i tytoń, podoficer odpowiedzialny za załadunek rannych obiecał wykombinować coś dla Stegego. Dostałem swoje zastrzyki i zapadłem w błogi sen, z którego obudziłem się dopiero w trakcie przenoszenia mnie do ambulansu. Na półkach umieszczono jedne nad drugimi czworo noszy. Stege leżał pode mną, tak więc Feldwebel dotrzymał słowa.

Gdy ambulans podskakiwał na wybojach lub chwiało się w koleinach, nasze podskakiwały i podrzucało mnie na te leżące wyżej. Najgorzej mieli ci, których umieszczono najwyżej, walili głowami w blaszany sufit sanitarki. Luka pomiędzy poszczególnymi poziomami noszy nie miała więcej niż dziesięć centymetrów, czułem się więc jak sardynka w puszcze. Najwyżej leżał artylerzysta ze złamaną miednicą, ciągle wrzeszczał i prosił, żebyśmy zadzwonili na sanitariusza,

bo się wykrwawia na śmierć. Stege wielokrotnie przyciskał dzwonek, ale sanitariusze w kabinie kierowcy w ogóle nie zwracali na to uwagi. Gdy wreszcie dotarliśmy do pociągu sanitarnego, artylerzysta już nie żył. Sanitariusze beznamiętnie wytaszczyli nosze z jego ciałem, rzucili je na ziemię i przykryli brezentem, po czym po kolei wyciągali nosze z rannymi.

Pociąg sanitarny należał do osławionych składów „pomocniczych”, które nie mogły liczyć na pierwszeństwo przejazdu po zatłoczonych liniach kolejowych. Był to nie kończący się sznur wagonów towarowych bez łóżek, a tylko ze słomą na podłodze. W każdym układano po mniej więcej czterdziestu rannych, z grubsza tylko posegregowanych. Pociąg bez przerwy się zatrzymywał, po czym znów ruszał pośród wielokrotnych szarpnięć, przy których miało się wrażenie, że wagon zaraz rozleci się na kawałki. W naszym wagonie zmarło jedenastu. Myślałem, że oszaleję z bólu i pragnienia, ale choć Stege miał butelkę z wodą, to trzymał ją z dala ode mnie. Napicie się teraz czegoś mogło dla mnie oznaczać śmierć.

Podróż ciągnęła się przez trzy koszarne dni i noce. Na dworcu w Kijowie nosze z rannymi układano w rzędach na peronie, podłożywszy wcześniej brezent, a potem przykrywając wszystkich płaszczami. Całe popołudnie trzymano nas tak na mokrym peronie i coraz więcej rannych umierało. Miałem jedynie mglistą świadomość tego, co się dookoła dzieje. Stege leżał tuż przy mnie i trzymał mnie za rękę, jakbyśmy byli parą szczeniaków, a nie zahartowanymi w walce weteranami, doskonale oswojonymi z widokiem umierających ludzi. Późnym wieczorem kilku sanitariuszy oraz rosyjskich jeńców wojennych zabrało nas i ambulans zawiózł nas do Szpitala Polowego numer 13, który mieścił się na przedmieściu Pawłowo. Tam po prostu zniesiono nas do piwnicy i odwszono. Czynność tę wykonywali jeńcy rosyjscy i muszę przyznać, że nigdy nie spotkałem miłszych i zręczniejszych od nich pielęgniarek. Jeśli tylko podnieśli kogoś, sprawiając mu niezamierzony ból, to jęki rannego wywoływały u nich takie współczucie i przerażenie, że choćby z tego względu zaciskaliśmy mocniej zęby i staraliśmy się nie okazywać cierpienia. Wszyscy ranni byli zgodni, że gdyby opiekowały się nami tylko te wielkie, pogodne stworzenia, to doprawdy nieźle by się *nam* wiodło. Z wdzięczności za okazywaną troskę oddawaliśmy im wszystkie nasze papierosy. Tak oni, jak i my siedzieliśmy kiedyś w okopach i strzelaliśmy do siebie, bo nasi władarze postanowili, że między nami ma zapanować wrogość. W szpitalu połączyła nas sympatia silniejsza od nakazywanej przez „góre” nienawiści, która zresztą i tak od dawna była fikcją, bo motywy rasowe czy narodowościowe prawie już zupełnie nie interesowały „szarego” żołnierza.\*[\* Tu autor trochę uprościł problem żołnierskich relacji niemiecko-sowieckich. Dla wielu żołnierzy niemieckich, zwłaszcza z formacji o silnym zabarwieniu narodowo-socjalistycznym (Luftwaffe, Waffen SS) Sowietci pozostawali niezmiennie wrogiem ideologicznym i cywilizacyjnym. Aspekt rasowy funkcjonował również szczególnie wobec rekrutów sowieckich pochodzących z azjatyckich obszarów ZSSR. Nienawiść do Sowietów stała się powszechna zaczęli oni bezpośrednio

zagrozić rdzennemu terytorium Rzeszy. Konieczność obrony własnych domostw przemawiała już do wszystkich żołnierzy niemieckich bez wyjątku, szczególnie wobec zbrodni i gwałtów popełnianych przez Sowieców na niemieckiej ludności cywilnej. Problem ten omawia szeroko Omer Bartov w książce *Żołnierze Führera*, Warszawa 2003.]

Wraz z czterema innymi rannymi czekałem na swoją kolejkę, leżąc na sali operacyjnej i przyglądając się towarzyszowi niedoli, który w jaskrawym świetle lampy spoczywał już na stole operacyjnym. Czterech chirurgów uwijało się nad nim z szybkością błyskawicy. Amputowali mu stopę. Gdy tylko kość została odpiłowana, a tkanki odcięte, stopa wylądowała w stojącym tuż obok wiadrze, w które zawierało już inną nogę, odjętą tuż pod kolanem, oraz ramię, którego kikut krwawo sterczał ponad brzeg naczynia. Na ten widok natychmiast dopadły mnie mdłości, ale pusty żołądek wyrzucił tylko odrobinę żółci wymieszanej z krwią.

Następnym operowanym był młody żołnierz ze złamanym kręgosłupem. Był chyba nieprzytomny. Starszy chirurg z monoklem w oku bez przerwy klął i wyzywał na swoich trzech kolegów oraz sanitariuszy, robił jednak przy tym imponujące wrażenie, gdyż operował jak błyskawica, nie wykonując przy tym najmniejszego zbędnego ruchu. Po prostu profesjonalista. Po mniej więcej dziesięciu minutach wysiłków nad nieprzytomnym młodzieńcem, starszy chirurg wykrzyknął ze złością:

– Do diabła, przecież ten facet już nie żyje! Zabierzcie go i przynieście następnego. Ruszajcie się! – Mówiąc to, popchnął energicznie jednego z sanitariuszy.

Nim zorientowałem się, co się ze mną dzieje, już leżałem na stole operacyjnym przywiązany doń pasami. Dano mi zastrzyk w ramię i w brzuch. Jeden z chirurgów klepnął mnie po ramieniu.

– A teraz, mój stary, zagryź mocno zęby. Uwiniemy się szybko, ale będzie trochę bolało, bo mogliśmy dać tylko znieczulenie miejscowe. Trzymaj się dzielnie, a my szybko załatamy cię raz, dwa.

Wkrótce potem poczułem, jak skalpel rozcina mój brzuch, i słyszałem cichy brzęk instrumentów. W następnej chwili wydawało mi się, że ktoś usiłuje wyrwać mi wszystkie wnętrzności. Czułem piekielne pieczenie, jakby ktoś przypalał mnie od środka rozżarzonymi do czerwoności szczypcami. W najśmielszych wizjach nie przypuszczałem, że ból może być tak potworny. Wrzeszczałem jak opętany.

– Zamknij się – syknął stary chirurg. – Jeszcze nawet dobrze nie zaczęliśmy. Oszczędzaj siły na chwilę, gdy naprawdę będziesz musiał zawyć.

Moja świadomość nie zarejestrowała już, kiedy przyszła ta chwila, w której „można było wyć”. Pamiętam tylko, że gdy skończyli, znajdowałem się już w świetle takich męczarni, jakich doznają tylko nieliczni. Czułem się pogruchotany, przetrącony, sponiewierany. Powieźli mnie na salę ogólną, przełożyli do łóżka i dali zastrzyk, po którym zasnąłem.

Przez pierwsze dwa tygodnie docierało do mnie niewiele z tego, co się wokół mnie lub ze

mną działało. Bardzo powoli, ale stale zaczęły wracać mi siły. Po sąsiedzku leżał ciężko poparzony lotnik. Miał na imię Sepp. Oprócz nas w salce było jeszcze sześciu ciężko rannych, ale dwóch zmarło już po paru dniach. Nie miałem pojęcia, co się dzieje ze Stegem, i nikt nie potrafił mi tego powiedzieć.

Po trzech tygodniach orzeczono, że mój stan zdrowia pozwala na transport. Znalazłem się nagle w czystym wagonie pociągu sanitarnego z prawdziwymi leżankami i wielkimi oknami, przez które można było zobaczyć zmieniający się krajobraz, to znaczy mogli go oglądać tylko ci ze środkowych leżanek. Ponieważ moje rany wymagały częstej zmiany opatrunków, położono mnie właśnie na tej bardzo cenionej, środkowej leżance. Miejsce nade mną zajmował mój sąsiad z salki kijowskiego szpitala – Sepp, którego poczucie humoru dobrze na mnie działało.

Znaleźliśmy się we Lwowie, gdzie Seppa i mnie umieszczono w Szpitalu Rezerwowym numer 7. Tamtejszy lekarz uśmiechnął się do mnie i powiedział, że rana wygląda całkiem nieźle. Praca lekarzy w tym szpitalu nie odbywała się już w tak gorączkowym tempie jak w Kijowie i znajdowali oni chwilę, aby od czasu do czasu zgadać do nas. Chirurg we Lwowie wyciągnął mi z nogi jeszcze parę odłamków. Podczas zabiegu miałem napięte nerwy i chyba trochę drżałem, ale po krótkiej chwili pielęgniarka już zakładała opatrunek. Do jedzenia nie dostawałem niczego prócz kleiku i zacząłem go już tak nienawidzić, że byłem bliski szaleństwa na jego widok. Gdy podczas obchodu lekarskiego odważyłem się zapytać, kiedy wreszcie dostanę coś innego do zjedzenia, lekarz klepnął mnie w policzek i odparł krótko: „Później, przyjacielu, później”.

Sepp i ja leżeliśmy na oddziale dla ciężko rannych. Dniem i nocą rozlegały się wkoło jęki i postękiwania, często też rozchodził się zgniły odór ropiejących ran i gangreny. Pewnego dnia młody chłopak, który wiedział już, że umrze, i przez trzy tygodnie znosił potworne męki, wstał, powlókł się na korytarz i rzucił ze schodów. Czuliśmy się okropnie, bo żaden z nas nie był w stanie wstać i go powstrzymać. Sepp co prawda usiłował, ale upadł już po kilku krokach; próbowaliśmy dzwonić na sanitariusza, ale ten akurat się nie zjawił.

To był paskudny okres w moim życiu.

Żołądek bolał mnie tak okropnie, że ból, jaki towarzyszył usuwaniu odłamków z mojej nogi, wydawał się przy tym ugryzieniem komara. Temperatura zamiast spadać, rosła, ale lekarz twierdził, że wszystko jest w porządku i wracam do zdrowia. „Dobrze ci tak mówić” pomyślałem.

Pewnego razu obudziłem się w środku nocy. Bandaże były lepkie i wilgotne. Poprosiłem Seppa, żeby zadzwonił po pielęgniarkę. Po chwili wbiegła do sali.

– Co się dzieje? – szepnęła z irytacją. – Czyście powariowali, żeby dzwonić o takiej porze?

– Chyba puściły mi szwy – odparłem. – Opatrunek jest lepki od krwi.

Strach przed śmiercią niemal mnie sparaliżował, oczami wyobraźni widziałem matkę otrzymującą lakoniczne zawiadomienie: „Pani syn padł śmiercią bohatera za Führera

i Vaterland”.

Pielęgniarka ściągnęła koce. Ze względu na środek nocy nie włączyła światła, lecz zapaliła ręczną latarkę. Szybкими, zdecydowanymi ruchami odwinęła bandażę. Na sali panowała kompletna cisza. Młody chłopak z drugiego końca mamrotał coś przez sen. Sepp usiadł przy moim łóżku, ale pielęgniarka zepchnęła go i kazała mu wracać do łóżka.

– Sven i ja poradzimy sobie bez twojej asysty – stwierdziła i poszła po miskę z wodą.

Spojrzałem z przerażeniem na Seppa, on jednak tylko odpowiedział podobnym spojrzeniem. Pielęgniarka za chwilę wróciła i bez słowa zaczęła mnie myć. Wydawała się lekko rozbawiona; gdy raz tylko zerknęła na moją przerażoną minę, zauważyłem cień uśmiešku na jej twarzy.

– Nic się nie stało, to znaczy nic, czego mógłbyś się bać – powiedziała.

– Dobrze ci mówić – odparłem. – To nie ty dostałaś krwotoku. Nie odpowiedziała, a tylko uśmiechnęła się jeszcze bardziej zagadkowo.

– Czyżby nie było aż tak źle? – spytałem.

– W ogóle nie jest źle – odrzekła.

Gdy skończyła mycie, przykryła mnie na powrót kocami. Następnie stała chwilę przy łóżku, spoglądając na mnie.

– To nie była krew – oświadczyła.

– Nie krew? – powiedziałem. – Przecież czułem lepką wilgoć... Nigdy nie zapomnę jej uśmiešku. Poczulem na twarzy potężny rumieniec i straszliwie się zawstydzilem.

– Miałeś tylko sen, przyjacielu, z pewnością wracasz już do zdrowia. Klepnęła mnie w podbródek i poszła, zabierając miskę.

– On chyba musiał śnić o siostrze! – zachichotał Sepp.

– Śpijcie lepiej! – odparła i znikła za drzwiami.

*W końcu poprosiłem, aby przestał już gadać, bo chciałem choć trochę pospać do rana, jednak już po kilku minutach ponownie usłyszałem jego szept:*

*– Svenie, śpisz?*

*Szczelniej nasunąłem koc na głowę.*

*– Svenie!*

*– Czego jeszcze chcesz?*

*– Margaret mówiła, że po wojnie będą organizowane specjalne roczne kursy dla studentów spośród demobilizowanych żołnierzy. Wiesz coś na ten temat? Wypalmy jeszcze ostatniego papierosa... Czy nie uważasz, że Margaret...*

*– Na litość boską!*

*Tej nocy prawie zatrąłem się nikotyną. Co chwila wstawałem z łóżka, siadałem na brzegu mojego posłania i z detalami wyjaśniałem mi wszystko, co wraz z Margaret zamierzają zrobić, gdy tylko ta brudna wojna się skończy.*

## **XXVIII Życzymy długiej choroby**

Pewnego czwartkowego ranka, na początku grudnia 1943 roku, oświadczone mi, że uważa się mnie za wyleczonego i w już najbliższą sobotę mogę wracać do mego pułku.

- Przykro mi chłopcze, ale takie są realia. Co prawda zgodnie z przepisami powinieneś odbyć jeszcze przynajmniej sześciotygodniową rekonwalescencję, ale na twoje miejsce czekają bardziej potrzebujący. Teraz będziesz musiał sam zatroszczyć się o swoją dietę. Nie wiem, co tam na froncie dostajecie do jedzenia, ale jedz, co tylko można i gdy tylko będziesz miał możliwość. Dla twojego żołądka lepiej będzie, jak nie będziesz zanadto pościł.

Takimi zaleceniami pożegnał mnie ordynator szpitala w Truskawcu. Był dobrym lekarzem i w swojej placówce stosował zasadę, że pacjenci mają pozostawać w szpitalu aż do całkowitego wyleczenia, a nawet i wtedy znajdował pretekst, aby ich jeszcze trochę potrzymać. Tym razem otrzymał jednak polecenie z samej „góry”, aby przynajmniej pięćdziesiąt procent hospitalizowanych uznać za ozdowieńców i natychmiast odesłać do macierzystych jednostek. Dla ordynatora była to zarazem pewna kwadratura koła, gdyż zgodnie z przepisami lekarza można było postawić przed sądem wojennym, jeśli uznał on nie wyleczonego pacjenta za osobę zdrową. Ale dla dowództwa nie istniały takie „drobiazgi”, liczył się cel bieżący. Bierze się blankiet, pieczętkę i – patrzcie! – chorzy nagle są zdrowi i czują się świetnie. To, że ci „zdrowi” żołnierze mogą po stawieniu się w swoich jednostkach stać się katastrofalnym obciążeniem dla kolegów zmuszonych do wyręczania ich przy codziennych ciężkich pracach i obowiązkach, zwłaszcza w ogniu walki, to już wyższemu dowództwu nie przyszło do głowy.

Przy pożegnaniu ordynator ze smutkiem kręcił głową.

Barbara rozpląkała się, gdy zdałem jej relację z rozmowy z ordynatorem. Byłem tak zgorzkniały i przygnębiony, że nie miałem siły jej pocieszać. Pocieszenie w tym stanie ducha zakochanej kobiety, którą na dodatek też się kocha, byłoby fałszywe. Ograniczyłem wszystkie emocje do utopienia się w dzikiej zmysłowości. Drzwi nie można było zamknąć na klucz, ale żadne z nas nie zwróciłoby w tym czasie na nic uwagi, nawet gdyby do środka wkroczył cały niemiecki naród. Mieliśmy słuszość. Naród żądał od nas tak wiele, że i my mieliśmy prawo żądać czegoś w zamian, zwłaszcza że w odróżnieniu od niego nic nikomu nie zabieraliśmy. Pamiętam, jak paliłem papierosa, leżąc na jej łóżku i rozmyślając o tym, co mnie czeka niebawem, podczas gdy ona spieszyła już na dyżur.

W rzeczywistości nie było czego roztrząsać, chyba że chciałbym zdezerterować. Nie bałem się dezercji, ale nie bałem się również i powrotu do jednostki. Naprawdę niczego już się nie bałem, ogarnęła mnie za to zimna, wściekła nienawiść do wszystkiego, co kojarzyło się z „brudną wojną”. Nie lękając się niczego, mogłem równie dobrze powrócić do pułku i na miejscu z dystansu obserwować ten barbarzyński fenomen.

Gdy dopaliłem papierosa do połowy, do salki wbiegła Margaret i, łkając, rzuciła się na łóżko. Nawet mnie nie zauważyła. W dłoni ścisnęła list.

A więc Hugo Stege nie żył.

Tak to sobie wytłumaczyłem i nawet nie czułem się zaskoczony. Nie było potrzeby, abym poznał treść pisma. Hugo na pewno zginął.

Bez słowa przesunąłem w jej stronę papierosy i zapalki. Złękła się.

– To ty tu jesteś? Przepraszam, nie zauważyłam cię.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – odparłem. – Zamknij drzwi na klucz. Ubiorę się w jednej chwili.

Ubrałem się, a ona leżała, cały czas łkając. Otwarłem drzwi i sięgnąłem po list.

*Front wschodni. Listopad 1943 roku Poczta polowa numer 23645 Feldwebel Willi Beier Droga Panno Schneider!*

*Piszę do Pani jako kolega i przyjaciel Hugona Stegego, zmuszony przekazać bolesną nowinę o jego śmierci. Opowiadał mi o Pani tyle wspaniałych rzeczy, że doskonale rozumiem, jak wielki i straszny ból musi Pani sprawić ten list.*

*Być może będzie dla Pani niewielką pociechą informacja o okolicznościach jego śmierci: Pewnego dnia, wczesnym rankiem, podczas patrolu zostaliśmy nagle ostrzelani. Pocisk trafił bliskiego Pani mężczyznę prosto w skroń i Hugo zginął na miejscu. Będąc już martwy, wciąż uśmiechał się tym swoim charakterystycznym uśmiechem, więc możemy mieć pewność, że nie*



*cierpiał.*

*Nie powinna Pani poddać się rozpacz. Jest Pani bardzo młoda i musi zapomnieć o tej tragedii tak szybko, jak tylko Pani zdoła. Życie chowa dla Pani jeszcze wiele jasnych i szczęśliwych chwil, a najlepszą rzeczą, jaką może Pani zrobić w tej sytuacji - choć może zabrzmieć to arogancko – jest znalezienie mężczyzny, którego pokocha Pani z wzajemnością tak mocno, jak kochała Pani Hugona. Przez wzgląd na Pani ukochanego, a mojego przyjaciela, proszę nie rozpaczać, bo to by go tylko smuciło. Proszę pomyśleć, jak wiele zostało mu oszczędzone. Żyjemy w niedobrych czasach... Nie wiemy, co spotyka naszych bliskich po „tamtej stronie”, ale ufajmy, że jest im tam lepiej. Współczuję całym sercem.*

*Z wyrazami głębokiego szacunku Willi Beier*

Tylko Stary, z tą jego ojcowską opiekuńczością, mógł tak napisać. Tą samą drogą nadszedł jego list do mnie.

*Kochany chłopie!*

*Dzięki za listy. Dostaliśmy pięć jednocześnie. Na nieszczęście mogę teraz skreślić tylko kilka słów, bo wleźliśmy w sam środek „gówna”. Jeśli akurat nie atakuje Iwan, my idziemy do kontraktaku. Ani chwili spokoju. To czyste szaleństwo. Zrób, co możliwe, aby pozostać na tyłach jak najdłużej.*

*Stegi nie żyje, a Mikrus przepadł bez śladu podczas jednego z kontraktaków. Napisałem Margaret, że Hugo zginął trafiony pociskiem w głowę - ale Ty, stary czołgista, wiesz, jak pancerniak opuszcza ten padół. Biedny Stege miał obie nogi zupełnie zwęglone. Straszne było słuchać jego jęków przez te dziesięć czy dwanaście godzin, których potrzebował, aby skonać. Nie do wiary, ile jest w człowieku woli życia, skoro może tak długo krzyczeć.*

*Zanim ta parszywa wojna się skończy, pewnie wszyscy „kopniemy w kalendarz”, a wielcy bonzowie partyjni, „karmazynowe bractwo” i cała reszta ferajny, która trzymała się z dala od pierwszej linii, zabiorą należne nam laury i coś tam jeszcze.*

*Przerzucają nas dalej, drogi Svenie. Trzymaj się tyłów, aby przynajmniej jeden sprawiedliwy ocalał, i nie zapomnij, że wszyscy obiecaliśmy sobie przelać kiedyś na papier prawdę o tym całym parszywym interesie.*

*Najserdeczniejsze pozdrowienia od Porty i Pluta Twój Stary*

Ostatniego wieczoru w Truskawcu były ciastka z adwokatem, a z radia płynęła miła, cicha

muzyka. Barbara miała wolny dzień, ale zabawa się nie kleiła. Na zewnątrz szalała burza, a deszcz dokuczliwie uderzał w szyby. Sepp popatrzył ze smutkiem na dno szklanki i powiedział:

– Podczas takiego wieczoru prawie się cieszę, że jestem sparaliżowany. Wyobraźcie sobie siedzieć teraz w okopach, w taką pogodę.

Margaret poszła spać na górę do Elizabeth, a Barbara i ja zostaliśmy sami na resztę nocy. Gdy Margaret miała wychodzić, objęła mnie za szyję i patrząc oczami mokrymi od łez, powiedziała poważnie:

– Svenie, musisz tam na siebie uważać. Barbara nie powinna za kilka tygodni dostać kolejnego listu od Starego.

Na koniec pocałowała mnie i cicho znikła za drzwiami.

Nazajutrz wdziałem zniechęcony mundur i długi, szary płaszcz. Mój tornister pękał w szwach od smakołyków, którymi wypchały go dziewczyny: dwa wielkie ciasta upieczone przez Barbarę, dwa słoiki dżemu od Elizabeth, wędzona szynka od Margaret, puszka gruszek od Seppa. Wzruszenie ścisnęło mi gardło i przy najlepszych intencjach nie mogłem pojąć, jak mógłbym kiedykolwiek coś z tego zjeść. Następnie przytroczyłem do pasa ciężką kaburę z pistoletem, przewiesiłem przez ramię pojemnik z maską przeciwgazową, a na koniec włożyłem na głowę moją małą, czarną furażerkę.

Wszystkie trzy dziewczyny odprowadziły mnie na dworzec. Ocierałem łzy płynące z oczu Barbary.

– Nie płacz, Barbi, powinnaś się uśmiechać. Pamiętaj – podkreśliłem – to nie jest żadne rozstanie. To jest zwyczajne *au revoir*.

– Svenie, obiecaj mi, że będziesz uważał.

Gdy parowóz zagwizdał, wszystkie trzy ucałowały mnie w geście przyjaźni i miłości.

Żegnaj Truskawcu! Żegnaj, moja oazo. Żegnajcie ciche pokoje z czystą pościelą na wygodnych łózkach. Żegnajcie kobiety o pachnących, błyszczących włosach.

Przycisnąłem czoło do zimnej i wilgotnej szyby okna mego przedziału i dwie łzy spłynęły mi po policzkach.

*Coś ścisnęło mi serce, gdy ujrzałem, jak się zmienił. Włosy miał całkiem szare, cerę pożółkłą, a zmęczone oczy otaczały czarne kręgi. Schudł i jakby się przygarbił, a mundur, teraz o wiele za obszerny, zwisał z niego.*

*Biedny Stary!*

*Pluto wyglądem dokładnie przypominał Starego.*

*Von Barring niczym się od nich nie różnił.*

*Wszyscy wyglądali tak samo.*

*Wszyscy?*

*Niewiele już zostało.*

*Gdy wyruszyliśmy w bój po raz pierwszy, było nas osiem tysięcy.*

*Teraz ze starego składu zostało nas siedmiu – wszystkiego siedmiu ludzi.*

## **XXIX Wojna trwa zgodnie z planem**

Siedzieli przez chwilę, spoglądając na ciasto, jakby widzieli coś niezwykłego i świętego zarazem. W końcu Porta się odważył, ale zaraz dostał od Starego łyżką po łapach.

– Ciasto upieczone przez prawdziwe dziewczyny musi być spożywane godnie, a nie brudnymi paluchami.

Wobec tego przygotowaliśmy stół nakryty kilkoma ręcznikami zamiast obrusa i pokrywkami od menażek zamiast talerzy. Umyliśmy dłonie, wyczyściliśmy paznokcie i przeczesałliśmy fryzury. Oczyszcziliśmy również swoje mundury i wyglansowaliśmy buty, aby w ten sposób podkreślić uroczysty charakter konsumpcji. Po niecałych dwudziestu minutach wcinaliśmy ciasta upieczone przez Barbarę i popijaliśmy Adwokata podarowanego przez Margaret.

– Czy było ładnie?

– Tak, było bardzo, bardzo ładnie.

Spojrzeliliśmy po sobie. Spojrzałem na ich pełne oczekiwania, pobrużdżone, napięte twarze. Teraz musisz dać z siebie wszystko, co najlepsze, powiedziałem sobie. Zastanawiałem się przez dłuższą chwilę, nim zacząłem.

– Ich ubrania były czystsze niż jakiegokolwiek dotąd przez was oglądane. Gdy pochylały się nad łóżkiem, aby je pościelić, dookoła rozchodził się zapach świeżo prasowanego, lekko nakrochmalonego płótna, które właśnie wyjęto z bielizniarki. Prześcieradło było absolutnie sterylne i tak suche, jakby je przypalano. Gdy nie miały służby, ubierały się w cywilne sukienki, równie sterylne i woniejące czymś lekkim i ciepłym. Miały też suknie wieczorowe. Widziałem jedną taką: jedwabną, jasnoniebieską w białe i jasnoszare ptasie motywy. Miała krótkie rękawy, a dookoła szyi masę zakładek, przez co opadała wzdłuż jej piersi i pleców. A jeśli tylko pociągnęłaś mocniej za białą, jedwabny sznureczek, to spadała jej ramion. Ale musiałeś

pamiętać jeszcze o dwóch cienkich nitkach podtrzymujących krótkie, bufiaste rękawki. Taką suknię miała Barbara. Margaret zapamiętałem w czerwonej sukni z jakieś cienkiej, wełnianej tkaniny, tak obcisłej, jakby namalowano ją na jej ciele. Wyglądała jak płomień. I była też dziewczyna w spódnicy falującej na biodrach i zawsze opóźniającej się, gdy jej właścicielka się obracała.

Opowiadałem dalej, a oni słuchali, odbierając moje słowa jak hymn, ja zaś zamknąłem oczy i skupiłem się na obrazie Barbary w sukni.

– To znaczy, gdy się pociągnęło za jedwabny sznurek, a ona wyciągnęła te dwa mniejsze, i odpięło się dwa zatrzaski i haftkę, wtedy cała suknia spływała w dół jak coś zwiewnego i miękkiego, a ona zostawała pośrodku tego pierścienia jasnego błękitu, który tworzył się u jej stóp. Dziewczyny były równie czyste jak ich odzież i pachniały cudownie perfumami Mitsouko...

– Mitsouko?

– Tak. Pozwól, Porto, że ci wyjaśnię, i innym również. Dziewczyny były tak czyste jak karabiny tuż przed paradą, ich włosy błyszczały jak Dunaj zimową nocą, gdy lód w promieniach księżycy lśni milionem odblasków. A ich ciała pachniały jak wiosenny las nad Berezyną tuż po porannym deszczyku. Czy to do was dociera?

Przez długie godziny musiałem opowiadać im o bajkowym świecie, w którym niedawno jeszcze przebywałem. Nigdy nie mogłem zaspokoić ich ciekawości.

– Jednego doprawdy nie mogę zrozumieć – oznajmił Pluto. – Jak to możliwe, że żyłeś jak udzielny książę, napychałeś brzuch tortami i pieczonym drobiem, polewałeś to wszystko winem, do tego zgromadziłeś harem, który dogadzał ci na wszystkie sposoby, więc dlaczego, u diabła, jesteś ciągle chudy jak szczapa?

Pluto tym pytaniem zmusił mnie do ujawnienia, jak to ja, Stege, Sepp i jeszcze ozdrowieniec, gdy zbliżało się nasze wypisanie ze szpitala, kupiliśmy za trzysta papierosów wodę skażoną bakteriami i wypiliśmy ją. Prawdę mówiąc były to nawet dwa typy bakterii: tyfusu i cholery.

– Stege nie wspominał wam o tym? – spytałem. – Rozchorowaliśmy się straszliwie. Sepp jest nadal sparaliżowany od pasa w dół, a ten czwarty zmarł. Leżałem nieprzytomny przez dziesięć dni i nie chciałem przyjmować posiłków. Moja Barbara na zmianę z salową, Polką, karmiły mnie przymusowo łyżką przez dwa tygodnie. Lekarz pięć razy stawiał na mnie krzyżyk. Dawali mi zastrzyki z różnymi substancjami, nawet słoną wodę z glukozą, a po tym wszystkim zostałem wypisany ze szpitala sześć tygodni za wcześnie. Heil Hitler!

– Czy one nosiły pończochy z piętami do płtych pantofelków?

– Francuskimi piętami? Tak.

Tamci pokiwali głowami i popatrzyli smętnie po sobie.

– Czy wiesz, że wstrzymano wszelkie urlopy – poinformował mnie zwięźle Porta, jakby wyjaśniał mi rzecz, której nie mogłem pojąć.

– Jest coś, czego nie rozumiem – powiedziałem.

– Co takiego?

– Gdybym tylko wiedział. Coś się z wami stało, nie wiem jeszcze, co, ale coś jest nie tak. Pewnie przeszliście wiele, to widać na pierwszy rzut oka. Nad naszym odcinkiem unosi się silny odór ludzkiego ścierwa. Ale to chyba nie to. Musi być coś jeszcze. To samo zauważyłem u von Barringa, gdy meldowałem mu się po powrocie. Czemu Porta dotąd ani razu nie „rzucił mięsem”?

Popatrzyli najpierw na mnie, potem na siebie, a jakby mimo siebie, tak jakbym w domu powieszzonego zapytał o sznur. Atmosfera pod strzechą tej mrocznej i zawszonej chałupy stała się ciężka i przerażająca. Porta wstał i odwrócił się do nas plecami, z twarzą do okna.

– Stary – spytałem, czując coraz większe przerażenie – co tu się dzieje? Wyglądasz, jakbyś wrócił z pogrzebu własnej babci i zaraz sam martwy położył się na katafalku.

Kiedy wypowiadałem słowo „martwy”, coś zaskoczyło mi „pod sufitem”. Nie bywam przesadny, lecz impuls, który przeszył mój mózg, był proroczy.

Nagle zrozumiałem, że oni czują się już martwi, rozpaczliwie martwi. Porzucili nadzieję, że kiedykolwiek powrócą do domów żywi. Spoglądali na wszystko dookoła, z ich własnym życiem włącznie, jak na coś beznadziejnego. Dla nich moje opowiadania były obrazami świata nierzeczywistego, bajkowego; świata, który już nie istnieje. Ich marzenia o powszechnym załamaniu się wojny i powrocie do domu rozpadły się bezpowrotnie. Rewolucja, która miała zdmuchnąć wojnę i przyśpieszyć powrót do domów, okazała się chimera, statkiem-widmem, urojeniem, „pobożnym życzeniem”. Nawet nieustanny „konik” Porty, jego wypróbowana ucieczka psychiczna od koszmarów rzeczywistości – ciepło kobiecego brzucha – nawet to straciło dawne znaczenie. To nie oznaczało, że Porta stracił pociąg do płci pięknej, nadal gdy dostrzegał krągły tyłeczek, starał się zawsze poklepać go i zdobyć, ile się da, ale kilka dni później, gdy opowiadał nam o swoich dokonaniach z wiejską dziewczyną w swój charakterystyczny, bardzo obrazowy sposób – nagle urwał w pół zdania i zmienił temat:

– Dawniej wydawało mi się niekiedy, jakbym stał obok i przyglądał się sobie. Już mi się to nie zdarza. Teraz stoję i patrzę przez okno, podczas gdy Herr Porta, leży za mną i bzyka. Gdybyż za oknem był choć trochę interesujący widok: ćwiczenia straży pożarnej albo golenie Hitlerowi wąsika przed przemówieniem – ale tam kompletnie nie ma nic interesującego, a nawet gdyby coś było, to obawiam się, że już by mnie nie wzruszyło. Dla ciebie to oczywiście bez znaczenia, bo trudno to pojąć, ja zresztą też już tego nie rozumiem.

Przez kolejne dni próbowałem pozbyć się tego parszywego przekonania, że moi przyjaciele

uznali się za martwych, a nie miałem odwagi spytać ich o to wprost. Aż wreszcie pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i zapytałem ich, czy moje przeczucia są tylko wytworem fantazji, czy też rzeczywiście popadli w apatię i rezygnację, chociaż nasza codzienność zewnętrznie niby niewiele się zmieniła.

– Doprawdy nie wiem, co mam odpowiedzieć – odrzekł Stary.

– Wstrzymano wszelkie urlopy – znowu wtrącił Porta.

– Ze stanu osobowego pułku, w jakim wyruszył on w 1941 roku na wojnę, i uzupełnień, jakie otrzymywaliśmy, to jest około ośmiu tysięcy ludzi, pozostało nas siedmiu.

I zaczął wymieniać:

– Oberst von Lindenau, Oberstleutnant Hinka, Hauptmann von Barring oraz czcigodni tu obecni. Allach jest wielki, ale lista naszych strat jest jeszcze większa.

– Alleluja i przeżegnaj się do swego chuja! – Amen!

– Tak – odpowiedziałem, lecz mój głos brzmiał cokolwiek piskliwie.

Wzięłem głęboki oddech, czując w głębi żołądka wzrastające napięcie.

– Ale nie możecie przecież zaniechać idei książki, którą obiecaliśmy sobie napisać.

Popatrzyli na mnie. Mój wzrok coraz bardziej spanikowany skakał od jednego do drugiego. Chyba znali mnie już lepiej niż ja sam i czuli do mnie stałą, głęboką sympatię, bo stale hołubiłem naiwną nadzieję i nie pozwalałem do końca stwardnieć memu sercu.

– Gdy będziesz pracował nad naszą książką – odezwał się Porta, sięgając po swój flet – pozdrów ode mnie wszystkie dziewczyny. Wątpię, czy znajdzie się żywa dusza, która chciałaby przeczytać całą prawdę o nas. Nie będziesz mógł przecież zaoferować szanownym czytelnikom opowiadania o tym, co mała panna telefonistka i dzielny szef kompanii robili razem w zamkniętym pokoju, albo też jak się bawili piękna pielęgniarzka z naczelnym chirurgiem. Oczywiście w każdym wypadku żaden z bohaterów nie może mieć wszy. Twierdzą, że nigdy nie zarobisz na tych książkach. Ludzi po prostu to nie będzie interesowało. Dlatego gdy będziesz chciał uczcić naszą pamięć, upijając się w trupa, długo jeszcze będziesz musiał sięgać po zaskórniaki, zanim zdołasz kiedykolwiek zapłacić groszem zarobionym jako literat.

*Boże Narodzenie 1943 roku zastało nas na pierwszej linii. Próbowaliśmy zadbać o świąteczny nastrój. W pustej skrzynce po amunicji postawiliśmy maleńką jodelkę...*

### **XXX Sowiecka propaganda**

Propaganda naszych nieprzyjaciół była fantastycznie pomysłowa. Niekiedy serwowali nam tak potworne androny, że tylko wariat dalby im wiarę. Tyle że niektórzy z nas nie byli już całkiem normalni, więc nawet te fantasmagorie pozostawiały jakiś skutek. Miały nami częste zmiany nastrojów: to wściekaliśmy się, to znów dopadały nas melancholia i zwątpienie, a nawet rozpacz z powodu naszej sytuacji, z której nie widzieliśmy wyjścia. Dobijały nas fatalne warunki codziennej egzystencji. Bazując na tym morale, sowieccy propagandziści mogli liczyć na obfity plon. Nie myślę tu o tych, którzy przechodzili na sowiecką stronę, a zdarzało się niekiedy, że były to całe oddziały z podoficerami na czele. Tych dałoby się policzyć. Jeśli o nas chodzi, to pruska dyscyplina i goebbelsowska propaganda donosząca o tragicznych warunkach życia w Związku Sowieckim trzymały nas na miejscu. Nawet bez tego nazistowskiego jadu, wystarczała ta odrobina zdrowego rozsądku, jaka nam pozostała, która niczym czerwona lampka ostrzegała, że biorąc pod uwagę zniszczenia, jakich Niemcy dokonali w Rosji, to przyjęcie z otwartymi ramionami po drugiej stronie frontu – jak usiłowały nas przekonać sowieckie megafony – raczej nie czeka żadnego Niemca. W większości wypadków Rosjanie sięgali do argumentów głęboko oddziałujących na wyobraźnię, które pozostawiały w naszych umysłach długotrwały ślad, i to bez względu na to, czy bagatelizowaliśmy przekazy, oceniając je jednoznacznie – propaganda! Faktycznie to była propaganda, ale często oparta na solidnych fundamentach – niejednokrotnie bowiem podawali nam dowody na przytaczane treści.

Rosyjskie megafony huczały:

„Niemieccy towarzysze! Przechodźcie do waszych rosyjskich przyjaciół! Po co marznąć w okopach? U nas czekają na was ciepłe łóżka i przyzwoite izby. Nasze piękne kobiety zatroszczą się, aby niczego wam nie zabrakło. Otrzymacie racje żywnościowe trzykrotnie większe od tych, które daje wam wasze kwatermistrzostwo. Teraz posłuchacie, co ma wam do powiedzenia gefreiter Freiburg, i sami usłyszycie, że mówimy prawdę. Jest on u nas już od dwóch lat. Poznał w tym czasie wszystkie obozy dla jeńców niemieckich i na własne oczy przekonał się, że w najmniejszym stopniu nie przypominają one obrazu obozów jenieckich, jakimi karmił was naziści. Nasze obozy mieszczą się w pensjonatach lub ośrodkach wypoczynkowych, jedną izbę zajmują najwyżej dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Ale niech lepiej opowie wam o tym Gefreiter Freiburg”.

Wkrótce usłyszeliśmy rzeński, męski głos.

„Witajcie, koledzy z 27 pułku pancernego. Mówi do was Gefreiter Jurgen Freiburg z 309

pułku grenadierów. Urodziłem się 20 maja 1916 roku w Lipsku, mieszkałem przy Adlerstrasse 7 w Dreźnie. W niewoli sowieckiej przebywałem od sierpnia 1941 roku i był to znakomity okres w moim życiu. Byłem już prawie we wszystkich obozach jenieckich i w żadnym niczego nam nie brakowało”.

Dalej przez ponad godzinę opowiadał nam o rajach, jaki tam zastał. Między innymi przytoczył całotygodniowe menu, w którym nie zabrakło kawioru, pieczonej wieprzowiny, gęsi i gołąbków. Na samą myśl o takim żarciu ślinka ciekła nam do ust.

Pewnego wieczoru naprzeciwko naszych pozycji pojawił się wielki ekran kinowy, na którym naszym oczom ukazał się film dokumentalny. W czasie projekcji niektórzy z nas pochorowali się, a niektórzy dostawali świra. Przedstawiał on niemieckich jeńców zasiadających w eleganckim salonie. Następnie mogliśmy prześledzić na ekranie ich drogę od chwili znalezienia się w niewoli, aż do pobytu w pomieszczeniach, gdzie traktowano ich niczym księżęta.

Przepiękne wnętrza, w których ogromne stoły ugięły się pod górami znakomitego jedzenia, były filmowane pod każdym możliwym kątem i zbliżeniem. Wielu z nas nieświadomie ruszało zuchwami, gdy na ekranie pokazywały się kolejne półmiski smakołyków. Przez moment niemal uwierzyłem, że jeśli nadal będą częstować nas widokiem takiego żarcia, to za chwilę cały 27 pułk pancerny ruszy w kierunku ekranu.

Następna scena odbywała się w luksusowo umeblowanym pokoju, w którym stało ogromne łóżko. Atrakcyjna młoda kobieta powoli rozbierała się przed stojącym tam niemieckim piechurkiem. Zrzucała łaszki sztuka po sztuce, kręcąc się przy tym zalotnie. Gdy była już całkowicie naga, zaczęła rozbierać żołnierza, po czym zaczęli uprawiać seks pełen lubieżności i wyuzdania. W niemieckich okopach zapanowała cisza. Wielu wzdychało lub mimowolnie wydawało z siebie ciche jęki. Okropnie było tego słuchać.

– Brawo, brawo, Iwanie! – wrzeszczeliśmy. – Pokażcie to jeszcze raz. Jeszcze, jeszcze!

Wrzeszczeliśmy i rytmicznie klaskaliśmy.

Wtedy zatrzeszczał megafon i uciszyliśmy się.

„Towarzysze. Nie dajcie się mordować za sprawę, która nie jest waszą. Niech za Hitlera i jego bandę walczą mordercy z SS i błędni rycerze Goringa, którzy teraz korzystają z uroków życia na zapleczu i w okupowanych krajach. Wam, weteranom regularnej armii, należy się lepszy los. Przechodźcie do nas! Ci, którzy zdecydowali się wstąpić w szeregi Armii Czerwonej i walczyć za rzeczywiste idee ogólnoludzkie, zachowają swoje dotychczasowe stopnie. Nie możecie jednak czekać z decyzją w nieskończoność. Zróbcie to zaraz!”.

Kiedy indziej rzeczowo i bez nadmiaru ideologicznych komentarzy udowadniali, jak to Hitler złamał wszystkie obietnice, z którymi sięgał po władzę, lub też rosyjski lekarz instruował nas, jak symulować chorobę albo naprawdę zachorować obłożnie.



„Towarzysze, rzucajcie broń i przechodźcie do nas! To głupota dalej walczyć. Czy nie widzicie, jak wykorzystują was nazistowskie świnie? Czy nie wiecie, że co trzeci żołnierz Wehrmachtu już czwarty rok korzysta z życia w okupowanych krajach, napychając żołądek wyszukany miensztrinkiem, gdy wy musicie tu głodować i zamarzać? Niewielu mniej siedzi wciąż w Niemczech, w łózkach z waszymi dziewczynami i żonami, podczas gdy wy musicie tu cierpieć za nich wszystkich, walcząc przeciw wielkiej ojczyźnie waszych rosyjskich towarzyszy”.

– Słyszemy! Słyszemy! – wylisły, rzucając w górę naszymi hełmami na znak solidarności z prawdziwością tych stwierdzeń.

Podobno na rosyjską stronę przeszła dywizja saska, na czele ze swym dowódcą – pułkownikiem. Pułk zapasowy z Turynii, osadzający odcinek sąsiadujący z naszymi pozycjami, również przeszedł ze wszystkimi oficerami.

Ale zdarzało się też, i to całkiem często, że rosyjscy żołnierze przechodzili do nas, przechodzili również Niemcy, którzy wcześniej dostali się do sowieckiej niewoli tak jak ja. Powracający nie mieli w swoim repertuarze bajek o luksusowych hotelach ani o wspaniałych ośrodkach wypoczynkowych. Większość z nich przeszła piekło podobne do mojego; w niektórych obozach traktowano ich dość przyzwoicie, w innych nieludzko; gdzieś Rosjanie próbowali przekonywać do hasła komunistycznej propagandy i pozyskiwać spośród jeńców wojennych zwolenników dla idei i doktryny komunistycznej, jeszcze gdzie indziej byli absolutnie sadystyczni, często pałający wyłącznie pragnieniem zemsty, dla której zresztą nie potrafię znaleźć w sobie potępienia. Na przykład metody masakrowania Rosjan, gdy do akcji wchodziło SS, urągały wszelkim racjonalnym zasadom postępowania, więc gdy dla nazistów zaświtał dzień zapłaty, ciężko doświadczeni zwycięzcy wystawiali im rachunek za wszelkie męczarnie i cierpienia. Nie wspominam tego, aby bić się w piersi, czy też pomniejszać zbiorowe tragedie, lecz aby wytłumaczyć jaśniej potworny łańcuch zbrodniczych akcji i reakcji. Wspominam, aby pokazać, że nie stanowi problemu udowodnienie istnienia tego, co eufemistycznie nazywano „warunkami rosyjskimi”, oraz że równie dobrze mogły one dotyczyć każdego kraju, w którym toczy się wojna.

Czasami zdarzały się sytuacje, które nas, weteranów, zmuszały do otwarcia szeroko oczu i ust ze zdumienia. Na przykład podczas jakiegoś natarcia do niewoli sowieckiej dostała się grupka najmłodszych rekrutów w wieku szesnastu – siedemnastu lat. Już nazajutrz Rosjanie odesłali ich na naszą stronę, podciawszy im uprzednio nogawki spodni, aby przypominały szorty skautów. Na plecach jednego z nich przypięli wiadomość.

*Armia Czerwona nie walczy z dziećmi, wobec tego zwalniamy ich i żądamy odesłania do domów, aby ich matki mogły dokończyć karmienia piersią.*

*Z pozdrowieniami od Armii Czerwonej.*

Albo ta sprawa ze starym Unteroffizierem: W 3 kompanii służył starszy już człowiek w stopniu Unteroffiziera. Pewnego dnia otrzymał telegram donoszący, że jego żona i trójka dzieci zginęli podczas jednego z nalotów na Berlin. Natychmiast zameldował się u dowódcy kompanii i poprosił o urlop, lecz choć dowódca kompanii poparł go, wniosek załatwiono odmownie.

Z wściekłości i żalu stary Unteroffizier zdezerterował i poszedł do Rosjan, ale ku naszemu zdumieniu już nazajutrz powrócił. Powiedział nam, że rosyjski dowódca dywizji zajmującej stanowiska naprzeciw nas przyjął go osobiście i udzielił mu urlopu. Początkowo myśleliśmy, że stary podoficer zwariował, lecz ku naszemu zdumieniu wyjął i pokazał nam zarówno zapieczętowaną kopertę, zaadresowaną do naszego pułkownika, jak też rosyjskie dokumenty podróży, starannie wypełnione i podpisane, opiewające na okres czternastu dni plus podróż do i z Berlina. Rosjanie wpisali nawet właściwe godziny z rozkładu jazdy pociągów urlopowych, którymi mógłby podróżować. Później von Barring powiedział nam, co było w liście do Obersta von Lindenau. Jego treść była następująca:

*Szanowny Panie Pułkowniku!*

*Głęboko zdumiewa nas fakt, że sprawy w Armii Niemieckiej mają się tak źle, iż nie można już udzielić urlopu biednemu Unteroffizierowi, który, jak oświadcza, stracił właśnie wszystkich najbliższych.*

*Armia Czerwona udziela za to swojemu jeńcowi czternastu dni urlopu, a jednocześnie uwalnia go.*

*Jestem w pełni świadom tego, że teraz Pan, Oberst von Lindenau, być może zechce ukarać Unteroffiziera za bratanie się z wrogiem, ale oczekuję, że w tym szczególnym wypadku przymknie pan oko na to, co się zdarzyło, i umożliwi temu nieszczęśnikowi wyjazd do Berlina. Osobiście uważam, że los już go dostatecznie ukarał utratą najbliższych.*

*Stiepan Konstantynowicz Radionow generał-lejtnant Dowódca 61 Dywizji Piechoty Armii Czerwonej.*

Ten list wraz z rosyjskimi dokumentami podróży został przekazany dowódcy naszej dywizji, generałowi-porucznikowi von Rechnagl, aby osobiście zdecydował o dalszych losach tego niezwyklego przypadku, w którym niemiecki podoficer przeszedł do nieprzyjaciela i powrócił

z zezwoleniem na urlop. Przez kilka następnych dni cały 27 pułk pancerny z niepokojem oczekiwał werdyktu. Rosjanie ciągle zapytywali przez megafon, czy ów podoficer otrzymał należny mu urlop, i za każdym razem musieliśmy odpowiadać, że jeszcze nie. Większość z nas myślała, że zostanie rozstrzelany. Wydawało się, że musi ponieść karę za swój czyn. Odstąpienie od niej musiałyby poprzedzić istotne zmiany w wojskowym kodeksie karnym, a na to się nie zносиło.

W końcu nasze napięcie opadło: nieszczęsny podoficer otrzymał upragniony urlop wraz z karą trzech dni ścisłego aresztu za opuszczenie posterunku. Karę miał odbyć po powrocie do jednostki.

Rosjanie dysponowali jeszcze potężniejszymi środkami propagandowymi. Mieli między innymi coś, co nazywali audycjami radiowymi. Zaczynały się one od kpin z treści programów radiowych niemieckich rozgłośni, często ordynarnych, lecz mimo to dowcipnych i skutecznych. Po nich następował koncert życzeń. Dobrze wyszkolonym głosem spiker mówił:

„Teraz usłyszemy koncert życzeń w wykonaniu różnych instrumentów. Najpierw utwór na instrumenty lekkie”.

W tym momencie ogień z tuzina karabinów maszynowych oraz lekkich moździerzy uderzał w przedpiersia naszych okopów, wyrzucając w powietrze ziemię, która nas przysypywała.

„A teraz, szanowni słuchacze, usłyszycie wariację na »Organy Stalina«,».

Instrument ten wydawał z siebie taki dźwięk, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata: wywołujące rozstrój nerwowy pociski raketowe słynnych „Organów Stalina” nadlatywały z wyciem na nasze pozycje, eksplodując z ogłuszającym hukiem.

„A na finał przygotowaliśmy potpourri\*[\* (wym. *popuri*) – wiązanka popularnych melodii podobnego typu] wszystkich instrumentów naszej wielkiej i wielokrotnie sprawdzonej orkiestry symfonicznej”.

I jeszcze ten wesoły, gawędziarski ton konferansjera!

Cała obsada naszego odcinka drżała ze strachu przed huraganem ognia, jaki spadał wówczas na nasze pozycje. Gdy kuliliśmy się w okopach, żaden nie spuszczał z oka swego sąsiada, gotów w każdej chwili zmusić go wszelkimi środkami do opamiętania się, gdyby ten doznał szoku lub hysterii na skutek rosyjskiej nawały ogniowej.

W szeregach Ostheer służyły rozmaite oddziały złożone z sowieckich ochotników. Oprócz znanej dywizji zdrajców generała Własowa istniało kilka pułków Kozaków, którzy okazali się diabłami wcielonymi w materii maltretowania jeńców rosyjskich, jeśli ci tylko mieli pecha wpaść im w łapy. Ale najbardziej przerażał batalion złożony z kobiet. Te megieri najzwyczajniej w świecie rozbierały jeńców, przywiązywały ich do stołów lub łóżek, po czym podniecały nieszczęśników, a gdy ci już, chcąc, nie chcąc, zaspokoili zwierzęce zachcianki seksualne swoich strażniczek, to na koniec odcinały swym ofiarom penisy i wsadzały je im w usta albo

rozbijały ich jądra młotkami. Porta był pewnego dnia świadkiem podobnego zdarzenia, a to, co zobaczył, wystarczyło, aby siedem kobiet-oprawczyń zarobiło jeszcze tej samej nocy po kulce z jego snajperskiego karabinu.

Natomiast gdy Rosjanie pojмали kóregoś z Kozaków, czy też Własowców, płacili im tą samą monetą. Najbardziej przerażający w formach sadyzm rozwijał się i szerzył niczym pleśń. W niemieckich mundurach służyli również Ukraińcy, czy to w samodzielnych batalionach SS, czy to wcielani indywidualnie bądź w grupach do jednostek niemieckich jako Hivi (*Hilfswillige*). W miarę przechylania się szali zwycięstwa na stronę sowiecką nastroje wśród nich stawały się coraz bardziej minorowe. Czy to ze strachu, czy dla idei, czy też w wyniku zimnej kalkulacji postawili na niewłaściwego konia, a świadomość tego faktu czyniła z nich coraz dziksze bestie.

Naturalnie zdarzało się także, że niektórzy z rosyjskich dezertków nie potrafili znieść niemieckiej dyscypliny i powtórnie dezertowali, tym razem do Rosjan. Nigdy nie dowiadawali się, jaki los spotkał ich po drugiej stronie. Przypuszczam, że wieszano ich tam za zdradę. W końcu Rosjanie skutecznie powstrzymali ten proceder – po prostu zaczęli zwracać nam wszystkich rosyjskich i ukraińskich uciekinierów. Nadlatywali z nimi nad nasze linie i tam wyrzucali wszystkich z samolotu bez spadochronu. Każda z ofiar miała przyczepioną na piersiach żółtą, urzędową kopertę z pokwitowaniem:

174 Jednostka NKWD zwraca ochotnika Borysa Piotrowicza Turgojskiego, urodzonego 19 marca 1919 roku w Tyflisie, który zdezertował 27 grudnia 1943 roku w Lebedi z 18 batalionu SS i został pochwycony przez 192 pułk strzelców Armii Czerwonej.

Dezertker ów zostaje zwrócony Armii Niemieckiej przez porucznika Barowicza z Sił Powietrznych Armii Czerwonej.

Pokwitowanie:

Niniejszym kwituję odbiór dezertera:

Stopień:

Nazwisko:

Jednostka:

Uprasza się o przekazanie powyższego pokwitowania po jego wypełnieniu do najbliższej jednostki Armii Czerwonej.

Tego rodzaju „niespodzianki” wywierały na żołnierzach przygnębiający efekt. Przez długi czas znajdowałem się w stanie dziwacznej, tępej rezygnacji i byłem gotów przekonywać moich kolegów, że jesteśmy skazani na zagładę i że nic właściwie się nie liczy, gdyż wszyscy ludzie, bez wyjątku, są źli i pełni nienawiści.

Hauptmann von Barring rozpił się.

*Usunięto zeń tylko karabiny maszynowe. Złapaliśmy chłopca i zapytaliśmy go, jakim, u diabła, sposobem czołg znalazł się w jego stodole. Z dumą pokazał nam papier, na którym było napisane po niemiecku: „My, załoga czołgu, sprzedaliśmy to blaszane pudło chłopcu Piętcu Aleksandrowiczowi w zamian za krowę. Jedno i drugie pozostaje w dobrym stanie i nadaje się do użycia. Heil Hitler!”.*

*„Pocałuj nas w dupę, drogi Parteigenosse”.*

*Prawie w każdym gospodarstwie na Ukrainie, obojętnie dużym czy małym, można było znaleźć niemiecki pojazd rozmaitego typu.*

### **XXXI Odwrót z Kijowa**

Jako powód podano nam, że jakiś Untersturmführer SS został zabity w pobliżu tej wioski. W odwecie wyższy dowódca SS rozkazał, że wszyscy mężczyźni i kobiety z tej wioski w wieku od czternastu do sześćdziesięciu lat mają być powieszani. Przywieziono ich na kilku ciężarówkach, doprowadzono pod szubienice, założono pętle na szyje, a ciężarówki odjechały.

Gdy przechodziliśmy tuż obok miejsca kaźni, w naszych szeregach dał się słyszeć wyraźny pomruk dezaprobaty. Esesmani raz po raz nerwowo łypali w naszym kierunku i coraz mocniej ściskali broń, podczas gdy nasi oficerowie popędzali nas, aby uniknąć otwartej bijatyki.

Konflikt między wojskiem a SS był prawie jawny. Himmler – pies łańcuchowy Hitlera, miażdżył co prawda wszelkie oznaki zorganizowanego ruchu oporu przeciwko reżimowi nazistowskiemu, lecz było to działanie w próżni, na ogół bowiem nie potrafił zidentyfikować zagrożenia. W konsekwencji uderzał także w boga ducha winnych ludzi lub nawet w zwolenników systemu. Prawdziwym jego wrogiem – choć on oczywiście nie miał o tym pojęcia – był sam terror jako metoda. Ten zaś w rzeczywistości uderzał zupełnie bezplanowo, aż w końcu jego stosowanie stało się celem samym w sobie. To właśnie przeświadczenie obudziło w wielu Niemcach ducha oporu, aż wreszcie przybrał on pierwsze formy zorganizowane, których w większości nigdy nie opisano i pewnie nigdy opisane nie będą z braku źródeł. Nie był to opór masowy, ale niewątpliwie zaistniał i funkcjonował w formach, które były trudne do zarejestrowania i pozornie przypadkowe, jak na przykład wtedy, gdy zlikwidowaliśmy świnię Meiera.

Rosjanie zajęli już połowę Kijowa, gdy nas tam rzucono. W mieście podzielono nas na małe grupy bojowe, które działały niezależnie od siebie w różnych częściach miasta. Znajdowałem się w czołgu, który z klekotem podążał tuż za wozami Porty i Starego. Pojechaliśmy wzdłuż przedmieścia Wozduszwodskoje, następnie przecięliśmy linię kolejową i ulicą Diakowa, którą

w całości obsadzali jeszcze Niemcy, w końcu zawróciliśmy na przedmieście Pawoło na północnych krańcach miasta. Jechaliśmy wąskimi uliczkami i zaułkami a tuż przed wschodem słońca dotarliśmy do zabudowań starej fabryki.

Na jej rozległym dziedzińcu odkryliśmy obecność osiemnastu T-34 i pięciu KW-2, ustawionych w szeregu, podczas gdy ich załogi stały przed wozami na odprawie. Nagle pojawienie się naszych trzech czołgów, nie dalej niż o kilkanaście metrów od nich, podziało paraliżująco.

Zająłem miejsce naszego niedoświadczonego celowniczego i nasz miotacz ognia, karabiny maszynowe oraz działo zaryczały jednocześnie. Pięknie stojące do odprawy załogi sowieckiej kompanii czołgów padały jak kręgle po uderzeniu kuli, a ich wozy w krótkim czasie stanęły w płomieniach. Następnie odjechaliśmy stamtąd na pełnym gazie. W kilku bocznych uliczkach napotkaliśmy jeszcze kompanię rosyjskiej piechoty i zlikwidowaliśmy ją ogniem kaemów i miotaczy płomieni. Stalowe gaśienice naszych czołgów przejechały po tych nielicznych, którzy jeszcze żyli.

Podążaliśmy przed siebie, miażdżąc wszystko, co stało na naszej drodze. Nagle rozległ się głośny huk i czołg Starego stanął z rozerwaną gaśienicą. Skręciłem na pełnej szybkości w boczną uliczkę i usiłowałem objechać od tyłu stanowisko rosyjskiego działa przeciwpancernego. Odnalazłszy je, po prostu po nim przejechałem. Rosyjscy kanonierzy zdążyli jednak do tego czasu podpalić czołg Starego i zabić dwóch członków jego załogi. Stary wsiadł do mojego wozu, a pozostali dwaj do wozu Porty.

Walczyliśmy w podobnych warunkach aż do wieczora. Było to ogromnie wyczerpujące i monotonne, powodowało nieustanny stres, który chwilami doprowadzał nas do granicy obłądu. Gdy ten dzień wreszcie się skończył, dowiedzieliśmy się, że 5 kompania straciła wszystkie czołgi, a Oberst von Lindenau zginął.

Kijów płonął.

Nie istnieje bardziej wyczerpująca ani brutalna forma prowadzenia działań wojennych niż walki uliczne. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę można spotkać podczas skoku od drzwi do drzwi albo gdy się szuka ukrycia za betonowym słupem latarni ulicznej, a z okien domów lecą na człowieka wyjące, świszczące i wybuchające przedmioty.

Wielokrotnie musieliśmy się ewakuować z zajmowanego budynku, ponieważ piętra pod nami groziły zawaleniem lub wręcz się rozsypywały. Dochodziło często do brutalnych starć, wręcz z użyciem noży i saperek, a do tego przez cały okres walk miasto trawiły pożary. Nieustannie otaczały nas płomienie, huki eksplozji oraz wrzaski rannych i poparzonych.

Wielki, żelazny most przez Dniepr został wysadzony w powietrze, a z wody wystawały

tylko fragmenty potężnej niegdyś stalowej konstrukcji. Duma miasta, radiostacja ze swymi gigantycznymi masztami, zamieniła się w stos poskręcane żelastwa i poszarpanych kabli. W licznych rzeźniach tysiące rusz zwierzęcych opryskano kwasem. Setki ton nasion słonecznika i prosa oblane benzyną i podpalono. Parowozownie wyglądały niczym cmentarzyska słońi.

Podczas odwrotu nasza dotychczasowa nienawiść do SS znalazła w końcu ujście i eksplodowała. Wzajemna wrogość doprowadziła do tego, że żadna jednostka SS nie odważyłaby się pójść do natarcia, mając za plecami Wehrmacht. Zdarzało się nawet, że gdy jednostka SS zjawiała się w miejscu walki, to Rosjanie przerywali ogień, aby pozwolić nam skosić esesmanów. Gdy tylko ostatni z nich padał, walka wybuchała na nowo.

Pewnego ranka, tuż przed świtem, dotarliśmy do odcinka frontu w okolicach Berdyczowa, gdzie już wkrótce miało się zacząć coś dziać. Razem z nami pozycje obsadzał jakiś rezerwowy pułk piechoty. Po stracie wszystkich czołgów ponownie walczyliśmy jako zwykła piechota.

Weterani 27 pułku pancernego szybko zajęli stanowiska na „ziemi niczyjej” i natychmiast wykopali sobie jednoosobowe dołki strzeleckie, w których można było przetrwać przetoczenie się czołgu nad głową. Idea była taka, że po przepuszczeniu czołgów nasze karabiny maszynowe i miotacze ognia miały rozprawić się z podążającą za wozami piechotą, a w razie potrzeby – likwidować ją w walce wręcz, kolbami, bagnetami i saperkami.

Linie ciągłych okopów za naszymi plecami, zajmowane przez grenadierów, były gwałtownie ostrzeliwane. Mijały godzina za godziną, a ostrzał artyleryjski stawał się coraz intensywniejszy. Wreszcie o trzeciej nastąpiła krótka, gwałtowna pauza, po czym walec ogniowy przeniósł się tuż za nasze plecy i przybrał postać huraganu.

Widok, który ujrzały nasze przerażone oczy, wystarczyłby, aby omdleć. Przez równinę zasnutą ścielącą się mgłą pędziły na nasze pozycje nieprzeliczone ilości T-34, za którymi podążała jednolita, brązowa masa piechoty połyskująca bagnetami.

Nagle wokół mojego dołka pociemniało i przysypało mnie trochę ziemi. Zimny pot wystąpił mi na czoło, a kolana pode mną drżały. Czołg za czołgiem przetaczały się nade mną.

Wreszcie odezwały się nasze karabiny maszynowe, do których dołączyły armaty przeciwpancerne. Oznaczało to, że czołgi dotarły do stanowisk grenadierów i naszej artylerii.

Nie próbowałem nawet wystawiać głowy z dołka, by się rozejrzeć, gdyż jakiś rozpędzony T-34 mógł mnie w każdej chwili zmiażdżyć. Ale gdy do moich uszu dotarł jazgot kaemu z najbliższego dołka, musiałem się wyprostować.

Około pięćdziesięciu metrów przed sobą ujrzałem stanowisko rosyjskiego karabinu maszynowego osłaniane przez drużynę piechoty. Momentalnie wycelowałem miotacz ognia i nacisnąłem spust. Rozległ się głuchy pomruk, a czerwony płomień wystrzelił z rury w kierunku nieprzyjaciół. Dwóch z nich poderwało się gwałtownie, po czym znowu legło, wściekle się



pałac. Wtedy niespodziewanie ostrzelał mnie inny karabin maszynowy, nieco z prawej. Musiałem błyskawicznie przerwać ogień i dać nura do dołka.

Po chwili ostrożnie uniosłem wylot rury miotacza nad brzeg dołka, skorzystałem przy tym z celownika peryskopowego, wycelowałem miotacz i nacisnąłem spust. Karabin maszynowy zakrzuszył się i umilkł.

Zaraz potem nadciągnęła druga fala czołgów. Tym razem było gorzej. Czołgiści rosyjscy wiedzieli już o naszej obecności, a starcie pojedynczego piechura w dołku z czterdziestotonowym wozem bojowym zazwyczaj wygląda tak: dzielny piechur, zgodnie z regulaminem, wyskakuje z dołka, rzuca się pod czołg, po przetoczeniu się maszyny wspina się z tyłu na jej pancierz i umieszcza na nim ładunek kumulacyjny.

Konieczność wspięcia się na ogromny czołg w chwili, gdy ten rwał pełnym gazem naprzód, spowodowała, że oblałem się potem. Na szczęście dla mnie załoga T-34 w promieniu kilku metrów od wozu nie może dostrzec leżącego człowieka. Kilka razy spadałem z pancierza, dłonie miałem poszarpane i krwawiące, paznokcie połamane. Jak nieustraszony wojownik uparcie powstawałem, by wreszcie umieścić ładunek na stalowym kołnierzu z tyłu wieży, po czym pociągnąłem za sznur wyzwalający zapalnik, zeskoczyłem z pancierza i padłem do utworzonego przez pocisk leja, w którym leżało już z dziesięciu grenadierów z karabinem maszynowym. Po pięciu sekundach rozległ się głuchy ryk, a zniszczony czołg zatrzymał się pochylony nad skrajem leja. Cała jego załoga zginęła natychmiast rozerwana wewnątrz gwałtownym uderzeniem ciśnienia wybuchu ładunku kumulacyjnego.

Gdy nadjechał z hukiem kolejny T-34, nieustraszony żołnierz wziął jedną z min, które mieli przy sobie grenadierzy i skoczył prosto na pancierz czołgu, łamiąc sobie przy tym kilka dalszych paznokci. Tego rodzaju taktyka stała się już niemal rutyną. Jak skuteczna bywała, zdałem sobie sprawę dopiero, gdy fragment wieży czołgu, zatoczywszy łuk w powietrzu, uderzył w ziemię niecały metr ode mnie. Mógł ważyć więcej niż pół tony.

Nasza artyleria przeciwpancerna unieszkodliwiła w tym czasie czołgi, które przedarły się przez zaporę z min i ładunków kumulacyjnych. Wtedy ponownie odezwała się rosyjska artyleria i grenadierzy oraz wszyscy chłopcy ze świeżych uzupełnień 27 pułku pancernego wpadli w panikę. Gromadnie wzięli nogi za pas i rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Strach udzielił się nawet weteranom, którzy poszli w ich ślady. Piechota rosyjska ochłonęła po chwilowym zaskoczeniu i natychmiast przystąpiła do natarcia, depcząc nam po piętach z okrzykiem „Za Stalina! Za Rodinu!”.

Stary major z pistoletem w dłoni próbował nas powstrzymać i zmusić do zawrócenia, aby stawić opór nacierającym Rosjanom, ale pistolet zaraz mu wytracono i chyba został stratowany na śmierć przez tłum uciekających w popłochu żołnierzy. Nie mam pojęcia, co spowodowało nasze opamiętanie i zmusiło nas do zatrzymania się, ale pozostaje faktem, że wreszcie

ochłoneliśmy i na nowo podjęliśmy walkę z Rosjanami. Chwyciłem oburącz karabin jakiegoś Mongoła i próbowałem mu go wyrzucić. Kąsaliśmy się i warczeliliśmy na siebie jak odyńce, wiedząc, że dla jednego z nas ta walka musi skończyć się śmiercią. Ogarnięty szałem walki wyrwałem mu wreszcie karabin, obróciłem z szybkością błyskawicy i wbiłem bagnet w jego plecy. Upadł z wyciem na twarz, wrywając mi przy tym karabin z dłoni. Chcąc wyciągnąć ostrze z jego ciała, musiałem stanąć mu jedną stopą na plecach. Uwolniwszy broń, rzuciłem się do szturmu, rycząc przy tym jak byk i wrzeszcząc jak wariat. Wpadłem na jakiegoś Rosjanina i dźgnąłem go z taką siłą, że bagnet przebił go na wylot. Wrzasnął tylko, szeroko otwierając usta. Od tej chwili niczego już nie pamiętałem, oprócz wrzasków, jęków i wszelkiej maści zwierzęcych odgłosów wydobywających się z wykrzywionych bólem, strachem lub wściekłością dziesiątków ust.

Nagle krew zastygła mi w żyłach. Z otwartymi ustami gapiłem się w niebo, skąd nadlatywała ku nam cała ławica wyjących, świecących pocisków rakietowych, skrzecząc bardziej niż wszystkie potępione dusze jęczące w piekle i ciągnąc za sobą warkocz ognia. Wydawały przy tym tak okropny dźwięk, że miało się wrażenie, iż powyrywa nam z ciała wszystkie zwoje nerwowe. Legliśmy płasko, tuląc się do ziemi i wrzeszcząc ze strachu. To były właśnie „Organy Stalina”, najbardziej przerażający instrument muzyczny wszechczasów.

Po trzydziestu sześciu godzinach walk rosyjskie natarcie zaczęło słabnąć, aż w końcu całkowicie zamarło. Jedyne jego rezultaty były takie, że tak my, jak i Rosjanie powróciliśmy na poprzednio zajmowane pozycje. Wtedy rozgorzał straszliwy pojedynek artyleryjski; huraganowy, trwający przez sześć dni i nocy ogień armat, który wielu kosztował pomieszenie zmysłów. Niewielki lasek brzozowy został całkowicie zrównany z ziemią w ciągu dwóch godzin. Nie pozostało nic, po czym można by odgadnąć, że kiedyś w tym miejscu był las. Odpoczywaliśmy w ziemiankach, spoglądając w przestrzeń oczami nabiegłymi krwią. Nie dało się rozmawiać, gdyż siedzący obok sąsiad nie mógł usłyszeć, co się do niego mówi, nawet jeśli wrzeszczało się z całej siły.

Tylko obecność Porty i Starego sprawiła, że nie zwariowałem. Wystarczyło, że popatrzyłem na nich, siedzących w zupełnym spokoju, całkowicie zdystansowanych do wybuchającego dookoła, ogłuszającego piekła, aby sam ten widok podziałał na mnie uspokajająco. Stary pykał fajkę, a Porta grał na flecie, trzymając na kolanach kota Stalina zwiniętego w kłębek. Nawet sam Porta nie był w stanie usłyszeć choć jednej nuty wydobywanej z fletu, ale nie przerywał gry, nie zwracając w ogóle uwagi na piekielny hałas. Być może umiał już oderwać się od rzeczywistości tak dalece, że naprawdę słyszał to, co gra.

Czwartego dnia kanonady przed południem zjawił się w naszej ziemiance von Barring. Wyglądał bardziej niezdrowo niż kiedykolwiek. Stary mówił nam, że Barring choruje na złośliwą dyzenterię i większość czasu spędza ze spodniami opuszczonymi do kolan. Miał też

jakieś kłopoty z nerkami. „Na oko” nie zostało mu już wiele życia.

Z powodu nieustannego huku podał Staremu kartkę następującej treści: „Musimy dostarczyć ludziom żywność. Już cztery zespoły posłałem po prowiant i żadna nie wróciła. Czy ty i twoi dwaj koledzy spróbujecie? Musimy przecież coś jeść. Teraz w was nasza ostatnia nadzieja”.

Spojrzeliliśmy na siebie i na von Barringa, który wyczerpany chorobą, siedział z głową w dłoniach. Stary wzruszył tylko ramionami i skinął głową. Dodatkowo miał przekazać dowództwu meldunek, że rosyjski pocisk rozbił nam w drobny mak telefon i nie możemy nawiązać łączności.

Widok, który ukazał się naszym oczom po opuszczeniu ziemianki, był trudny do opisania. Taszcząc na plecach termosy na prowiant, daliśmy nura do rozwalonego okopu. Krajobraz dookoła wyglądał na księżycowy. Nieustający deszcz ognia i stali leciał nieprzerwanie z ciemnego nieba. Chmury snuły się nisko i groźnie. Stary z niepokojem pokręcił głową. Porta obojętnie przytaknęła i razem wyskoczyliśmy z okopu.

Pokonanie zrytego pociskami pasa terenu szerokości czterech kilometrów, zajęło nam sześć i pół godziny. Powrót z pełnymi termosami żarcia – ponad siedem godzin. Przynieśliśmy na pierwszą linię wieprzowinę z grochem.

My najedliśmy się do syta przy kuchni polowej. Jedliśmy i jedliśmy, aż nawet kucharze zaczęli mieć wątpliwości, czy w żołądku można tyle zmieścić. Porta wsadził do każdej kieszeni jeszcze po kawale dymiącego mięsa, informując, że wieczorem też będzie dobrze coś przekąsić. Termosy z żarciem były cholernie ciężkie. Porta wsadził Stalina do kieszeni, którą specjalnie w tym celu naszył na płaszcz, i kot siedział tam teraz, wysuwając rudy łepiek w przywiązanej doń furazerce.

Walczyliśmy także pod ziemią. Rosjanie próbowali podkopywać się pod nasze pozycje. Gdy przykładaliśmy ucho do klepiska naszej ziemianki, dawało się słyszeć: łup, łup – odgłos uderzeń kilofów. Otrzymaliśmy zadanie kopania kontr-tuneli, likwidowania ich kopaczy i zakładania min pod pozycjami rosyjskimi.

Leżeliśmy w wykopanym świeżo chodniku i słyszeliśmy, jak Rosjanie kopią: łup, łup, łup.

Nagle zapadła cisza. Nasłuchiwaliliśmy, wysilając wszystkie zmysły. Czy już skończyli i za chwilę rozlegnie się stłumiony ryk, po którym zwali się na nas ziemia?

Nasłuchiwaliliśmy przez kwadrans, a czas ten dłużył się w nieskończoność, jeśli się siedzi nieporuszenie, oczekując na prawdopodobne oznajmienie wyroku śmierci.

Słuchaliśmy jeszcze przez trzy kolejne kwadranse.

Wtedy stukanie kilofów rozległo się na nowo. Odgłos ten był dla nas niczym ułaskawienie. Usłyszałem, jak za plecami Stary z ulgą głęboko wciąga w płuca powietrze.

Przygotowaliśmy się do akcji.

Stary cicho szepnął do młodszych i mniej doświadczonych żołnierzy:

– Pamiętajcie, aby nie uderzać nożem w żebra, bo ostrze tam uwięźnie. Mierzcie w szyję albo w brzuch, najlepiej skośnie od dołu w pachwinę, to wtedy ciągnąc ostrze w górę, z łatwością je wyciągniecie.

Uważnie posuwaliśmy się długimi tunelami, w niektórych miejscach tak wąskimi, że trzeba było pełznąć. Za jednym z zakrętów prawie wpadliśmy na czterech Rosjan leżących o pięć metrów dalej i pracowicie machających kilofami. Bezszelestnie podpełzliśmy do nich i wykłuliśmy ich nożami. Wszędzie za nami, przy zbiegach korytarzy, zostawali nasi ludzie w oczekiwaniu na pojawienie się rosyjskich saperów. Ci jednak najwyraźniej nabrali podejrzeń i nie przychodzili. Stary, Porta, ja i sześciu jeszcze innych, idąc przed siebie, dobrnęliśmy do końca tunelu, skąd widać było grupę pracujących ośmiu Rosjan. My ukryliśmy się pod ścianami podkopu, a Porta zawołał do nich po rosyjsku.

– Towarzysze, pospieszcie się. Przybyła zmiana. Zaskoczeni Rosjanie spojrzeli do ciemnego wylotu tunelu, ale nie dostrzegli żadnego z nas. Jeden z nich odkrzyknął.

– Wszyscy mamy przyjść?

Tak. Ruszajcie się! Pozostali już tu na was czekają. Załatwiliśmy wszystkich, gdy tylko się do nas zbliżyli. Nasze noże szybko pracowały przy świetle ich latarek. Jednemu z Ruskich udało się wbić krótki kilof w brzuch któregoś z naszych chłopaków. Raniony, zaczął tak wrzeszczeć, że musieliśmy podciąć mu gardło.

Pewnego dnia pochowaliśmy Pluta. Nie mogliśmy tylko odnaleźć jego głowy.

Los wskazał na 27 pułk, jako ten, który ma stanowić ariergardę wojsk ewakuowanych ze studwudziestokilometrowego odcinka frontu. Naszym zadaniem było utrzymywanie Rosjan naprzeciwko w przeświadczeniu, że opuszczone pozycje nadal mają silną obsadę. Stanowiska niemieckie na tym odcinku górowały nad pozycjami sowieckimi i przez następne dwadzieścia cztery godziny mieliśmy czuwać, aby z kominów wielu piecyków polowych nieustannie się dymiło, a od czasu do czasu puszczać parę serii z karabinów maszynowych w stronę rosyjskich okopów. Prócz tego mieliśmy także przygotować miny-pułapki. Naszej kompanii przydzielono dwadzieścia kilometrów pozycji i było nas tam wszystkiego dwustu chłopów. Otrzymał surowy rozkaz, żeby pod żadnym pozorem nie opuścić pozycji, chyba że Rosjanie wejdą bezpośrednio do naszych okopów.

W plutonie było nas trzydziestu, po przeciwnej zaś stronie znajdowało się cztery tysiące pięciuset strzelców syberyjskich, budzących od dawna postrach wśród Niemców.

Wzięliśmy się do roboty. Wszystkie drzwi ziemianek zostały połączone z minami, które miały eksplodować przy próbie ich otwarcia. Niewinnie wyglądające polano zawierało w środku kilka naboju strzeleckich, wybuchających, gdyby ktokolwiek wrzucił je do piecyka. Luźna deska na skraju okopu podłączona była do pięćdziesięciu min przeciwpancernych wkopanych sto

metrów dalej. Dziwnie się czułem podczas przygotowywania tych wszystkich „niespodzianek”. Dlaczego po prostu nie zostawiliśmy ich tam, jak popadło? Przecież zarówno ich zakładanie, jak i niezakładanie było równie bezsensowne.

Popołudnie minęło spokojnie. Wydawało się, że Rosjanie nie zorientowali się, iż mają przed sobą tylko garstkę samotnych żołnierzy. Najbliższa noc była już mniej przyjemna. Nikt z nas nawet nie próbował spać. Po prostu siedzieliśmy i czujnie rozglądaliśmy się dookoła. Do najbliższego sąsiada było pięćdziesiąt, może nawet sto metrów, i nikt nie mógł przewidzieć, kiedy z mroku wychynie syberyjski patrol. Z głową pełną takich niespokojnych myśli siedziałem w okopie ze stosem granatów i dwoma pistoletami maszynowymi pod ręką, nieprzerwanie wpatrując się w ciemności.

O świcie Rosjanie zaczęli już coś podejrzewać. Posłaliśmy im trochę pocisków z kaemów, ale oni coraz śmielej wystawiali głowy ponad przedpiersia okopów, badawczo lustrując nasze stanowiska. Pospieszyłem szybko do Starego i mówiłem podniecony:

– Czy nie powinniśmy się stąd teraz zabrać, zanim będzie za późno? Przecież naszym nie zrobi żadnej różnicy, czy będziemy pozostawali tu przez dwadzieścia czy dwadzieścia cztery godziny.

Stary pokręcił przecząco głową.

– Svenie, rozkaz jest rozkazem. Chodzi przede wszystkim o tych, którzy teraz brną gdzieś w śniegach i liczą na nas. Czekają ich jeszcze bardzo ciężkie chwile. Musimy umożliwić im wydostanie się z pułapki.

Porta dołączył do nas. On również mruczał pod nosem o odwrocie, ale Stary powiedział krótko, że dla niego, to możemy sobie stąd pójść zaraz, ale on tu zostaje.

– Zamknąbyś się lepiej, ty stary, głupi Feldweblu! – wrzasnął ze złością Porta. – Wiesz przecież, że cię nie zostawimy, ale pamiętaj, że ostrzegaliśmy.

Klnąc i złorzecząc, powróciliśmy na nasze posterunki, gdzie dalej wypatrywaliśmy Rosjan w oczekiwaniu najgorszego. Kilku z nich znowu wylazło na przedpiersia okopów i stamtąd dawało nam jakieś znaki. Posłaliśmy w ich kierunku kilka serii, po których skoczyli do okopów, lecz wkrótce z powrotem powychodzili. Nagle, całkowicie zaskoczony, z przerażeniem ujrzałem brudną i zarośniętą twarz tuż u przedpiersia mojego stanowiska, nie dalej niż o dziesięć metrów. Błyskawicznie cisnąłem w to miejsce granatem. „Zjawa” zginęła na miejscu, ale jednocześnie ogólna sytuacja stawała się coraz gorętsza. Rosjanie wychodzili już ze swoich stanowisk grupami i spacerkiem zbliżali się do naszych okopów. Stary wreszcie wydał upragniony rozkaz opuszczenia pozycji.

Mknęliśmy na nartach przez zaśnieżony step. Od czasu do czasu za naszymi plecami rozlegały się huki eksplozji. To detonowały nasze miny-pułapki. Poza tym dookoła panowała ponura cisza. W pewnej chwili szosą, odległą od nas o dwa kilometry, przetoczyła się kolumna

rosyjskich czołgów. Po pięciodniowej wędrówce dotarliśmy do naszych linii i dołączyliśmy do resztek naszego pułku, który wreszcie wycofywano z frontu do przeformowania.

Mianowano mnie Fahnenjunkrem, co nie wzbudziło mojego entuzjazmu. Do tej pory byłem idealnie wtapiałem się w rzeszę szeregowców, teraz musiałem podczas apelu stać na przedzie i przyjmować raport od Feldweblaszefa, który poprzednio był moim przełożonym. Czułem się tam, jakbym stał nago. A moi koledzy z szeregu szczyrzyli do mnie zęby.

*Po chwili odezwał się szeptem:*

*– Gdy już zaczniecie tę waszą rewolucję przeciwko nazistom i pruskim generalom, czy dacie też ode mnie Adolfowi soczystego kopniaka?*

*– Obiecujemy ci to, Porto. Dostanie tyle kopniaków, że zmęczylbyś się, gdybyś sam musiał mu je wymierzyć – odrzekł Stary.*

*– W porządku! Macie moje poparcie!*

*Przez dłuższą chwilę panowało milczenie i słychać było tylko, jak Stary pyka z fajki.*

*– Stary, czy masz tam jeszcze swój instrument?*

*Stary wyciągnął z kieszeni organki.*

*– Zagraj ten kawałek o dziewczynie rozczesującej włosy. Tej, która siedziała na skale.*

*Stary grał na organkach, a ja cicho podśpiewywałem, podczas gdy Porta obojętnie wpatrywał się w sufit.*

*Ich weiss nicht was soli es bedeuten,*

*dann ich so traurig bin;*

*ein Mddchen aus alter Zeiten,*

*das kommt mir nicht aus dem Sinn.*

*Plakaliśmy. Wtedy Porta wyszeptał:*

*– Teraz Joseph Porta, z bożej łaski Stabsgefreiter, odchodzi. To trochę trudne. Obiecujcie zaopiekować się Stalinem. Niech go ujrzę, nim podniosę żagiel.*

*Stary podniósł kota i przytulił go do twarzy Porty.*

*– Pamiętajcie kopnąć ode mnie Adolfa i Himmlera! Serwus!*

*Żółtawo-czarny płyn popłynął mu z kącika ust, ale jego dłoń lekko zacisnęła się na naszych. Po chwili uścisk zelżał. Porta nie żył.*

## **XXXII Tam na drutach leży człowiek**

Nie przypuszczałem, że mój drugi pobyt w szpitalu okaże się punktem zwrotnym. Po jednym ze starć na froncie pozostawiono mnie przewieszzonego na drutach kolczastych, ale koledzy w końcu mnie wyciągnęli, opatrzyli i przetransportowali do szpitala. Po wyzdrowieniu skierowano mnie do szkoły broni pancernej w Wunsdorffie koło Berlina na krótkie przeszkolenie oficerskie przed powrotem do pułku. W Berlinie, dziwnym zrządzeniem losu, byłem kurierem wojskowych spiskujących przeciw Hitlerowi. Ale to już całkiem inna historia.

Pewnego ranka, gdy leżałem w szpitalu zapasowym we Franzenbadzie, na naszym oddziale pojawił się krępy, niewysoki mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat, który podszedł

prosto do mojego łóżka. Wyciągnął dłoń i przemówił do mnie w dźwięcznym wiedeńskim dialekcie:

– Stary przyjacielu, nazywam się Ernst Stolpe, jestem z 7 pułku strzelców alpejskich i mam nie w porządku pod sufitem. Jestem całkowitym furiatem i mam na to dokumenty, proszę, zobacz sam.

Wręczył mi certyfikat tak dobry, jak „licencja łowiecka”, o której zdobyciu marzy niemal każdy żołnierz.

Obergefreiter Ernst Stolpe z 7 batalionu strzelców alpejskich zostaje zakwalifikowany jako częściowo niezdolny do służby wojskowej na skutek odniesionych ciężkich ran, w szczególności trzykrotnych ciężkich uszkodzeń głowy. W żadnym wypadku nie wolno mu wykonywać cięższych prac lub dźwigać ciężkiego sprzętu, nie może także wkładać na głowę stalowego hełmu. W przypadku zaburzeń umysłowych należy go natychmiast odstawić do najbliższego szpitala wojskowego.

Standortlazarett 40 Paris Dr Waxmund, Oberstabsarzt

– Drogi przyjacielu, to prawie jak „adieu”, nieprawdaż? Ty raczej nie jesteś wariatem, jak sądzę? Jeśli jednak jesteś, nie wolno ci się przyznawać do tego, bo dwóm na tym samym terenie łowieckim może się to nie udać. Ja roznoszę listy do różnych idiotów w wyższych dowództwach i garnizonach. Gdy potrzebuję trochę wolnego, walę w dziób jakiegoś oficera, uśmiecham się do niego słodko i pokazuję mu moje referencje. Wtedy od razu ląduję w szpitalu. Gdy już będziesz mógł wstawać, pokażę ci Franzenbad, Eger i Pragę. Chciałbyś może usłyszeć, jak udało mi się dostać do tej fabryki fikołków?

– Tak, chętnie – odpowiedziałem. I nagle pomyślałem, że od kilku tygodni nie uśmiechnąłem się ani razu. Wysłałem telegram do Barbary. Przyjechała, a potem szybko zdobyła przeniesienie do Franzenbadu, aby się mną opiekować, jednak mój nastrój jakoś nie chciał się polepszyć. Byłem ciągle zmęczony i wyczerpany. Mój stan coraz bardziej niepokoił Barbarę.

– Nadstaw więc ucha i słuchaj, mój gołąbeczku – rzekł Stolpe. – Pierwszy raz dostałem w głowę we Francji. To był zwyczajny pień drzewa jadący na platformie kolejowej; oberwałem nim prosto w kark: pęknięcie podstawy czaszki – do szpitala – wypisany. Po dwóch tygodniach od wyjścia ze szpitala pokazywałem jednemu facetowi, w jaki sposób należy jeździć motocyklem. Zdejmuję w pewnym momencie dłoń z kierownicy, a tu, niech mnie diabli, ktoś postawił plot dokładnie tam, gdzie jechałem. Wyleciałem z siodła jak szybowiec i wylądowałem w żelaznym przepuście. Przepust wytrzymał, ale ja – nie. Drugie pęknięcie podstawy czaszki plus złamany obojczyk. I znów tu byłem. Wypisany już bez świadectwa zdrowia. Po sześciu tygodniach powróciłem. Dyszel wozu. Tym razem, mówię sobie, muszę to



załatwić. Ale nie masz pojęcia, jak trudno jest otrzymać zaświadczenie stwierdzające, że brakuje ci piątej klepki. Niemieckiemu żołnierzowi nie może po prostu brakować piątej klepki. No cóż, wreszcie się udało, ale nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało wysiłku. Zacząłem od złamania nosa lekarzowi. Och, chłopcze, szkoda, że nie widziałeś jego ryja, jak płakał. „Podobało się panu?” – zapytałem grzecznie. – „Nazywam się Stolpe”. Ale nie zareagował właściwie. No cóż, powiedziałem sobie, teraz trzeba z „grubszej rury”. Powiedziałem do naczelnej pielęgniarki, podstarzałej i mocno już pomarszczonej dziewczycy około pięćdziesiątki: „Ściągaj majtki, Kleopatro, pogadamy sobie trochę”. Ale i to nie podziałało. Przypuszczam, że musiała jeszcze żywić jakąś nadzieję. No cóż, powiedziałem sobie, niemiecki żołnierz nie rezygnuje. Potrzebny jest mi młotek. Zdobyłem więc młotek i czekałem na odpowiedni moment. Pewnego dnia stwierdziłem, że ten moment właśnie nadszedł: udałem się do hospitalizowanego majora, pozdrowiłem go ślicznie i zacząłem podziwiać jego separatkę. Następnie podziwiałem jego zegarek, elegancki przedmiot ze złota. Zapytałem go grzecznie, czy ten zegarek jest odpowiednio trwały. Facio nie odpowiedział, tylko gapił się na mnie. Wobec tego wyciągnąłem młotek i walnąłem z całej siły w zegarek. „No” – mówię zadowolony – „to nie był zbyt mocny zegarek”. Wycieram młotek, a on już naciska dzwonek. „Taniocha” – stwierdziłem pogardliwie i usiłowałem wręczyć mu dziesięć fenigów. „To wystarczy na kupon na loterię, na której może pan wygrać nowy zegarek” – mówię. Zleciała się chyba połowa szpitala, ale ja już zdążyłem się wymknąć. Idę na dół, przez kuchnię i mrugam do pracujących tam dziewcząt. „Czy wam tu aby nie za gorąco, dziewczyny? Może otworzyłbym wam okna?” I znowu biorę się za młotek: osiem szyb, jedna po drugiej. Mówię więc: „Teraz macie znacznie więcej powietrza, nieprawdaż, moje panie?”. Następnie wrzuciłem do kotła z zupą moje skarpetki, trzy chustki do nosa i ścierkę do podłogi, zapytując, czy skoro już tu jestem, to czy nie mógłbym sobie tego wyprać. I w ten oto sposób zdobyłem wreszcie upragnione zaświadczenie.

Nigdy nie udało mi się ustalić, do jakiego stopnia Stolpe rzeczywiście był wariatem, ale z pewnością niczego mu nie brakowało, gdy trzeba było rozpoznać to, co przyjemne i pożyteczne. Barbara za to nie posiadała się z radości, że Ernst wziął mnie pod swoje skrzydła i bawił swoimi zwariowanymi pomysłami, czego namacalnym efektem było zawsze wyludzenie od niej odrobiny spirytusu lekarskiego.

Gdy już mogłem wstawać z łóżka, otrzymałem wózek inwalidzki, nadal bowiem byłem częściowo sparaliżowany, a Stolpe z rozkoszą mnie w nim obwoził. Ten wózek okazał się w najwyższym stopniu pożyteczny, szczególnie gdy wyruszaliśmy do teatru lub jakiegoś innego miejsca, gdzie trzeba było postać w kolejce. Stolpe po prostu zawoził mnie do jednego z wejść, po czym sam siadał na wykupionym miejscu, a ja siedziałem w wózku.

Bardzo nas cieszyło, gdy jakaś osoba trzecia wozila nas wózkiem eleganckimi ulicami Egeru czy Pragi; jechaliśmy obok siebie, z uśmiechem przyjmując współczujące spojrzenia młodych

dam. W pewnych okolicznościach pozwoliło nam to wkręcić się na wspaniałe przyjęcie, na którym biesiadowało sporo podstarzałych niemieckich i czeskich oficerów. Wraz z paniami z praskiej „śmietanki” byli prawie do łez wzruszeni naszym widokiem. Stolpe w zielonym mundurze strzelca alpejskiego, z wielką szarotką na czapce, i ja w moim czarnym uniformie czołgisty i czarnym berecie. Ich dobroć nie miała granic: wypychali nam kieszenie wszelkiego rodzaju smakołykami, którymi później dzieliliśmy się w szpitalu z chorymi i rannymi. Nawet zrobili sobie z nami pamiątkowe zdjęcie, na którym strzelec alpejski i czołgista siedzą zjednoczeni w jednym wózku inwalidzkim.

Mniej fortunnym wydarzeniem było przyłapanie nas przez kilka tych zacnych matron z „towarzystwa” podczas samorzutnie zorganizowanego wyścigu wózków inwalidzkich, w którym Stolpe nie jechał, lecz biegł z wózkiem po ulicy tak szybko, jak tylko mógł. Po tym „występie” nie byliśmy już zapraszani na żadne przyjęcia.

Gdy potrzebowaliśmy pieniędzy i rozrywek, Stolpe telefonował do swej kochanki, małżonki Standarten Führera SS z Norymbergi.

– Halo, stara luksusowa dziewczyno – piał do słuchawki telefonu, aż patrzyli na niego wszyscy obecni w urzędzie pocztowym. – Jak tam twój facet? Jest w domu? Nie? Wzięli go do Rosji? Doprawdy? Miejsce w sam raz dla niego! Słuchaj, stara kobyło, przeciwczyłem nową pozycję, więc jeśli jesteś wciąż zainteresowana, to powinnaś szybko przyjechać. Ale jest to pozycja bardzo wyczerpująca, więc nie próbuj nawet przyjeżdżać bez czegoś niezwykle pokrzepiającego. Aha, nie przywoź więcej tego porto, no wiesz, którego. Zawsze mówiłem, że ten twój facet kupuje marny gatunek. Nie chcę więcej widzieć porto, dopóki nie wypijesz całego dotychczasowego zapasu. Słuchaj, nie mogę tu tak stać i plotkować z tobą przez cały dzień. Wyjdę po ciebie na pociąg, ten o drugiej trzydzieści dwie.

Następnie zostawił słuchawkę, nie kładąc jej na widełki, i nie pozwolił jej położyć, dopóki głos w słuchawce nie zamilkł. Kilka młodych dziewczyn roześmiało się i w tym zazwyczaj nudnym miejscu zapanowała przez chwilę ogólna, nieskrywana wesołość. Następnie stanęliśmy w kolejce do okienka po znaczek pocztowy, który Stolpe później przykleił na czole policjantowi. Policjant przyjął to z wyrozumiałością.

Ku memu głębokiemu zaskoczeniu żona Standartenführera z Norymbergi, dość atrakcyjna kobieta w średnim wieku, rzeczywiście przyjechała nazajutrz, przywożąc ze sobą górę czarnorynkowych smakołyków. Ernst spędził z nią kilka godzin w pokoju hotelowym, po czym polecił jej wracać z powrotem do Norymbergi, pod pretekstem, że ma bardzo mało czasu. Gdy już odjechała, cały oddział szpitalny upił się w sztok przywiezionymi przez nią likierami. Pewnego dnia Stolpe znikł. Okazało się, że zabrano go do szpitala specjalistycznego na obserwację. Po tygodniu otrzymałem od niego pocztówkę.

*Fabryka Fikołków, Norymberga, 18 kwietnia 1944 roku Drogi Svenie!*

*W jakim szambie wylądowałem! Palenie zabronione. Wychodzenie zabronione. Nawet do klopa chodzę w tajemnicy i piekielnie się obawiam, że i to może się okazać zabronione. Aż do wczoraj jadalem posiłki, siedząc pod łóżkiem, aż w końcu pielęgniarka wyjaśniła mi, że jedzenie nie jest tutaj zabronione. Wszystkie drzwi pozamykane na klucz, z wyjątkiem klopa, ten zaś za to jest zawsze otwarty na oścież. We wszystkich oknach są żelazne kraty, ale doprawdy nie wiem, czy mają one powstrzymywać tych, którzy przebywają w środku, czy też zatrzymać kogoś, kto chciałby tu dostać się z zewnątrz.*

*Pozdrowienia, Ernst Szalony*

*Kochanie! Jak dobrze jest ujrzeć cię znowu. Szenie, tęskniłam za tobą cały rok.*

*– Ja także, Barbaro. Wezmę jedną z twoich walizek. Chodź, samochód na nas czeka. Czy jesteś głodna?*

*– Możesz być pewien, że tak.*

*Gdy już się posililiśmy, udaliśmy się do jej pokoju hotelowego, gdzie wzięła kąpiel i przez pół godziny odpoczywała. Dziwne, ale nie rzuciliśmy się na siebie. Byliśmy po prostu oboje zbyt wzruszeni, było nam przy tym tak miło i bezpiecznie. Czulem się tak bezpiecznie, jak nigdy w ciągu wielu ostatnich miesięcy, które wykańczały moje nerwy. Mieliliśmy sobie mnóstwo do opowiedzenia. Ta „ludzka sprawa” nie ucieknie. Pojechaliśmy do Poczdamu na kolację i spacerowaliśmy, trzymając się za ręce, po parku Sans Souci.*

*Nad Berlinem z warkotem lotniczych silników huczał jeden z wielkich nalotów alianckich. Barbara nerwowo przytuliła się do mnie, gdy patrzyliśmy na dymy i pożary nad Neueckolln. Bombowce, fala za falą, nadlatywały nad miasto i zrzucały swoje ładunki.*

*Nagle do naszych uszu dotarło przeciągłe wycie. Błyskawicznie przewróciłem Barbarę na ziemię i sam padłem tuż przy niej. Nastąpiła bliska eksplozja. Kolejna bomba spadała, skrzecząc. Barbara z piskiem poderwała się i biegła przed siebie uliczką, zupełnie tracąc głowę w panicznym lęku.*

*Skoczyłem za nią, wołając:*

*– Barbaro, padnij na ziemię! Barbaro! Padnij na ziemię! Barbaro!*

*Znów rozległo się skrzeczenie i padłem do rowu. Ziemia obsypała mnie całego. Nie podnosiłem się jeszcze przez kilka sekund po wybuchu. Barbara znikła mi z oczu.*

*Jej ciało znalazłem dwieście metrów dalej. Leżało na ulicy w kałuży krwi.*

*Nie czulem niczego, nie widziałem niczego, nie słyszałem nawet syreny odwołującej alarm. Tuż obok zatrzymał się samochód. Ludzie w mundurach wciągnęli mnie do środka. Z tyłu położono koc, a na nim moją Barbarę.*

*Rozebrali mnie. Lekarz mówił coś o szoku. Jakaś dłoń ujęła mój nadgarstek, miękka dłoń, dokładnie w taki sam łagodny, delikatny sposób, w jaki trzymała go Barbara. Barbarę mi zabili.*

### **XXXIII Dowódca kompanii**

Wysłano mnie z powrotem do macierzystego pułku już jako Oberleutnanta i dowódcę mojej starej kompanii. Von Barring awansował na Oberstleutnanta i został dowódcą batalionu. Ze starej paczki pozostali tylko Oberst Hinka, von Barring, Stary i ja. Stary był teraz Oberfeldwebel.

Pewnego zimnego, szarego i dżdżystego dnia Stary i ja udaliśmy się z linii frontu na tyły. Ostatni odcinek naszej wędrówki wiódł po jakimś torze kolejowym. Prawie już dochodziliśmy

do tymczasowej stacji, przy której znajdował się olbrzymi skład amunicji, gdy powietrze rozdarło dobrze nam znane, potworne wycie. Stary szarpnął mną tak, że wpadłem głową do rowu, a on sam zaraz poszedł w moje ślady.

Najbliższe pół godziny wyglądało tak, jakby koniec świata był już bliski. Trwała istna kakofonia wycia, huk, dudnienia, grzmotów, niekończących się eksplozji. W powietrze wybuchały oślepiająco białe płomienie z trzaskiem strzelających batów. W górę wylatywały całe serie eksplozji pocisków artyleryjskich, miotanych we wszystkich kierunkach. Dwa wagony kolejowe uniosły się w powietrze i wylądowały w polu dobre sto pięćdziesiąt metrów dalej. Podwozie ciężkiego wagonu towarowego zmiotło pobliską szopę i upadło z trzaskiem niedaleko nas. Runęły dwa wysokie kominy fabryczne. Jeden jakby rozpękł się w kilku miejscach jednocześnie, drugi przechylał się powoli, aż upadł wreszcie w chmurze ceglanego pyłu. Wszystkie domy, nawet te dość odległe, zostały zrównane z ziemią lub legły w gruzach.

Cisza, która potem nastąpiła, była upiorna. Powoli dochodziłem do siebie, wstałem i rozejrzałem się dookoła. Stary leżał o kilka metrów ode mnie.

– Cóż, Stary, myślę, że możemy iść dalej. Wyglądało to raczej nieciekawie, co?

Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Okazało się, że obie nogi ma złamane, lewe biodro jest jedną wielką miazgą, ramię w dużej mierze również. Wziąłem jego głowę na kolana i szalikiem otarłem mu pot z czoła.

– Stary, mój przyjacielu – wyszeptalem – sądzisz, że wytrzymasz do punktu opatrunkowego, jeśli cię tam zaniosę?

Na chwilę otworzył szerzej oczy.

– Svenie, Stary jest już załatwiony. Raczej zostaniemy tutaj. To nie potrwa długo. Kopsnij papierosa, jeśli masz.

Zapaliłem papierosa i wsunąłem mu do ust. Mówienie sprawiało mu ból.

– Gdy odejdę, napiszesz do mojej żony i dzieci? Znasz już treść na pamięć: postrzał w skroń, żadnego bólu... Zresztą i tak nie czuję bólu, prócz rwania w plecach, gdy mówię... Moja stara fajka i scyzoryk należą do ciebie, resztę odeślij do domu razem z dwoma listami, które znajdziesz w moim portfelu.

Zamilkł na krótką chwilę i leżał z zamkniętymi oczami, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Przynależem do jego ust manierkę.

– Stary, mam trochę sznapsa. Spróbuj wypić choć łyżeczek. Przełknął kilka kropel i ponownie otworzył oczy. Wyszeptał ochryple:

– Najbardziej mnie boli, że zostawiam cię zupełnie samego. Mam nadzieję, że powrócisz do tego swojego kraiku, który uważasz za swój dom i o którym opowiadałeś tyle sympatycznych rzeczy.

Gdy już było po wszystkim, wziąłem ciało Starego na ramiona i ruszyłem z nim przez błoto,

w którym moje buty wciąż się ślizgały. Płakałem i zgrzytałem zębami w bezsilnej wściekłości z każdym poślizgnięciem, pot ściekał mi po karku, a gorący oddech stał się świszczący.

Rosjanie ze służby pomocniczej patrzyli na mnie ze zdumieniem, gdy chwiejnym krokiem wszedłem do izby, niosąc ciało martwego towarzysza, i położyłem je na łóżku. Poszedłem do von Barringa.

– A więc on również – jęknął von Barring. – Niewiele już chyba wytrzymam.

Złapał mnie za ramię i wrzasnął:

– Svenie, zaczynam wariować. Za każdym razem, gdy wydaję rozkaz natarcia, czuję się jak rzeźnik.

Wstrząsało nim łkanie, opadł zrezygnowanym ruchem na krzesło, a głowę ukrył w dłoniach opartych na stole.

– O, Boże, niech to się wreszcie skończy! Niech się to szybko skończy!

Nalał wódki, aż się przelała, do dwóch szklanek i wręczył mi jedną. Opróżniliśmy je jednym haustem. Napełnił szklanki ponownie, lecz gdy już podnosił swoją, złapałem go za ramię.

– Erichu – powiedziałem – zostaw pełną, dopóki nie pochowamy Starego. Musimy teraz pójść go pogrzebać. Tylko my dwaj. Potem chętnie zapiję się z tobą na śmierć.

Wycięliśmy swastykę z flagi, w którą zawinęliśmy Starego niczym w całun.

Zapiawszy pasek pod brodą i poprawiwszy hełm, przebiegłem spojrzeniem wzdłuż szeregu kompanii, której byłem teraz dowódcą.

Na miejscu przede mną stawał kiedyś Hauptfeldwebel Edel. Zmarł na tyfus w 1943 roku.

Za nim stawał wysoki, dobroduszny Feldwebel Bielendorf, pogrzebany żywcem wraz z całym 4 plutonem podczas walk w Kubaniu.

Na prawym skrzydle 2 plutonu stawał Stary, przedwczoraj rozszarpany wybuchem składu amunicji.

Za nim powinien stać Stabsgefreiter Joseph Porta, który odszedł na wieczny spoczynek z brzuchem przebitym ostrzem noża.

Obok niego Mikrus – los nieznany.

Pluto został pozbawiony głowy odłamkiem pocisku w lesie koło Mohylewa.

Hugo Stege, Unteroffizier – upieczony w czołgu, z bokiem rozdartym odłamkiem.

Asmus Braun – zawsze wesóły, obie nogi i ręka urwane w lutym 1942 roku.

Unteroffizier Bernhard Fleischmann, zaginał w Moskwie podczas ucieczki z obozu jeńców wojennych na Syberii.

Gefreiter Hans Breuer – były porucznik policji, stracony po tym, jak włożył stopę w gaśnicę czołgu.

Dalej, w 5 plutonie – Leutnant Huber, ledwie dziewiętnastolatek, wspaniały kompan dla swoich ludzi. Pewnego ranka w kwietniu 1943 roku obie jego nogi urwał wybuch – wykrwawił

się na śmierć na drucie kolczastym, wzywając swą siostrę Hildę.

Celowniczy Kurt Breiting, lat szesnaście, zmarł w piekielnych męczarniach, gdy pocisk fosforowy eksplodował mu w dłoniach. Razem stanowiliśmy załogę pociągu pancernego w czerwcu 1943 roku.

Obergefreiter Willy Pallas, niski i zawsze uśmiechnięty, zginął w tym samym boju co Breiting.

Artylerzysta Ernst Valkas – głowa zmiażdżona w pociągu pancernym. To jego mózg miałem na sobie.

Oberleutnant von Sandra – wypatroszony pociskiem rozrywającym, który trafił go w brzuch.

Leutnant Bruno Haller, lat trzydzieści pięć. Wskoczył z płonącego czołgu, trzymając w ramionach swego ciężko poparzonego brata, Unteroffiziera Paula Hallera. Razem przeszli przez obozy koncentracyjne Hitlera i pułki karne. Obu braci, wciąż trzymających się za ręce, pochowano w Berdyczowie.

Boże, jeśli istniejesz, modłę się do Ciebie, abyś pozwolił tej ogromnej armii poległych defilować całą wieczność przed obliczem feldmarszałków winnych ich losu! Niech nigdy się nie uwolnią od huku butów dziesiątków i setek tysięcy maszerujących cieni poległych żołnierzy. Niech wpatrują się w nich setki tysięcy oskarżających ich oczu. Niech matki, żony i siostry poległych wystąpią naprzód i wskażą karzącym palcem generałów oraz oficerów sztabowych, którzy zaplanowali to masowe morderstwo, aby zrobić przyjemność historycznemu drobnomieszczaninowi, czeladnikowi malarskiemu o miernym talencie.

Nagle wstrząsnęła mną świadomość, że Hauptfeldwebel właśnie złożył mi meldunek. Zasalutowałem i wydałem komendę.

– Piąta kompania... na ramię... broń!

Ruchy źle wyszkolonych ludzi były przerażająco niemrawe. Tak, wielu z nich ma za sobą zaledwie trzytygodniowe szkolenie unitarne.

– Kompania... od prawego... w prawo zwrot! Naprzód marsz! Chłupocząc butami w bezdennym błocie, dwieście par nóg mięsa armatniego pomaszerowało przed siebie i dalej na pozycje.

*Siedziałem z Oberstleutnantem von Barringiem w ziemiance mojej kompanii przy migoczącym świetle kaganka. Piliśmy.*

*Przed nami stała cała bateria pustych i częściowo pełnych butelek wódki i koniaku.*

*Von Barring miał nerwy zszarpane do reszty i nie mógł już dłużej wytrzymać bez alkoholu. Jeśli zdarzało mu się pozostawać jakiś czas trzeźwym, to zaraz wpadał w taką furję, że musieliśmy go wiązać, aby nie wyrządził komukolwiek krzywdy, jego samego nie wyłączając. By utrzymać go w ryzach, Hinka i ja piliśmy z nim na zmianę. Żaden z nas w pojedynkę nie dotrzymałby kroku jego monopolowej konsumpcji. Utrzymywany w stanie permanentnej nietrzeźwości, wydawał się mniej więcej normalny.*

*– Jakimż krwawym plugastwem jest to wszystko – powiedział i nappełnił wódką sporej wielkości kubek, po czym wypił ją duszkiem. Tak jakby to było piwo.*

*– Gdy się pomyśli, co Adolf i ten jego łgarz Goebbels nam wciskali, to aż trudno uwierzyć! Czy my śniliśmy? Czy to rzeczywiście możliwe, żeby kłamstwo stale powtarzane zaczynało być przyjmowane jak prawda i żeby mogło się to odnosić do całego narodu? Co jest nie tak z nami, Niemcami? Wszyscy wiemy, że podążamy prostą drogą do piekła i wiemy o tym od dawna. Czyżbyśmy wszyscy byli samobójcami? Czy jesteśmy aż tak głupi, na jakich wyglądamy? Ślepi i opętani demoniczną żądzą władzy i przy tym aż tak tępi? Musieliśmy oszaleć... Przy najmniej ja na pewno oszalałem.*

#### **XXXIV Von Barring**

Czy pamiętasz, jak Adolf skrzeczał przez radio: „Wezmę Stalingrad, gdy uznam, że czas do tego dojrzał”. A w kilka tygodni później, gdy cała 6 Armia znalazła się w kotle, jak idiota stał i wrzeszczał przy dzikim aplauzie nedorozwiniętych umysłowo członków swojej partii: „Gdy dostrzegłem bezsens zajmowania Stalingradu, który nie ma najmniejszego znaczenia dla osiągnięcia naszego ostatecznego zwycięstwa, wydałem rozkaz przejściowego opuszczenia miasta”. Ludzie entuzjastycznie wiwatowali, słuchając tego przemówienia. Ale trzystu tysięcy otoczonych jakoś nie udało się już wycofać. Położyli głowy w bitwie o Stalingrad – miasto „bez najmniejszego znaczenia”.

– Też coś! – powiedziałem. – My widzimy ewidentne kłamstwo, ale cóż może jeden „oświecony” pułk przeciwko sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu milionom „wyjców”, którzy nie dostrzegają niczego, ponieważ niczego nie chcą dostrzec? Chyba raczej umrzeć, niż przegrać wojnę, która dzisiaj jest i tak przegrana. Dosłownie znaczy to: lepiej niech umrze wielu, niż my mielibyśmy stracić życie. Słyszałem, jak w Berlinie jakaś kobieta mówiła, że jeśli na froncie wschodnim pozostanie choćby tylko jeden niemiecki pułk, to Niemcy i tak zwyciężą, pod warunkiem, że będzie to pułk z SS-Leibstandarte!



– Kobiety są najgorsze – oświadczył von Barring. – Boże zachowaj nas od fanatycznych kobiet. Ale do diabła z tym wszystkim. Hitler przegrał wojnę, ale czy my dwaj ujrzymy jego wspaniały upadek, to już inna sprawa. Nasza kolej wkrótce nadejdzie. Wyobraź sobie tylko, żyjemy nadzieją, że to wszystko zawali się szybciej, niż nas trafi szlag! Napijmy się, Svenie, to jedyne, co nam pozostało.

– Wypijmy za niedawne spotkanie z piękną kobietą. Wszystko mi jedno, fanatyczką Hitlera czy nie.

Tak, leżąc na plecach są tym samym – przyjemnością dla nas. Gdyby tylko nie były tak cholernie upośledzonym gatunkiem, z którym nawet nie można pogadać. Nigdy nie uczyły się robienia czegokolwiek innego niż leżenia na plecach, odpowiadania „tak” i „amen” oraz aprobowania wszystkiego, co im się zaproponuje. Czy spotkałeś kiedykolwiek kobietę mającą własne zdanie?

W udzieleniu odpowiedzi przeszkodził mi dźwięk dzwonka telefonu polowego. Była to wiadomość dla mnie, że mam udać się do Lwowa po odbiór czterdziestu bezcennych czołgów z uzupełnień – być może już ostatnich, jakie posiadała nasza armia.

Ale moją peregrynację do Lwowa trzeba było na razie odłożyć, ponieważ Rosjanie wybrali akurat ten moment na rozpoczęcie natarcia i zadbali, abyśmy z von Baringiem mieli przez cały następny tydzień pełne ręce roboty.

Pewnego dnia von Barring przyszedł do mojej ziemianki na inspekcję. Stał i wodził dookoła tępym wzrokiem.

– Teraz już nic nie powinno mnie obchodzić – powiedział i wy szedł.

Pospieszyłem za nim.

Po wyjściu ode mnie zaczął wystrzeliwać różnokolorowe rakiety sygnalizacyjne, a nasze wsparcie artyleryjskie ogłupiało, nie rozumiejąc, czego w końcu od nich chcemy. Obezwładniłszy go i związanego zanieśliśmy do mojej ziemianki. Darł się na nas bezustannie ochrypłym, kłokoczącym głosem, patrząc się prosto przed siebie źrenicami rozszerzonymi w przerażeniu. Przerażeniu, które go obezwładniało, a które i my potrafiliśmy sobie dobrze wyobrazić.

– Do usług, Wasza Królewska Mość! Jego Królewska Mość Hitler, cha, cha, cha! Oberstleutnant von Barring z pułku śmierci melduje się do służby w piekle. Oto najlepsze widły w tym zakładzie, Wasza Królewska Mość! Morderca von Barring melduje się do służby, Królu Hitlerze!

Wbiłem sobie palce w uszy, by nie słyszeć jego rechotania. Gdy dostrzegłem, że wśród obecnych w ziemiance żołnierzy, którzy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w podpułkownika-szaleńca, wielu jest już bliskich paniki, musiałem pozbawić von Barringa

świadomości.

Teraz w Pułku Śmierci pozostał już tylko pułkownik Hinka i ja. Von Barring – niegdyś tak młody, dziarski, przyjacielski, pełen autentycznej dobroci serca oficer, który nieraz wstawiał się za nami, gdy szykanowała nas ta świnią Meier – nie wytrzymał ciężaru nieustannego napięcia i załamał się.

Jakiś czas później, podczas wspólnej podróży służbowej, zatrzymaliśmy się wraz z pułkownikiem Hinką na krótko w Giessen i udaliśmy się do wojskowego szpitala psychiatrycznego, gdzie przebywał von Barring. Leżał tam przywiązany pasami do łóżka i idiotycznie szczyrzył zęby, zupełnie nas nie poznając. Z ust ciekła mu ślina i nawet dla nas, przyjaciół, przedstawiał widok odrażający. Gdy znów wsiedliśmy do pociągu, byliśmy tak wstrząśnięci wizytą w szpitalu, że przez długi czas żaden z nas nie ośmielił się odezwać. W końcu Hinka roześmiał się nerwowo – nie, nie nerwowo, raczej rozpaczliwie – i stwierdził:

– Więc nie jesteśmy tak twardzi, jak nam się wydawało.

Nie, nie jesteśmy – odpowiedziałem. – To było straszne. – Na wypadek, gdyby to się przytrafiło jednemu z nas... czy może nie powinniśmy się zobowiązać, że pomożemy sobie nawzajem czegoś takiego uniknąć?

Mówiąc to, wyciągnął do mnie dłoń.